

MARCIN
WOLSKI

PIES W STUDNI



superNOWA

WOLSKI MARCIN

Pies w studni

MARCIN WOLSKI

Prolog. Studnia Potępionych

Jęk dzwonów wibruje, obija się o ściany krętych uliczek, ślizga po miedzianych rzygaczach rynien, płosząc z atyk stada ptactwa, które z furkotem wzbija się w słoneczne niebo, nie wywołując najmniejszego wrażenia na kamiennych maszkarach, przyczajonych wokół wież katedry. Spokój tych monstrów kontrastuje z nastrojem ciżby ludzkiej, spoconej, falującej, wielobarwnej, ciała pradawnego smoka podobnej. I jak on żarłocznej. Gawiedź ile sił napiera na kordony utworzone przez miejskich pacholków i książęcych gwardzistów wokół drogi wiodącej ku Dziedzińcowi Płaczu, tak jakby chciała nasycić się cudzym lękiem, bólem, śmiercią. Znam dobrze swych współziomków, z osobna dobrzy, poczciwi ludzie, płaczący nad każdym zdechłym psem lub zabitą muchą. W stadzie straszni, bezlitośni, szaleni. Obserwowałem nieraz w bitwie, póki potyka się mąż z mężem, twarzami zwróceniu ku sobie; jest w tej walce coś szlachetnego, porywającego, gdy jednak któraś ze stron poda tyły, łamie się szyk, nikną reguły i elegancja, a zwycięzcy zmieniają się w hordę wampirów żądnych krwi. A twarze tłumu? Gdzie się podziewa ich powszednia dobroduszość, indywidualna uroda? Gawiedź ma wyłącznie paskudne pyski.

Czy jesteś gdzieś wśród niej Anzelmo? Mój kochany przyjacielu, skrybo pilny, kopisto moich woluminów, powierniku najskrytszych uniesień, donosicielu sumienny, oskarżycielu perfekcyjny, ergo mój zabójco per procura. Pewnie skryłeś się w którejś loggi lub w mrocznym wykuszu i czekasz finału, aby wreszcie odetchnąć spokojnie, pójść do szynku lub bordello i tam zapomnieć, czego nie zapomnisz.

Zaś ty, Najjaśniejszy Panie, czy zacierasz ukradkiem swe krótkie, upierścienione palce, pojąc się afrodyzjakiem z rozkosznego pucharu zemsty?

Przez dziurawy spód wózka, w którym kołacze się moje serce, widzę drewniany bruk, zaschłe ślady końskich odchodów, a zarazem żdźbła zielonej wiosennej trawy pomiędzy kostką. Uciekają pode mną, jak te wszystkie dni i godziny przeminione. Ileż razy podążałem tym duktem jako dziecię, jako żak, jako początkujący artysta, wreszcie jako ja sam, mistrz Alfredo Derossi, zwany "Il Cane", nasz drogi Freddino, jego prywatność... pst! Tajemnica, wszyscy wiedzą kto.

Ejże, wy szkarpy pochyłe, wystające z murów jak tyłki kramarek. Czy to gdzieś tu obok was widziałem Margeritę, jak z dzbanem na głowie szła kołysząc biodrami – i całym światem zakochanego szesnastolatka? A Lucia, mała, powabna jak giętka trzcina, czy to nie dla niej na pobliskich straganach kupowałem pantofelki haftowane złotą nicią w smoki azjatyckie, ptaki rajskie... A Claudia, ile to wiosen minęło od chwili, gdy kole Bramy Płatnerzy wręczyła mi liścik wyznaczający pierwszą schadzkę,

a Maria...

Pamiętam, wczesnym latem stałem z Anzelmem gdzieś tu przy kramach z antykwitami, oglądając manuskrypty benedyktyńskie z Castello Blanco zawierające uznane z dawna za zaginione pisma Arystotela. Nie zauważyliśmy dwukonnej kolasy, póki ta nie zwolniła. Karę konie parsknęły donośnie. Unieśliśmy głowy, w okienku między rozsuniętymi firankami mignęła nam twarz blada, szlachetna, o ustach karminowych i brwiach zrosniętych...

–Na brzuch Bachusa, panie, ona uśmiechnęła się do nas! – zawołał mój druh, powiernik, uczeń, zdrajca.

Nie do ciebie, do mnie, durniu – pomyślałem i naraz zapragnąłem znów znaleźć się w jej ramionach, pić rozkosz z jej ust, dotrzeć jej jak czarodziejskiego rumaka i żeglować ponad światem.

Mój wózek stanął, usłyszałem łoskot werbli. Byliśmy na Dziedzińcu Płaczu. Jako dziecko bałem się tego miejsca. Tam, gdzie nie rośnie nigdy trawa, zazwyczaj rozpalano stos dla wiedźm i kacerzy, opodal skrzypiała szubienica, na pobliskich blankach czerniały włócznie, na które nabijano głowy złoczyńców traconych na tutejszym szafocie, pięć kroków dalej, z olbrzymim rondlem, w którym zwykło się gotować fałszerzy pieniędzy, zaczynały się wąskie, strome schodki, prowadzące w stronę drzwi w murze, za którymi otwierało się przepaściste urwisko przeznaczone do ciskania dzieciobójczyń, na żer krukowi i sępom. Także i dziś ptaszyska zleciały się stadnie, najwyraźniej wietrząc niepojętym zmysłem nadchodzącą kaźń. Była wreszcie Studnia Potępionych, wedle legendy do środka ziemi prowadząca, którą ponoć wykopał sam diabeł na rozkaz cesarza Apostaty. W dawnych czasach siermiężnej wiary wydawało się całkiem możliwe, aby bies mógł przywołać z otchłani piekieł czarcie zastępy przeciw pobożnym chrześcijanom. I mieszkańcy całkiem serio, gdy kończyło się kolejne stulecie, oczekiwali na dzień Armagedonu. Nikt z obywateli miasta nie pamiętał, kiedy ostatnio korzystano z tej sztolni – być może trwała nie używana od czasów, kiedy Giovanni Leone strącił w jej czeluść niewierną małżonkę – Ginevrę Galijską, wedle podań piękną jak wiosenny dzień. Za to występna jak noc sabatu. Bywało w trakcie lekcji rysunku, gdy mój preceptore zachęcał mnie do rysowania architektonicznych detali, siadałem na chłodnej, omszałej cembrowinie i mimo lęku przed zawrotem głowy zaglądałem ciekawie w pomroczną głębinę, pachnącą zgoła nie piekłem, jeno jakąś starą wilgocią z dodatkiem tajemniczej i trudnej do zidentyfikowania woni, przez co wysoce niepokojąca. Może właśnie ów specyficzny zapach sprawił, że straż miejska, żebracy, a także ci, którym wino odebrało powściągliwość w mowie, nazywali ją "Starą Cipą". Powiadano też o szalonym mnichu, który w czasach łowów na katarów dowodząc, i że nie jest heretykiem, zdał się na Sąd Boży i niczym Empedokl do Etny, wskoczył w ten bezdenny otwór i wyfrunął po tygodniu jako biały ptak. Opodal studni czerniało okienko lochu, w którym morzono głodem dłużników recydywistów i sala tortur z

osławioną Stalową Damą i łóżem Prokustowym... Cóż jednak wymyślono dziś dla mnie? Sporo kłopotów dostarczyłem w ostatnich dniach wymiarowi sprawiedliwości w Rosettinie. Wiem, że spierano się w Trybunale, jak winno się mnie stracić, boć jako członkowi stanu szlacheckiego przysługiwał mi szafot, zasię jako kacerza należało mnie było spalić. W ogóle iustitia miała sporo możliwości – szarpanie cęgami za bluźnierstwo, kamienowanie za deprawację młodzieży, ogień za czary... Sąd złożył decyzję na ręce arcyksięcia. Na pępek Wenery! Z mojego powodu ten słaby człowiek o wyglądzie minoga musiał wreszcie podjąć jakąś decyzję. Jaką? Na jego miejscu kazałbym siebie nawlec na pal, choć był to obyczaj azjatycki i dla wielu humanistów uchodzący za nieobyczajny. Ale jakąż inną karę powinien był wybrać...

Przecież moja zbrodnia główna i jedyna, nie mogła być nigdy ujawniona. Że pisałem księgi z inspiracji starożytnych mężów, że dokonywałem zakazanych doświadczeń, bawiłem się w alchemika i chirurga, filozofa czy trefnisia, to jeszcze pewnie można by mi było wybaczyć. Pod naporem dewotów skazać na biczowanie, zażądać publicznego pokajania, wreszcie wygnać... Ale przecie nie to stanowiło istotę mej zbrodni.

Czy boję się śmierci? A czyż istnieje stworzenie, które nie bałoby się nieznanego? Widzieliście, jak umiera wierny pies, gdy oczy jego zachodzą bielmem, albo gdy kona ptak śmiertelnie ranion, trzepocący się w naszych bezradnych rękach. Tak, boję się. I odczuwam wielki żal. Albowiem tyle jeszcze mógłbym dokonać. Nade wszystko zaś cierpi moja ciekawość, że nie dowiem się, co będzie za rok, za dzień, za chwilę. Chociaż czy ktoś, kto posmakował choćby kropli życia, nie wie o nim wszystkiego? Jak to pisał mój ojciec:

Jaka jesteś Śmierci?

–Wielką ciszą, czarnym, matowym mrokiem, chłodnym, miękkim bezmiarem, błogosławioną niepamięcią...

Wiać czemu się ciebie boją?

Rozumiem, młodzi – przed nimi przyszłość, radość, szczęście, a przynajmniej nadzieja...

Ale starcy? Czego się boją ci, którzy już nawet nadziei mieć nie mogą?

Boją się Twej ciszy, chociaż od dawna są głusi, boją się Twego mroku, chociaż od dawna są ślepi, boją się Twego bezkresu, choć od dawna stracili pojęcie wymiaru, boją się niepamięci, choć pamięci nie mają od dawna.

A przecież... trzymają się, kurczowo, rozpaczliwie, wykrzywionymi palcami, bezzębnymi szczękami żalonych strzępów egzystencji.

Są jak śmierzzące liszaje na pięknej twarzy świata.

Zabierz ich, Śmierci! Zabij!

Daj to, co jedynie dać im możesz:

ciszę, mrok, nicość i zapomnienie skoro młodości wrócić im nie jesteś w stanie.

Błogosławiona Śmierci.

Część I

1. Dziecko szczęścia

Ojciec mój, Luigi Derossi, był pijakiem i poetą. W onych czasach szło to często w parze. Tyle że w ani jednej, ani w drugiej dziedzinie nie odniósł znaczących sukcesów. Zresztą nie dane mi go było poznać, albowiem zmarł jeszcze przed moim urodzeniem podczas historycznego oblężenia San Angelo, tak pysznie opisanego przez Piera dell'Alexandria w De bello Angelico. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że staruszek mój poległ w boju, od sztychu rapierem lubo ugodzony kulą z muszkietu. Nic z tych rzeczy. Nazajutrz po wzięciu miasta, pijany nie tylko sukcesem, utopił się był w przepelnionej do wszelkich granic latrynie, co ojciec Filippo, wykonawca ostatniej woli Luigiego uczcił krótkim napisem wyrytym na kamieniu nagrobnym, ponoć zaczerpniętym z pseudo Plutarcha: "A życie też miał gówniane". Na wszelki wypadek uczony jezuita kazał sporządzić owo epitafium po grecku, boć nie był to język specjalnie rozpowszechniony w Rosettinie. Stąd nie powinien dziwić błąd ortograficzny w słowie "gówniane".

Wróćmy jednak do szturmów San Angelo. Śmierć mego ojca nastąpiła niejako na jego własne życzenie. Kiedy armaty Carla del Francesca dokonały wyłomu w południowym, nadwątlonym przez ząb czasu murze miasta, a obrońcy z wyjątkiem garstki zaciężnych Montanijczyków broniących Palazzo Ducale podali tyły, kto żywy z taborów skoczył do miasta gwałcić i rabować, co zajęło im całe popołudnie, noc i zaranek. Ojca nie było natenczas pomiędzy zdobywcami. Gwałcić nie lubił, a rabować nie umiał. Zresztą wyznawał osobliwie kunktatorską zasadę, że i jedno, i drugie samo do niego przyjdzie.

Jako zawołany cyrulik i medyk amator miewał swój tłusty czas przez parę dni po zwycięstwie. Kiedy do taboru wracali obładowani wszelkimi dobrami tryumfatorzy, aby dość szybko wymienić swe zdobycze na usługi mego ojca – golenie, rwanie zębów, usuwanie resztek kuł czy kataplazmy na świeżo złapaną francie. Nie dziw, że po wyprawie na Saltonę, która ufna w ochronę nieprzebytych błot wypowiedziała posłuszeństwo Rosettinie, Luigi mógł nabyć przestronny, górujący wysokością dom przy ulicy Stromej. Tym razem obiecywał sobie zakupić wiejską posiadłość, co pozwoliłoby mu wejść do grona nobile. Miał zresztą upatrzoną włość w Montana

Rossa, gdzie właśnie natrafiono na antyczne ruiny. Ziemia w tamtej okolicy od dawien dawna, krom winorośli i oliwek, rodziła chętnie starożytne medale, krwawniki, gemmy i kamee, nierzadko inkrustowane drogimi kamieniami. Podle winnic szedł pradawny akwedukt, a ryjąc wzdłuż niego, chłopci natrafili na grobowiec pełen skarbów i baśniowych mozaik. Grobowiec został rozszabrowany, tak że nie pozostał po nim kamień na kamieniu, zachowało się jednakowoż tajemnicze źródło, w którym, jak twierdzili miejscowi górale, z pewnością zbyt ograniczeni, by zmyślać, nocami zwykła się pławić ostatnia nimfa. Sprawę po latach miał definitywnie wyjaśnić padre Filippo, ale o tym później, albowiem nie skończyłem o sprawach związanych ze strategią ojca w materii gwałcenia.

Jak zwykle po szturmie, w obozie pojawiała się mnóstwo branek, przeważnie panien i młodych wdówek. W początkowym okresie stanowiły one mroczny przedmiot pożądania, powód rozlicznych pojedynków i główną wygraną w grach towarzyskich. Rychło jednak dziewczki powszedniały, a w powrotnej drodze z każdym dniem większym stawały się ciężarem. Tylko niewielu rycerzom starczało odwagi, aby przywieźć je do domu jako prezent żonie. Luigi chętnie uczestniczył w humanitarnej akcji wymiany branek na inne walory. Zawiedzione odsyłał do klasztorów, a niedogwałcone litościwie zaspokajał. Albowiem był człowiekiem dobrym, tylko trochę nieżyciowym, czego najlepszym dowodem była wspomniana kloaczna śmierć. Co do onych ostatnich chwil świadkowie nie są zgodni, jedni twierdzą, że na krótko przed utonięciem ojciec mój wzywał na pomoc papieża, inni twierdzą, że chodziło mu jedynie o papier.

Jak już powiedziałem, byłem pogrobowcem. Urodziłem się jedenaście miesięcy po zdobyciu San Angelo. Matka, jeszcze na łożu śmierci, upierała się, że ciąża była przenoszona. Złośliwi zaś zwykli zwracać uwagę na moje podobieństwo do padre Filippo, wykonawcy testamentu i pocieszyciela wdowy w żałobie. Podobnie jak świątobliwy jezuita posiadałem sześć palców u nóg i myszkę poniżej lewej łopatki. Długie lata uważałem jednak, że wszelkie podobieństwo między nami jest w istocie zupełnie przypadkowe.

Zresztą czcigodny zakonnik okazał się być mym prawdziwym dobrodziejem, jako że moja nieszczęsna matka zmarła przy porodzie. Można tedy rzec, iż zanim zdołałem wydać pierwszy krzyk, byłem już kompletnym sierotą, ergo wrzask mój był w pełni uzasadniony.

Padre Filippo Bracconi, będący consigliere Rady Siedmiu i w związku z tym prowadzący zgoła świecki żywot, posiadał był bowiem dyspensę biskupa zezwalającą na mieszkanie poza murami konwentu, miał dość konkretne plany, jeśli idzie o kamienicę przy ulicy Stromej. (Z kuchennym wyjściem na Mauretański Zaulek.) Zamierzał urządzić tamże kolegium dla młodzianków ze sfer patrycjuszowskich. Na przeszkodzie stanął mu jednak główny i jedyny beneficjent ostatniej woli Luigiego, jego brat Benedetto Derossi.

Od kiedy go pamiętam, stryj Benni był niedużym, pulchnym osobnikiem płci nieokreślonej. W dzieciństwie porwali go piraci berberyjscy i po krótkim, acz, jak stryj twierdzi, bardzo nieprzyjemnym zabiegu, sprzedali go jako rzezańca do krain południowych. Co prawda, medyk Żyd, nie mogąc zdecydować się, czy ostatecznym efektem operacji ma być eunuch czy koszerny Izraelita, spaprał robotę i wyszło ni to, ni sio. Szczęściem w nieszczęściu galerę z niewolnikami napotkał chrześcijański statek patrolowy "Jej Wysokość Amfitryta" i po krótkim starciu przejął ładunek. Dowódca "Amfitryty", kapitan Massimo, wielki miłośnik opery i baletu, ubzdurał sobie, że stryj Benni jest rewelacyjnym materiałem na śpiewaka, toteż na własny koszt wysłał go do szkoły kastratów w Campo Gaetani, skąd jednak szybko wydalono młodego adepta ze względu na brak słuchu, a także niechęć do panujących tam praktyk seksualnych. Stryj Benni postanowił, że odtąd będzie śpiewać wyłącznie przy goleniu. Ale że sam zarostu nie posiadał, musiał w celu spełnienia onego ślubu otworzyć na parterze zakład fryzjerski, skąd w ciepłe przedpołudnia na całą okolicę niosło się jego oryginalne, lekko chropawe belcanto. Podkładu dostarczało charakterystyczne stukanie drewnianych protez o bruk podwórka. To stepował kapitan Massimo, który utraciwszy obie nogi w bitwie z muzułmanami pod Acantem przez wdzięcznego Benedetta został zatrudniony w charakterze majordomusa.

Szczęk nożyczek, falsetowy śpiew O santa pecunia i drewniane przytupywanie to najwcześniejsze dźwięki, jakie pamiętam. Podobnie jak zapach zuppa di pomidori i tortellini a la casa na zawsze kojarzyć mi się będzie z beztroskim dzieciństwem spędzonym w wielkim, na poły pustawym domu.

Szytych byłby niepełny, gdybym zapomniał o ciotce Gioyanninie, przybyłej asystować przy położeniu, na którą spadł główny ciężar troski o noworodka sieroty. Pochodząca z okolic Lago di Capra stara panna cieszyła się opinią zgryźliwej, złośliwej megiiery, przed którą drżeli wszyscy mieszkańcy Rosettiny. Język miała ostrzejszy niż brzytwę Benedetta, a słuch bardziej wyczulony niż nietoperz – potrafiła usłyszeć, jak pięć kamienic dalej piętnastoletnia córka złotnika gzi się w piwnicy z młodym gonfalonierem Riccardo, wołając nie wiedzieć czemu po niemiecku w momencie szczytowego upojenia: "Ja, ja... gut! Schneller... Achtung. Halt!" Co gorsza, ciotka potrafiła to upublicznić pomiędzy kumoszkami podczas nieszporów.

Gioyanniny bał się i ojciec Filippo, i stryj Benni, i służba, i przekupnie. Schodził jej z drogi miejski hycel, w dni świąteczne dorabiający jako organista. Nawet municypalny herold, który dwakroć dziennie wpadał na Mauretański Zaulek celem wykrzyczenia wiadomości porannych i wieczornych, na widok mojej ciotki tracił rezon, jąkał się, mylił prognozę pogody z anonsami reklamowymi, a raz nawet oddał pod siebie mocz.

Mnie również trzymała nader krótko, nie puszczając dalej niż na rzut pantoflem.

–Cioteczko, cioteczko, mogę wyjść przyjrzeć się kuglarzom, co sztuki pokazują?

–Idź, idź, Alfredo, jeśli są to Cyganie, to cię ukradną, jeśli Żydzi, to na macę przerobią!

Ze swą skłonnością do uproszczeń i bezpośredniości trudno było Giovanninie gdziekolwiek zagrać miejsca na dłużej. Mimo sówitej wyprawy już po tygodniu wydano ją z nowicjatu u zytariuszek, tłumacząc ową decyzję brakiem miejsc i nadmiarem chętnych do klasztoru. Nieliczni konkurenci do jej ręki zwykle po pierwszym spotkaniu spieszenie ruszali na wojnę, wybierali zawód pustelnika lub posadę w szkolnictwie. Byłem jedyną chyba istotą, która nie czuła niechęci do Giovanniny. Dlaczego? Przecież nieraz zdarzało mi się oberwać mokrą ścierką. Ano może dlatego, że dziecinną intuicją wyczuwałem, iż ta okropna, chuda, jędzowata baba bezgranicznie mnie kocha.

Inna sprawa, że chociaż ciotka gotowa była przychylić mi nieba, nie była w stanie mnie nakarmić. Toteż natychmiast wynajęła mamkę, wysoko mleczną Holenderkę z sąsiedztwa – Hendrijcke van Tarn. Miała ona pokarm okrągły rok, a piersi wielkie, jak, nie przymierzając, kopuły na wieżach kościoła Santa Maria del Frari. Nadzwyczajna obfitość pokarmu szła u niej w parze z jakością. Mleko musiało zawierać jakieś specyficzne składniki powodujące, że spożywającym je dzieciom szybciej rosły zęby, nie dokuczały biegunki, a mówić i chodzić zaczynały na długo przed upływem roku.

Renoma Hendrijcke dotarła nawet do monumentalnego, wzniesionego z wulkanicznego tufu i glazurowanej cegły pałacu hrabiów Malficano, skąd wrychle poczęto posyłać po nią celem dokarmiania najmłodszego potomka. Oczywiście ukradkiem. Protestanckie wyznanie mamki stało na przeszkodzie, aby zatrudnić ją na stałe na dworze arcykatolickiego wielmoży. Wiadomo co można wyssać z mlekiem? Jednemu z dzieci Barzzuolich, karmionemu przez Etiopkę, skóra ściemniała na heban. Toteż w porze karmienia pani van Tarn przybywała do palazzo konspiracyjnie, małymi drzwiczkami od strony rzeki. Często na te eskapady zabierała ze sobą i mnie. Choć miałem już ze dwa lata, bez przerwy domagałem się cycka i płakałem, gdy mi go odmawiała. Bywało, że siedząc w kieszeni jej przepaścistego fartucha, ssałem ją jeszcze wówczas, kiedy krętymi schodami dążyła ku pałacowym komnatom. Raz w trakcie tego wyczerpującego bądź co bądź zajęcia przysnąłem. Jakież było moje zdumienie, kiedy po obudzeniu dostrzegłem, że lewy, ulubiony sutek mamki jest już zajęty przez mojego równolatka strojnego w atłasy i brokaty.

–Hola, hola – zawołałem. – Kolego, pan tu nie ssał!

Odpowiedzią był jedynie groźny błysk czarnych oczu.

Zaszokowany zająłem się prawą piersią i tak pożywialiśmy się obaj, łypiąc na siebie i bacząc, kto będzie szybszy. Aż mój rywal zachłysnął się, beknął, mleko ulało mu się. I puścił sutek. Uznałem się za zwycięzcę. Nonszalancko odchyliłem się od karmicielki

i spytałem:

–A ty kto, dupku?

–Lodovico. Tylko musisz mówić do mnie wasza hrabiowska mość, chamie!

Tak zawarłem znajomość z hrabią Lodovicem Malficano, mym późniejszym protektorem, dobroczyńcą, a także sprawcą ostatecznej zguby. Kto wie, może w swej podświadomości nigdy nie pogodził się z przegraną w mlecznym wyścigu.

Raz jednak zdarzyła mi się dużo gorsza przygoda, owóz wracając z pałacu, Hendrijcke zapuściła się między kramy, postrzegłszy nową kolekcję koronek z jej rodzimego Brabantu. Zaprzątnęło ją to do tego stopnia, że nie zauważyła nawet, jak zniknąłem. Gdy jednak to postrzegła, ta dobra kobieta nieomal oszalała z trwogi, trzykroć obiegła bazar, zawołała strażę miejskie, wreszcie omdlała. Nie pamiętam dokładnie, co się wtedy ze mną działo. To, co sobie przypominam, zdaje się sekwencją jakiegoś snu. Może zresztą był to tylko zły sen. Loch, jakieś płonące pochodnie, dziwne odurzające zapachy, kadź wypełniona gęstą zieloną cieczą, zakapturzone postacie i górująca nad nimi kobieta, która, rozwinąwszy mnie z pieluch, rzekła:

–On ci jest, ma sześć palców i znamię! Poszedł szmer.

–On ci jest, on ci jest...

Olbrzymka uniosła nóż. Darłem się jak opętany. Zakapturzeni wyciągnęli ponad kadzią gołe ręce. Ona nacinała je, a krople krwi kapwały do środka. Po czym uniósłszy mnie w górę za nogę, zanurzyła trzykroć w owej parzącej brei. Krzyczałem, plułem, na koniec straciłem przytomność.

Jeden ze strażników miejskich odnalazł mnie, kiedy wyraczkowałem z mrocznego kanału, brudny, przerażony, ale żywy...

Nie wiem, czy sprawił to ów rytuał, mleko Holenderki rekordzistki czy osobliwy klimat Rosettiny późnego Renesansu, ale rosłem nader szybko jak na sierotę. Nie zmogła mnie zaraza, która na przełomie stuleci spustoszyła prowincję. Również wielki pożar, który rok później nawiedził miasto, szczęśliwym zrządzeniem losu oszczędził kamienicę przy Mauretańskim Zaułku. Pamiętam naszą paniczną ucieczkę, krzyk ciotki Giovanniny, torujący nam drogę lepiej od berdysza wśród oszalałego tłumu.

Potem z rączkami wczepionymi w sutannę don Bracconiego patrzyłem na miasto spowite w złotoczarnych kłębach dymu i ognia.

–Patrzysz, Freddino?

–Pa... patrzę, ojciec-ojciec! – Przeżywałem naówczas okres wzmożonego jękania się, chociaż zwrot “ojciec-ojciec” wobec człowieka, który zapewne był dla mnie ojcem podwójnym, można by uznać za w pełni uzasadniony.

–Tedy patrz uważnie, tak będzie wyglądać piekło!

Patrzyłem, zapamiętałem. I kiedy ćwierć wieku później przyszło mi malować freski w kaplicy Mądrości Bożej, oddałem tę wizję najlepiej, jako mogłem. Bezgraniczną desperacją potępionych, niedowierzenie, że nie ma odwrotu ni ucieczki, zazdrość wobec tych, co unieśli głowy, rozpacz z powodu własnej nieprzezorności. Jeszcze później, gdy dzieło zostało ukończone, lubiłem wmieszać się w tłum wiernych odwiedzających kaplicę, słuchać ich wynurzeń, czynionych ściszym głosem, obserwować ich gesty zabobonne, pełne szczerzej skruchy. Dla wzmożenia piekielnego efektu specjalnie opłacony przeze mnie dozorca palił co rano przed otwarciem odrobinę siarki. Stymulowało to wyobraźnię i nie dziw, że wśród wstrząśniętych grzeszników co krok mogłem usłyszeć i płacz, i zgrzytanie zębów. Jak powiedziałem, rosłem szybko jak polna dziczka, czerpiąc zewsząd wiedzę bez ładu i składu. Pozbawiony kontaktu z innymi dziećmi (“Nie będziesz się zadawał z hołotą, bo dostaniesz świerzbu” – twierdziła ciotka) w wieku lat czterech nauczyłem się czytać. Gdy miałem lat dziesięć, przeczytałem całą bibliotekę ojca, na one czasy obszerną, bo liczącą dwieście czterdzieści trzy tomy.

Nie był to zbiór w pełni usystematyzowany, dzieło Witruwiusza o architekturze sąsiadowało z poradnikiem O wszechstronnych korzyściach z pijawek, a traktat św. Augustyna O cnocie jakiś cymbał introligator obciągnął jednym półskórką wespół ze wszetecznymi Żywotami kurtyzan Aretina. (Dziś myślę, że zastosował klucz alfabetyczny.) Miało to i swoją dobrą stronę. Kiedym, pacholę żywe i niesforne, ciężko nabroił, na przykład wyjadł ciocine konfitury, ojciec Filippo pytał: “Co chcesz przeczytać za pokutę?”, nieodmiennie wybierałem dzieło O cnocie.

–Da Bóg, na księdza wyrośnie – wychwalał mnie jezuita.

Osobliwością kolekcji była pochodząca z wieków ciemnych Antologia literatury powszechnej, in folio, przepisywana przez mnichów analfabetów, nieświadomych zgoła, co przepisują. Toteż roilo się tam od rzeczy kuriozalnych. Przytoczę za spisem treści: literaturę grecką reprezentowała Iliada i Obsesja niejakiego Hemara i książka kucharska Żywoty strawnych mężów, rzymską – Szukać sił w ości Owi D. Jusza, frankijską – Pleśń po Rolandzie, brytyjską – poradnik grzybiarstwa Rydz w erze okrągłego stołu, zaś słowiańską – O Kraku, smaku i królewnie w wannie.

Uzupełnieniem mej edukacji były rozmowy o szarej godzinie (ciotka z wrodzonego skąpstwa i lęku przed pożarem zakazywała używać w domu wszelkiego oświetlenia) z kapitanem Massimo, gawędziarzem zawziętym i osobliwym poliglotą. Jeśli opisując swe peregrynacje, dochodził na przykład do podróży w rejon Szczęśliwej Arabii,

zwykł dalej ciągnąć narrację po arabsku. Dzięki temu, zanim się spostrzegł, i ja przyswoiłem sobie owe języki. Jeszcze wąż mi się nie sypnął – a władałem (oczywiście w zakresie terminologii marynistycznoerotycznej) i arabskim, i greckim, i francuskim, i katalońskim, potrafiłem też kląć po berberyjsku i liczyć po żydowsku. Obserwując ludzi morza, można odnieść wrażenie, iż są to osobnicy prości jak lina okrętowa. Atoli beznogi kapitan o duszy skomplikowanej jak astrolabium był prawdziwym artystą i jeśli miałbym szukać u niego jakichkolwiek przywar, to znajduję jedną – nie znosił wody.

Nie można natomiast było odmówić Massimo niezwyklej sugestywności w narracji. Kiedy opisywał żeglugę po wzburzonych wodach Zatoki Biskajskiej w czasie sztormu, czynił to tak plastycznie, że słuchacze dostawali morskiej choroby. Pewnego razu bawił nas opowiadaniem o podróży wokół Afryki, mówił o skwarze, o gorączce i cierpieniach załogi umierającej na szkorbut.

–Znikąd ratunku, słońce w zenicie, ni skrawka lądu, wokół rekiny, a my z zaropiałymi dziąsłami... – zawiesił głos. A w napiętej ciszy rozległ się brzęk. To wielebnemu Filippo wypadł jego złoty ząb.

Łatwo zrozumieć, dlaczego w wieku jedenastu lat chciałem być żeglarzem. Odkrywać nowe lądy, wypełniać białe plamy na mapach, ścigać morskie potwory i poznawać smaki czekoladowych kobiet. Choć wówczas, rzecz jasna, nie miałem jeszcze pojęcia, na czym owo smakowanie miałoby polegać. Inna sprawa, że w onych szczenięcych latach trzy razy dziennie potrafiłem zmieniać postanowienie, kim pragnę zostać – rano byłem pewny, że chcę być księdzem, jak don Filippo, w południe medykiem, wedle życzenia ciotki, która marzyła, by ktoś właściwie zajmował się jej zdrowiem na starość, a pod wieczór żeglarzem, jak Massimo.

Tymczasem los zapukał do naszego domu i do mej wyobraźni od zgoła nieoczekiwanej strony. W roli Ananke – mej bogini przeznaczenia – miał wystąpić Markus van Tarn, kuzyn mej holenderskiej mamki.

2. Szeroka paleta możliwości

Na czas karnawału wszyscy w Rosettinie dostawali fioła. Stateczni przez okrągły rok obywatele zachowywali się jak niedorostki, a całe miasto zdawało się zapominać, że wiek szaleństw przeminął i nastąpiła zdyscyplinowana epoka kontrreformacji. Jak psy spuszczone z łańcucha lub niedźwiedzie, które dorwały się do miodu, tydzień cały mieszkańcy oddawali się prawdziwemu obłędowi, by potem wrócić do powściągliwej codzienności. Mimo zimowych chłódów miasto ogarniała gorączka, frontony pałaców wzdłuż głównego Corso i placu nad Laguna d'Esmeralda spływały drogocennymi tkaninami, galery wyściełano brokatem, zewsząd dobiegał jazgot muzyki, a ulice wypełniały tłumy przebierańców. Mimo że wedle świętego Merillego, "Ludzie bogaci bawią się, kiedy chcą, a biedni, kiedy muszą", podczas festa

carneuale w nadzwyczajnie demokratyczny sposób plebs mieszał się z patrycjatem, hersztowie zbójceckich band w przebraniach orientalnych książąt uwodzili przedstawicielki starej arystokracji, niejednokroć przebrane za mniszki. Obcując z maską Colombiny, Pulcinelli, Arlekina czy Pantalona, nigdy nie wiedziałeś, czy stykasz się osobiście z ambasadorem któregoś z dworów, jednym z jurnych jeszcze prałatów czy z wyzwolonym czeladnikiem tekstylnym.

A gdy nadchodziła kulminacja karnawału, szaleństwo sięgało pochmurnego nieba. Na murach rozpalano pochodnie; barki, gondole i mosty gorzały setką lampionów, ludzie pili, tańczyli i śpiewali, jakby świat miał potrwać co najwyżej trzy tygodnie.

Póki sam nie zacząłem decydować o sobie, ciotka nie pozwalała mi brać udziału w tym paskudnym święcie rozpusty. Zabierała mnie w południe do kościoła i jakby przez przypadek po drodze mogłem oglądać występy kuglarzy i sztukmistrzów. Czasem ze schodów bazyliki visavis Loggia del Popolo dozwoliła obejrzeć przygotowania do Wielkiej Parady. Wszelako zaraz potem bezceremonialnie, nie zważając na me prośby, ciągnęła mnie do domu. Podobnie było z egzekucjami – ilekroć na Dziedzińcu Płaczu łamano kogoś kołem lub gotowano w oleju, Giovannina zatrzymywała mnie w domu.

Na tym tle dochodziło nawet do polemik z ojcem Filippo, który uważał, że oglądanie kaźni zbrodniarzy doskonale służy kształceniu młodych charakterów. Ciocia nie podzielała opinii jezuity. Póki mogła, chroniła mnie przed światem przemocy i występku, wyostrzając tym sposobem moją imaginację. W bibliotece ojca znalazłem bowiem obficie iluminowany kodeks De iustitia et concordia i wiele czasu strawił, kontemplując ryciny przedstawiające wbijanych na pal, rozrywanych końmi czy orientálną metodą po prostu kamienowanych. Po jakimś czasie obrazy zaczynały drgać przed moimi oczami i ożywać tak, że nieomal czułem zapach krwi, potu, smażonego mięsa, a spod pergaminowych kart docierał do mnie zwierzęcy skowyt cierpiących. Jak jednak miałem sobie wyobrazić karnawał w całym jego rozpasaniu i szaleństwie?

Jest u Platona dialog o niewolniku przykutym do ściany w jaskini, który jedynie na podstawie cieni istot przechodzących przed wejściem może domyślać się kształtów świata. W moim kontrolowanym poznawaniu rzeczywistości doświadczyłem podobnych wrażeń. Przyjazny mikrokosmos znajdował się w murach domu, obcy wszechświat zewnętrzny poza nimi. Jednakoż którejs zimy udało mi się odkryć, iż jeśli wespnę się na poddasze do małej wykuszowatej wieżyczki, którą budowniczy naszego domu dostawił najwyraźniej w chwili przyływu natchnienia, i jeśli odpowiednio się wychylę, to będę mógł ujrzeć prześwit pomiędzy Palazzo Benaventuri a Torra Leone i dzięki temu kontrolować siedmiolokciowy mniej więcej odcinek Piazza d'Esmeralda.

Czego nie widziały oczy, dopisywała wyobraźnia. W prześwicie migają banderie

bractw i znaki cechowe, sunęli konni laurfrowie w barwach najznakomitszych rodów, a potem cała hałastrą wozów, wreszcie przebierańcy. Szły fantastycznym korowodem gromady masek, jakby z koszmarnych snów mistrza Hieronymusa Boscha wyjęte – wszelkiej maści gryfy i centaury, niedźwiedzie hiperborejskie, psy dwunożne z okrutnie rozdziawionymi pyskami, elefanty i żyrafy, strzygi rozmaite, konie skrzydlate. Niejedna z bestii nosiła maskę, na której utrwalono lico wielkich tego świata, cesarza, papieża czy choćby podesty. W okamgnieniu przetoczył się smok ogniem dyszący w otoczeniu roju dziewic przeznaczonych na pożarcie, w szatach przejrzystych... Tyle że, jak opowiadał mi Massimo, owe dziewice odgrywali klerycy z seminarium duchownego i to niestety było widać. Im bardziej się zmierzchało, tym więcej pojawiało się świateł, a muzyka rozbrzmiewała donośniej.

Napierałem na okienko i naraz poczułem, że futryna się rusza. Czy oprawiono ją niechlujnie, czy może zaprawa skruszała ze starości? Wyjąłem delikatnie okno wraz z futryną i wysunąłem głowę na zewnątrz. Pod wykuszem rozpościerała się przepaść, ale opodal okienka biegł solidny gzymś. Gdybyż na nim stanąć...

Po owym gzymś wylazłem na dach, z niego spuściłem się na taras. Potem po murze i pochyłym drzewie dotarłem na tył oficyn, dalej znalazłem nie zamkniętą furtkę i już droga na ulicę stała otworem. Bałem się ciotki i Pana Boga, choć Stwórcy nieco mniej, bo ojciec Filippo jako spowiednik przyzwyczał mnie do taryfy zniżkowej. Zresztą zamierzałem wrócić w identyczny sposób.

Nogi same poniosły mnie w stronę Corso. I już po chwili byłem w tłumie, płynąłem z nim, żeglowałem niczym niesiony potężną falą przyboju. Fala ta wzbierała w miejscach, w których łączyły się ze sobą dukty wypływające coraz to nowe czeredy ludzi, rozlewała po schodach świątyń, znów cofała... W miejscu, w którym ulica Stroma łączy się z Promenadą, dogasał jeszcze zaciekły bój na confetti, ciskane garściami lub w zmyślnie sklejonych skorupkach jajek. Naraz eksplodowało mi na twarzy takie jajo i grad kłujących drobin zasypał mi oczy i usta. Wpółoślepiiony, krztusząc się, omal nie wpadłem pod koła jakiegoś pysznego powozu o dyskretnie spuszczonej firankach, którego woźnica w kostiumie brodatego Boreasza z furią okładał biczem konie, pragnąc wyrwać się z tłumu. Nie wiem, czym podpadł ciźbie, bo ta napierała na powóz i kołysała nim jak łupiną, żądając wyjścia niejakej Beatrycze i jej gościa. Parę lat później miałem poznać osobiście utrzymankę cesarskiego ambasadora w okolicznościach... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń. Pomiedzy nogami gapiów wygramoliłem się na otwartą przestrzeń. Wokół kościoła świętej Eulalii toczono potyczki na macoletti. Rzekłbyś, tysiąc wściekłych robaczek świętojańskich przystąpiło do bezpardonowej walki. Uczestnicy rozgrywki na różne sposoby chronili swe długie, zapalone świece i usiłowali zgasić płomyki swych sąsiadów. Śmiechom, żartom i przytykom nie było końca. Nie posiadałem własnej świecy, toteż szybko przepchnąłem się wśród czeredy przekupniów ku nadbrzeżu. Na Piazza d'Esmeralda ludzie tańczyli przy ogniskach, na których palono zimowe resztki i zbyteczne sprzęty. Ściemniło się jeszcze bardziej, ruszyłem w stronę

Castello, zwabiony nawoływaniem od strony teatru marionetek. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, dopóki nie natknąłem się na Księżniczkę w różowej pelerynie obszytej króliczym futerkiem. Na mój widok uchyliła maski. Pomalowaną na biało twarz przekreślała karminowa rana ust. Patrzyłem jak osłupiały. Dostrzegła to.

–Potrzebujesz czegoś, malutki? – zapytała, rozchylając płaszcz i ukazując mi parę ogromnych, azjatycką manierą tatuowanych piersi. Rzuciłem się do ucieczki, ścigany jej wzgardliwym rechotem. Wciąż zaszokowany, zderzyłem się z trójką podpitych wyrostków. Zakłęli grubiańsko. Przeraziłem się jeszcze bardziej.

–Przeproś! – ryknął jeden z nich, odziany w chlamidę starożytnego Greka. Przeprosiłem maksymalnie kunsztownymi formułami. Ale ich to nie zadowoliło.

–Widzi mi się – zakrzyknął drugi, z twarzą na Murzyna uczernioną – że ów dzieciuch nigdy jeszcze męskiego ożoga w sempiternie nie poczuł! – Towarzyszył temu znaczący, wulgarny gest trzeciego osobnika, ucharakteryzowanego na germańskiego woja z rogami na głowie.

Nie zamierzałem sprawdzać, czy jest to groźba, czy jeno żart płochy. Skoczyłem w boczną uliczkę i popędziłem w górę. Obwiesie, pohukując jak drapieżne ptaki, puścili się za mną, ale kostiumy i wypite trunki sprawiły, że szybko ostali w tyle. Ja zaś gnałem jak spłoszony zając i zatrzymałem się dopiero w jakimś odległym zaułku. Nie docierał tu hałas festy ni tupot pościgu. Zmrok już zapadł, a światło księżycy nie docierało na dno miejskiego jaru. Rozejrzałem się, nikt mnie nie gonił. Odetchnąłem z ulgą. I dopiero teraz pojąłem, że zgubiłem drogę.

Była to zupełnie nie znana mi część Rosettiny. Uliczki kręte, ciasne tworzyły prawdziwy labirynt. Teren był tu pofałdowany, pełen schodków, ślepych podwórek i ciasnych pasaży. Usiłowałem iść, kierując się w stronę łuny światła nad portem, ale drogę co rusz przegradzał ślepy mur.

Odczuwałem głód i chciało mi się płakać, gdy naraz dostrzegłem przed sobą migotliwe światelko. Przyspieszyłem kroku. Wnet znalazłem się w jakimś ogrodzie. Wołałem jednak nie wołać, póki nie zobaczę twarzy właściciela kaganka. Wtem światło zniknęło. Zrobiłem jeszcze parę kroków i natrafiłem na uchylone drzwi. Wiało zza nich chłodem i stęchlizną. Wszedłem jednak do wnętrza. I dopiero po chwili zorientowałem się, że jestem w grobowcu rodziny Bonaventurich. Trumny stały ciasno na półkach, niektóre już spękane ze starości. Niżej, w krypcie płonęły trzy ogniki i rozbrzmiewały głosy.

–Macie? – spytał ten, którego śladem przyszedłem. Głos miał młody, dźwięczny, z lekko gardłowym północnym akcentem.

–A juści – odparł bas mrukliwy i grubiański.

–Młoda, z prowincji – dorzucił trzeci starszy. – Tłum zadusił ją wedle Bramy Albańskiej.

–Pokażcie.

Mruk zapalił pochodnie, a staruch szarpnięciem zdarł czarną oponę z katafalku stojącego pośrodku krypty. Leżało na niej nagie ciało młodzianki, ledwie zakwitła dziewczyny. W sekundzie utrwaliły mi się jej złotorude włosy, piersi nie dość jeszcze rozwinięte i oczy szkliste. Nie mogłem pohamować okrzyku.

–Kto tam?! – ryknął grubianin i nim wykonałem ruch, ucałował mnie za gardło.

–Szpieg! – strwożył się starzec i błysnął nożem. Nogi ugięły się przede mną.

–Zaniechajcie go – krzyknął mój mimowolny przewodnik. – Przecie to dziecko jeszcze.

–Inkwizycja lubi posługiwać się także i dziećmi.

–Ale ja go znam. – Mój obrońca podszedł bliżej i potarł mi włosy. – Jestem pewien, że złożysz, malcze, przysięgę, iż nikomu nie powiesz, coś tu widział? – W tym momencie gotów byłem się zobowiązać do pieszej pielgrzymki dookoła świata. – Jestem malarzem – kontynuował młodzian, a ciało ludzkie ciągle stanowi dla nas, ludzi, wór tajemnic pełen. Toteż niekiedy, wbrew zaleceniom naszych duszpasterzy, muszę do onego wora zajrzeć.

–Tak, panie! – potwierdziłem skwapliwie, rozpoznając mówiącego, był nim Markus van Tarn, kuzyn mej mamki.

–Wracaj więc do domu, bo pewnie już się o ciebie niepokoją!

Tak więc tej nocy nie dane było mi uczestniczyć w sekcji zwłok. Zbir imieniem Benvenuto odprowadził mnie do domu. Do Mauretańskiego Zaułka było znacznie bliżej, niż przypuszczałem. Mimo późnej pory w całym domu gorzały światła, a na ulicy zebrali się gapi. Wśród ludzi w sieni poznałem pana Gaspariego, medyka, był naturalnie i ojciec Filippo.

–Wiesz, co zrobiłeś, chłopcze – zakrzyknął na mój widok stryj Benni z dziwnie pobladłą twarzą. – Zabiłeś swoją ciotkę.

–Co?!

–Tak się przejęła twym zniknięciem, że krew uderzyła jej do mózgu i teraz leży bez ducha – dorzucił kapitan Massimo.

Giovannina przeżyła wylew. Straciła tylko mowę i władzę w jednej ręce. Ale żyła jeszcze pięć lat jak ptak z przetrąconym skrzydłem, rzadko zwlekając się z posłania i tylko niekiedy nocą tłukąc się w ciemnościach po pokojach. Skąd miałem wiedzieć, że tak oto nieodwołalnie kończy się moje dzieciństwo, że pęka opiekuńczy klosz, pod którym mnie chowano, i odtąd sam będę szukał mistrzów i mentorów?

Tymczasem do domu trzeba było nająć kucharkę i opiekunkę dla Giovanniny.

–Skąd mam na to brać pieniądze?! – rwał włosy z głowy mój stryj. – I tak jesteśmy zadłużeni: ta przeklęta moda na peruki zrujnuje mnie ze szczętem!

Tydzień później Hendrijcke van Tarn dogadała się z Benedetto Derossim w sprawie wynajęcia najwyższego piętra oficyny na pracownię malarską dla swego kuzyna Markusa.

Niderlandczyk, wysoki, szczupły, o włosach jasnych, jakby z fryzyjskiego piasku ukręconych, mimo młodego wieku zdołał przed przybyciem do nas kawał świata zwiedzić i wiele nauk zgłębić. Nieobcy był mu Paryż i Londyn, a także dziwne i tajemnicze krainy na północ od Karpatów. Biegły w sztuce miniatury, miał w swej kolekcji konterfekty najprzedniejszych mężów epoki. Henryk z Navarry, Sigismundus III Vasa, Maria Medycejska czy słynny pirat albioński, Francis Drake... Nasuwa się więc pytanie, czego szukał u nas – lazurowego nieba, swobodnej atmosfery Południa, rozrywek, których daremnie wypatrywać w protestanckiej Lejdzie?

–Szukam tajemnicy – wyznał mi raz, kiedym pracowicie ucierał mu farbę na grupowy portret bankierów z dzielnicy zwanej Juderią. – Szukam prawdy o Ziemi i Człowieku.

–Zali nie znajdujesz jej w Piśmie Świętym? – rzekłem z takim przekonaniem, że ojciec Filippo mógłby być ze mnie dumny. Markus zaśmiał się i przez moment z zadartą, szpiczastą bródką wyglądał jak szatan.

–Prawda to objawiana czy reglamentowana? A może zbiór bajek mający utrzymywać w karchach ciemny motłoch. Czy raczej fałszerstwo klechów na potrzeby ich interesu, który nazywa się Kościół.

–O, Panie, czyżbyś również nie wierzył w Boga? – wykrztusiłem przerażony.

–Nie wiem – odparł. – Nie wiem, czy istnieje Bóg. Być może jest gdzieś odległy i niedosiężny Kreator. Niemożliwy do poznania i w zasadzie nam obojętny. Prapoczątek, pierwszy impuls, ale z pewnością nie jest to ten mściwy żydowski bożek ulepiony z naszych własnych lęków i naszej niewiedzy.

–Cóż zatem istnieje naprawdę?

–Nasz rozum.

Nie uwierzyłem mu. Wtedy jeszcze nie.

Tejże wiosny, mając dwanaście lat, począłem uczęszczać do kolegium, w którym padre Bracconi był spowiednikiem i wykładowcą zasad wiary. Okazało się, że w wyniku mego dotychczasowego samouctwa w pewnych dziedzinach, jak historia wojen czy geografia, przewyższam mych nauczycieli, natomiast jeśli idzie o matematykę, jestem zieleńszy niż miedziane hełmy na wieżach Santa Maria del Frari.

Wraz z chorobą ciotki uwolniłem się wreszcie od krótkiego, niewidzialnego łańcucha przykuwającego mnie do Domu. Kapitan Massimo oszczędzał protez, a stryj nie opuszczał balwierni. Samopas wałęsałem się po mieście, zwiedzałem stare kościoły, penetrowałem katakumby. Zawarłem też pierwsze przyjaźnie. Moim druhem najserdeczniejszym stał się Scipio, syn zamożnego bankiera, mój równolatek o jasnej twarzy cheruba. Trudno spisać wszelkie, niekiedy okrutne figle, które wespół płataliśmy. Plucie z mostu San Gabriele na głowy zakochanym przepływających dołem gondolami należało do najłagodniejszych z nich. Uwielbialiśmy też podczas sumy podrzucać dziewczynom ropuchy pod spódnice i czekać w niedzielnej duchocie kościoła, aż ich wrzask przerwie nabożne credo lub inny magnificat.

–Chciałbyś być teraz tamtą żabką, Freddino? – chichotał Scipio, obserwując, jak oblewam się rumieńcem.

Szalonym konceptom nie było końca. Potrafiliśmy posmarować klejem tron biskupi w katedrze albo napoić rudego kota czarcim zieleń i wrzucić do sali Wielkiej Rady w Palazzo della Signoria. Jednocześnie jednak pilnie chodziliśmy do szkoły, czytaliśmy książki, a ja popołudniami przychodziłem na lekcje rysunku do Markusa.

–Rękę masz zręczną, a wszelkich technik uczysz się łatwo – stwierdził mój mistrz zaledwie po paru miesiącach nauki. – Do doskonałości brakuje ci jednego.

–Talentu? – spytałem strachliwie.

–Znajomości życia, ale i ona przyjdzie z czasem.

3. Pierwsze skutki nimfomanii

Przemiął pierwszy rok mej edukacji w collegium. Po nadzwyczajnie suchej wiośnie w połowie czerwca fala morderczych upałów spłynęła na Rosettinę niczym wrzątek z przewróconego gara. Wiele dni na nieboskłonie nie pojawiała się ani jedna miłosierna chmurka. Ziemia przybrała wygląd popiołu. Studnie i fontanny wyschły, a Laguna d'Esmeralda zamieniła się w płytki, cuchnący staw. Brzegi cofnęły się, odsłaniając nieprawdopodobne, od wieków gromadzone śmietnisko. Ohydny szlam nie dozwalał

przystąpić do wody. Ponoć w Signorii poczęto przebąkiwać nawet o pogłębieniu wyschniętego od wieków kanału wiodącego przez mierzeję San Giorgio, iżby wody morza mogły wtargnąć i odświeżyć akwen na podobieństwo medyka przemawającego zaropiałe oko. Całe życie uległo spowolnieniu, ludzie i zwierzęta snuli się w żarze niczym karaluchy w smole, szukając jedynie miejsc zacienionych. Ale i najgłębszy cień nie gwarantował chłodu. Nawet w naszym Wysokim Domu było gorąco jak w piekle, a noc nie przynosiła ukojenia. Toteż z radością przyjąłem decyzję ojca Filippo, iżby na czas kanikuly udać się do Montana Rossa, dokąd zaprosiła nas jedna z zamożnych penitentek, Ariadna Pazzi, wdowa po hurtowniku korzennym. Trzeba trafu, była to ta sama posiadłość, upatrzona ongiś przez mego ojca nieboszczyka, naturalnie zanim został nieboszczykiem. Wyjątkowa łaskawość jezuita wobec mnie wynikała zapewne z przeświadczenia, że jestem na najlepszej drodze do zostania księdzem. Nawet lekcje malarstwa nie wadziły mu z przyszłą służbą Bożą.

–A maluj sobie, maluj, chłopcze, przecież sam słynny Fra Angelico był pobożnym dominikaninem – twierdził. Być może zacny padre uznał też ofiarowanie mnie Bogu za znakomitą formę odkupienia własnych grzechów. A przy okazji dałoby się dowieść, że piękny zawód kapłański może przechodzić z ojca na syna.

Dla przybysza z dusznego miasta zakątek zwany Montana Rossa zdawał się rajem. Cieniste gaje nawet w największe upały dostarczały przyjaznego chłodu, w potokach szemrała woda, mnóstwo było przeróżnego ptactwa i kwiecia. Zaś widok z przełęczy San Vitale! Nie musiałem niczego wymyślać, tworząc dziesięć lat później kartusze arrasów przedstawiających Ogrody Pana Boga. Płótna owe zawisły potem w Większej Sali Rady i spłonęły co do jednego w dzień mego upadku.

Na wsi don Filippo zostawił mi wiele swobody, toteż brykałem po całej okolicy. Przeważnie samotnie. Dzieci signory Pazzi były zbyt małe, żeby stanowić dla mnie atrakcyjne towarzystwo. Obserwowałem zwierzęta, łapałem motyle, atoli szczególnie fascynowały mnie wspomniane ruiny rzymskie i sadzawka nimf. Panująca susza nie naruszyła podziemnych zasobów źródła bijącego z przepaścistej dziury. Krystaliczna woda dawała ochłodę, a jeśli wierzyć miejscowym bajaniom – wieczną młodość. Sporo informacji w tej materii przekazała mi kucharka Aurelia, ogromna, tłusta baba o twarzy usianej wielobarwnymi naroślami, nadającym jej obliczu wygląd szyi indora skrzyżowanej z tyłkiem pawiana.

–Były tu kiedyś piękne czasy, paniczu – opowiadała. – Wiek Srebrny, Wiek Złoty, Wiek Diamentowy... Ziemia wówczas sama rodziła, ludzie byli piękni i bogaci...

–Wiem, za czasów starożytnych Rzymian...

–Za czasów Rzymian, za czasów Etrusków i dawniej, dużo dawniej, gdy świat zaludniały jeszcze harpie i chimery, a na szczytach gór pojawiali się schodzący z

nieba mali, zieloni ludkowie.

Oczywiście nie miałem pojęcia, że Aurelia jest czarownicą i prowadzi rozległą praktykę magiczną, w zyskach z której niewątpliwie partycypowała sama donna Pazzi. Ale słuchałem jej opowieści nader chętnie. Zwłaszcza o czarach, magii i czasach przed potopem.

Mówiła mi więc o ludziach w drzewa przemienionych, a zwłaszcza w jawory, z których, szczególnie w okolicach Cremony, przewyborne skrzypce wyrabiają, mogące wydawać z siebie płacz dziecka i zmysłowy jęk niewiasty. (W moim prowadzonym naonczas Słowniczku Wyrazów Nowych zanotowałem: "Wyjaśnić, co znaczy zmysłowy?" Zbadanie tej kwestii zabrało mi lata.)

Dalej Aurelia opowiadała o lustrach zdolnych pożerać zadufańców, którzy się w nich nazbyt często przeglądają i o kryształkach znalezionych ongiś koło miejscowości Baalbek, dzięki którym gadać mogli ze sobą ludzie znajdujący się po dwóch stronach pustyni. Roztaczała przede mną miraż o szerokich możliwościach czynienia dobra i zła, zapewniania za pomocą magii powodzenia lub sprowadzania na wrogów nieszczęść, choroby, a nawet śmierci. Jednak gdy pytałem, kto tego umie dokonać i jak, odpowiadała, że nie wie, tylko słyszała, albo że w jej okolicy wszyscy czarownicy dawno wymarli. Korciło mnie, by spytać Aurelię o dziwny rytuał, któremu poddano mnie dzieckiem, o ona ciecz zieloną, o ceremonię krwi... Czemu mogła służyć? Ku jakim celom zostałem wybrany? Ale ugryzłem się w język. Nie wiem dlaczego. Dopiero później przyszło mi do głowy, że ową wielką kobietą kąpiącą mnie w magicznej kadzi mogła być sama Aurelia.

Tymczasem, jak kraj długi i szeroki, rozlegały się błagania o deszcz. W kościołach odprawiano nowennę, Rada Siedmiu postanowiła wysłać delegację proszalną do Aqua Alta, gdzie mieściło się sanktuarium świętej Zyty, tradycyjnej patronki wszelkich wód, od artezyjskich do płodowych. Wszystko na nic!

Mnie jednak w onym czasie pasjonowało zgoła co innego. Marzyłem, aby obaczyć prawdziwą nimfę i definitywnie przekonać się o jej istnieniu bądź nieistnieniu. W trakcie długich wakacji udało mi się natrafić i na gniazdo os, i na wielkiego węża z gatunku tych poświęconych Eskulapowi, wygrzewającego się na ścieżce, widziałem ślady pazurów rzadkiego w naszych stronach rysia i orła cień. Do pełnej kolekcji młodego wielbiciela Homera i Hezjoda brakowało żywej boginki. Czatowałem nad źródłem wieczorem i o świcie, ale napotkałem jedynie sarny dążące do wodopoju lub widziałem w mroku świecące oczy jakichś drapieżników. Wreszcie postanowiłem wybrać się tam o północy. Zmajstrowałem przemyślny budzik; świeca, dogasając, przepalała napiętą nitkę, ta uruchamiała dźwignię i garnek wody wylewał mi się na głowę...

Zadziałało. Mokry, ale w pełni przebudzony wybiegłem w noc. Trwała pełnia. Czas

wilkołaków. Ale co mi tam wilkołaki! Drogę do źródelka potrafiłem przemierzyć z zamkniętymi oczami. Byłem już dość blisko, gdy posłyszałem cichy śpiew. W pierwszej chwili wydał mi się czymś niezwykłym. Na granicy szeptu dobiegał ze wszystkich stron. Uskoczyłem w ruiny i przedzierając się krzakami, wspiąłem się na szczyt pagórka i ostrożnie dopełzłem do krawędzi tarasu przy dawnym perystylu. Dzięki odbijającemu się księżycowi doskonale widać było płachetek wody i postać przykrytą welonem, która siedziała półklęcząc nad krawędzią sadzawki. Zewsząd nadchodzili ludzie niosący w dłoniach małe kaganki, przez co podobni byli robaczkom świętojańskim pełgającym po zboczach wzgórz. Miejscowi chłopcy, starzy, młodzi i w sile wieku. Rozumiałem ich prosty, chropawy dialekt. Rozpoznawałem słowa.

Pani Wody, Pani Ziemi, Pani Ognia, przybywaj!

Ty, która byłaś, jesteś i będziesz, przybywaj!

Wielka Matko Bogów, Żono Słońca, Siostrze Gwiazd, przybywaj.

Zachowaj nas przed śmiercią, chorobą i niepamięcią!

Wielka Izydo, Wielka Astarte, Wielka Kybele...

Bądź z nami!

Kybele? Jak mogła się wśród prostego ludu zachować pamięć o tej, której imię znane było tylko nielicznym uczonym humanistom? Po półtora tysiącu lat panowania chrześcijaństwa. Zaiste niepojęte.

Na koniec przybysze siedli kręgiem nad wodą. Zapalono wonne kadzidła i doszedł do mnie zapach dziwny, drażniący, słodko prowokujący. Potem przyprawiono białego baranka i czarną kurę... Śpiew ucichł. Klęcząca postać powstała.

–Przyjmij Pani znak życia, znak śmierci... Początek i koniec. I okaż Moc.

–Okaż Moc! – powtórzyli zgromadzeni.

Bolesny bek baranka, ucięte gdaknięcie koguta. Kapłanka odrzuciła szatę. Stała naga, ogromna, tłusta, osobliwie korpulentna, z piersiami wiszącymi na brzuchu. Uniosła do góry ręce, trzymając w nich zaszlachtowane zwierzęta.

–Czas przemiany – zawołała i zakręciła się z nieoczekiwaną lekkością, a cycki jej rozkołysały się jak dzwony w Santa Trinita. Poznałem Aurelię. – Zali nie ma nikogo obcego między swymi? – zapytała czujnie.

–Sami swoi – zaszemrali zebrani.

–Wiecie, jak bogini karze zdradę?

–Wiemy, boć my jesteśmy jej ręką, jej młotem, jej nożem...

Czułem łomot mego serca o pokruszone kawałki etruskiej terakoty, do których starałem się przylgnąć jak najmocniej.

–Pani nadchodzi, idę ją przywitać! – Kobieta odwróciła się i skoczyła w toń. Zgromadzeni wstrzymali oddech i słycać tylko było granie cykad i szmer strumyka. Sadržawka miała kształt lejka. Taplając się przy brzegu, nigdy dotąd nie próbowałem zgłębiać zimnego dna. Aurelia zniknęła. I nie wracała. Długo! Liczyłem uderzenia pulsu. Zdało się to trwać wieczność. Wreszcie zakotłowała się woda. Wyplnęły długie czarne włosy. Pośród zgromadzonych rozeszło się westchnienie ulgi. Z wody wynurzyła się postać. Ale nie była to Aurelia, lecz nimfa! Wysoka, smukła, długonoga. Mokre ciało o kształtnych piersiach antycznej Diany połyskiwało w świetle miesiąca.

–Bogini! Bogini! – poszedł szmer. Lud padł na kolana, a ona stała między nim jako trzcina prosta, odrzuciła długie włosy, ukazując boski profil i olśniewająco białe zęby wyszczerzone w wyzywającym uśmiechu.

–Czego chcecie ludzie mali, ludzie prości, ludzie dobrzy?

Odpowiedzią było gremialne:

–Daj nam wody.

–Woda to życie, azali pragniecie długiego żywota?

–Tak, Pani.

–Tedy ofiarujcie mi się bez reszty. – Zniknęła w cieniu rozbitego grobowca. A mężczyźni postępowali kolejno za nią, wyzbywając się szat. Szli powoli, z członkami sterczącymi zadziornie jak u greckich herm. I słycać było brzęk monet oraz kosztowności wrzucanych do miedzianego dzbana. Nie widziałem, co jej czynili. Ale sądząc z odgłosów, działały się tam rzeczy straszne. Aż do mego stanowiska dochodziły dziwaczne jęki i skowyty, mlaskania i pomruki, a nade wszystko dźwięki, jakie wydaje pracująca maselnica... A było owych mężów trzynastu.

Czułem się dziwnie w charakterze podglądacza. Doznawałem nieznannej mi dopotąd słodczy w lędźwiach, dziwnego mrowienia, fal ciepła i gorąca na przemian. I leżałem wtulony w omszałą ruinę, omdlewający, z ręką daleko od siebie (iżby nie uschła, jak przestrzegał ojciec Filippo), a dusza moja nieświadoma, co się z nią dzieje, opuściła ciało i jak sokół kołowała nad pogańskim zakątkiem. Nawet nie spostrzegłem, jak księżyc przysłania chmura, jak zrywa się wiatr. Aż nagle poczułem przy sobie wilgoć i

wstyd, i przerażenie.

Ocknąłem się. Nad górami zagrzehotał grom.

–Burza, idzie burza! – zakrzyknęli mężczyźni.

I faktycznie, szedł wielki deszcz. Wnet ludzie poczęli uciekać, zapominając o nimfie i ledwie spełnionej ofierze. Astarte, nimfa czy cudownie przeistoczona kucharka donny Pazzi, jakby się pod ziemię zapadła. Deszcz siekł coraz gwałtowniejszy, a gromy waliły w szczyty i drzewa z zaciętością cesarskiej artylerii. Bałem się o życie, wszak wielekroć zasłużyłem na uderzenie pioruna, aliści ciekawość wzięła we mnie górę. Oczekałem z dziesięć zdrowasiek i zszedłem nad sadzawkę. Nie znalazłem ani śladu zrzuconych szat, koguta ni baranka, ulewa zmyła krew.

Przemoczony i pełen ambiwalentnych uczuć na temat cudów, magii i polucji powróciłem do domu.

Padało trzy dni i trzy noce. Jeśli była w tym ręka Wielkiej Macierzy Bogów, sumiennie wywiązała się z zamówienia. Przez cały czas nie opuszczałem domu. Ku memu zdumieniu, nazajutrz rano Aurelia, gadatliwa i pryszczata jak wprzódy, jakby nigdy nic przygotowała nam śniadanie i ochędożyła obejście. Nie wypytywałem jej więcej o stare podania i legendy. Żywiłem nadzieję, że nikt nigdy nie dowie się o moim uczestnictwie w ich sabacie. Dlaczego nie powiedziałem jednak o tym księdzu? Miałem szczerzy zamiar. Ale czekałem na powrót do Rosettiny, a potem zaszło tyle innych zdarzeń...

Deszcz skończył się równie gwałtownie, jak nastał, gdzieś w połowie trzeciej nocy. Ze świtem świat odzyskał swe barwy, rozwrzeszczały się ptaki. A mnie jakaś siła fatalna pociągnęła znów w stronę ruin. I sadzawki. Dociekliwa część mego umysłu (ileż razy potem przychodziło mi ją przeklinać) dopominała się racjonalnego wytłumaczenia widzianych zjawisk, półkula odpowiedzialna za fantazjowanie domagała się zaś swojej porcji bajeczności.

Po prawdzie za dnia zakątek utracił wiele ze swej tajemniczości. W świętym kręgu pasły się dwie absolutnie realne kozy, nie zwracające na mnie uwagi. Wszedłem do wody. Ustała się już po deszczu, była chłodna i krystalicznie czysta. Brodząc po płyčźnie, dotarłem do sztolni i tam straciłem grunt. Niewiele myśląc, postanowiłem zanurkować z otwartymi oczami. Podwodny dół okazał się nie głębszy niż na dziesięć łokci. Przy samym dnie zobaczyłem całkiem szeroką szczelinę i przepłynąłem przez nią z niefrasobliwością właściwą memu wiekowi. Po drugiej stronie natrafiłem na mały, podziemny staw. Panował ponad nim mrok, ale powietrze było świeże, zaskakująco mało stęchłe, snadź istniała jakaś wentylacja. Zawsze noszę przy

sobie krzesiwo, przezornie zabezpieczone przed wilgocią, toteż wynurzywszy się z wody, natychmiast skrzesałem ognia. Już po chwili żałowałem, że to uczyniłem. Widok nie był miły. Na skraju jeziora piętrzyło się mnóstwo czaszek należących zapewne do podobnych mi szperaczy. Jaskinia była niska, ale dosyć rozległa. Pod ścianą zauważyłem barłóg wysłany skórami, obok kilkanaście lampek oliwnych wskazujących, że pomieszkująca tu istota nie jest bynajmniej ślepą bestią. I miedziany dzban, w który pamiętnej nocy wrzucano datki, a tuż obok solidną skrzynię. Była zamknięta i ciężka. To w niej Aurelia przechowywała z pewnością dary od swych wyznawców. Bez trudu domyśliłem się na czym polegała istota jej oszukańczego procederu. Na oczach wsiowych głupków starucha nurkowała i zamieniała się rolami z umówioną dziewczyną odgrywającą Boginię. Po czym tu, w jaskini, czekała na koniec ceremonii. Kim jednak była owa młoda Kybele i gdzie przebywała teraz? Nie mniej frapujące było drugie pytanie: czy cała ta magia była wyłącznie oszustwem? Wszakże udało się osiągnąć zamierzony cel – spadł deszcz!

Posuwając się w głąb pieczary, natrafiłem na długi korytarz wykuty w skale. Postanowiłem sprawdzić, dokąd mnie zaprowadzi. Powiadają, że z trudnych sytuacji bywają wyjścia najprostsze, toteż nie zdziwiłem się wcale, gdy sekretne przejście przywiodło mnie do niewielkiej komórki przy kuchni w Villa Pazzi. A więc tak można było niepostrzeżenie dostać się do domostwa! W onej porze dom wyglądał na pusty. Aurelia zabrała dzieciaki, wybierając się na targ, parobkowie poszli w pole...

Chrobot. Nastawiłem uszu. Znów mocniejszy zgrzyt i coś jakby westchnienie. Na deskach komórki igrała smuga światła wskazująca otwór w ścianie. Wspiąłem się ku niemu. Wielką sypialnię donny Pazzi wypełniały potoki światła wpadające przez dachowy świetlik. Pozwalało to bez trudu, boć i baldachimy były rozsunięte, obserwować szczegóły batalii rozgrywającej się w łożu. Patrzyłem zdumiony na owo theatrum nadzwyczajne. Między bladymi, szeroko rozrzuconymi nogami signory podskakiwał miarowo wielki czerwony tyłek przechodzący w słabo umięśnione plecy pokryte czerniawym zarostem.

–Och, Jezu, Jezusiczku – jęczała rytmicznie Ariadna Pazzi, aż skończyła urwanym:
– Jezuniuu...

–Nie wzywaj imienia Pana nadaremno – pouczył ją dosiadający ją jeździec, przechodząc z kłusa w cwał.

Zrobiło mi się mdło. Poznałem głos ojca Filippo.

Kto wie, czy ów moment nie zdeterminował całe moje dalsze życie. Nie, nie straciłem podówczas wiary. Jeszcze nie. Wszelako zdecydowanie wstąpiłem na ścieżkę grzechu i zaniedbania. Nie mogłem już więcej otwierać w pełni serca przed moim spowiednikiem. Znaczący, oczywiście spowiadałem mu się regularnie, wyznając półprawdy, po prostu oszukując. A im większe pokłady zatajenia odkładały się w

mym sumieniu, tym bardziej dziwiłem się, z jaką przychodzi to łatwością.

Z niemi wakacyjnymi doświadczeniami nie podzieliłem się z nikim. Nawet ze Scypionem. Zresztą nowe sprawy zaprzątnęły nasze umysły. Obaj bardzo dorośliśmy tego lata. W naszych rozmowach pojawiać się zaczęły tematy powszechnie uznawane za tabu. Podwiki. Pokazałem Scypionowi drugą część woluminu O cnoście, on zdobył skądś rulon z wszetecznymi rysunkami. Dla tego rodzaju studiów zaszywałem się w wieżycy ponad pracownią Markusa, zacisznej szczególnie we dnie, kiedy ten nie malował, jeno przepadał nie wiedząc gdzie. Najprawdopodobniej pił, bo wracał zwykle po paru dniach z twarzą napuchniętą i okiem krwistym. Miejsce było wyborne, by snuć fantastyczne opowieści erotyczne ze sobą samym w roli głównej. Syn kupca fantazjował o pokojówce, do której jakoby zakradał się nocą, chędożąc aż po świt, ja bajdurzyłem o córce złotnika... To były rozmowy! Aż ręce omdlewały.

Aż pewnego zimowego dnia, gdy zrzuciwszy pluderki, dokazywałem na cztery ręce, Scypio ujął mnie w usta, po czym zaproponował, iżbym zrobił mu to samo. Nie chciałem, bom wiedział, że oznacza to bezspornie wiekuiste potępienie, ale nie bardzo mogłem się oprzeć. I...

Stukanie drewnianych protez kapitana Massimo! Zerwaliśmy się przestraszeni. Jeśli żeglarz zdybie nas tu nagich, ze świńskimi rysunkami... Ruchem głowy wskazałem koledze okienko. Skoczył ku niemu. Znał drogę po gzymsie. Ja, naciągając ubranie, ruszyłem ku drzwiczkom.

–Chłopcze, gdzie się podziewasz? Stryj szuka cię wszędzie – chrypiał U capitano.

–Coś się stało?

–Pani Giovanninie znowu gorzej, wzywa cię do siebie.

Urwał. Rozdzierający, wibrujący krzyk dobiegł z podwórka. Krzyk i łomot, jakby ktoś rzucił z wysoka worek buraków. Pobiegliśmy schodami w dół jak na złamanie karku.

Po śmierci Scipia wydawał się dwa razy drobniejszy niż za życia. W oczach zastygło mu jeszcze nieludzkie przerażenie. Wyobrażam sobie, co czuł, kiedy poślizgnął się na wilgotnym gzymsie, kiedy rękami rozpaczliwie próbował chwytać się muru, kiedy szybował ku błyskawicznie przybliżającej się ziemi... Pludry miał założone na lewą stronę, ale miałem nadzieję, że w zamieszaniu nikt tego nie zauważy.

–Czy to złodziej? – dopytywał się stryj Benni.

–Nie, mój kolega. Założył się ze mną, że wejdzie na dach po drzewie, murze i gzymsach.

–I spotkała go kara Boska – skomentował ojciec Filippo. – Zakładanie się to też grzech śmiertelny. Idź, pomódl się, Alfredo.

Nie musiał mnie namawiać. W domowej kaplicy, obok zakładu balwierskiego, na podłodze z nie heblowanych desek, u stóp portretu świętego Merilla, którego twarz wyszła spod pędzla Markusa, a moim dziełem było tło, pełne kwiatów magnolii, żarliwie modliłem się aż do rana. Błagałem Boga o litość, o wybaczenie dużo gorszych grzechów niż zakładanie się dla pieniędzy, o darowanie piekła Scypionowi. I padre Bracconiemu...

Ale przede wszystkim mnie samemu.

4. Na obraz i podobieństwo

–Gdybyż był ptakiem... Gdybyż był ptakiem... – Obraz spadającego chłopaka prześladował mnie długie lata. Może dlatego wzdragałem się przed malowaniem nieszczęsnego Faetona, który ośmielił się powozić rydwanem Słońca, Bellerofonta strąconego z grzbietu Pegaza czy nierozważnego Ikara. Czasami nawet śniłem, że ratują Scipia wielkie, czarne skrzydła syna nocy, które w locie wyrastają mu u ramion i rozwijają się tak, że miał uderzyć o bruk, mój przyjaciel wzbija się w górę niczym ogromny nietoperz...

Na jawie myślałem o problemie awiacji bardziej rzeczowo. Markus powtarzał nieraz:

–Nadejdzie czas, Freddino, gdy człowiek oderwie się od Ziemi, kiedy poszybuje w przestworza jak Dedal czy Mahomet na swej klaczy zwanej al-Burak, aż ujrzy z niebios Ziemię lepiej niżli święci anieli.

–Przecież pan, mistrzu, nie wierzy w istnienie cherubinów ani serafinów.

–Ale kiedy maluję, potrzebuję ich dla mej wyobraźni. Jednak nie o tym chciałem ci mówić. Chcesz latać? Polecisz! Jeśli zerwiemy więzy przesądów, odrzucimy balast lęku i powątpiewania w twórczą potęgę umysłu, będziemy jako bogowie. Wiesz, jaki należy wyciągnąć morał z historii o rajskim Drzewie Wiadomości Dobrego i Złego, Freddino? Po prostu twój dobry Pan Bóg spietrał się na myśl o naszym swobodnym dostępie do źródeł informacji. No, nie krzyw się, jakbyś ugryzł osę. Napij się ze mną... A potem polecimy w naszą wyobraźnię.

Wiele lat później na zlecenie francuskiego kardynała usiadłem na serio analizować lot ptaków i zastanawiać się nad możliwością produkcji machin cięższych od powietrza. Rysowałem plany, budowałem modele. Dokonywałem sekcji ptaków, obserwując ich układ kostny i mięśniowy, zastanawiając się, jak znaleźć napęd, który dałby człowiekowi siłę albatrosa przy zachowaniu lekkości pierzastego olbrzyma.

Wróćmy jednak do Freddino wyrostka. Chudego, – żylastego chłopaka z

rozczochną czupryną, o palcach wiecznie pobrudzonych farbą i z głową pełnych zgoła nie szczeniackich myśli. Który, bywało, uciekał z wykładu, narażając się na chłostę tylko po to, aby posłuchać w tawernie podróżnika przybyłego z Indyj, lub wyprawiał się aż do Buona Rocca, żeby obserwować pamiętne zaćmienie Słońca, wieszczące nadciągający czas pomieszania, katastrof i upadku.

Pamiętam też, jak jednego lata, pożyczwszy sobie bez pytania ulubionego osiołka donny Pazzi, wyprawilem się za przełęcz San Vitale zobaczyć bitwę. Od kilku dni mówiono po winnicach, że na równinie Agnani mają zetrzeć się oddziały zbuntowanego kondotiera Strozziiego z wojskami cesarskimi dowodzonymi przez Bastarda ze Styrii. Od rana w Montana Rossa słyszałem spoza gór pomruk dział. I czułem żywsze pulsowanie krwi. Obserwowałem wszak dwa dni wcześniej, jak przez wioskę Campino szła nasza Zielona Gwardia, kwiat republikańskiego rycerstwa i ekstrakt męskiego zapału. Auxilium z sojuszniczej Rosettiny dla cesarza. Nie miałem wówczas pojęcia o polityce, nie wiedziałem, że Słońce, w którym grzeje się stara Republika, już zachodzi, zaś po klęsce Strozziiego niedługo cieszyć się będziemy własną suwerennością. Jak inni sądziłem, że panowie z Signorii, z których najznacześniejszymi byli hrabiowie Malficano, wiedzą, co należy czynić dla wspólnego dobra. Toteż chwycił mnie za serce i krzepił ducha obraz tych zbrój pysznych, tych kryz lub krochmalonych kołnierzy noszonych na modłę hiszpańską. Zaś nade wszystko budował wyraz twarzy dzielnych, marsowych a otwartych... Naraz, ku wielkiemu zdziwieniu, wśród grupy oficyjerów mignęła mi pacholęca twarz mego mlecznego brata – hrabiego Lodovica. Młodzik najwyraźniej wyruszał po swe pierwsze szlify. Skłoniłem mu się, ale chyba mnie nie zauważył. Nad prawdziwym lasem, tworzonym przez piki jazdy, powiewały proporce, dalej postępowali w nogę muszkietierowie, chłopcy krzepkie, o wejrzaniu hardym, obojętnym na oszczekujące ich psy i wypatrujących zza murków wiejskich bachorów. Na koniec działa, o lśniących paszczach i ogromnych kołach, toczyły się wśród zgrzytów, krótkich komend, trzasku biczów i porykiwania mułów. A potem pozostał tylko wzniesiony kurz i zawieszisty, gwardyjski fetor spoconych mężczyzn napakowanych adrenaliną. I trochę mnie to zaskoczyło, bo spodziewałem się bardziej zapachu wawrzynu lub aromatycznego tytoniu.

Przez przełęcz San Vitale wiedzie jeno stroma, na wpół zarośnięta ścieżka, toteż na drugą stronę dotarłem tam pod wieczór, nie spotykając nikogo. Ptaki, widać spłoszone, milczały, słyhać było jedynie brzęk pszczoł miodnych, bzykanie bąków, srebrzysty szmer ważek. Sądziłem, że po drugiej stronie gór usłyszę hałas bitewnego zamętu, szcęk ścierającego się oręża, a oczom mym ukaże się fascynujący fresk batalistyczny. Uderzyła mnie porażająca cisza umarłego pola. Na brzegu ruczaju dopalał się wiatrak i kupa wiejskich chat, wyżej kołowały stada drapieżnego ptactwa. Im dalej skraju lasu, tym więcej było ciał i trupów końskich. Leżały bez ładu i składu, jedne zdając się ledwie uśpione, inne posiekane, z wywalonymi bebechami, rozplatanymi czerepami, przez które wyzierał mózg. Straszne. Wśród kałuż

zakrzepłej posoki uwijały się wielkie muchy. Do paru ciał dobrali się psi. A nad wszystkim unosił się smród zgoła niepoetycki – odór prochu, krwi, potu i fekaliów, spalenizny i rozdartej kartaczami ziemi. Patrzyłem w osłupieniu. Gdzież podział się heroiczny monumentalizm znany z opisów Liwiusza i Cezara? Pobojowisko sprawiało odrażające wrażenie. Martwota, ówdzie zduszony jęk. Nie potrafiłbym tego namalować, co więcej, chyba bym nie chciał. Z rumowiska ciał krzyczał bezsens. Obłądana logika śmierci.

Wśród poległych przeważały ciała buntowników, ale nie brakowało i naszych. Snadź dopiero po desperackiej obronie ludzie Strozziiego poszli w rozsypkę. A cesarscy pojechali im na karkach, rżnąc i nie dając pardonu.

Naraz drgnąłem. Wśród prawdziwego szajka ciał okrutnie poszarpanych, zapewne przez wybuch kartaczy, błysnęła mi zbroja srebrzysta, włosy jasne, krwią teraz zlepione. Lodovico! Leżał na nim, jakby próbując go osłonić siwy oficyjer w barwach Malficanów i wielki Negr, którego widywałem często podczas parad. Wtem zdało mi się, że widzę jakiś ruch. Podskoczyłem żwawo. Zepchnąłem ciała z chłopca. Lodovico miał oczy przymknięte, ale dychał jeszcze. Nie zauważyłem też poważniejszych obrażeń.

–Mości hrabio, panie Lodovico! – wołałem.

Otworzył oczy, ale toczył nimi nieprzytomnie. Próbował poruszyć usta... Bardziej wyczułem, niż usłyszałem ruch za plecami. Targnąłem się w bok, a wielka dzida minęła mnie o cal, wbijając się w czarny tors martwego Murzyna. Napastników było trzech. Brudnych, obdartych, obładowanych zdobyczami.

–Precz! – krzyknąłem. Ale wypadło to dość piskliwie. Dwóch rabusi puściło łupy i dobyło krótkich sztyletów używanych przez zawodowych sicarów. Trzeci ruszył ku przodowi, opierając się na wielkim berdyszu. Chwyciłem porzucony rapier oficyjera. Zaśmiali się tylko.

–Usuń się, paniczyku – warknął herszt. – Nie chcemy ciebie, lecz jego...

Machnąłem rapierem, ale w rękę bandziora świsnął berdysz i moje ostrze pękło na połowę. Morderczy topór zawisł nad moją głową... Ale w tym momencie huknął strzał. Lodovico oprzytomniał na tyle, by móc użyć bandoletu. Herszt runął, bluzgając posoką. Pozostali assassini skoczyli ku nam, ale już dobyłem noża i cisnąłem nim wedle nauk kapitana Massimo. Aż po rękajeść uwiązał w półnagiej piersi. Ostatni z napastników przystanął zdezorientowany, gdy nagle z zarośli wysypała się wataha kolejnych ludzkich hien.

No to po nas – pomyślałem. Lodovico usiłował wstać. Brakowało mu sił i zaraz znów stracił przytomność. Krąg zbójów zacieśniał się. Mogłem jedynie modlić się o szybką

śmierć.

–Ostawcie ich – usłyszałem nagle znajomy głos. – Dość macie łupów!

Rozstąpili się potulni jak owieczki. Spoza ich pleców wyszła wiedźma Aurelia.

–Ach, paniczu, paniczu! – zakrzyknęła. – Co was podkusiło pakować się w takie tarapaty?

Nie odpowiedziałem, ale nie pytałem również, skąd wziął się jej niezwykle posłuch wśród opryszków. We dwójkę unieśliśmy młodego hrabiego.

–Nic mu nie będzie – kucharka oceniła fachowo stan rannego – tylko trzeba go stąd zabrać.

Osiólek czekał tam, gdzie go zostawiłem. Wsadziłem nań młodego wielmożę i ruszyliśmy w drogę powrotną. Znow otoczył nas las cichy, wojną nie naruszony i absolutnie obojętny wobec rozgrywającej się tragedii.

Lodovico odzyskał przytomność w Montana Rossa. Rychło zjawił się tam poszukujący go poczet zbrojnych. Dworzanie starego Malficano zachowywali się wobec nas wyniośle, ale młody hrabia uścisnął mnie na odchodnym i rzekł:

–Jestem twym dłużnikiem, Alfredo. Da Bóg, będę mógł ci się odwdzięczyć.

Nie wiedziałem jeszcze, że słowa możliwych można interpretować dwójako.

Wyprawa poza przełęcz San Vitale, była jedną z tych nauk, które mogły mnie sporo kosztować. Z pozostałymi nie było aż takich problemów. Byłem pojętym uczniem. A nauki pobierałem dość wszechstronnie – tyle że efekty edukacji często bywały odmienne od zamierzonych przez pedagogów. Zdarza się. Jonasz miał przy piątku ochotę na rybę, a połknął go wieloryb. Święty Merill strawił pół życia, szukając świętego Graala, a Saraceni upiekli go na grillu. Na podobnej zasadzie Markus van Tarn nauczył mnie nie tylko tajników technik malowania na desce i al fresco, sztuki miedziorytniczej i drzeworytniczej, ale przede wszystkim umiejętności myślenia, zadawania pytań, walki na argumenty, jak również na pięści.

–Mordobicie w żadnym wypadku nie może zastąpić dyskusji, ale czasami skutecznie ją uzupełnia – twierdził Holender.

W jednej tylko dziedzinie nie osiągnąłem zadowalających go postępów – w picciu. Van Tarn preferował chłanie nieumiarkowaną manierą ludów Północy, która nakazuje żłopać tak długo, dopokąd alkohol nie wyciągnie na wierzch wszelkiego zła, żółci,

urazów i słabości... W tej dyscyplinie nie poszedłem w ślady mego mistrza. Pozostałem zakamieniałym Południowcem, pijącym gwoli rozweselenia i ożywczego, rozluźnienia. Podejrzewam, że Markus tak naprawdę nie chciał być szczęśliwy, ja zaś chciałem.

Mówiąc o mych pozostałych preceptorach – kapitanowi Massimo do końca życia zawdzięczać będę nie tylko przygotowanie językowe i podstawową wiedzę geograficzną, ale tak praktyczne umiejętności, jak robienie węzłów, rzucanie nożem czy hazardowe granie w kości bez ryzyka przegranej.

Z kolei, wbrew swoim własnym oczekiwaniom, Benedetto Derossi nie nauczył mnie balwierstwa, techniki puszczania krwi, robienia lewatyw czy irygacji – natomiast sprawił, że w miłym towarzystwie potrafię chwycić mandolinę i odśpiewać parę tych skocznych, chwytających za serce i kolana piosenek z okolic Rosettiny.

Apadre Filippo Bracconi? Bidula. Jakże długo nie wyprowadzałem go z błędnego mniemania, że o niczym bardziej nie marzę niż o karierze duchownej. W kolegium świętego Apolinarego przeważnie bywałem prymusem. I jeśli obrywał trzcina częściej niż inni, winić należy nie moje lenistwo, ale zbytnią dociekliwość i nieustanne zadawanie trudnych pytań. Regularnie przystępowałem do miesięcznej spowiedzi i specjalnie wymyślałem drobne grzechy pod tematykę planowanych kazań, żeby czynić mu przyjemność, a przy okazji wysłuchiwać prapremierowych nauk. Jeśli zaplanowany temat brzmiał: “Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”, przyznawałem się do dłubania w nosie podczas modlitwy. Gorzej było, gdy przychodziła pora na: “Nie cudzołóż”, zawszeni jednak mógł wyznać, iż widziałem kopulujące pieski.

–I nic więcej, synu?

–Nic więcej, ojciec.

–Szkoda.

Często pytał mnie, czy jestem mu wdzięczny? Byłem. I mogłem na to pytanie odpowiadać szczerze. W końcu nauczył mnie, choć może mimowolnie, sztuki retoryki, dialektyki i hipokryzji.

Do reszty musiałem dojść sam.

Po śmierci Scypiona miałem bardzo wielu kolegów, lecz żadnego przyjaciela. I to tak w szerokim, jak i najwęższym tego słowa pojęciu. Trudno bowiem nazwać moim druhem Lodovico Malficano, choć bywałem u niego w pałacu często i chętnie. Młody arystokrata czas dłuższy dochodził do zdrowia, a wyłączone towarzystwo służby i wyrafinowanych kuzynów było dlań dość nużące. Ze mną mógł pograć w kości, dowiedzieć się najnowszych dowcipów czy posłuchać niezwykłych opowieści. Nawet

gdy całkiem ozdrowiał, nadal zapraszał mnie do siebie, nazywał swym przyjacielem, czynił wyznania z przygód sercowych i żądał podobnej szczerości. Instynktownie zachowywałem powściągliwość. Aż do dnia, a właściwie wieczora, kiedy jakieś licho podkusiło mnie, iżby opowiedzieć mu o Aurelii i Kybele.

Wprawdzie uczeni genealogowie wywodzą ród hrabiów Malficano od samego Numy Pompiliusza, a na gałęziach rozłożystego drzewa genealogicznego wiszą tak dojrzałe owoce, jak Malficanus Męczennik, za czasów Dioklecjana przerobiony na rostbef przez piekielną zaiste maszynę do siekania chrześcijan, czy Malfitex, wybitny oficer królowej Amalasynty, nie wspominając już o dwóch prokonsulach i jednym antypapieżu, każde lepiej wykształcone dziecko w Rosettinie wie, że historia rodu jest znacznie krótsza. Choć równie zajmująca. Pradziad Lodovica, Damiano, był za młodu zwykłym pastuchem w Tyrolu i zasłynął tam, jeśli wierzyć ustnej tradycji, jako bezpruderyjny artysta ludowy. Jednego razu wykonał na oczach landgraфа Górnej Adygi ucieśzną krotochwilę z kozą. Cały czas równocześnie jodłując. Od zabiegu, który pozbawieni południowego polotu językowego Niemcy zwykli nazywać: "Ficken machen", poszedł przydomek "Malficano". I tak zostało.

Ów Damiano, najawszy się na służbę u kondotiera Morosiniego, został jego ulubionym poborcą podatkowym i doprowadził tę trudną sztukę do prawdziwego rozkwitu. Osiągał bowiem stuprocentową ściągalskość. Rzecz w tamtych czasach powszechnego przekupstwa niewiarygodna. Jak tego dokonywał? Ano bezbłędnie rozpoznawał ludzkie słabości i umiał je wykorzystywać. Nadto bezwzględność szła u niego w parze z lisią chytrą. Wobec dłużników stosował najrozmaitsze bodźce, opieszających karał, płacących przed terminem nagradzał. Nadto wszędzie miał swych donosicieli i egzekutorów. Toteż po prostu strach było nie płacić. Nie dziwota, że parę państewek stale cierpiących na deficyt budżetowy nalegało usilnie, iżby zechciał zostać ich generalnym dzierżawcą podatków. Damiano po chrześcijańsku nie odmawiał, kontentując się przyzwoitą, dziesięcioprocentową marżą. Na koniec przybył na zaproszenie Signorii do Rosettiny i w pięć lat uzdrowił finanse publiczne. Tu wżenił się w miejscowy patrycjat i wnet zaczął stawiać własny pałac. Niestety ludzie bywają zawistni i jakiś najemny zabójca, a może zrujnowany dłużnik (nie wiadomo, rozsiekano go bowiem nie przesłuchawszy) zakłuł protoplastę mizerykordią, gdy w trakcie procesji niósł baldachim nad arcybiskupem.

–Boże, ciało! – miał zakrzyknąć świętobliwy mąż na widok padającego blondyna z Tyrolu i, jak niektórzy twierdzą, stąd poszła nazwa czerwcowych uroczystości. Summa summarum założyciel rodu śmierć miał podłą, ale majątek pozostawił znaczny, tak że spadkobiercy mieli co pomnażać. Damiano II, zwany Concelebrante, nie zajmował się już podatkami, miał własny bank, parę statków, nabył manufaktury wytwarzające broń, handlował z papieżem (jego brat Guiliano otrzymał kapelusz kardynalski) i pożyczał złoto cesarzowi – czego namacalnym efektem był tytuł

hrabiowski. Finansowe interesy z tronem, choć zaszczytne, zaowocowały także poważnym kryzysem finansowym, gdy Najjaśniejszy Pan okazał się niewypłacalnym.

Ścigany przez wierzycieli, Damiano II wybrał ucieczkę do Nowego Świata, gdzie podobno zmarł w nędzy albo zgoła został zjedzony. Wielu przypuszczało, że odtąd ród Malficano pojawiać się będzie jedynie w rejestrach kryminalnych. Ale nie, Orlando, ojciec Lodovica, podniósł ród z chwilowego upadku. Dłużników spłacił, pałac wykupił. Mówią, że nielegalnie handlował niewolnikami z Turczyńcem, ale czego to złośliwe ludzie nie wymyślą. Inwestował w dobra ziemskie i dzieła sztuki. I niezmiennie wchodził do Rady Siedmiu. Byli tacy, co twierdzili, że jego marzeniem jest, wzorem florenckich Medyceuszy, dokonać zamachu na Republikę i ostać się jej udziałnym władcą. Jednak były to podejrzenia nie oparte na żadnych podstawach.

Tym bardziej, że osobiste ambicje Orlanda powściągnęła choroba, o której nie wiadomo wiele nad to, iż należała do wyjątkowo paskudnych. Dobrze poinformowani twierdzili, iż była to odmiana galijskiej francji, którą to wielmoża jakoby złapał od własnej ochmistrzyni. W każdym razie schyłek życia spędził wewnątrz pałacu, nie opuszczając wydzielonej wieży. Od lat nikt go nie oglądał, zaś przeróżne plotki głosiły o jego ciele odpadającym od kości i przepotężnym fetorze wypełniającym donżon. Odór głuszono ponoć za pomocą kadzidła i azjatyckich pachnidła. A i tak gołębiom, które przypadkiem zapuściły się nad rezydencję, kręciło się w głowie, aż półprzytomne wpadały do sadzawek. Nie dziw, że don Orlando wszelkie swe nadzieje ulokował w synach, starszym, Damianie III, który zastępował ojca na sesyjach Rady, i w młodszym, moim przyjacielu, Lodovico.

Kiedy Markus van Tam przestawał pić, wpadał w prawdziwy szal pracy. Powracał do płócien wcześniej zaczętych lub porzuconych, przemaalowywał je, łącząc ciemny styl flamandzki z rozświetlonym duchem Italii. Brał się też do moich lekcji. Do zadań rozwijających, jak je nazywał.

–Sztuka jest w nas – mawiał – i jedyne, czego trzeba artyście, to skupienie, odpowiednia siła woli, iżby wydobyć na wierzch, co istotne, pozbywszy się rzeczy zbędnych.

Miałem mu trochę za złe, że nie uczy mnie wszystkiego. Wciąż trzymał mnie z dala od swych tajemnych praktyk cmentarnych, które, o ile wiem, chyłkiem kontynuował. Dorwałem kiedyś tekę rycin Markusowych przedstawiających wnętrza ludzkie. Serce, wątrobę, nerki, kościec, a przede wszystkim mózg. Czemu nie chciał, bym poznawał anatomię?

Nie dopuszczał mnie także, jak się okazało w uzgodnieniu z padre Filippo i stryjem Bennim, do malowania aktów. Nie nalegałem na to zbytnio. Po tragedii ze Scipiem

sfera erotyczna jawiła mi się jako grzeszna i odrażająca. Byłem długo głuchy na nagabywania dziewczek, ślepy na wdzięki pokojówek i kulawy, gdy inni gonili hoże wieśniaczki. A jeśli miewałem sny sprośne, w których częstą bohaterką była Margerita, młodsza córka kuśnierza z sąsiedztwa (firma posługiwała się sloganem reklamowym: "Na jutro zawsze futro"), to budząc się skąpany potem, i nie tylko, obficie zlewałem się lodowatą wodą i klęcząc, odmawiałem modlitwy mające odgonić szatana. Oczywiście byłem niekonsekwentny, wiedziałem, że od pierwszej kłamliwej spowiedzi żyję w stanie śmiertelnego grzechu i gdyby spotkała mnie śmierć, będę wieczyście potępiony. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Czasem wydawało mi się, że lepiej byłoby, gdyby zgodnie z teoriami van Tarna Boga w ogóle nie było, a finis vitae przypominał jedynie zdmuchnięcie wypalanej świecy. W mojej duszy pogłębiało się rozdarcie; wobec don Bracconiego grałem kandydata do sutanny, a przecież wiedziałem, że to niemożliwe. Chyba że wydarzyłby się cud. Że znalazłbym spowiednika, który potrafiłby mnie zrozumieć i odpuścić mi moje grzechy.

Tamtego dnia powróciłem wcześniej ze szkoły i pobiegłem do pracowni mistrza van Tarna, gdzie miała nas czekać praca nad martwymi naturami dla pewnego kupca z Wenecji. Drzwi zastałem zamknięte. Ktoś był u Markusa? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Wiedziałem, że liczni portretowani nie życzyli sobie asysty. Tych klientów malarz wprowadzał wejściem od ogrodu i nigdy się z nimi nie spotykałem.

Zawróciłem na pięcie i zamierzałem odejść, kiedy zgrzytnął zamek.

–Wejdz, chłopcze – powiedział śpiewny alt. – Markus wybiegł po farby, a ja chętnie z tobą porozmawiam. Ponoć mądry jesteś nad wiek i przystojny.

Z mrocznego korytarza wszedłem do pracowni, przez weneckie okno wdzierało się tyle słońca, że mówiąca do mnie kobieta zdawała się jedynie szarym cieniem na tle wodospadu światła. Zmrużyłem oczy.

–Chcesz wina? – spytała.

Najpierw zobaczyłem portret Danae w strugach złocistego deszczu. Danae z nogami rozchylonymi śmieje, niż zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Danae – nie skromną królową, ale kuszącą, występłą boską nałożnicę... Obraz został ukończony tylko w partii dolnej. Twarz pozostawała zaznaczona jedynie paroma muśnięciami pędzla. Odwróciłem się i aż zachwiałem... Modelka stała metr ode mnie, spowita jedynie w muślin bardziej ukazujący, niż ukrywający cokolwiek.

Uderzenie pioruna w stóg siana wywarłoby na mnie zapewne mniejsze wrażenie. Na długość wyciągniętej ręki miałem przed sobą tajemniczą damę z pogańskiego źródła.

Kybele! Astarte! Izyda!

Podawała mi kielich pełen karminowego trunku. Ręka moja drżała tak, że kilka kropel

rozlało mi się po dłoni i splamiło jej muślin.

–Na Boga, jakiż skromny młodzieniec – zaśmiała się gardłowo, biorąc mój stupor za objaw wstydu. – No cóż, wino cię ośmieli.

Nim zdołałem wykonać jakikolwiek gest, pochyliła głowę i zlizła owe krople z mojej dłoni. Poczulem ogarniające mnie gorąco i zimno, nie mogłem opanować dygotu.

Naraz jej twarz znalazła się na wysokości mojej. Zobaczyłem ciemne oczy o rozszerzonych źrenicach i usta wydatne, i drgające chrapki jak u szlachetnego konia, najbardziej jednak przypominała mi dzikiego kota, który zwietrzył zdobycz.

–Kochałeś się już z kobietą, bambino? – zapytała. I naraz jej ostry paznokieć przejechał po mojej szyi aż ku mostkowi. – Markus mówi, że szybko się uczysz, obaczymy.

Widziałem pod muślinem, jak nabrzmiały jej sutki. Naraz zbliżyła usta gwałtownie ku mnie, ale zamiast pocałować, na co liczyłem, zatopiła zęby w moim uchu.

–Najpierw musisz nauczyć się, że miłość boli... Podobam ci się, co?

–Nno...

–Niezbyt wyszukany to komplement w ustach artysty. Myślałam, że powiesz mi, iż jestem jak wiosenna jutrzienka, jak kwiat pomarańczy... Jak...

–Jak źródło – wyrwało mi się.

Kocie oczy popatrzyły na mnie uważnie, źrenice zwężyły się.

–Źródło, mówisz...

Skrzypnęły drzwiczki od ogrodu, wszedł van Tarn objuczony pakunkami. Na mój widok przystanął. Kobieta zachichotała.

–Widzę, Freddino, że zdążyłeś już zawrzeć znajomość z Beatrice – powiedział malarz.

5. Nie tylko Beatrice

Wedle tego, co udało mi się ustalić, matka Beatrice, Teresa, była Albanką, jedną z tych nieszczęśliwych istot, które, porywane z ojczystych wiosek lub po prostu sprzedawane przez własne, cierpiące głód rodziny, często przy wydatnym udziale agentów Orlanda Malficano, lądowały w haremach Stambułu i Damaszku lub w burdelach Wenecji, Marsylii czy Livorno. I nie wiadomo, jaki los bywał dla nich gorszy. Teresie z Montenegro udało się jakoś nie trafić na dłużej do żadnego z tych

przybytków. Na przełomie stuleci prowadziła samodzielną działalność gospodarczą na Nadbrzeżu Korzennym.

Nikt nie wie, kto był ojcem jej jedynej córki – jedne legendy mówiły o samym Orlando, inne o legacie papieskim, inne zaś o królu francuskim. Teresa, chcąc oszczędzić Beatrice swego losu, oddała ją na wychowanie do klasztoru w Aqua Alta, atoli dziewczyna już w wieku lat piętnastu uwiodła miejscowego organistę i opuściła konwent w beczce na ogórki, pogrążając siostrzyczki w niemałej frustracji i zniechęcając je do ogórków na długo. Rychło potem, znudziwszy się organistą i jego organami, została utrzymanką dwóch strażników miejskich, którzy zajmowali się głównie ochroną przeciwpożarową Rosettiny. Pierwszy co wieczór wołał: "Goście!", drugi: "Światło!", a okrzyk: "Obywatele!" wydobywali z siebie unisono. Aliści Beatrice nie lubiła tego robić przy zgaszonym świetle, nawet w trójkącie. Toteż nie protestowała, gdy po paru dniach przejął ją ambitny capitano della guardia.

Tak awansując od łoża do łoża, wylądowała na koniec w alkwie samego ambasadora cesarza, jednego z tych, liczniejszych niż ziarna w słoneczniku książątek niemieckich nazwiskiem Johann von Kostrin. Interesujące, iż związała się z nim na dłużej. Urodziła mu nawet syna imieniem Ippolito. Wydawać się mogło, że się ustatkuje, zwłaszcza że, jak twierdzą złośliwi, kolekcja rogów księcia przekraczała pogłowie jeleni w Europie. Nic dziwnego, że ledwie się dowiedział o śmierci swego starszego brata, spiesznie opuścił służbę dyplomatyczną i udał się do swego państewka, mniejszego niż niejedno zacne latyfundium w ościennej Polsce.

Beatrice niezadługo pozostała mieszkanką Europy Środkowej. W księstewku von Kostrinów nie podobało jej się nic – ani klimat, ani piwo, ani grube żarty. Szczególnie zaś mierzliła ją protestancka moralność, zezwalająca z rzeczy występnych jedynie na popiardywanie przy stole. Toteż przy pierwszej okazji porzuciła męża, dziecko i powróciła do Rosettiny, gdzie nabyła mały dom na przedmieściu. Czym się zajmowała, z czego się utrzymywała, nie wiadomo. Z pewnością znajdowała się pod dyskretną opieką agentów samego cesarza. Jej jedyna przyjaciółka, donna Pazzi, zachowywała pod tym względem daleko posuniętą powściągliwość. W każdym razie, mimo ukończenia dwudziestu pięciu lat, pozostawała kobietą powabną i, jak powiedział Markus, "wartą wzięcia pod pędzel".

Czym stała się dla mnie?

Miłością? Po trzykroć nie!

Fascynacją? Może zbyt duże słowo.

Po prostu chciałem ją mieć. Jak każdy z samców Rosettiny. I, co gorsza, wydawało mi się, że będzie to łatwe. Widziałem ją w akcji w Montana Rossa, znałem plotki, a Markus po pijaku twierdził, że "ryćka się jak Maria Magdalena, zanim zeszła na

ścieżkę cnoty". Ale nie wszystko sprowadzało się do namiętności. Beatrice zdawała mi się kluczem do zrozumienia świata. Chciałem usłyszeć od niej, czy istnieją naprawdę siły tajemne, czy też, jak uważa Markus, szwindel to był jeno i mydlenie oczu maluczkiem. Nie wiem, skąd brało się we mnie złudne przekonanie, że gdy Kybele znajdzie się w mych ramionach, powie mi prawdę.

Okazało się to wcale niełatwe. Szelma chwyciła mnie na swoją wędkę, ale wcale nie zamierzała mnie wylawiać. Markus zaś kategorycznie nie zgadzał się, abym asystował przy malowaniu jej aktu.

–To mnie rozprasza, Freddino. Poza tym jesteś zbyt młody.

Może był zazdrosny. A Beatrice? Nie potrafiłem nigdy jej zdybać, gdy wychodziła z naszego domu. Bywało, że znikła wieczorem, kiedy indziej zostawała do rana, a ja przecież musiałem chodzić do szkoły. Pozostawał kościół, ale tam pojawiała się jak inne grzesznice lub wdowy, zakwefiona na grubo, a przecie nie mogłem każdej niewieście zaglądać pod welon.

W desperacji napisałem do niej parę listów. Wręczałem je woźnicy oczekującemu zawsze w powozie na tyłach naszego domu. Do trzeciego z nich dołączyłem nawet własny sonet.

Kiedym raz pierwszy ujrzał ciebie, pani,

to w moje serce stonco zapukało

i byłem tobą jak miodem pijany.

Piłem cię wzrokiem, a było mi mało.

I zdrój ust twoich i twych oczu cienie,

pod firankami rzęs iście palmowych,

długo, ach, długo gasiłbym pragnienie,

zanim rozdzieliłby nas świt różowy.

Wciąż śnię o tobie, w całym mym jestestwie:

wielka gotowości i mnóstwa nadziei,

że gdy się zbudzę, obaczę, że jesteś.

Nowego życia otwieram stronicę.

Wiem, że nas więcej nic już nie rozdzieli,

najwyżej Moiry zdradliwe nożyce.

Może trochę przesadziłem w poetyckiej wenie, może utwór wyszedł co nieco pretensjonalny. W każdym razie przez dwa tygodnie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. A gdy zbyt natarczywie domagałem się responsu od woźnicy, ten, rozjuszony, porwał bat i smagnął mnie przez twarz, pozostawiając na niej czerwoną pręgę. Stało się to, jak się później okazało, podczas ostatniej wizyty Beatrice w naszym domu. Obraz został ukończony. A van Tarn, czemuś smutny, nie chciał na temat swej pięknej modelki rozmawiać. Wtedy się wściekłem. Sonety, listy, czatowanie... W końcu to jest dziwka, a dziwek się nie uwodzi, dziwki się kupuje!

Postanowiłem pójść na nauki do kapitana Massimo, którego podstawowa maksyma życiowa brzmiała: "Wszystko, synu, można w życiu mieć za pieniądze, krom zdrowia i zdrowego rozsądku. Aleć tobie ani jednego, ani drugiego nie brakuje".

Prawdę powiedziawszy, nie brakowało mi również pieniędzy. Za moją pomoc w pracowni mistrz Markus wynagradzał mnie wprawdzie nieregularnie, ale bywało, że hojnie. Również klienci, do których w charakterze umyślnego zanosilem dzieła van Tarna, nie raz obdarzali mnie sutym napiwkami. Rychło też przydała się moja zręczność w malowaniu. Do miejscowych obyczajów przy obstalunku miniatur należało zamawianie ich kopii. Często możny Pater familiae obdarowywał swym konterfektem wszystkich synów. A Markus powtarzać się nie lubił. Kiedy parokroć dowiodłem, że maluję tak sprawnie, iż nie sposób odróżnić replik od oryginału, chętnie spuszczał na mnie ten trud, zwyczajowo pobierając jedynie trzecią część honorarium.

Stary żeglarz już wcześniej namawiał mnie, iżbym poszukał męskich szlifów w jakimś przybytku Erosa, nie czekając, aż stryj Benni wyda mnie za jakąś durną cieliczkę albo ojciec Filippo uczyni mnie mnichem.

–Nic tak nie dodaje pewności siebie mężczyźnie jak miłosna eksperienca.

Puszczałem to mimo uszu, ale tego dnia, gdy ból i wściekłość przelały kielich goryczy, zdecydowałem się.

–Ile to kosztuje, kapitanie?

–Ile? – Massimo wybuchnął śmiechem. – Wśród dziwek bywa większa różnorodność niż wśród koni. A pojmujesz, że jest różnica między ceną rzeźnej chabety a cesarskim rumakiem. Takż jest i między ladacznkami. Przy porcie znajdziesz "mietły" gotowe przychylić ci nieba za parę miedziaków. Ale zabawa z nimi to czynność niebezpieczniejsza niż tarzanie się goło po mrowisku. Można tedy korzystać z usług candeli...

–Świec? Dobrze słyszę?

–Tak je nazywają. Może dlatego, że pomieszkują najczęściej u handlarzy gromnicznych. No bo na pewno nie trzeba ich ze świecą szukać.

Po wyrazie mej twarzy pomiarkował, że raczej nie mam wielkiego smaku na candelę, ciągnął więc dalej swój przewodnik rajfura.

–Osobiście preferuję mammazuolo, domy uciech, skryte pod szyldem Zakładu Stręczenia Służących. Jako inwalida mam tam pięćdziesięcioprocentowy upust. Ty, jako żak, niewątpliwie też dostałbyś jakieś trzydzieści trzy procent zniżki. Miejsca to miłe, bezpieczne, odznaczające się domową atmosferą. Porządku pilnuje tam La Mamma, ochmistrzyni, a spotkać możesz w tem przybytku i uczonych, i artystów, i urzędników, i wojskowych, dla których mammazuolo jest po równi biurem, stołówką, jak i salonem towarzyskim z dyskretną i kulturalną obsługą.

–A ile kosztują takie, które są... jak damy? Westchnął tylko.

–Synu, tu górnej granicy nie ma. Są takie, dla których trzeba być bogatym jak Malficano lub potężnym jak sam cesarz. Chociaż i one mają swoje kaprysy. Pamiętam, kiedym miał jeszcze obie nogi, w Bari zakochała się we mnie niejaka Nannina. Nigdy nie spotkał niewiasty równie foremnej. Zaiste było to połączenie Wenery i Minerwy. Rozsądku i temperamentu. Głos miała głęboki i tak łagodny, że mogłaby oswajać nim hieny. Maniery zaś niebywale wytworne i subtelne. A jakie nakładała stroje czy raczej zdejmowała! Suknie z jedwabiu i aksamitu przetykane złotem, drogimi kamieniami i precudnymi perłami z Persyji, pod niemi miała koszule jedwabne ze złotą frędzlą, na szyi nosiła kolię wartości co najmniej dwustu dukatów. Boże ty mój! A jej bielizna była bielsza od śniegu i tak nasyciona wonnościami... Chociaż naturalny zapach Nanniny też nie miał sobie równych. A znam się na tym, synu. Boć woń u dziewczki rzecz najważniejsza: dobry nos zawczasu wyczuje i chorobę, i cygaństwo, i rabunek, i nieszczęście.

–Dużo brała?

–Tyle co nic. Mówiłem, że była we mnie zakochana. Żenić się ze mną chciała, bylebym morze porzucił i na roli osiąść zechciał. Alem się nie zdecydował. Wyszła tedy za jakiegoś jubilera czy bankiera... A na starość w klasztorze osiadła.

–Nie może być!

–Powiem ci, Freddino, każda nierządnicą w skrytości duszy marzy o normalnym, bogobojnym życiu. Tylko niejedna za późno decyduje się wycofać. Małoż to jednak wielkich dam zaczynało w zamtuzie. Niejedna cesarzowa...

–Ale jak do takiej dotrzeć? Tu, w Rosettinie...

–Znam paru przednich rajfurów. Ułatwię ci dojście. Młody jesteś, świeży. Ile lat ma ta kobieta?

–Jest przed trzydziestką...

–No to może już smakować w dzieciuchach.

Stręczyciel, pulchny jak przejrzała brzoskwinia Izraelita, spytał tylko, o kogo chodzi. Przez zaciśnięte zęby wydukałem, że o Beatrice. Nie wyglądał na zdumionego i obiecał zająć się sprawą. Już następnego dnia rozpromieniony oznajmił, że donna się zgadza, a biorąc pod uwagę mój młody wiek, gotowa jest poświęcić mi czas za symboliczne dwadzieścia pięć dukatów. Była to istna fortuna. Ale – pomyślałem sobie – raz się żyje.

Sutener zaprowadził mnie pod jej dom przy drodze Zachodniej, piękną milą w stylu antycznym, otoczoną wysokim murem, posypanym tłuczonym szkłem i najeżonym ostrymi grotami. Spoza nich wystawały smukłe czubki cyprysów i głowy posągów rozstawionych wokół basenu. Długo bym musiał szturmować tę twierdzę, gdyby nie magiczny klucz w postaci gotówki. Drzwi otworzyła mi czarna jak bezksiężycowa noc pokojówka w kusej tunice i poprowadziła do atrium. Stąpając po miękkich dywanach, mijalem komnaty zdumiewające zbytkiem. Były tam kredensy inkrustowane srebrem, na ścianach wisiały cenne tkaniny, wszędzie zaś stały wazy porfirowane lub figury z alabastru. Murzynka zaprowadziła mnie do łaźni, rozebrała i wepchnęła do wanny, nie wydając się być wcale zawstydzoną widokiem nagiego mężczyzny. Ja byłem. Ale gdy sama, obnażywszy się do pasa, poczęła mnie masować a ugniatać, i olejem smarować, podnieciłem się wielce i gotów byłem zgrzeszyć nawet z taką "ciemnotą"...

–Odpieprz się, stara kurwo – wrzasnął ktoś gardłowo. Aż podskoczyłem, ale moja łaźiebница tylko roześmiała się i wskazała mi papugę, wielką, kolorową arę siedzącą na gałęzi. W ogóle w domu pełno było zwierząt: piesków, kotków, kanarków, co jak miałem się przekonać, było dla gospodarstwa nierządnic dość typowe. Potem Saba (bo tak ją zwali), przebrawszy mnie w lekkie peplum, poprowadziła w głąb alkowy. Było tu ciemno, a wypełniał ją zapach zawieszisty, intensywny... W półmroku, wielce podniecony, postrzegłem łożę i leżącą na nim postać.

–Beatrice.

Odpowiedział mi szept:

–Si, si, amore miol – Skoczyłem tedy, a ponieważ otwarła się przede mną, wszedłem w nią jednym śmiałym ruchem... Jej nogi zamknęły się za mną jak dwa rygle. Mimo podniecenia od razu pomiarkowałem, że coś jest nie tak. Ciało, które trzymałem w ramionach, nie było moją Beatrice, było przywiędłe, luźne, mocno niemłode...

Od strony atrium doleciał mnie szyderczy krzyk papugi:

–Odpieprz się, stara kurwo!

Nie miałem dość odwagi, aby zakrzyknąć to samo.

Trzeba powiedzieć, że Beatrice II dobrze zapracowała na swoją stawkę. Lubo zrazu nie miałem wielkiej ochoty, przekonała mnie, że nawet putana emerytka potrafi dobrze zabawić młodego chłopca. Wino, afrodyzjaki i czarna służąca dokonały reszty. Zrazu maluśki jak przestraszony mysikrólik, za jej sprawą poczułem się kondorem. I nawracałem czterokroć, z posiłkami w przerwach. Kurtyzana okazała się osobą wykształconą, znała doskonale poezję, interesowała się malarstwem, jej twarz zachowała też ślady dawnej wielkiej urody, a że swój okres świetności miała dwadzieścia lat temu... No cóż, nikt nie jest doskonały! Odchodząc, spytałem ją o pierwszą Beatrice.

–Wenus z Montenegro?! A więc ją myślałeś tu zastać. Masz dobry gust, Alfredo, i wysoko mierzysz... Ale spóźniłeś się. Ładnych parę lat. Beata odeszła już z zawodu.

–Wyszła za mąż?

–Ona? Pogardziła wszak prawdziwym księciem...

–Gdzie więc mogę ją znaleźć?

Milczała, prowadząc mnie do furty. Kurdupłowate pieski oszcze kiwały nas jazgotliwie.

–Nie szukaj jej, ragazzo – powiedziała w końcu. – To niebezpieczne. Ona ma teraz bardzo zazdrosnego oblubieńca.

–Któż nim jest? Znowu jakiś ksiązę?

–Gorzej. Diabeł!

6. Kryzysowa sytuacja

Lodovico Malficano uwielbiał się chwalić. Przypuszczam nawet, że nie tyle chodziło mu o imponowanie mnie, chudopachołkowi, ile o dzielenie się przyjemnościami. Cóż bowiem znaczy sukces, o którym nikt nie wie. Dość skwapliwie wykorzystywałem tę jego przywarę. Gdy mówił na przykład: "Kupiliśmy kilka rumaków szlachetnej krwi, świetnie ułożonych, nie chciałbyś objeździć je ze mną?", bez oporów przystawałem na tę propozycję. I wnet śmigaliśmy poza miastem po polach, gajach i pastwiskach.

Któregoś dnia podczas takiej przejażdżki zapuściliśmy się aż w rejon Montana

Rossa. Wprawdzie donna Pazzi wraz z Aurelią przebywały w mieście – zarządca dobrze mnie znał i zaprosił, byśmy popasali w jego pani włościach. Zaprowadziłem młodego hrabiego w ruiny, pokazałem świętą sadzawkę, a potem, po wypiciu butelki przedniego wina, język mi się rozwiązał i opowiedziałem mu o Aurelii i Beatrice. (Pomiąłem jeno kłopotliwy wątek ojca Filippo i donny Pazzi.)

Gdy skończyłem, oczy arystokraty były jako dwa rondelki.

–Wspaniale zmyślasz, Freddino – zawołał. – Winienesz książki pisać!

–Ja zmyślam – zakrzyknąłem wzburzony. – Na honor, niech mnie piorun na miejscu trafi. Oni naprawdę tu się zbierają, sabaty odprawiają...

–Spraw, bym to obaczył, a uwierzę.

–Ale jak... Nie znam przecie terminów ich tajemnych obrzędów... Zarazi – Przypomniała mi się jedna z ksiąg z biblioteki mego ojca: wspominała ona, że do dni szczególnie przez wyznawców ciemnych mocy ulubionych należy noc z trzydziestego kwietnia na pierwszy maja, u Niemców nazywana nocą Walpurgi.

–Noc Walpurgi? Toż to ledwie za trzy dni! – zakrzyknął Lodovico. – Przybędziemy tu razem, ukryjemy w ruinach i obaczymy rzeczy, o jakich się nie śniło filozofom.

Przystałem na ten koncept, myśląc jedynie, czy znów ujrzę Beatrice. Tymczasem nazajutrz doszło do wielkiej scysji z ojcem Filippo. Wielce podekscytowany oznajmił mi z rana, że nazajutrz ma nas na kolacji odwiedzić Jego Eminencja kardynał Gaetano, osobisty nuncjusz Ojca Świętego.

–Jest tobą wielce zainteresowany, mój chłopcze. Jeśli dobrze wypadniesz, weźmie cię do Rzymu i tam umieści w najlepszym seminarium.

–Mnie do seminarium? Jak to?

–Nigdy nie ukrywałeś woli ostania sługą Pańskim.

–Można Mu służyć na różne sposoby.

–Kapłaństwo jest koroną wszelkiej służby. Rekomendacja kardynała, któren jest wikariuszem Świętego Officjum, oraz dobre studia otworzą ci drogę do najwyższych urzędów. Dałem słowo twojej matce na łożu śmierci, iż pokieruję tobą. I sen wówczas miałem, że zdobędziesz sławę wielką, dokonasz czynów niezwykłych, które wielce będą się podobały Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu.

Od paru lat obawiałem się tej chwili. Teraz nadeszła.

–Ależ, ojciec duchowny, ja nie jestem przygotowany do kapłaństwa! – zawołałem z przestrawieniem.

–Tedy przygotowują cię w seminarium.

–Aliści nie mam wcale pewności co do mego powołania. Modłę się i modłę, a nie słyszę wewnętrznego głosu.

–Módl się dalej, a go usłyszysz...

–Błagam o czas.

–Jego Eminencja nawiedzi nas jutro, synu.

Jedynę co przyszło mi do głowy, to uciec i gdzieś przeczekać tę opresję. Miałem nadzieję, że kiedy kardynał wyjedzie, wszystko rozejdzie się po kościach. Lodovico udzielił mi schronienia w swoim pałacu. Umieścił mnie w małej komnacie na mansardzie, a służbie, gdyby przyszli się pytać o mnie ludzie don Filippo, nakazał mówić, że nie widzieli mnie od tygodnia.

–Wybacz jeno, iż nie będę ci towarzyszył dzisiejszego wieczora – powiedział Lodovico. – Muszę jednakowoż iść na kolację do don Gueraniego, który zawzięcie swata mnie z córką swoją, Clarettą. Ma ona wprawdzie kaczy chód i jest bardziej piegowata niż indycze jajo, ale ponoć każdy jej pieg wart jest tysiąc florenów, więc nie mogę jej lekceważyć.

Nigdy dopotąd nie ostawałem sam w ogromnym pałacu Malficanów, o setkach pokoi nieznanego przeznaczenia i dziesiątkach, zda się, prowadzących donikąd korytarzy. Opodal skrzydła, w którym przebywałem, wznosił się ów centralny donżon. Zastanawiałem się, czy i teraz, za wąskimi oknami zasłoniętymi przez grube i cenne kotary, może się kryć mityczny don Orlando, boć smrodu żadnego nie czułem. Młody hrabia nie uczynił mi żadnych ograniczeń w zwiedzaniu, a do korzystania z biblioteki wręcz zachęcał, toteż szybko zszedłem na drugie piętro i począłem oglądać amfiladowe stanzę na przepyszną galerię rzeźb i obrazów obrócone. Od zgromadzonych tu bogactw można było dostać zawrotu głowy. Bez trudu wypatrzyłem i jednego Leonarda, i dwa Rafaele, Tycjanów, Veronesów i Tintorettów nie zliczę. Szczególnie jednak zafascynowało mnie średniej wielkości płótno Raj, przypisywane Boschowi, wiszące w ustronnej komnacie, chyba na cabinet do pracy, przeznaczonej, bo globus stał w niej wielki i sekretarzyk zdobiony drogocennymi klejnoty... Zachodzące słońce zalewało pomieszczenie purpurą, toteż obraz zdawał się płonąć. Nigdy dopotąd nie oglądałem tego malowidła, a i dziś trudno byłoby mi uwierzyć, że wyszło spod ludzkiej ręki, przekraczało bowiem granice fantazji. Raj przedstawiał ludzi nagich, silnie owłosionych, wśród gadów ogromnych jak katedra, tak nadzwyczajnie wyczelowanych, jakby mistrz Hieronimus z natury je rysował.

Bestie były szpetne, łuską pokryte, o główkach małych, cienkich szyjach, przechodzących w olbrzymie cielska opatrzone niezwykleymi grzebieniami na plecach. I było tam też drzewo Wiadomości Dobrego i Złego bez liści, za to z wyrastającymi ogromnymi kolistymi czaszami na kształt metalicznych uszu. Ponad drzewem zaś unosił się dysk srebrzysty z okienkami małymi, spoza których wзираły zielone oczy malutkich stworów... A było w tym ogrodzie wszystko prócz Boga. Gdzież mógł widzieć coś takiego mistrz Hieronimus – we śnie, w imaginacji swojej, czy może naprawdę przybył nie z tego świata...?

Naraz usłyszałem kroki i głosy, coraz bliższe. Przestraszyłem się trochę, byłem tu bowiem gościem raczej nieproszonym. Próbuując skryć się za kotarą, obok namalowanego arcydzieła, odkryłem małe, nie domknięte drzwiczki, skoczyłem ku nim. Zdążyłem. Niestety, maleńki pokoik okazał się pułapką, nie było zeń drugiego wyjścia i nie musiałem się zastanawiać, jakiemu celowi miał służyć, posiadał bowiem niewielkie otwory, dzięki którym można było słuchać, co dzieje się w okolicznych pokojach, a także piętro wyżej i w antyszambrach na parterze. Czyżby było to stanowisko szpiega?

Głosy przybliżyły się. Sądząc po dobiegających mnie dźwiękach, idący przodem zaciągał zasłony we wszystkich oknach.

–Ależ, ojcze, czyż mogę nie poinformować o tym spotkaniu Signorii? – pytał młody głos.

–Rozumiem twe skrupuły, Damiano, a twoja prawość jest nieustannym powodem mej dumy – odpowiedział mu głos drugi, skrzeczący nieco, pełen jednak osobliwej mocy – wszelako sam najlepiej wiesz, jak się rzeczy mają. Signorię pęta bezwład i z dawna niezdolna jest do skutecznych działań. Miele jeno piękne słowa o Republice, której już prawie nie ma. Tonie jak przeciekająca galera. A na pokładzie spory, waśnie i niemożność porozumienia nawet w chwili zagrożenia. Ergo, my musimy ją ratować. Aliści nie jakąś abstrakcyjną republikę, tylko Rosettinę, nasz kraj. Zaś nie możemy tego uczynić bez sprzymierzeńców. A z kim możemy się sprzymierzyć? Papież nam nie ufa, wysłał na przespiegi zastępcę Wielkiego Inkwizytora. Król Francji jest za słaby. Anglia jest za daleko, a sułtan z powodów oczywistych nie nadaje się na sojusznika. Pozostaje zatem...

–Atoli czy można ufać cesarzowi, ojcze? To wiarołomca i grzesznik, którego sam bezbożną alchemią się para...

–Ja nie ufam nikomu. Wszakże o kogoś trzeba się oprzeć. Gdy z Bożą pomocą nasz plan się powiedzie, odwrócimy przymierza i wypchniemy Teutonów za Alpy. I to nie tylko dla dobra Rosettiny. Dla dobra Italii. Jak marzył Makiawel: przyszłych zjednoczonych Włoch.

–A jak się nam nie powiedzie?

–Pozostaw to mnie. A teraz idź, pokaż się gościom w jadalni, ja zaś pomówię z margrabią.

Młody Malficano oddalił się. Ojciec zaś jego stał chwilę przed obrazem, którego przeć w ciemności dojrzeć nie mógł, mrużąc coś pod nosem. Potem znów rozległy się kroki.

–Cesarz przysłała wam swe pozdrowienia, dostojny hrabio – powiedział przybysz. W jego głosie pobrzmiwał cudzoziemski akcent.

–A ja chylę czoło przed Jego Wielkim Majestatem, Wasza Miłość. Wybacz, że w mroku rozmawiamy, ale moje oczy... Od lat prześladowuje mnie choroba ciężka, nie dopuszczająca dziennego światła. A ostatnio nawet blask kaganka mnie razi. Życ muszę tedy w pomroce i słuchać, jak donoszą mi o tem, że jedni ludzie uampirem zaczynają mnie nazywać, drudzy zaś uważają za ofiarę złośliwej lepry...

–Najjaśniejszy Pan, wie o waszej chorobie. I życzy wam wiele zdrowia.

–Macie list do mnie?

–Mam upoważnienia do porozumienia ustnego. Jeśli Rosettina opuści Ligę Antycesarską, do której, po klęsce Strozziogo, pchnęła ją obłąkańcza zuchwałość Signorii, może być pewna łaskawości cesarza i znacznych nabytków terytorialnych.

–Miło to słyszeć, wszelako muszę być pewien, że gdy akcję moją zacznę, Jego Cesarska Mość mnie nie opuści. I że spełni daną mi obietnicę...

–Mam zapewnienie szczególnej łaski dla waszej rodziny, dostojny hrabio.

–To znaczy?

–Wpierw musielibyście o własnych siłach podporządkować sobie ono miasto.

–To nie będzie trudne. Lud jest mocno wzburzony niedostatkiem i panującym bezwładem, czeka tylko iskry.

–Któż ją skrzesa?

–Możliwości ku temu jest niemało, jeden idiota może w takiej sytuacji narobić więcej szkód niż pięć manipułów wojska. Z łatwością można wzniecić ogień wśród pospólstwa, gdy jest ono wysuszone niedostatkiem na wiór.

–Chcecie wywołać bunt?

–Kontrolowany. Albowiem w obliczu nieporządków i anarchii możni niechybnie zwrócą się do mnie o pomoc, jako że ja jeden nie jestem uwikłań w dotychczasowe waśni rodowe, nadto posiadam dość sił i pieniędzy, by okiełznać ruchawkę. Mego syna, Damiana, obiorą na urząd Najwyższego Defensora. A potem...

–A jeśli bunt nie wybuchnie?

–O to możecie być spokojny, wszystko jest gotowe i wnet nasi wrogowie znajdą się w nie lada opałach, choć nigdy nie domyśla się dlaczego... – Tu Orlando Malficano zaniósł się nieprzyjemnym, starczym śmiechem.

–Kiedy to się stanie?

–W każdej chwili. Muszę jednakże mieć zapewnienie. To niska cena...

–Ma pan moje słowo, Wasza Hrabiowska Mość.

–Chcę usłyszeć głośno!

–Mitra. Dziedziczna mitra książęca, jak długo trwać będzie ród wasz...

Rozległo się westchnienie ulgi, głosy oddaliły się, pozostawiając mnie w dziwnym pomieszaniu myśli. Niewiele pojmowałem z owej rozmowy, ale z tego, co pojąłem, ojciec mego przyjaciela przehandlował właśnie wolność Rosettiny.

Kiedy ma się szesnaście, siedemnaście lat, nie zauważa się wielkiej polityki. Chyba że ta sama wdrze się do twojego życia. Kryzys Rosettiny zaczął się już dobry wiek temu. Chociaż trudno postrzegać zmiany, gdy te są powolne i z dnia na dzień niewidoczne. Zwłaszcza że, jak w kroniki i pamiętniki zajrzeć, ludzie zawsze mówili o kryzysie. Jeśli wierzyć zapiskom i narzekaniom starszych, młodzież była coraz gorsza, obyczaje coraz bardziej zepsute, a nawet pogoda już nie taka jak dawniej.

Zmierzch Rosettiny widoczny i wprzód, od kiedy odkrycie Nowego Świata przeniosło oczy i kieszenie całej ludzkości nad Atlantyk, a europejskie okna wystawowe: Florencja, Genua, Wenecja czy moja Rosettina stały się nagle tyłem sklepu. Świetne zwycięstwo pod Lepanto nie odwróciło zagrożenia tureckiego; skutkiem piractwa handel zamierał. A wielkie potęgi: Francja, Hiszpania i Cesarstwo, które weszły na półwysep, były jak młyny Boże, w których żarnach dawne republiki miały się na proszek. Rządy republikańskie co rusz zastępowali despoci, kreatury zaiste podłego kalibru. Co i rusz który, naczytawszy się Makiawela, widział się nowym Cezarem Borgią. Aliści mało kto posiadał ojca papieża, a był to warunek sine qua non, iżby marzyć o zjednoczeniu półwyspu. Podupadła Florencja, a nawet Serenissima nie była już taka jak ongiś, mimo że pałace wokół Canale Grandę nadal

swym zbytkiem i przepychem zdawały się zaprzeczać faktom. Rosettina, dzięki urodzajnej okolicy, dogodnemu portowi i rozwiniętemu rzemiosłu dosyć długo radziła sobie całkiem nieźle. Równowaga pomiędzy walczącymi o władzę frakcjami sprawiała, że rzadziej dochodziło u nas do mordów i jeśli ktoś posługiwał się sztyletem lub trucizną, to częściej, żeby znieawidzonej teściowej się pozbyć lub nieuczciwego współnika pokarać, niż by po najwyższe zaszczyty sięgnąć. Zachowywanie zaś stanu rozsądnej równowagi między cesarzem, papieżem a królami francuskimi pozwalało trwać Republice w stanie kruchej tymczasowości.

Jednakowoż od pamiętnej suszy wiele znaków dowodziło, iż fortuna całkiem odwróciła się od Republiki; następnego roku przyszła wielka powódź, po niej szarańcza. Pamiętam dni, kiedy chmury owadów przysłaniały niebo. Za to zimą mrozy chwyciły u nas niebywale, tak że dzieciaki ślizgać się mogły po lagunie. Z kolei na przednówku nastął głód tak straszny, iż na prowincji dochodziło do wypadków kanibalizmu, a matki z braku pokarmu musiały uśmiercać własne dzieci. Samą Rosettinę chroniły jeszcze zasobne spichlerze i złoto, za które skupywano zboże na Północy i spławiano je morzami do nas. Starzy ludzie powiadali jednak, że oto idą dni ostatnie, zapowiadane przez świętego Jana Ewangelistę na wyspie Patmos, zamykali się po kościołach i memłając bezzębnymi szczękami litanie i antyfony, wypatrywali rychłego nadejścia Pana. Zresztą mnożyły się znaki na niebie i ziemi, które nawet racjonalistę Markusa napawały niepokojem. Figura Maryi Panny w katedrze poczęła płakać krwawymi łzami i nic nie mogło ich pohamować, piorun zdruzgotał pomnik Guiliano Grandiego, założyciela miasta, na południowym niebie pojawiła się kometa wielka, z każdym dniem ogromniejąca, aż noce poczęły przypominać dzień. Mówiono mi też, że mieszkańcom Sycylii i Peloponezu od jej żaru skóra poczęła ciemnieć bardziej niżli wprzód. Oczekiwano więc w wielkiej trwodze uderzenia onej gwiazdy w ziemię, co rzeczywiście mogłoby przynieść zagładę ludzkości, wedle jednych przez wielkie wód poruszenie, ergo nowy potop, wedle drugich – przez spalenie całego powietrza w jej ogniu, tak że się wszyscy poduszają. Niejeden rozpustny bogacz przedawał majątek i szedł do eremu. Choć inni, odwrotnie, pragnąc użyć przed niechybnym końcem wszelkich uciech tego świata, oddawali się wyuzdanej rozpuście. Powiadają, parę klasztorów na zachodzie mnisi zamienili na lupanary, czemu jednak nie bardzo wierzyłem, bo choć wielu o tym gadało, nikt nie potrafił przytoczyć nazw onych konwentów. Wreszcie ostatniej zimy stado wielkich delfinów, Jonaszami zwanych, wypęzło w wielkiej liczbie na piaski Lido di San Giorgio, gdzie – mimo perswazji zakonników, spychających je na powrót w odmęt – pozostały na lądzie i wszystkie pomarły.

Nie dziw, że coraz częściej dochodziło do zaburzeń głodowych. Lud szemrał na bogatych, a wszyscy zastanawiali się nad sposobem prześlągania zagniewanego Stwórcy. Ożyły dawne konflikty stronnictw. Guerani boczyli się na Pazzich, Urbini na Grivaldich, a siepacze Barzzuolich zabili syna Torrellich w sam Wielki Piątek podle Bramy Solnej. Na dobitkę pojawiła się nowa choroba, jedni mówią, że przez kontakty

intymnie wywoływana, drudzy, że przez pocałunek nawet się roznosząca. Trudno mi w to było uwierzyć, jako że stryj Benedetto, którego uległ jej czas jakiś później i oddał ducha Bogu jesienią, gdy już mnie nie stało w Rosettinie, od dawna z nikim się nie całował, a żądź cielesnych nie miewał. Chorzy dostawali wielkiej gorączki, tak strasznej, że wszystkimi porami wydobywał się z nich krwawy pot, po czym umierali, zaś nieliczni, którym udało się przeżyć, przeważnie bardzo młodzi, tracili wzrok.

Nie dziw więc, że wszyscy zaś, może poza mną, zajęтым poszukiwaniem Beatrice, zadawali sobie pytanie: "Kto jest temu winien?" Wątpliwości nie miał ojciec Filippo, a jeszcze bardziej Giuseppe, jego młody uczeń, świeżo z Hiszpanii przybyły.

–Plagi są karą za grzechy nasze!

Tu parę słów o Giuseppe di Piedimonte. Nigdy do końca nie udało mi się zgłębić duszy tego mnicha. Nadzwyczajnie chudy, o oczach pałających jak dwa kraterzy wulkanu, zdawał się być pozbawionym pokus i uczuć ludzkim wcieleniem archaniola. Prywatnie uprzedzająco grzeczny i niezwykle skromny, w spłowiełej, pocerowanej sutannie, stając na kazalnicy zmieniał się w proroka rodem bardziej ze Starego niż Nowego Testamentu. Miał coś we wzroku i w głosie, co zniewalało, wywołując wśród audytorium napięcie, ekscytację, zmuszało do słuchania i do zgadzania się z tym, co mówił. Mnie osobiście denerwował, ale sfrustrowanym mieszkańcom miasta zdawał się być wskrzeszonym Savonarolą.

–Ludzie Rosettiny! – wołał. – Szatan ze swemi hufcami nadciąga! Zepsucie sięga dna, ale kara będzie nieuchronna i straszliwa. Miasto nasze rychło spłynie krwią, kobiety będą odebrane mężom, a dziewice zostaną zgwałcone. Zapadną się świątynie i nie pozostanie kamień na kamieniu z pałaców waszych, w których zwierz dziki założy swe siedlisko!

I słuchali go bladzi, struchlali. Ja między nimi.

Porównując Giuseppe z Savonarolą, którego biografię przeczytałem w późniejszym czasie, zauważyłem znamienne różnice między nimi. Nasz mnich nie nawoływał do wyrzeczenia się bogactw i budowania Królestwa Bożego na ziemi. Po doświadczeniach straszego XVI wieku złudzeń co do skuteczności takich apeli nie miał. Wzywał za to do czujności i do krucjaty z wrogiem – widzialnym i niewidzialnym. A wśród przeciwników widzialnych byli: heretycy, artyści, czarownice i Żydzi.

Pamiętam kolację w Wysokim Domu, kiedy wszczął się dyskurs na temat mnicha między don Filippo, stryjem Bennim, kapitanem Massimo, Markusem van Tarn i doktorem Gasperim, który zbadać Giovanninę był przyszedł i na wieczerzy ostał. Pytał Markus jezuitę:

–Zali nie boicie się, że koło strachów i podejrzeń, puszczone w ruch przez onego

braciszka, może już nie zostać zatrzymane?

–Pan Niebios przemawia przez usta Giuseppe – odparł mój “ojciec-ojciec”. – On nas budzi i wzywa do opamiętania, uświadamiając ogrom naszych grzechów i nieznośną lekkość bytu.

–Ale ten mnich igra z ogniem – wsparł van Tarna Gasperi. – Wczoraj w kazaniu atakował Babilon, mówiąc o siedlisku nieprawości, zachłannej władzy... Jedni widzieli w tym atak na Signorię, ale inni rozumieją, że chodzi mu o wszelką władzę. Cesarza, papieża...

–Kiedy nawa naszej ojczyzny z wolna tonie – westchnął Benedetto – potrzeba kogoś, kto ją wywiedzie, i jeśli Pan zsyła nam takiego człowieka...

–Jednakże gorze wszystkim, jeśli szaleństwo pójdzie wprzód przed rozsądkiem – ozwał się Massimo.

–Nie masz szaleństwa, gdy ktoś jest mężem Bożym. Podobnie jak u nas przy stole, tak w całym mieście wzburzenie panowało wielkie, a tymczasem trzydziestego kwietnia wczesnym popołudniem Lodovico, ja i pacholik imieniem Riccardo, nie mówiąc nic nikomu, opuściliśmy Rosettinę, kierując się w stronę ciemniejącego masywu gór, u stóp których leżała Montana Rossa.

7. Noc diabła, dni szatana

Przeklęta ciekawość. Czasem podejrzewam, że jest ona u mnie silniejsza od instynktu samozachowawczego. Dziś myślę, że bez niej mógłbym przeżyć spokojnie życie jako nie najgorszy malarz lubo nauczyciel, a nawet ksiądz... Czemuż jednak zawsze goniło mnie za tym, co nieznanne, zakryte, niebezpieczne?

Do Montana Rossa dotarliśmy o zmierzchu, nim jeszcze purpurowe refleksy objęły zachodni skłon nieba. Konie i pacholika ostawiliśmy milę od ruin. Poprowadziłem młodego hrabiego znaną mi ścieżką, okrążającą włość i wydeptaną zapewne przez sarny lubo muflony zmierzające do wodopoju. Na wszelki wypadek Lodovico zabrał ze sobą dwie króćce, a ja, iżby ustrzec się od zakusów diabła, krzyż mały, należący ongi do mej nieboszczki matki. Przebiegliśmy gaj oliwkowy, cichy i senny, nie trafiając ni pasterza, ni gęsiarki.

Dotarłszy na miejsce, skryliśmy się w gęsto obrośniętej krzakami grocie, uformowanej z zawalonych ścian wschodniej części uilli. Do świętej sadzawki było o rzut kamieniem.

–Tu możemy zaczekać, panie.

–Ty dowodzisz – uśmiechnął się Lodovico.

Do północy było mnóstwo czasu, toteż skracaliśmy oczekiwanie, grając w kości (wygrałem!) i popijając wino z bukłaka. Potem zmorzył mnie sen.

Obudziła nas muzyka fletów i dudnienie bębna. Tym razem nikt nie śpiewał. Wyściubiwszy głowy, ujrzeliśmy święty krąg zalany księżycowym światłem. Wokół źródła płały rytmicznie, niczym swe własne cienie, postaci w maskach: ptasich, zwierzęcych, gadzich. Tańczących, sądząc po ruchach, była ponad dwudziestka osób różnej płci. Rzekłbyś, karnawał wkroczył do Montana Rossa. Nigdzie nie mogłem dojrzeć Aurelii... Natomiast gdy muzyka osiągnęła crescendo, w sadzawce z chlupotem wyłoniła się Beatrice, naga i piękna jak ongi. Bito jej pokłony, a klękając, całowano w zadek i w przyrodzenie jak na sabatach zwykło się czcić szatana i jego plenipotentów.

–Żeby miał jakąkolwiek maskę, zszedłbym tam – szepnął mi w ucho Lodovico. Oddech miał gorący, a oczy lśniły mu jak u młodego wilka.

–Oni mogą być niebezpieczni, hrabio. Gdyby cię rozpoznali...

–Uwielbiam niebezpieczeństwo!

Muzyka wzmogła się, rytm uległ przyspieszeniu, co chwila flety wykonywały hałaśliwe tremolo, nagle Beatrice wydostała się z koliska ogarniających ją rąk i wskoczyła na powaloną kolumnę.

–Euohe! – krzyknęła rozkazująco.

–Euohe! – odpowiedzieli uczestnicy ceremonii.

I poczęli pozbywać się szat, szybciej niżby obierali łupiny z fasoli.

–Ewua l'amore!

I szaty poczęły padać wokół jak deszcz, a gołe postaci wirować wokół sadzawki. Byli tam męże, ale również mnóstwo kształtnych niewiast. I pomiarkowałem, że tym razem nie zgromadzili się tu okoliczni wieśniacy na pradawny obrzęd. Przeciwnie, sądząc po biżuterii połyskującej na nagich ciałach, to elita Rosettiny spotkała się na występnej orgii.

Obłapiania tańczących były coraz śmielsze, co rusz, kto mógł, chwycił wybrankę w ramiona i pociągał na bok. Naraz koło naszego stanowiska z chichotem przebiegła młoda białogłowa z rozpuszczonymi włosy, a za nią dwóch podnieconych satyrów. Jeden z nich, brzuchaty jak sam Bachus, potknął się o wystający korzeń i runął jak długi. Malficano nie namyślał się nawet chwili, wysunął się zza krzaków i rąbnął przewróconego krócićą w tył głowy. Potem zdarł mu maskę kozła i nasunął ją na swoją twarz. W sekundę rozebrał się do naga.

–Na Boga! Co wasza miłość robi? – szepnąłem.

–Dołączam do tych igraszek. A jak znajdę jeszcze jaką maskę, wrócę po ciebie. – Zbiegł na dół i przypadł do Beatrice, która rytmicznie obracała się na powalonej kolumnie. Porwał ją w ramiona...

Gwizd! Jeden, drugi, trzeci. Naraz uczyniło się cicho. Tańczący zamarli. Ze wszystkich stron kręgu wysunęły się postacie w kapturach. Jedni nieśli pochodnie, drudzy mieli gotowe do strzału muszkiety. Przewodził im z odkrytą głową Lino Barzzuoli, capitano della guardia. U jego boku, niosąc krzyż, postępował w białym habicie Giuseppe di Piedimonte. I zabrzmiał jego głos doniosły, ostry jak szkło:

–Brać czarowników!

Gwardziści ruszyli w dół. Tańczący, oszołomieni winem, muzyką i chucią, bezbronni, dawali się wiązać jak barany. Jedni wołali pardonu, inni ofiarowywali cały swój majątek, by się wykupić. Bardzo niewielu, między nimi Lodovico, próbowało się bronić. Mój przyjaciel wyrwał rapier jednemu z gwardzistów i pchnął go sztychem. Ciągle miał na twarzy maskę kozła. Powalił następnego z napastników, potem trzeciego i skoczył między ruiny. Poderwałem się na równe nogi. Do kroćset! Mogło mu się udać. Pobierał lekcji fechtunku u najpierwszych mistrzów z Mediolanu. Pojęli to i napastnicy. Któryś wycelował z bandoletu. Huknął strzał i kula trafiła młodzieńca w ramię. Zachwiał się, ale przechwycił broń w lewą rękę i przyszpilił kolejnego z gwardzistów. Między nim a oliwkowym gajem stał teraz już tylko jeden zbrojny z wycelowanym muszkietem. Mierzył prosto w pierś młodego arystokraty. Nie mógł chybić.

–Poddaję się – zawołał naraz Malficano i nagłym ruchem strącił swą maskę. Muszkieter musiał go poznać i zdumieć się, albowiem opuścił broń. Śmignął rzucony rapier i wbił się w pierś gwardzisty. Jeszcze chwila, a gęstwa drzew ogarnęła Lodovica.

Z emocji zapomniałem o ostrożności i śledziłem bój, zupełnie się nie kryjąc.

–Mam cię – syknął mi nad uchem czyjś głos. Ktoś chwycił mnie za ramię. Instynktownie wyrwałem się z rąk napastnika i pobiegłem przed siebie, nie zważając na krzyki goniącego, potem stanąłem na skraju muru i skoczyłem w ciemność, w zbawczą toń sadzawki. Dzięki Bogu trafiłem wprost na studnię. Woda zamknęła się nade mną. Jeszcze chwila, a odnalazłem tajny przesmyk. Wypłynąłem po drugiej stronie w podziemnej komorze. Po chwili skrzesalem ognia.

–Brawo, Freddino – z ciemności dobiegł mnie szept Beatrice. – Na razie nam się udało, ale to dopiero początek...

Oczywiście chciałem natychmiast uciekać. Kurtyzana powstrzymała mnie.

–Dokąd chcesz biec, chłopcze? W mili są już gwardziści! Wpadlibyśmy wprost w ich ręce.

–Tu też zaraz będą. Widzieli, jak skoczyłem. Będą mnie szukać. I z pewnością domyśla się, gdzie się ukryłem. A ja nie mam nic prócz tego noża.

–Wątpię. Prędzej uznają, żeś się utopił. Są zbyt zabobonni, aby po nocy nurkować w poszukiwaniu twego ciała. Zresztą utrudnimy im zadanie... Chodź, pomożesz mi.

W podziemnej sadzawce znajdował się okruch skalny idealnie pasujący do otworu, najwyraźniej przygotowany na podobną okoliczność. Wspólnie zatkaliśmy prześwit.

–I co teraz? – zapytałem.

–Poczekamy, aż wyschnie twe odzienie. Poza tym, zdaje się, że bardzo pragnąłeś się ze mną obaczyć, masz okazję.

Siadła obok mnie naga, wilgotna, bliska. Błyskawicznie odczułem podniecenie. I zażenowanie. Na szczęście ona nie miała żadnych oporów. Musnęła ustami me ramiona, dotknęła dłonią... Ekspłodowałem.

–Och, bambino – szepnęła rozbawiona. – Nie wiedziałam, że jesteś aż tak gotowy. – Ale nic, poczekamy.

Nie musieliśmy długo czekać. Jej usta dokonywały ze mną czynów przedziwnych, już po chwili, nasycony mocą płynącą z jej ciała, byłem znów gotów! O, chwilo czarodziejska, w której każdy z nas zdaje się być Kolumbem i Orfeuszem! Wszedłem w nią mocno. Gwałtownie... Beatrice zatopiła paznokcie w mych plecach, a z jej ust dobywał się pomruk namiętej wilczycy. Pomruk ten w miarę, jak dążyliśmy wyżej i dalej, przedziwnie spleciony z boleści i rozkoszy, stawał się coraz wyższy i wyższy. Stłumiła krzyk, zatapiając zęby w mym ramieniu. Nie bez powodu biegli w miłości Frankowie zowią miłosny szczyt słodką śmiercią. Dla mnie oznaczał powrót na ziemię; gdy skończyłem, uniesienie naraz odpłynęło. Poczułem się dziwnie głupio. Jakbym zbudzony przypomniał sobie, że byłem ledwie jednym z tysięcy jej kochanków. Pocałunki przestały sprawiać mi radość. Jej przeciwnie. Była nienasycona.

Gdy trochę odpoczęliśmy, zaczęła mnie wypytywać, jak tu trafiłem. Opowiedziałem jej o tym, co widziałem nad sadzawką przed laty, wyznałem, jak bardzo pragnąłem ją obaczyć raz jeszcze. Zaniepokojona zapytała, kto jeszcze wiedział o wyprawie.

–Oprócz hrabiego Lodovico i pachołka Malflcanów, nikt.

Chwilę zastanawiała się.

–Ostrzegano mnie, że szykuje się zasadzka. Nie wierzyłam... Czy widziałeś dokładnie, kto dowodził atakiem?

–Capitano Barzzuoli.

–Porca madonna! Mogłam to była przewidzieć, zważywszy, iż w zabawie uczestniczyli Torelli, Pazzi i Grivaldi... Mogli być szpiegowani przez siepaczy w służbie innej frakcji. A widziałeś tego szaleńca?

–Kogo?

–Brata Piedimonte. Boję się go. We wróżbach Aurelii stoi, iż za jego sprawą nadejdzie wielkie nieszczęście. Morze ognia, morze krwi.

–Nie możecie go powstrzymać?

–Jak?

–Czarami!

Wybuchnęła śmiechem.

–Wierzysz w czary, chłopcze? Ja nie. Aurelia, owszem, zna się na ziołach, umie leczyć i wróżyć. W jej rodzinie przechowała się, przenoszona z pokolenia na pokolenie wiedza starożytnych augurów i heruspików, ale nie potrafi ani czynić cudów, ani wysługiwać się szatanem, którego, jak mi przysięgła, nigdy nie spotkała.

–Jednak sam widziałem, jak skutkiem waszych zabiegów spadł deszcz.

–Bo i tak miał spaść. Aurelia, a zwłaszcza jej reumatyczne kości, znakomicie przepowiadają zmianę pogody.

–A ta ceremonia... Ty jako Kybele?

–Dla mnie była to zabawa, dla Aurelii zarobek. Nieskończone są złoza ludzkiej naiwności. A dziś... Czy uważasz, że widziałeś prawdziwy sabat? Czy przyleciał ktoś na miotle lub kogucie? A może objawił się szatan we własnej osobie? Nie! Kilkunastu zacnych obywateli chciało pociupciać w plenerze i przeżyć odrobinę pogańskiego dreszczyku... Choć teraz, podejrzewam, niejednemu cierpnie skóra.

Dwie godziny później, po odwaleniu płyt maskujących wejście do drugiego tunelu, wydostaliśmy się na zewnątrz poprzez ruiny etruskiego grobowca. Podniecony, zapomniałem zabrać z miejsca mych miłosnych uniesień jakiegokolwiek pamiątki, a w dodatku zgubiłem gdzieś nóż otrzymany od kapitana Massimo. Wracaliśmy górami, z dała od ludzkich sadyb. Pod Rosettiną rozdzieliliśmy się. Beatrice ucałowała mnie

gorąco.

–Żegnaj, ragazzo! Pewnie już się nie spotkamy.

–Czemu?

–Wkrótce opuszczam to miasto. Pamiętaj, wierz w siebie. Aurelia, która całkiem nieźle potrafi wróżyć, twierdzi, że czeka cię wielka przyszłość. Że odmienisz losy świata.

Ja?

–Powtarzam tylko, co mówiła.

Było dobrze koło południa, kiedy znalazłem się w Rosettinie. Miasto wrzało. Ludzie, porzuciwszy pracę, podnieceni zbierali się w kupy i mówili o jednym. O nocnej akcji straży i porannym kazaniu fra Giuseppe.

–Ponoć schwytał dwudziestu czarowników i tyleż wieźm.

–Nie dwudziestu, ino dwustu.

–Są wśród nich członkowie najlepszych rodzin.

–Sama donna Grivaldi parzyła się szatanem!

–Bo jeden tylko szatan mógłby chcieć posiąść to babsko.

Największy ścisk panował przed Palazzo delia Guistizzia, gdzie doprowadzono aresztowanych i gdzie trybunał ojców dominikanów pod przewodem samego kardynała Gaetaniego rozpoczął badania. Jak mówiono, uczestniczył w nich i Piedimonte. Wśród gawiedzi widziałem struchlałych przedstawicieli rodów, z których pochodzili aresztowani, usiłujących się dowiedzieć czegoś o czekającym ich bliskich losie. Jakaś gruba przekupa, dojrawszy admirała Torellego, wysokiego mężczyznę o szlachetnej twarzy, który przyszedł pytać o zatrzymanego syna, wrzasnęła mu grubiańsko w twarz:

–Ojciec czarownika, ojciec czarownika.

I posypały się na wielmożę grudy błota i pecyny końskiego nawozu.

W domu też zastałem atmosferę najwyższego napięcia. Zakład balwierski był zamknięty, a kapitan Massimo, który strzegł zawartych wrót domu, wyjrzał do mnie przez małe okienko.

–Na Boga, synu, gdzieś się podziewał? Od dwóch dni wszyscy cię szukają, twój

stryj Benni cały w nerwach, a donna Giovannina miała kolejny atak.

I...

–Mowę ze szczętem jej odebrało i leży jak kłoda, medyk mówi, że nie ma dla niej większych nadziei.

–Idę już do niej!

Massimo rozwarł wierzeje, a wpuściwszy mnie, starannie je zaryglował.

–Padre Bracconi będzie pytać, gdzie byłeś? Będzie pytać – powtórzył z naciskiem. Byłem na to przygotowany.

–Hrabia Malficano wziął mnie na polowanie – rzekłem.

Ciotka leżała na łożu bielsza od prześcieradła. Zdawała się już nie żyć. Jednak słysząc nasze kroki, otworzyła jedno oko. Poznała mnie. Kącik ust w lewej, nie sparaliżowanej części twarzy drgnął w kusym uśmiechu.

–Jestem, ciociu – powiedziałem. – Cały i zdrowy. Wysunęła ku mnie chudą, wyschniętą rękę... Ująłem ją delikatnie, głaskałem. I mówiłem o swej wycieczce w góry, opisując piękno przyrody, urok zachodu słońca. Mówiłem jeszcze długo po tym, jak usnęła.

Potem pobiegłem do pracowni Markusa. Nie malował, siedział blady, opuchnięty, z butelką w ręku.

–Chcesz? – wyciągnął ją ku mnie.

Nie odmówiłem. Pociągnąłem łyka ognistego płynu, aż oczy omal nie wyszły mi z orbit.

–Możesz mi wytłumaczyć, mistrzu, co tu się dzieje? – spytałem.

–Zaczyna się polowanie.

Nie zrozumiałem.

–Polowanie na czarownice. Jak w Arras w połowie piętnastego wieku, jak całkiem niedawno w Cambresis, jak we Friuli. Zawsze przebiega to tak tak samo: te same irracjonalne oskarżenia, tortury, sąd, stos. I niewinne ofiary.

–A jeśli pojmani udowodnią swą niewinność, jeśli okaże się, że to nie był prawdziwy sabat, a jedynie płocha zabawa...

Popatrzył na mnie uważnie.

–O święta naiwności, przecież oni są już osądzeni. Ten chuderlawy domorosły Torquemada od dawna przygotowywał się do tej akcji. Lud zaś poczuł krew. A gdy lud poczuje krew, zwłaszcza gdy jest to krew możnych, dotąd nietykalnych, staje się bardziej zawzięty od tropiącego posokowca. Pomyśl, to zdarzenie będzie bardzo wielu na rękę. Odwraca uwagę pospólstwa od rzeczywistych problemów. Wzmacnia partię cesarską w Signorii. Patrz, mam tu listę pojmanyh. Szczególnym trafem są tam wyłącznie ludzie kojarzeni z partią papieską. Gdybym miał choć cień dowodów, rzekłbym, iż to kolejna intryga Malficanów...

Zachłysnąłem się.

–Pij wolno, trunku szkoda. – Van Tarn odebrał mi butelkę. – Poza tym wnet padre będzie ci zadawał pytania. Musisz być bardzo przytomny...

–Dlaczego mistrz uważa, że muszę być przytomny?

–Byś głupoty nie palnął. Wiem przecie, że tam byłeś.

Pomyślałem, że rozmawiał z Beatrice, ale Markus nie musiał z nikim rozmawiać, by poznać prawdę.

–Na chodakach masz jeszcze czerwony pył z Montana Rossa, do kubraka przyczepiły ci się głogi od przedzierania się przez zarośla. Ale nie bój się, ja cię nie zdradzę. Zresztą, znam te ich płocze zabawy. I wiem nawet, jak je będą opisywać na mękach. – Szarpnięciem zdarł zasłonę zakrywającą sztalugi. Zamarłem, ujrzałem znajomy antyczny krąg, sadzawkę. Roztańczone nagie niewiasty. Kilka z nich biło pokłony ogromnemu diabłu na kozich nogach z pyskiem ni to gada, ni owada, nad ruinami zaś unosiły się dziesiątki stworów tak przerażających, że aż skamieniałem na ich widok.

–Widziałeś to wszystko, mistrzu?

–Wymyśliłem – zaśmiał się. – Ale na mękach coś takiego wymyśli nawet człek zupełnie pozbawiony fantazji.

Padre Filippo przybył dopiero na kolację. Zmęczony, ledwie mnie zauważył. Dopiero przy zupie warknął gniewnie:

–Zawiodłem się na tobie, Alfredo. Jego Eminencja pytał o ciebie, a ty...

–Pobłądziliśmy w trakcie polowania z młodym hrabią.

–A na co polowaliście o tej porze, bo, o ile wiem... – przerwał mi. Ale nie dokończył, gdyż rozległo się walenie do drzwi. A zaraz potem dobiegł nas rozpaczliwy krzyk kobiety.

–Na Boga. Puśćcie mnie do mego księdza.

Jezuita drgnął. Podobnie jak ja, poznał głos Ariadny Pazzi. Nerwowo przełknął ślinę i rzekł do Massimo:

–Otwórz pan, kapitanie.

Kobieta wtargnęła do westybulu jak przerażona kuropatwa. Ubranie i włosy miała w nieładzie. Na pulchnych policzkach widać było ślady łez. Natychmiast padła na klęczki przed duchownym i wołać poczęła:

–Ratuj mnie, padre. Byli już po mnie, ale uciekłam. Wszędy szukają Aurelii. Mej kucharki. A ja o niczym nie wiem, przysięgam, byłam w mieście, jednak sabat odbył się w mych włościach. Wezmą mnie na męki, o Boże, Boże...

–Uspokój się, niewiasto. – Nigdy nie słyszałem głosu "ojca-ojca" brzmiącego równie drewnianie. – Jeśli jesteś niewinna, jako mówisz, w co gorąco wierzę, nic ci się nie stanie. Przejdźmy do sali obok, otworzysz mi serce.

Wyszli.

–Głupia baba, zamiast tu przychodzić, powinna uciekać z miasta – skomentował Benedetto. – Pamiętam, co dziesięć lat temu zdarzyło się w Akwilei. A tam znaleziono ledwie jedną wiedźmę, a nie całe stado.

Jakiś czas posilaliśmy się w milczeniu. Nie miałem apetytu.

–Alfredzie! – Zza drzwi kaplicy wysunął się don Filippo. Jak przedtem blady, tak teraz był wielce czerwony na twarzy. – Pobiegniesz do brata Giuseppe i poprosisz go, by przybył niezwłocznie, zawiadomisz również kapitana Barzzuolego, że mam świadka gotowego złożyć zeznania. – Widząc moje niezdecydowanie, dorzucił: – Muszę uczynić wszystko, iżby uratować duszę nieśmiertelną tej niewiasty.

Mimo późnej pory, ścisk przed kościołem Santa Maria del Frari był niemiłosierny. Choć, patrząc po licach ludzkich, próżno szukałbyś w nich miłosierdzia, a przeciwnie, widziałbyś zaciętość jakąś podszytą lękiem. Modlono się, czy raczej odklepywano modlitwy, oczekując na kolejne ukazanie się mnicha z Piedimonte. Gdy tam przybyłem, wyszedł właśnie na schody świątyni. I zerwał się ryk wielki jak poszum wichru w gałęziach przed burzą, i natychmiast zamarł, gdy frater wyrzucił ręce do góry, zastygając z oczyma przymkniętymi jak w transie. A tłum, jak posłuszna dyrygentowi orkiestra, zamilkł i zamarł w oczekiwaniu.

–Bracia. Pomnijcie słowa: I wszedł wąż sprośny do miasta naszego i złożył swe jaja zatrute. A z każdego zrodzi się tysiąc nowych wężów, które oplotą nas, wiodąc ku potępieniu. Bo wielka jest zdradziecka moc szatana. Lecz hańba jego sługom, a

pokój wiernym i pobożnym. Pamiętajcie jednak, najmilsi, dziś owieczkom przystoją rogi, a aniołom miecz. Należy wypalić gorącym żelazem, wyciąć mieczem świętym to, co chore, diabelskie, plugawe.

Zawieszał słowa, a zewsząd aplauz dobywał się jak gorące powietrze z kowalskiego miecha. Słuchacze zdawali się być jednym ciałem i jedną myślą, choć była to myśl budząca grozę. Podszedłem do fra Giuseppe, gdy skończył i wyczerpany, zaparł się o balustradę, tak jakby zaraz miał upaść. Wydawał się na wpół umarłym. Jednak czując, że się zbliżam, otworzył swe gorejące oczy, a dwaj braciszczkowie uczynili między nami żywy mur. Odsunął ich dłońmi.

–Znam cię, synu, z czym przychodzisz?

Szepnąłem mu, że podrę Filippo go oczekuje, albowiem odnalazł ważnego świadka. Ożywił się mnich, jakby całe zmęczenie zeń opadło, i obiecał, że wnet się zjawi. Naturalnie współ z kapitanem Barzzuolim.

–Ty zaś, chłopcze, wracaj do padre Filippo i mu powiedz, że przybędę za dziesięć pacierzy.

Nie znośłem, jak nazywają mnie chłopcem, toteż udałem tylko, że całuję bladą, śliską rękę i powróciłem na Mauretański Zaulek. W kaplicy obok westybulu zastałem panią Pazzi. Znacznie spokojniejszą; klęczała rozmodlona z głową opartą na Księdze, a usłyszawszy mnie, obróciła głowę i szepnęła:

–Ten święty człowiek udzielił mi rozgrzeszenia pomimo mych wszystkich grzechów.

Chciałem jej coś rzec, ale ojciec Bracconi wyszedł z alkowy służącej za zakrystię, niosąc małe puzderko na komunikanty, z którym zwykł odwiedzać chorych i umierających. Dawno nie widziałem go tak wzruszonym. Wyjął hostię, uniósł i mówiąc: "Ciało Chrystusa", wsunął ją w usta Ariadny Pazzi.

Gdy skończył modlitwę, powiedziałem mu, com załatwił.

–Dziękuję, synu – odparł krótko, a potem dał jeszcze wdowie wina, nie przestając uspokajać jej ciepłymi słowy: – Pamiętaj, jeśli wyznasz prawdę, nie spotka cię żadna krzywda, a przeciwnie, wielką nagrodę w niebie otrzymasz, musisz jednak postępować dokładnie według mych wskazówek, nie tając niczego.

Wkrótce nadeszli capitano i brat Giuseppe. Padre Bracconi powitał ich z czcią i szacunkiem należnym, po czym wskazał na donnę Pazzi.

–Oto wdowa nieszczęsna, mimowolny świadek naoczny diabelskich sabatów, pogańskich misteriów i inszych niegodziwości. Gotowa jest zeznawać po dobroci.

–Dziękujemy ci, ojczcie – odparł Barzzuoli. – Zaraz zabierzemy ją do Palazzo...

–Ostańcie chwilę. Jako consigliere Rady uważam, że ta niewiasta powinna już teraz złożyć zeznanie wstępne.

–A to czemu? – zdziwił się capitano.

–Obawiam się, iż jeśli się nie pospieszymy, szatan i jego czciciele mogą zechcieć przeszkodzić jej w zeznaniach. Podejrzewam zaś, że siła jest jeszcze w mieście sług diabelskich nie ujawnionych, nawet wśród straży.

**–Jedno przesłuchanie więcej z pewnością nie zaszkodzi – zgodził się brat Giuseppe.
– Choć mam nadzieję, że moc szatańska nie sięga do wnętrza Palazzo della Guistizzia...**

Jakoż mylił się. Zeznanie donny Pazzi uczynione w Wysokim Domu miało pierwszorzędne znaczenie dla rozpoczęcia wszystkich procesów. Słyszałem później jego treść odczytywaną podczas Wielkiego Przewodu. Nieszczęsna niewiasta opisywała niegodziwości Aurelii, która jakoby roztoczyła nad nią szatańską moc, ubezwłasnowalniając ją i skłaniając do posłuszeństwa. Mówiła o uprawianych czarach przez Bractwo Szatana – wywoływanych plagach, czynionych urokach, przywoływanych chorobach. Opowiadała, że jedni wyznawcy zła w postaci lycantropów, to jest przybierając kształty wilków, krążą, poszukując istot niewinnych, iżby złożyć krwawą ofiarę na ołtarzu z ciała niewiasty. Często za żertwę służyły dzieci w grzechu poczęte, jednak przez prostych ludzi z wody chrzczone, albowiem wiadomo, iż ofiara czyniona z niewinności najbardziej raduje księcia ciemności. Pomijając całkiem seksualny charakter zgromadzeń, mówiła o nocy Walpurgi jako o wielkim ofiarowaniu Rosettiny diabłu. Plastycznie opisywała kobiety tańczące wokół Wielkiego Kozła, który parzył się z nimi na wszelkie sposoby, rosząc je obficie swym niewyczerpanym nasieniem, jak wiadomo, zimnem jak lód...

Całkiem jak na obrazie Markusa van Tarna.

Tu, w protokole stało, iż w tym miejscu fra Giuseppe przerwał i spytał przesłuchiwaną, jak może tak dokładnie opisać ceremonię, w której nie uczestniczyła. Donna Pazzi najpierw rzuciła okiem na ojca Filippo, a gdy ten skinął głową, stwierdziła, że zła moc Aurelii jest tak wielka, iż trzyma ją w posłuszeństwie nawet na odległość, pozwalając widzieć obrazy z miejsc bardzo odległych... Opowieść wdowy zajęła prawie godzinę. Zaiste dziwnie przypominała mi Liber demonicum, księgę z biblioteki mego ojca bardziej od innych woluminów czytana, boć don Bracconi polecał ją wyjątkowo chętnie swoim uczniom. W zeznaniach signory Pazzi nie było oczywiście ani słowa o dwuznacznych stosunkach łączących ją ze swym spowiednikiem.

Potem odprowadzono panią Pazzi do piwnic Pałacu Sprawiedliwości, nie czyniąc jej żadnych krzywd, a przeciwnie, osłaniając przed napastliwymi obelgami tłumu. Wdowa, najwyraźniej ze zmęczenia i emocji, trzęsła się bardzo, a na jej twarzy wystąpiły sine plamy.

Rano strażnik znalazł ją martwą w celi. Ciało miała spuchłe, szerniałe.

–Ot i dowód, iż szatan ma długie ręce, a jego perfidia bywa niebywałą – powiedział, przybywając do nas na śniadanie kardynał Galeani. Jak na inkwizytora był dziwnie zafrasowany sytuacją, w której przyszło mu przesłuchiwać głównie własnych stronników.

–Odrąbiemy te łapy czartowi, odrąbiemy... – zapewniał go ojciec Filippo.

Ręce szatana?! Naraz przerażająca myśl przeszła mój mózg, uświadomiłem sobie, że w czasie udzielania wdowie komunii padre Bracconi miał na rękach cienkie, jedwabne rękawiczki.

8. Wielkie łowy

Wspominając zdarzenia następnych dni, ciągle mam wrażenie, że nie działo się to na jawie, jeno było sztuką jakąś okrutną lubo sekwencją snu. Jak w legendzie o puszcze Pandory, wszystko co plugawe, ukryte w najczarniejszych zakamarkach duszy wylazło na wierzch, zalało ulice, wpełzło po dywanach do Palazzo della Guistizzia i zalało nas wszystkich jak ściek, kloaka, gnojówka.

Zeznania donny Pazzi sprawiły, że nikt z pojmanych nie mógł wyprzeć się swej roli w "sabacie". Toteż jedni tylko umniejszali ją, inni obciążali drugich, myśląc, że tym sposobem uratują głowy swoje i swych najbliższych. Mówiono, że gotowe są następne listy oskarżonych. Tymczasem z Wenecji i Neapolu przybyli renomowani oprawcy, sprawni w zadawaniu bólu i wywlekaniu prawdy, przy równoczesnym zachowaniu podejrzanego przy życiu. Śledztwo wkroczyło w nową fazę, zwłaszcza gdy Arnolf Grivaldi na mękach wyznał, że widział Żydów, którzy przy użyciu diabelskich sztuczek zatruwali studnie i tak doprowadzili do zarazy w mieście. Tej nocy zapłonęły domy w Juderii i poczęły dziać się tam rzeczy przerażające, tłum profanował synagogę, dzieci mordowano na ulicach, kobiety zaś, spędziwszy do gmachu starej mykwy, żywcem spalono. Dopiero ze świtem Damiano Malficano na czele centurii wojska w imieniu Signorii położył kres tej gehennie.

Co światlejsi męże dostrzegali niekontrolowane narastanie szaleństwa, nie wiedzieli jednak, jak się temu przeciwstawić. Zaprzeczyć czarom znaczyło postawić się wśród współwinnych. Cóż więc mogli czynić? Bezradny był i sam kardynał Galeani. Widząc, że sprawa wymknęła mu się z rąk, a, co gorsza, uderza głównie w stronników papieża, przerażony słał listy z zapytaniem do Rzymu, co czynić. Ale Stolica Święta

milczała. Natomiast biskup Rosettiny, Agosto, powinowaty Torrellich, mógł jedynie wzywać do umiaru. Posyłał nawet listy zapraszające fra Giuseppe do siebie, do pałacu, na dysputę, ale ten, obawiając się o swój los, dziękował za ten honor. Utworzywszy sobie kwaterę na campanilli Santa Maria del Frari, otoczony przez gwardzistów Barzzuolego i dziesiątkę młodych i jak on nawiedzonych mnichów, kierował tłumami, twierdząc, że do kontaktu z Panem nie potrzebuje żadnych pośredników.

–Gdybyż Agosto miał temperament Piedimontego – wzdychał, praktycznie nie trzeźwiejący w tym czasie Markus.

–Cóż mógłby uczynić, by powstrzymać fra Giuseppe?

–Choćby rzucić nań klątwę za przewodzenie samosądom i tym sposobem przekłuć pęcherz nienawiści i niemocy.

–A jak braciszek oskarżyłby i biskupa?

–Pewnikiem i tak oskarży...

Obawiając się o los Markusa, namawiałem go wielokroć, aby spalił lub przynajmniej ukrył swoje malowidło z demonami. Ten odmawiał, lecz któregoś dnia porwał nóż i w furii począł dźgać swe arcydzieło, szarpać na strzępy, wreszcie poszedł spalić je w kominku.

Tymczasem na wyraźne polecenie Orlanda Malficano Lodovico opuścił Rosettinę, kierując się do Wenecji, skąd miał ruszyć na dwór cesarski. Dwakroć namawiał mnie, bym wybrał się tam razem z nim.

–Nikt nie wie, że tam byliśmy, ale lepiej być daleko stąd, gdy zacznie się proces – przekonywał. – Sprawy idą źle.

Korciło mnie, by spytać, na ile sprawy poszły wbrew pierwotnym zamysłom don Orlanda. Alem się pohamował. Wolałem, by nikt nie wiedział, że podsłuchałem rozmowy starego hrabiego i że wiem o intrydze, w której Piedimonte miał być ledwie ślepym narzędziem.

–Jedź ze mną! – powtarzał Lodovico. – Da Bóg, wszystko się tu uspokoi, naonczas powrócimy. Ojciec twierdzi, że do jesieni będzie po wszystkim.

Odmówiłem. Nie mogłem opuścić ciotki Giovanniny. Byłem jej to dłużny. Choć w niczem pomóc nie mogłem. Z rozpaczą obserwowałem, jak gaśnie w niej życie, jak wodzi za mną swym jedynym zdrowym okiem, usiłując wymówić najprostsze słowo: "Fre...ddino, Fre...ddino!"

Tymczasem cały czas usilnie poszukiwano Aurelii i Beatrice, których imiona najczęściej powtarzały się w zeznaniach przesłuchiowanych. Wiedźmy jednak jakby się pod ziemię zapadły. Mam powody sądzić, że obie schroniły się w potężnych murach pałacu Malficanów. Gdybyż jeszcze tam ostały. Wielką kurtyzanę zgubiła, o ironio losu, zbytnia pewność siebie i pobożność. W dzień Zesłania Ducha Świętego udała się bowiem do kościoła, gdzie cała w czerni zajęła miejsce wśród innych wdów. Nikt by jej nie rozpoznał. Trzeba jednak nieszczęścia, czy, jak kto woli, palca losu, że w trakcie modlitwy od płomyka świecy zajęła się jej woalka. Błyskawicznie ugasiła płomień, na moment wszakże odsłaniając twarz.

Rozpoznała ją sąsiadka z rodu Urbinich. I rozwrzeszczała się na całe gardło:

–Czarownica! Czarownica w domu Bożym!

Wnet mnisi od Piedimontego pochwycili zdemaskowaną niewiastę, która z trwogi omdlała, i wlekli ją po bruku wśród tłumu, ciskającego obelgi i kamienie, do Palazzo della Guistizzia. Zdarto z niej szaty i zapewne by ją rozszarpano na sztuki, gdyby nie fra Giuseppe, który uspokoił motłoch, upominając, że nie godzi się zadawać Beatrice szybkiej śmierci, gdyż jako więdźmie pisane są jej długie tortury i powolny stos.

Uśłuchano go. A ja, obserwując te wydarzenia z wysokości Loggia del Popolo, płakałem z bezsilności, widząc, jak upadła się piękno.

Jeszcze tego samego dnia kapitan Barzzuoli, wielki przyjaciel Malficanów, przybył do więzienia z upoważnieniem Piedimontego, aby wydobyć zeń panią de Montenegro i umieścić w odseparowanej wieży, gdzie do zdrowia dojść by mogła, bez szans dla jakowejś trucicielskiej ręki. Naczelnik carceru zwrócił się do kardynała. O dziwo, Galeani odmówił.

–Jej miejsce jest między innymi – zarządził. – Zaliż nie należała do najbardziej poszukiwanych stregantes?

Powiadają, że owo dictum bardzo zmieszało kapitana. Jednak nie stracił kontenansu.

–Donna Montenegro jest znaną osobistością, Eminencjo, była przedstawiona cesarzowi...

–A małoż to cudzołożnic i jawnogrzesznic wyciera się na dworach?

–Wszelako jest ona matką wielmożnego bastarda von Kostrin, spokrewnionego z domem cesarskim. Torturowanie jej, a następnie kaźń mogą wywołać gniew najjaśniejszego imperatora Świętego Cesarstwa.

–Ponad prawem rodów jest jeszcze sprawiedliwość, a ponad cesarzem Bóg – odparł

pewnie książę Kościoła. – Pani Beatrice de Montenegro ma ostać w Palazzo della Guistizzia pod opieką mego osobistego medyka.

Tak więc nic nie mogło uratować Beatrice, tylko jej ciężki stan chwilowo chronił ją przed torturami.

A cóż działo się ze mną w onych dniach. Moja wąta, ale ciągle tłąca się wiara zgasła. Doznany wstrząs był zbyt wielki. Ze szczętem zwątpiłem w autorytety. Kimże się okazali? Orlando Malficano dla swych prywatnych interesów spreparował całą podłą prowokację, mój “ojciec-ojciec” z prostego tchórzostwa i obawy o własną głowę najpierw namówił donnę Pazzi do krzywoprzysięstwa, a potem, iżby przypadkiem nie odwołała zeznań, otrął ją, profanując najświętszy sakrament. A nawet Wielki Inkwizytor nie chciał szukać prawdy, tylko wolał brać odwet na stronnikach cesarza. Jeśli istniał Sprawiedliwy Bóg, teraz winien był przemówić. Jednak On milczał. Milczał przez kolejne dni i noce. Pełne mąk jednych, łotrostw innych i igrzysk dla tłumu. Próżno ludzie cisi i spokojni wpatrywali się w niebo, oczekując gromu. Niebo milczało. Czyżby w istocie był to jedynie wir rozpalonych kamieni pozbawionych ducha, jak przekonywał Markus, a przed nim Protagoras?

Pierwszego czerwca zebrała się Wielka Rada Republiki. Padre Bracconi wziął mnie ze sobą w charakterze swego sekretarza, mogłem więc uczestniczyć w tym najważniejszym zdarzeniu mającym – wedle wszelkich znaków na Niebie i Ziemi – zaważyć na przyszłości Rosettiny.

Sala była wielka, widna, tyle że na czas posiedzenia zawieszono w oknach opony, aby wrzaski gawiedzi nie mąciły powagi zgromadzenia. Pod starym belkowanym sklepieniem, pamiętającym czasy krzyżowców, ustawiono ławy, za prezydialnym stołem zasiadło siedmiu Starszych – najbardziej wpływowych obywateli Rosettiny. Na twarzach patrycjuszy malowała się szczera troska, przygnębienie i – rzekłbym – bezradność.

Po kilku głosach tyle pięknych, co nic nie znaczących wystąpił Damiano III Malficano. Był wyższy od brata, urodę miał dojrzałą, a jego męskość i siłę podkreślała jeszcze blizna na policzku, którą w potyczce z Helwetami odniósł.

–Panowie bracia – rzeki głosem spokojnym, męskim i dźwięcznym jak lutnia – nie znam się na sprawach czarów i czartów tak jak Jego Eminencja, czy wy, dostojni ojcowie. Jestem żołnierzem. A rzeczą żołnierza jest obrona ojczyzny i porządku w niej. I dlatego bardziej od tropienia figlów z diabłem niepokoi mnie stan bezpieczeństwa naszego miasta. Czy może kolejny dzień rządzić motłoch, czy mogą być łamane prawa lub mordowani niewinni ludzie, nawet jeśli nie uznają za swego Boga Jezusa Chrystusa! – Wśród patrycjuszy poszedł szmer zrozumienia, młody wielmoża zaś ciągnął dalej: – O winie i karze oskarżonych przebywających w Palazzo della Guistizzia zadecyduje sąd, nie wątpię, sprawiedliwy. Trybunał ten zleci

wykonanie kary władzy świeckiej. Zanim jednak się to dokona, panowie bracia, zważmy, że mamy do czynienia z materią szczególną. Nawet w łonie Kościoła, Matki Naszej, nie ma pełnej jasności poglądów. Są głosy twierdzące, że magia oraz czary są wyłącznie zbiorem omamów wynikających z naiwnej wiary prostego ludu, inni są przekonani, że stanowią żywy dowód na ingerencję szatana w nasze ziemskie sprawy. Tem bardziej musimy być ostrożni wobec materiału dowodowego...

Patrycjusze z partii cesarskiej słuchali tego z lekkim zdziwieniem, albowiem zdawało im się dotąd, że Malficani są wielce zainteresowani rozdmuchaniem sprawy. Czyżby jednak i członków tego rodu zaniepokoił rozmach afery?

–Powiecie: niemało jest dowodów... Nie zaprzeczę, świadectw zgromadzono wiele. Ale za wyjątkiem jednego dobrowolnego zeznania pani Ariadny Pazzi, która prawie natychmiast oddała ducha, co samo w sobie jest wielce podejrzanym, reszta zeznań została wymuszona mękami, a na mękach prawie każdy gotów przyznać się do wszystkiego.

–Do czego on zmierza? – zaniepokojony kapitan Barzzuoli pochylił się ponad mną do ucha padre Bracconiego. Ojciec Filippo tylko wzruszył ramionami. Zaś Damiano kontynuował:

–Sąd musi się odbyć, zbrodnie winny być dowiedzione, a rzeczywiści przestępcy ponieść przykładową karę, ale, szlachetni obywatele Rosettiny, nie na warunkach dyktowanych przez ulicę! Nie w atmosferze, której wstydziłiby się nawet bisurmanie.

–Mądrze mówi – rozległy się głosy po sali.

–Znamy przykłady nieszczęść, gdy zaburzeń nie powstrzymano na czas, aż plebs zapragnął osądzać panów, tylko dlatego, że są możniejsi lub mądrzejsi. Jeśli nie zaprowadzimy porządku dziś, jutro my wszyscy znajdziemy się pod pręgierzem, oskarżeni o przeróżne zbrodnie, tylko dlatego, że jesteśmy patrycjuszami...

Nastała przejmująca cisza, jako że nie sposób było nie zgodzić się z Malficano.

–Cóż więc radzisz, hrabio? – zapytał przewodniczący Rady Siedmiu, Michelangelo Urbini.

–To wy radźcie – hrabia pokornie schylił głowę. – Jam tylko sługą Republiki, gotowym wykonywać wszelkie jej rozkazy.

Poderwał się kapitan Barzzuoli.

–Wasza hrabiowska mość, my za tobą jak w ogień. Pięćset chłopów gwardii czeka na twoje rozkazy.

Rozległy się gromkie brawa. Nie klaskał może tylko jeden kardynał Galeani. Gdyby padł teraz wniosek, iżby złożyć całą władzę w ręce Malficano, a Piedimontego spalić lub chociaż wygnać, wniosek ten przeszedłby przez aklamację. Aliści rozległo się ciche kasznięcie. Wszyscy ścichli, albowiem kaszłym był sam kardynał.

–Serce rośnie, słysząc takie deklaracje. I ja jestem za tym, aby sprawę czarowników rychło zakończyć, tak aby spokój na umiłowaną Rosettinę spłynął jak sen na powieki dziecka. Lecz do tego potrzebna jest prawda jasna i niepodzielna, szczerść intencji i działań... – Wyznam, że chyba nikt na sali nie wiedział, do czego Eminencja zmierza. – Serce zaś boli, słysząc, jak łatwo pomawia się nawet najbardziej prominentne osoby.

–Niby kogo? – zapytał Barzzuoli.

–Przesłuchaliśmy wczoraj osobiście kurtyzanę Beatrice de Montenegro. Utrzymuje ona, że kiedy całe miasto poszukiwało jej i więdzmy Aurelii, ona zażywała schronienia u jednego z najznakomitszych rodów rosettińskich.

–Którego? – ryknął Barzzuoli. – Kto się odważył?!

–Zali można ufać oszczerstwom dziewczki rzucanym podczas rozciągania na łożu Prokustowym – zapytał tonem pełnej ironii Damiano.

–Toż samo pomyślałem sobie i ja – odparł kardynał. – Czymże są słowa ladacznic przeciw racjom szlachetnie urodzonych. Aliści dziś w nocy zaszedł fakt, stawiający sprawy w zgoła nowym świetle. Owóż mnichowie pilnujący Bramy Solnej zatrzymali pacholka, który z ważnemi listami tu podążał. Wprowadźcie go.

Rozległ się szmer, a strażnicy bardziej przywlekli, niż przywiedli zezwłok człowieczy. Nie miał jednego oka, a z palców zerwano mu paznokcie. Zdrętwiałem, poznałem bowiem Riccardo, pacholika Malficanów. Przeniosłem wzrok na Damiana. Na jego twarzy nie drgnął żaden muskuł, tylko przez moment powieki ciężko opadły mu na oczy.

–Jak cię zowią, synu? – spytał kardynał.

–Riccardo, Wasza Eminencjo – wyjęczał pacholek.

–Komu służysz?

–Panu Lodovico Malficano.

–Skąd przybywasz?

–Z obozu cesarskiego pod Bergamo.

–Co przyniosłeś?

–Listy wielmożnego hrabiego Lodovica do jego brata i ojca.

–Poczytajmy je zatem.

W śmiertelnej ciszy, która zda się przydeptała Wielką Salę, zabrzmiały słowa listu czytanego przez Galeaniego. Pismo było ułożone po niemiecku z licznymi wtrętami łacińskimi, ale Jego Eminencja tłumaczył je a uista:

Jaśnie Oświecony Panie Hrabio, Umiłowany Ojczy Mój i Panie! Przybywszy, tak jak brzmiało desiderio JOP Hrabiego recta et tutum do obozu sub Bergamo, z Najmiłościwszym Cesarzem siem wprawdzie nie widział, aliści dux von Kostrin wielkie mi fauora czynił, o salus donny Beatrice pytając. Zadowoleń z wieści manu proprio wypisał wniosek o mitrę dla JOP Hrabiego, a właściwie już Miłościwego Księcia. Chociaż póki Fakcja Romana dycha, Najjaśniejszy Pan, mając ligatus manus, ni auxili, ni armae dać nie może.

Interim w Longobardii popas czyniąc, o zdrowie JOP Hrabiego modłę się, iżby wszelcy malevoli szejli na stosie, gdzie z pewności frustratus dominicanus z pomocą, jaką daje mu ów asinus cardinalis, ich zawiedzie.

Tandem...

Rozległy się gwałtowne kroki. To Damiano Malficano nie wytrzymał, ruszył ku drzwiom. Odepchnął ojca Filippo, który go chciał zatrzymać i skoczył ku schodom.

–Zdrada, zdrada! – zakrzyknęli zgromadzeni jednym głosem. Kapitan Barzzuoli chciał pobiec za uciekającym, ale wszyscy rzucili się na niego, do ziemi przydusili, mimo iż wołał, że chce zdrajcę własną szpadą przeszyć.

Tymczasem hrabia zbiegł po Schodach Tytanów na pierwsze piętro, a następnie, nie chcąc przedzierać się przez tłum zalegający wszystkie podesty, skoczył z tarasu na środek wirydarza, skąd pędem puścił się ku tylnej bramie. Nikt nie mógł go powstrzymać, miał bowiem gołą szpadę w dłoni, a prażyć doń z pistoletów w ciżbie było nie sposób. Rzucił się ku oknu przewodniczący Urbini. Wołał coś, ale głos jego nie mógł przebić panującego zgiełku.

–No to mamy wojnę, Alfredo – szepnął mi padre Bracconi. – Jeśli hrabia dotrze do swych ludzi, gorze nam wszystkim.

–Nie dotrze, tylna brama zawarta – zawołał ktoś z urzędników.

–To go nie powstrzyma.

I rzeczywiście, dobiegłszy furty, Damiano wypalił dwakroć z bandoletów i rozwaliwszy zamek biegł wąskim, pustym pasażem w stronę Corso.

Zamaskowani pojawili się nagle. Jeden skoczył mu na plecy, przyduszając go do ziemi, dwaj inni mężczyźni w czerni poczęli dźgać go sztyletami z zawziętością wielką. Noże jednak szczerbiły się na drucianej koszulce, którą wdział pod kubrak. Malficano, rycząc jak zwierz, strącił z siebie napastników. Brocząc krwią z wielu ran, zabił jednego z sicarów, poczerń powłókł się dalej. Niestety pomylił kierunki, wy dostał się bowiem wprost na Piazza delia Signoria i tam umarł. Tymczasem do zgromadzonego tłumu poczęły docierać wieści z pałacu. Początkowe osłupienie zmieniło się we wściekłość. A okrzyk: "Zdrada, zdrada!" – począł rozbrzmiewać po całym mieście.

Jakże zmienne są nastroje ludu i jak łatwo miłość wobec niedawnych ulubieńców zmienia się w nienawiść. Głowę hrabiego nadziano na pikę, rozsiekano tych z jego ludzi, którzy nie zdołali umknąć, a potężniejący z każdą chwilą tłum ruszył na pałac Malficanów, jak woda, która przerwała tamy. Obrona trwała krótko, mimo solidnych murów. Nikt nie spodziewał się ataku, a w palazzo przebywało ledwie z pięciu zbrojnych i garść służby. Wycięto wszystkich, łącznie z kobietami i dziećmi. Ciało starego Orlanda, który sam sobie śmierć trucizną próbował zadać, wyrzucono przez okno, na ziemi zaś porwano w strzępy, a lud włóczył te szczątki po mieście aż do rana. Aurelię odnaleziono w sekretnym pomieszczeniu, które zdradził pisarczyk hrabiego, co jednak i jego nie uchroniło przed paskudną śmiercią.

Ja w tym czasie byłem już w drodze. Tu muszę oddać sprawiedliwość padre Filippo; mój "ojciec-ojciec" zadbał o mnie, dał konia, trzos i zmusił do ucieczki. Nic mnie nie trzymało w Rosettinie, zaś zeznania Aurelii i Beatrice mogły mnie obciążyć jak nic. Powróciwszy do domu z Signorii, zastałem Giovanninę martwą. Leżała w łożu, wychudła, drobniutka, tak iż mógłbym ją chyba unieść jedną ręką. Kiedym całował jej czoło, ujrzałem koślawy napis na murze, chyba niedawno przez umierającą wyskrobany: "Pamiętaj o Bogu".

Jeśli skierowała tę przestrozę do mnie, to zbyt późno; mój stary Bóg umarł wraz z donną Pazzi, z Damianem, z hrabią Orlandem, z Beatrice...

Zdobycie pałacu Malficanów stanowiło bowiem jedynie paroksyzm, a nie finał wydarzeń dni Wielkiego Zamętu. Wnet po mej ucieczce szeroko rozlała się kolejna fala szaleństwa. Oskarżenia, aresztowania, tortury i kaźnie zataczały coraz szersze kręgi. Mimo iż intryga Malficanów, którzy sprowokowali łowy na czarownice, iżby przejąć władzę w mieście, wyszła na jaw, niepodobieństwem było zatrzymać rozpędzone młyny nienawiści. Nawet kardynał Galeani stracił wszelką kontrolę nad Giuseppe di Piedimonte. Podejrzewam nawet, że się go bał. Zaś Giuseppe musiał działać, jeśli nie chciał uchodzić za ślepe narzędzie frakcji cesarskiej. Toteż wnet oskarżeni z obozu papieża – wsłuchując się bacznie w to, co im podpowiadano –

poczęli gorliwie oskarżać o czary ludzi z partii cesarskiej. Kto rozsądny, uchodził z miasta, porzucając majątek i stanowiska. Signoria, jak mogła, schlebiała samozwańczemu prorokowi. Czternastego sierpnia, wśród wielu innych, spalono na stosie Beatrice. Nie pomógł jej, a raczej zaszkodził list księcia von Kostrina, ministra przy cesarskim dworze. Umierała godnie. Nie jak dziwka, lecz jak męczennica, wyśmiewając oprawców i podtrzymując na duchu towarzyski kaźni.

–Odwagi, siostry, piekło jest tylko na ziemi!

Tymczasem piętnastego sierpnia, w dniu Matki Boskiej Aurelia przemówiła. Do tej pory odporna na wszelkie męki, po śmierci współniczki załamała się, obiecując wskazać szatańskiego oblubieńca. Do wielkiej sali w Palazzo della Guistizzia ściągnęły wielkie tłumy.

–Pokażę wam twarz szatana – powiedziała do sędziów i inkwizytorów, znajdując naraz w sobie niesamowitą siłę, i wyciągając kikut ręki, poddawanej wprzód najbardziej wymyślnym torturom, wskazała padre Filippo Bracconiego: – On ci jest!

–Wariatka – zakrzyknął jezuita. – Nie ma powodu...

–Posłuchajmy tej wariatki – przerwał mu fra Giuseppe. – Jakie masz dowody, występna kobieto.

Aurelia rzeczowo opowiedziała o grzesznym związku z donną Pazzi i o truciznie, którą kiedyś zamówił u niej. Tej, którą można było podawać pod postacią hostii. Inkwizytor zarządził przeszukanie Wysokiego Domu. Don Filippo, nie czekając na wynik rewizji, połknął kamień z własnego pierścienia i zmarł wrychle pośród okropnych cierpień.

Niestety, podczas przeszukań naszego domu, natrafiono na podniszczony, ale nie spalony do końca obraz Markusa W diabelskim kręgu. Stanowił on dla sędziów żywy dowód udziału malarza w szatańskich ceremoniach. Aresztowano i jego. Van Tarn nie obciążył nikogo. Wielokrotnie męczony, zmarł na serce, nie doczekawszy stosu.

Rządy Giuseppe di Piedimonte trwały dwa lata. Skupiwszy po wyjeździe kardynała Galeanigo i ucieczce Michelangela Urbiniego w swych rękach pełnię władzy, rozpoczął budowę Królestwa Bożego na ziemi. Planował zniesienie własności prywatnej, zamienienie domów na klasztory, a nade wszystko poniesienie ognia świętej rewolucji ku innym stronom. Jak na urągowisko za znak swój przybrał Gołębicę i Drzewo Oliwne. W swej zuchwałości doprowadził do wybuchu fanatycznych zamieszek w Biancinie. Tego dosyć było państewkom ościennym. Za dyskretnym poparciem cesarza zawiązały Ligę Rozsądku i Umiaru. Czwartego septembra pod wiekowymi murami Terrastro rozegrała się decydująca bitwa, poprowadzona wbrew wszelkim zasadom sztuki wojennej. Na regularne baterie

cesarskich artylerzystów rzucił Piedimonte watahy bożych zapaleńców. Ich klęska była straszliwa. Na rozmiękłych polach legł kwiat rosettińskiej młodzieży. Przerażony fra Giuseppe zamierzał zataić rozmiar przegranej przed swymi wyznawcami. Przekroczyło to jego możliwości. W pięć dni później, opuszczonego przez wszystkich, powieszono go na szubienicy opodal Studni Potępionych. Zwłoki spalono na stosie, na który tak chętnie skazywał innych. A potem wystosowano adres do cesarza. Imperator tryumfował, ale wcale nie zamierzał restytuować rosettińskich wolności. Jedenastego września – arcyksiążę von Kostrin wszedł do Rosettiny jako, z woli imperatora, jej udzielny suweren. Lud witał go jak wybawcę. Złożona z pozostałych przy życiu wielmożów Signoria ukorzyła się przed namiestnikiem, oddając mu pełnię władzy. Arcyksiążę otworzył więzienia i anulował konfiskaty. Resztki stronników Piedimontego uciekły. W czasie tej pacyfikacji u boku Johanna stał cały czas hrabia Lodovico. Jednak tylko jako dworak, doradca, zausznik. Nic nie zostało ze snów Orlanda o potędze i samodzielności. Lodovico pogodził się z rolą kolaboranta. Prowadził żywot grzesznego sybaryty. Pomnażał odzyskany majątek. Po paru latach przerwy poczęliśmy nawet pisywać do siebie. Hrabia, jak dawniej, wielce ciekaw dopytywał się o nowe prądy w sztuce.

Poznawałem je z pierwszej ręki. Przez blisko dwadzieścia lat krążyłem po Europie, realizując zamówienia królów i biskupów, dyskutując z uczonymi, prowadząc rozmaite badania i korespondując z najtęższymi umysłami epoki. Z czasem zyskałem sławę i poważanie. Można powiedzieć – byłem szczęśliwy. Choć samotny. Nie spotkałem bowiem kobiety mego życia. Na koniec z mym ulubionym sługą Anzelmem, osobiwie bystrym w rachunkach, którego wykupiłem ode zbójów w Neapolu, osiadłem w Rosettinie. Oprócz względów sentymentalnych na mej decyzji zaważył fakt, iż na wniosek don Lodovica uznano mnie honorowym obywatelem miasta, z czym łączył się niebłahy przywilej niepłacenia podatków. Nadal jednak dużo podróżowałem. Podczas jednej z takich podróży dotarła do mnie wieść o śmierci arcyksięcia Johanna, po tej stronie Alp zwanego Giovannim. Tron po nim, zgodnie z wolą cesarza, miał dziedziczyć jego jedyny syn, bastard Ippolito. Co spieszenie zatwierdziła Signoria.

I tak któregoś zimowego dnia w złotej sali Castello Nero zasiadł jedyny syn Beatrice Montenegro. Moje przeznaczenie.

Część II

9. Po prostu miłość

Anzelmo dolał oliwy do lamp, nie przestając namawiać mnie, iżbym odłożył na bok retorty i wreszcie udał się na spoczynek, kiedy wbiegła Francesca w chuście jedynie na koszulę narzuconej, wołając, że przybyła lektyka hrabiego Malficano, a signore Lodovico już spieszy na górę.

Poleciałem memu uczniowi zanieść wszystkie światła do salonu i dorzucić drew do kominka, a sam wybiegłem na spotkanie mego protektora. Od zeszłorocznej podróży do Rzymu nie widziałem się z hrabią. Obaczyłem go nadal wielce żywotnym i krzepkim jak za młodu. Jedynie w brodzie, ciemniejszej niż włosy i jak zawsze elegancko przystrzyżonej, pojawiły się srebrne pasemka.

–Witaj przyjacielu – zakrzyknął ściskając mnie. – A czemuż to nie odwiedziłeś mnie zaraz po przyjeździe?

–Dużo pracy – powiedziałem, opuszczając wzrok. – Pracuję nad mym traktatem... – wskazałem na inkunabuły rozrzucone po stołach i na pulpicie.

–Ach więc, wróciłeś do wymarzonej Summy uniwersalae? – z wyraźnym zainteresowaniem rzucił okiem na manuskrypt. – Bravissimo! Jednak o starych przyjaciółach winno się nie zapominać. A i nasz nowy książę, niech Bóg ma go w swej opiece, wyrzuca mi też, że najpierwszy malarz Rosettiny, a może i całego półwyspu, nie raczył dopotąd malować konterfektów jego i najjaśniejszej księżnej małżonki.

–Właściwie nie maluję już od paru lat. Czasu ciągle mniej, gdyż ten, w miarę swego upływu, bieży coraz niemiłosierniej.

–Znam cię dobrze i twe fascynacji falowanie, teraz pochłania cię medycyna i alchemia, za rok przyjdzie pora na astronomię... Ale, prawdę powiedziawszy, obstalunek obrazu to pretekst jeno, a w istocie potrzebujemy cię jako lekarza.

Tu zerknął nieufnie na Anzelma, który wszedł z naręczem bierwion. Oddaliłem sługę wymownym spojrzeniem. Odszedł niechętnie, będąc z natury istotą równie wścibską, jak moja nieboszczka ciotka Giovannina. Ja również odczuwałem ciekawość i... niepokój. Lodovico siadł na zydlu i umoczywszy usta w pucharze, do którego nalałem najlepszego wina ze stoków Montana Rossa, zaczął:

–Sprawa jest wielce delikatna, mój drogi przyjacielu, i ma wagę państwową. Być może wiesz, iż mimo trzyletniego czasu małżeństwa arcyprincessa Maria ani razu nie była brzemienna. Choć, miejscowym zwyczajem, za najlepszą terapię uważa się modły do świętej Zyty i sproszkowany kieł elefanta, mój kuzyn, drogi Ippolito, usłyszawszy o twoim traktacie O niepłodności, w którym twierdzisz, iż wiele problemów prokreacyjnych nie z defektów ciała, jeno z mózgu się bierze, zażyczył sobie, abyś obejrzał jego żonę. Rosettina potrzebuje dziedzica...

–Zali nie dość medyków jest na dworze? – westchnąłem, myśląc, by Lodovico jak najszybciej się oddalił i nie odrywał mnie już dłużej od spraw znacznie bardziej mnie pasjonujących.

–Najjaśniejszy pan dość ma medyków. Ufa bardziej twej sławie filozofa i alchemika.

–Nie uprawiam magii. Co się zaś tyczy prokreacji, w trakcie mego grzesznego życia starałem się czynić więcej, by nie mieć dzieci, niż je mieć. Opracowałem nawet odpowiedni kalendarz, a i sporo środków zapobiegawczych, co tylko ściągnęło na mnie gniew Kościoła, któremu osobiście zależy, by parafianie mu nie wymarli.

–Też boleję nad faktem, że nie założyłeś rodziny, albowiem nie może być dla ludzkości obojętnym, iż kretyni rozmnażają się w nadmiarze, a człowiek podobnie wielu przymiotów ciała i umysłu, co ty, nie pozostawia po sobie potomka.

–Może i racja, panie hrabio, aleć nie spotkałem dotąd odpowiedniej matki moich ewentualnych dzieci. Kobiety, którą bym pokochał, a nie tylko zaślubił...

–Figlarzu, a tve słynne romanse... Twoje konkiety we Francji, Hiszpanii?

–Oddałbym wszystkie za jedno przeżycie podobne owym, które uskrzydliły Danta lub Petrarę.

–Nawet gdyby za afekt przyszło płacić najwyższą cenę?

–Cóż mówić o cenie, kiedy od lat nie spotkałem właściwego towaru...

–Wróćmy do sprawy, Freddino. Kiedy przybędziesz? Dalibóg, nie miałem ochoty udawać się na dwór. Moje ostatnie przygody w Londynie nie napawały mnie sympatią do jaśnie urodzonych...

–Może w przyszłym tygodniu.

–Jutro! Jutro w porze obiadowej – powiedział zdecydowanie.

Znałem ten ton. Ton ludzi mających się za lepszych od innych i przypominających dotkliwie, kim jestem i jaka przepaść dzieli mnie od szczytów drabiny socjalnej. I w takich momentach niczym była moja sława, niczym wynalazki i korespondencje z najpierwszymi umysłami Europy, niczym prezenty od możnych tego świata. Znów, pomimo indygenatu, byłem człowiekiem pochodzącym z gminu, pacykarzem do wynajęcia, ciekawostką towarzyską, mędrkiem, którego odkrycia służyć miały jedynie zabawie. Pamiętam, jak ludzie lorda R., tegoż lorda, u którego gościł okrągły rok i wspólnie prowadził badania nad naturą związków chemicznych, oćwiczyli mnie jak psa, gdy wyszedł na jaw afekt, jaki żywi do mnie córka wielmoży, Henrietta... I niewiele pomogło, że dzięki wstawiennictwu pani de V. (ileż samozaparčia kosztował mnie romans z tą starą kokotą, nazywającą mnie: Mon petit – chien") otrzymałem we Francji patent szlachecki. Dla luizi z towarzystwa pozostawałem homo novus. A nasz lpoolito, syn nierządniczy i niemieckiego Klein Prinza, mógł uczynić ze mną, co chciał: wezwać jak rękodajnego, obsypać łaskami bądź też wydalić z Rosettiny.

–Niech będzie jutro, obiadową porą – rzekłem zrezygnowany.

Oczywiście, trudno nazwać moją rozmowę z regentką badaniem, kontakt fizyczny ograniczył się do ucałowania koniuszków jej palców, precudnie szczupłych, alabastrowych, z prześwitującymi błękitnymi żyłkami.

Maria pochodziła z północy, z kraju długich zim i brodatych żubrów, atoli swą na wpół dziecinną urodą przypominała Boticellofską Wenus, dla której, jak wiadomo, za modelkę służyła kochanica samego Wawrzyńca II Magnifico.

Arcyksiężna liczyła ledwie dwadzieścia wiosen i pod każdym względem stanowiła jaskrawe przeciwieństwo męża, Ippolita, który po swym szwabskim ojcu odziedziczył urodę raczej umiarkowaną; był niski, krótkoszyi, tęgawy, za to na nadzwyczajnie chudych nogach. Obrazu naszego władcy dopełniały wylupiate oczy małpy i wąskie, zacięte wargi. Gdybym go obaczył w mieście, wziąłbym go za chudopachołka, nie zaś suwerena Rosettiny i całego Przedgórsza. Zaiste, skoro to miał być syn Beatrice, to archanioł rządzący życiem poczętym zaprawdę wykazał się wyjątkowo zgryźliwym poczuciem humoru. Ippolito powitał mnie nad wyraz uprzejmie:

–Powiadają o tobie mości, Alfredo, żeś najtęższym pędzlem w mieście.

–Staram się jak najlepiej wykonywać mój fach, Najjaśniejszy Panie – odparłem.

–Słyszałem, maestro. Ponoć jak psa namalujesz, trzeba się mieć na bacności i nie dotykać płótna, bo bestia ugryźć może... – zarechotał grubiańsko. Maria okryła się pąsem.

–Cała współczesna Europa docenia pana Derossiego jako artystę i filozofa – rzekła. Arcyksiążę zmitygował się.

–Cóż, dowcip u mnie bardziej żołnierski – rzekł dłubiąc sobie w uchu. – Umyśliłem sobie tedy, że przedstawię cię jako Marsa, Boga Wojny, co się zaś tyczy małżonki mej, wybór pozostawiam tobie. Może być z niej Minerva albo Westa, albowiem, jak na Wenerę, zbyt cienka w sobie...

Chętnie polemizowałbym z tą opinią. Princessa miała zachwycającą figurę młodej gazeli. Jednak znałem swoje miejsce w szyku. Zamiast ripostować, rzekłem więc uprzejmie:

–Jeśli mógłbym coś zasugerować, Najjaśniejszy Panie, to przychodzi mi na myśl Diana Łowczyni, zwana przez Greków...

–Artemidą! – wpadła mi w słowo Maria. – Czytałam w pańskiej broszurze O dawnych

bogach, że w przedziwny sposób jej kult poprzez świątynię w Efezie łączy cześć oddawaną Najświętszej Pannie, która tam zasnęła, z tradycją pradawnej Macierzy Bogów, o której wspomina Herodot i babilońską boginią Astarte...

–Najjaśniejsza Pani czytała Herodota? – zakrzyknąłem zdumiony.

–Po grecku we fragmentach jeno, całość w przekładzie łacińskim.

–Uczona jest ta moja białogłowa – wtrącił chełpliwie Ippolito. – Chociaż, jak powiada pismo, “Nie masz nic gorszego niż mądra księga w ręku głupiej niewiasty”.

–Nie przypominam sobie tego wersetu... – rzekłem. – Czy to może święty Paweł w liście do Efezjan?

Ippolito pokraśniał na pysku jak rzezimieszek przyłapany na kradzieży.

–Nie łap mnie, waćpan, za słówka, jeno mów, ile czasu zabierze ci praca nad portretem, czego ci potrzeba i ile to będzie kosztować?

Tymczasem, na dyskretny znak princessy, weszli ochmistrzowie, zapraszając nas do obiadu. Do licha, ale też władcy Rosettiny i jego małżonce musiało na mnie zależeć, skoro postanowili, byśmy posilali się tylko we trójkę. Nawet hrabia Malficano pozostał gdzieś w antyszambrach. Przy stole arcyksiążę rzucił się na jedzenie, jakby obiadował pierwszy raz w życiu, natomiast Maria symbolicznie jeno dłubała widelczykiem w mięsiwach, zabawiając mnie rozmową. Zdumiało mnie, że jeszcze w Wilnie czytała wypisy z mej pracy O naturze człowieka.

–Wstępna to była przymiarka jeno do tematu. Daleka od doskonałości – powiedziałem.

Utkwiła we mnie oczy precudne, barwy Marę Balticum.

–Azali naprawdę uważasz pan, iż ludzie są sobie równi, bez względu na pochodzenie, stan i płeć, a wszelkie tajniki świata można zgłębić ludzkim rozumem?

–Już starożytni tak twierdzili.

–Ufasz onym Heraklitom, Protagorasom czy Demokrytom, którzy chcieli widzieć świat jako nie dzieło bogów, jeno kombinację żywiołów, i twierdzili nawet, że gwiazdy to tylko rozżarzone kamienie?

–Tfu! – Ippolito wypluł pod stół jakąś większą chrząstkę, ku zadowoleniu kłębiących się tam psów. – Dla mnie takie pomysły pachną jeno siarką i ogniem piekielnym! – warknął.

–Trudno powiedzieć, że bezkrytycznie im ufam, pani. Myślenie to, w moim przekonaniu, stawianie pytań, a jedyna droga do prawdy wiedzie przez krytyczne wątplenie, które nie musi wcale oznaczać negacji, lecz afirmację poprzez syntezę.

–Tylko czy w świecie, będącym połączonym zespołem machin, byłoby miejsce na piękno, na doskonałość, na miłość? – zapytała księżniczka.

Anzelmo czekał na mnie z kolacją, choć wiedział, że wrócę po arcyksiężęcej biesiadzie. Zżerała go ciekawość. Musiał zauważyć moje pobudzenie, bo ledwie mi ciżmy zdjął, zapytał:

–Stało się coś, mistrzu?

–Nic wielkiego – rzekłem, tłumiąc natłok myśli. – Na jutro przygotuj farby, paletę, blejtram, wracamy do malowania.

Odpowiedź ta nie zadowoliła snadź mego ucznia, pytał bowiem dalej o arcyksięcia, dwór, wreszcie o princessę.

–Jakaż ona jest, mistrzu? Jedni mówią, że przypomina zwiewnego elfa, drudzy, iż raczej bezbarwną rybę jaskiniową.

–Jest nadzwyczajnie inteligentna, jak na tak młodą niewiastę z dalekiego, północnego kraju. Wielce odczytana, nie uwierzysz, znała nawet Dziesięć listów o chirurgii duszy, przypisywanych Paracelsusowi, choć wydawało mi się, iż inkwizycja wytropiła i spaliła wszelkie egzemplarze.

–Ludzie powiadają też, że jest osobliwie ładna?

–Ładna? Słabo powiedziane! Zachwycająca, mój drogi Anzelmo! Delikatna jak słodycz poranku w gaju oliwkowym, tajemnicza jak błysk gwiazdy zarannej na różowiejącym niebie, zwinna jak kozica przeskakująca skały... – Tu połapałem się, że mówię stanowczo zbyt wiele, toteż z nagłą zmieniłem ton. – Przynieś mi jeszcze wina!

Do licha, cóż się ze mną działo! Jeszcze dziś rano wydawało mi się, że okres gorących namiętności dawno mam poza sobą, że wszedłem już w wiek mocnej stateczności, poza smugę cienia, za którą jest już tylko coraz bardziej stromy stok rezygnacji, coraz szybszego zapadania się w starość. Marzenia o ożenku z Henriettą, młodą córką lorda, uznawałem za ostatnią poważną próbę stałego związku, po którym pozostawała już tylko miłość płatna i pocziwa cycata Francesca, którym wykupił z pewnej austerii w Styrii, gotowa zawsze i placek upiec, i łoże zagrzać. Cóż więc wprowadziło mnie w stan takiego niepokoju? Spać nie mogłem, a chcąc powściągnąć łomotanie serca, łąziłem nagi po odkrytej galerii mego domu, chłonąc

nocne powietrze. Czyżbym był chory? Jakież dziwne fluidy opadły mnie w rozświetlonej setką świec wielkiej jadalni Castello Nero? Chociaż właściwie nic się nie stało. Dobre wychowanie nakazywało nie patrzeć zbyt zuchwale w oczy księżnej pani, za to słuchać z udanym zainteresowaniem żołdackich kawałów arcyksięcia, z których śmiał się wyłącznie on sam. Jednak przecież zdarzyła się w czasie onego wieczoru chwila osobliwa, kiedy pod koniec uczyty Ippolito oddalił się, zwracać nadmiar spożytego mięsiwa, a Maria, zwracając ku mnie swą piękną, ale smutną twarz, rzuciła piękną, kunsztowną greką:

Plejady i krąg księżyca

zapadły w ciemnościach nocy

Mijają godziny, ja zaś

samotna tu mrużę oczy...

Znałem ten wiersz Safony i nie pozostało mi nic innego, jak odpowiedzieć nań starą łacińską fraszką Saturnala.

A jeśli kto i pijany,

niech rad się zastanowi –

nie wolno w oczy Diany

spojrzeć Akteonowi.

Miał komentarza zabrzmiał jedynie jej śmiech perlisty, aż uczułem w całym ciele drżenie dziwne, serca pospieszne bicie, mgłę w oczach...

Malowanie miałem zacząć nazajutrz. Wychodząc, w Przedpokoju Zielonym natknąłem się na Lodovica Malficano. Widać oczekiwał mnie. Pytał o wrażenia ze spotkania, o stan psychiczny księżnej. Czy uważam ją za chorą?

–Bynajmniej, robi jeno wrażenie smutnej.

–Smutnej? A domyślasz się może powodu?

–Być może tęskni za swoją północną ojczyzną – odparłem wymijająco. – Sądzę jednak, że mając podczas malowania sposobność obserwować ją czas dłuższy, będę mógł już wkrótce powiedzieć coś więcej.

–Z pewnością kuzyn Ippolito będzie mnie wypytywał o zalecaną terapię.

–Na razie mogę stwierdzić jedynie: primum non nocere!

–To za mało.

–Dobrze. Wybiorę zioła do gorących kąpeli. Pod żadnym jednak pozorem nie zalecałbym puszczania krwi ani pij awek.

Malowałem ich tedy oboje, ją z zachwytem, jego z odrazą, a gdy obowiązki dworskie wzywały ich do komnat recepcyjnych, miałem mnóstwo czasu, aby przeglądać bibliotekę dworską po Radzie Siedmiu odziedziczoną. Przy okazji pogoniłem bibliotekarzy do roboty i pokazałem im, jak sporządzić inwentarz, katalog i wyciągi z ważniejszych dzieł.

Książnica pałacowa była przebogata, pełna białych kruków, pomiędzy którymi trafiały się papirusy, pochodzące ponoć ze spalonego Serapeum w Aleksandrii. Trudno mi było ukryć zdumienie, gdy natrafiłem na wklejone w okładkę jakiegoś zielnika kartki pochodzące z dzieł samego Herona, wspominające o niebywałych korzyściach mogących płynąć z wykorzystania energii parowej. Jeszcze bardziej zdumiał mnie starogrecki zwój z egipskiej Bandery, mówiący o wielkiej sile kryjącej się w pocieranym bursztynie, zwanym po grecku elektronem. Za czasów faraonów Starego Państwa umiano ponoć ją dobywać i magazynować, tak że rozświetlała korytarze wewnątrz piramid, aż było tam jaśniej niż w dzień. Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, aliści dawni Egipcjanie posiadali tyle zdumiewających umiejętności później zapomnianych, jak latanie w powietrzu czy też stosowanie machin do liczenia... Powiadają, że jedną z takich machin skonstruował dla kreteńskiego Minosa słynny Dedal. Dopotąd kładłem to między bajki. Tu jednak miałem dowód, że urządzeniami takimi posługiwał się twórca pierwszej piramidy, Imhotep, a także konstruktorzy grobowca Cheopsa.

Arcyksiążę na sztuce się nie znał i gdy Konterfekt pary władców z pierwszej połowy XVII wieku w antycznym wnętrzu począł ujawniać swe kształty i kolory, chwalił mnie, raz porównując do samego Leonarda, kiedy indziej do el Greca, co wskazywało, że nigdy nie oglądał żadnego z obrazów tych tak diametralnie różnych twórców.

Obraz przyszło mi kończyć bez głównego modelu. Około marca, gdy śniegi na Przedgórzu ustąpiły, cesarz począł skrzykiwać chrześcijan na nową krucjatę przeciwko zuchwałemu Turczynowi, który coraz poważniej chrześcijańskiej Europie zagrażał. Po prawdzie, na ziemiach zajętych przez bisurmanów kwitła większa tolerancja religijna niż w krajach cesarskich. Nie przeszkadzało to jednak głosić świętej wojny w obronie praw mniejszości przeciw dyskryminacji i czystkom etnicznym. W kwietniu pociągnął na wojnę i sam Ippolito, powierzając administrację Wielkim Księstwem Rosetty hrabiemu Malficano.

–Tuszę, że gdy powrócę i zatknę głowę wielkiego wezyra na murze Castellum, twoje dzieło będzie gotowe, mistrzu – powiedział, przechadzając się z chrzęstem szmelcowanej zbroi po mej zaimprovizowanej pracowni w zachodnim skrzydle

rezydencji.

A szedł za nim hajduk, gołowąs, nadzwyczajnie urodziwy, rzekłbym zbyt piękny jak na mężczyznę. Gdybym malował jeszcze raz Bunt aniołów, użyłbym go jako pierwowzoru Lucyfera do pierwszej części tryptyku, kiedy ów nie był jeszcze księciem ciemności, a ukochanym archaniołem Pana. Na moment przypomniał mi się mój druh z młodości i poczułem bolesne ukłucie w sercu. Po prawdzie, gdyby Scipio żył, byłby pewnikiem grubym, łysawym osobnikiem po czterdziestce...

–Gdy powrócimy, namalujesz mnie razem z Giannim – zarządził Ippolito. – Powiedzmy... w kostiumach Kastora i Polluksa. Albo lepiej – tu potarosił hajduka za policzek – jako Achila i Patrokla na zawodach w Olimpii: nagich i szybkich.

W jednej chwili pojąłem to, co od pierwszego spotkania winno być oczywiste. Sprawie zapewnienia Rosettinie dziedzica nie mogły pomóc ani kąpiele, ani zioła. Skłonność Ippolita do młodych pacholąt była czymś więcej niż przelotną słabostką. Demonstrowana mimochodem, acz permanentnie, niechęć do kobiet wyglądała na tak wielką, iż wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że princessa Maria to uirgo intacta. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Lodovico.

–Przebóg, jesteś pewien? Dziewicza władczyń! – wykrzyknął zdumiony. – Tego jeszcze w Rosettinie nie było. Będę musiał wpłynąć na drogiego Ippolita, iżby choć raz pokonał swą słabość i dał ojczyźnie dziedzica albo przelał na kogo innego prawo ius primae noctis. Oczywiście, po powrocie z wyprawy.

–Czy nie uważasz, panie, że powinienem na czas wojny zaniechać pracy nad obrazem? – pytałem.

–W żadnym wypadku. Znasz wolę najjaśniejszego pana. Wizerunek ma być gotów na dzień jego powrotu.

Pracowałem tedy. Codziennie przez parę godzin. Czas upływał szybko, a nasze dialogi z Marią stanowiły prawdziwą ucztę intelektualną. Dużo rozmawialiśmy, wszelako, tak ze względu na świadków, jak i dobre obyczaje, nigdy nie przekraczając cienkiej granicy, jaka zawsze winna dzielić malarza i modelkę, wasala i suzerena, meżatkę i kawalera, mężczyznę i kobietę. Po prawdzie, dworki nie wadziły nam zbytnio, jako że dialogi prowadziliśmy przeważnie po grecku. Princessa była niezwykle ciekawa świata, który znała jedynie z książek i okien karety. Rozmawialiśmy tedy o astronomii i ekonomii, czytałem jej piękne sonety nadesłane mi z Albionu, autorstwa niejakiego Szekspira i kolportowane poufnie (wszak trafiły na index librorum prohibitorum) dzieła Galileusza o mechanice, spadaniu ciał i obrotach sfer niebieskich.

–Pod tym względem Galileo rozwija jedynie wcześniejsze prace jednego z mych

ziomków, kanonika Mikołaja – powiedziała Maria. – Znaszli panie jego interesujące dzieło o tym, iż pieniądz gorszy zawsze wypiera lepszy, *Monetae cudendae ratio*?

Dziś, kiedy wspominam tamto przedwiośnie, pojmuję, że w tych naszych spotkaniach, wieczerzach i obiadach kryło się jedno wielkie niedomówienie, jakaś z każdym dniem potężniejsza tajemnica. Dni galopowały rączo jak młode źrebaki, a ja, mimo iż nie pozwoliłem sobie na żadną poufałość, czułem się coraz bliższy tej nieszczęśliwej kobiety. Oczywiście kochałem ją, śniłem o niej nocami, ale była to jedynie niema adoracja. Przecież wobec tej niewiasty byłem prawie starcem, w dodatku jej poddanym... Rosła więc we mnie obawa, że gdy malowanie ukończę, rozstaniemy się, aby nie ujrzeć się już nigdy. Wszelako uczciwość zawodowa nie pozwalała mi postępować jak Penelopa, na przemian tkająca i prująca płótno.

Trzynastego kwietnia dokonałem ostatnich pociągnięć pędzla. Obraz był gotów. Przez okno wdzierały się zapachy kwitnących drzew w sadach pałacowych, a myśmy stali, patrząc na parę antycznych bogów w trakcie przygotowania do łowów. Ippolito został w tej scenie upiękuszony dalece bardziej niż zezwalała przyzwoitość. Wyglądał tak męsko, szlachetnie i proporcjonalnie, jakbym do tempery dorzucił parę funtów wazeliny.

–Zali mój wizerunek nie nazbyt pochlebiony? – pytała *princessa*, ujmując mnie pod ramię. – Czyż tak naprawdę nie mam ust wydatniejszych, a oczu weselszych? Rozumiem, że nie pasowałyby one do wizerunku zagniewanej Łowczym. Mogłeś mnie jednak przedstawić pod postacią Afrodyty. Czyżbyś uważał *Wenus* za kogoś pośledniejszego?

–Nie, pani, stawiam Afrodytę za boginię najpierwszą i, jak powiadają niektórzy, potężniejszą niż Zeus i Chronos razem wzięci, bo przed nimi powstała wprost z Chaosu na podobieństwo dawnej azjatyckiej Macierzy Bogów.

–A zatem czemu dla mnie wybrałeś Artemidę, a nie Panią z Cypru? Powiedz szczerze.

Przełknąłem ślinę. Właściwie dlaczego miałbym nie powiedzieć jej prawdy. Wszystkie dworki pobiegły na dziedziniec, oglądać igraszki niedźwiedników przybyłych z Czech.

–Wybacz pani, ale jako boginię miłości musiałbym namalować cię nagą.

–Cóż stoi na przeszkodzie...?

–Wasza wysokość, twoja pozycja, twój dostojny mąż...

–Zdaje się, że Ippolito kazał ci wypełnić wszystkie moje życzenia. A ja tego chcę. Lukrecja z Modeny ma wiele podobnych wizerunków, a jest kuzynką Ojca Świętego...

–Jednak nie przystoi...

Tupnęła nóżką:

–Sporządź szkic.

Skłoniłem głowę.

–Dobrze pani, postaram się o modelkę podobnych ci kształtów i dam jej twoją twarz.

–Modelkę? – zaśmiała się. – A ja ci nie starcze? – Tu palce jej poczęły przebiegać po haftkach, zapinkach... I spadały z niej szaty jak jesienne liście, aż stanęła przede mną jako Cypryjska Bogini, porażająca bielą śnieżną. Piersi miała drobne, lecz jędrne, pięknie sklepione, pąkom róż podobne, wszelkie proporcje doskonałe, nogi szczupłe, brzuch płaski...

Szkicownik wypadł mi z rąk, podniosła go, podała. Poczulem jej zapach oszałamiający. W tym momencie dobiegły nas z krążganków śmiechy i tupot nóg powracających dworek.

–Rysuj mnie! – powiedziała Maria z przekornym uśmiechem na rozkosznych ustach.

–Błagam, nie, wybacz, pani... – Byłem zdenerwowany jak wyrostek. Za mało było czasu, by ją ubrać, zgarnąłem więc leżące szaty i prawie siłą pociągnąłem wielką księżnę ku drzwiom magazynu farb. W alkowie panowały ciemności, próbowałem ubrać ją jeno. A poczułem wokół szyi jej ręce szczupłe i pachnące jako róże, jej usta na mych ustach, jej język...

–Co czynisz, pani – szepnąłem.

–Nic wielkiego. Po prostu cię kocham i pragnę, mój mistrzu!

Jak zmyliła dworki, gwardzistów, na zawsze pozostanie tajemnicą. Jeszcze tego samego wieczoru umyślny dostarczył mi bilecik wzywający mnie do białej altany położonej w ogrodach spływających po południowym stoku Castello Nero. Do biletu dołączeń był klucz od dawnej Bramy Wodnej stanowiącej ewakuacyjne wyjście z zamku. I jakże miałem postąpić. Stchórzyć?

Nie budząc Anzelma, umyłem się i wymknąłem z domu. Jak złodziejaszek przemknąłem uśpionymi ulicami Rosettiny. I nim wybiła północ, znalazłem się w ogrodowym pawilonie, w ramionach Marii.

Przeżyliśmy razem tę noc jak ucztę najwspanialszą, poczynając zrazu od

niepiesznego, można rzec, leniwego degustowania przystawek, przez zawzięte smakowanie zupy, do szaleństwa pierwszego dania przełamane bolesnym krzykiem i łzami szczęścia, którego pamiątką pozostało krwawe kwiecie na prześcieradle... Gdy odeszła, spierałem później sam tę tkaninę wstydliwie w konwi przy altanie, a niebo różowiało ponad mną jako ta woda, śpiewały ptaki i gasła na nieboskłonie zaranna gwiazda pani Wenus.

A potem pobięły następne dni pełne oczekiwań i noce gęste od upojenia.

Po oszałamiającej wiosnie nastąpiło parne lato, korpusy Ippolita zdziesiątkowane na polach Panonii i pod murami Belgradu wracały do domu. Cesarz zawarł pokój, nie przejmując się zbyt losem jeńców, z których wielu trafiło na rynki niewolnicze od Buchary po Marakesz. Wielki książę Rossetiny wjechał do miasta przez specjalnie wzniesioną bramę tryumfalną, głosząc chwałę zwycięskiego rozejmu i oplakując swego faworyta, Gianniego, który trafion strzałą, konał długo i boleśnie. Demonstracje wdów i sierot po poległych żołnierzach skutecznie rozgoniono.

A my? Zakochani z każdym dniem coraz bardziej... Nawet po powrocie Ippolita spotykaliśmy się nadal w małym domku na ulicy Koguciej, połączonym ukrytym przejściem z kaplicą klasztoru franciszkanek, którego ksieni, siostra Marii, niechętnie, ale jednak przymykała oczy na nasze schadzki.

Czy książę nas podejrzewał? Spotykając się z nim parokrotnie, otrzymywałem wyłącznie dowody jego życzliwości. Nawet było mi wstyd własnej nielojalności. Inna sprawa, że miejsce Gianniego zajął już numidyjski młodzian, jakby ze szlachetnego hebanu utoczony.

Aż gdzieś z końcem sierpnia zaproszono mnie do pałacu. Zorganizowano wielki bal dla najlepszych rodzin rosettyńskich, ale arcyksiążę znalazł czas osobiście dla mnie. I spotkaliśmy się we trójkę w niskiej gotyckiej komnacie za biblioteką: on, Lodovico i ja.

Ippolito promieniał, na powitanie objął mnie czule, aż poczułem niesmak, i tak mówił:

–Chcieliśmy jeszcze raz podziękować wam za pracę, mistrzu. Obraz wszyscy uznają za przepiękny. Wizerunki nasze wyszły przednio utracone, a i porządek w bibliotece nastąpił wyborny.

Nie pojmowałem, co oznacza ta przemowa? List gratulacyjny już dostałem, wynagrodzenie także.

–Mam tu pismo jego wysokości wicekróla Nowej Hiszpanii zapraszające was do Meksyku, gdzie istnieje wielka potrzeba przyozdobienia nowej katedry. Mój kuzyn szczególnie chciałby, abyście namalowali mu scenę inferna, równie straszną, jak

freski w naszej kaplicy Mądrości Bożej. Ludziom Nowego Świata potrzeba codziennego przypominania obrazu piekła, pełnego potępionych grzeszników, wiarołomców, czarowników i uwodzicieli...

Rzuciłem okiem na Lodovica. Twarz miał nieporuszoną. Może więc dziwne słowa księcia nie kryły żadnych aluzji. Nie uśmiechał mi się jednak wyjazd za morza.

–Za propozycję dziękuję, ale chwilowo posiadam taki ogrom zamówień na miejscu, choćby ów projekt witraży dla Jego Świątobliwości... Nie skończę ich przed Bożym Narodzeniem.

–Zatem wyruszycie na Nowy Rok. – Słowa Ippolita nie pozostawiały miejsca na opór.
– Tedy pospieszcie się...

–I jeszcze jedno – do rozmowy włączył się Malficano. – Zastosowane wedle twej rady zioła i kąpiele nadzwyczajnie pomogły.

–Nie może być – wykrzyknąłem, dziwiąc się w duchu, że Maria, którą widziałem ledwie przed tygodniem, nic mi nie rzekła. – Czyżby najjaśniejsza pani...

–Tak. Jest brzemienna. Wkrótce Rosettina będzie mieć dziedzica. Dziękujemy ci, mistrzu.

Wyglądało, że rozmowa jest skończona, cofałem się ku drzwiom, kiedy spojrzenie Ippolita schwytało mój wzrok, a na wąskich wargach władcy zagościł krzywy uśmiech.

–Jesteśmy pańskim dłużnikiem, maestro – powiedział.

10. Po prostu śmierć

W archiwum tajnej policji rosettińskiej zachowały się wszystkie donosy Anzelma. Pisane skrupulatnie drobnym, acz kaligraficznym pismem, rejestrowały wszelkie zdarzenia od pierwszej nocy mego romansu. Mój sługa, który tyle mi zawdzięczał, udał jeno, że śpi, gdym wymykał się na schadzkę. Poszedł za mną, a co widział, opisał.

Z listu pierwszego:

I parzyli się w tej altanie. Odrażająco nadzy, w księżycowym blasku, wśród jęków, szlochów, krzyków i bezecnych pocałunków. Jestem pewien, że aby zdobyć wzajemność, podły cudzołożnik uciekł się do haniebnego podstępu i przyzwał całą tajemną wiedzę, pojąc Najjaśniejszą Panią płynem miłosnym, iżby, nie bacząc na wstyd i srom, była mu powolna. A potem grzesznik ów osobiście wyprał prześcieradło i powrócił do domu, nucąc pod nosem pieśni weselne...

Z listu jedenastego:

Takoż i tej nocy spotkali się jak uprzednio w kamieniczce przyległej do klasztoru franciszkanek, którego ksieni, siostra Najjaśniejszej Pani, niewątpliwie za sprawą złych mocy i tym razem użyczyła schronienia występnyim kochankom.

A poniżej:

Kwituję odbiór. Słownie: dwóch florenów i dwudziestu pięciu denarów.

TW "Uczeń"

Tegom nie przewidział. Anzelmo konfident. Chociaż dość miałem innych znaków ostrzegawczych; po mieście krążyły na mój temat plotki, a nawet rymowane paszkwile... Czemu zatem nie przyjąłem oferty z Meksyku, czemu nie opuściłem Rosettiny onego dnia, gdym dowiedział się, że Maria jest brzemienna? Czy sprawiła to moja pycha? Po raz pierwszy czułem się tak wielki i doceniony. Moje słówko szepnięte wielkiej księżnej oznaczało dla protegowanych splendory i pieniądze. W poczuciu bezkarności utwierdzało mnie przekonanie, że arcyksiążę pedał jest po prostu tchórzem. To Maria była prawdziwą panią tego królestwa, powszechnie kochaną, po równi przez arystokrację i plebs. Także niemałe wpływy posiadała w państwie rodzina jej matki pochodzącej z Czech, lecz z dawna po tej stronie Alp zdomowionej, wuj Zeman dowodził armią, kuzyn Giorgio policją, a powinowaty Ladislao zajmował stolec biskupi.

Musiał więc nasz miłościwy władca, mimo oczywistych dowodów i mnożących się donosów, znosić żonine wycieczki do klasztoru na wieczorne "rózańce", przyzwalać na nasze sympozjony w swym pałacu, z udziałem uczonych mężów i artystów, w trakcie których wielokroć okazywał mi swoją łaskę, ścisnął i wychwalał, nazywając mnie swym przyjacielem.

A ja czułem się wszechmocny, ceniony i szanowany. Miałem rozlicznych uczniów i wiernego Anzelma spisującego wszelkie moje słowa. W Collegium Merillianum bez jakichkolwiek przeszkód wykładałem nową filozofię, w której, wzorując się na pradawnych Jończykach, odrzucałem wiarę w ziemską ingerencję Boga bądź bogów. Podważałem też przyrodzone prawo naturalne, twierdząc, że jest ono wypracowanym przed wiekami kompromisem, kontraktem zapobiegającym chaotycznej walce wszystkich ze wszystkimi. Ot – umową społeczną.

Tylko z rzadka, kiedym wykładał przed gromadą zasłuchanych uczniów, stawał mi w pamięci obraz Markusa, który mówił podobnie, choć naiwniej, i tylko czasem, jak przykry zgrzyt, wracało wspomnienie jego straszliwego końca. Ale kto, będąc u szczytu powodzenia, myśli o śmierci. Byłem szczęśliwy i chciałem, żeby inni byli szczęśliwi. Maria, Rosettina, cała ludzkość, a nawet nieudacznym Ippolito.

–Rozum – mówiłem, rozkoszując się własnym tembrem głosu – nasz rozum jest jedyną miarą wszechrzeczy. On sprawia, że nasze działania są celowe, że rozpoznając własne korzyści, powściągamy popędy i wybieramy najlepsze drogi.

–A jeśli się mylimy? – nieoczekiwanie zapytał mnie kiedyś żak chuderlawy, nerwowy, w kubraku pokrytym grubą warstwą łupieżu. – Jeśli złudzenia przyjmujemy za fakty, a nasze pragnienia za rzeczywistość?

–Niczego nie musimy przyjmować na wiarę. Angielczyk Bacon, a za nim wielu innych, twierdzi, że podstawą wszelkich twierdzeń powinno być powtarzalne doświadczenie.

Żak nie ustępował.

–Wszelkie doświadczenie zakłada, że świat jest takim, jakim go widzimy. Lecz jeśli jest inny? Nie możemy przecie dotknąć ani gwiazd, ani drobin, z których wedle filozofów stworzona jest materia.

–Kiedyś będziemy mogli! Opanujemy Ziemię i sięgniemy gwiazd! – zawołałem z przekonaniem. Bo wierzyłem w to. Wierzyłem w postęp ludzkości wyzwolonej z ograniczeń ciemnoty i zabobonu, w które zakuli ją władcy i księża.

–A czy w onym świecie powszechnej szczęśliwości zniknie również śmierć? – nieborak usiłował pytać dalej, ale inni zakrzyczeli go i zatupali.

Tryumfowałem. To były wspaniałe dni. Nonszalancko krytykowałem konwenanse, a klaskali mi dworzanie. Prałaci uśmiechali się, choć krzywo, gdym opowiadał o gwiazdach i planetach, twierdząc, iż są ogromnymi kulami poruszającymi się w kosmicznej pustce, zaś wszelkie życie bierze się z podstawowych, niewidzialnych i pomieszanych żywiołów, człowiek natomiast to nic innego, jak wielka ucywilizowana małpa, która stanęła na nogi i poczęła tworzyć narzędzia.

–Jakże to? – nieśmiało odzywali się polemiści. – Negujesz, mistrzu, stworzenie świata w jego całej różnorodności?

–Różnorodność jest dziełem powolnych przekształceń. Podobnie jak hodowcy uszlachetniają rasy psów czy bydła, tak natura sama wykształciła swe nieskończone bogactwo.

–A dowody twych koncepcji? Wymyślić można wszystko.

–Nie chcę, byście przyjmowali me tezy na wiarę. Przyjrzyjcie się kijance i żabie. Obserwujcie rozwój płodu zwierzęcego. Parę lat temu widziałem u pewnego medyka w Bazylei w słojach wszystkie fazy rozwoju ludzkiego embriona: zrazu przypominającego małą rybkę, potem gada, wreszcie pokrytego futrem gryzonia.

Wniosek nasuwa się sam: w każdej historii płodu zapisany jest rozwój gatunku, który, z braku lepszej nazwy, określam słowem euolutio. Ergo, jeśli nawet istnieje Stwórca, to gdzieś daleko w zaświatach. Dokonał być może pierwszego impulsu, wprowadził wszechświat w ruch, a teraz nawet się nim nie zajmuje.

Łykali te herezje jak gęsi zadawaną karmę. Z kolei na innych seminariach opowiadałem o przyrodzonej równości ludzi, która winna być fundamentem prawa i sprawiedliwości.

Po jednym z wykładów, któremu przysłuchiwała się z ukrytej antykamery princessa, podzieliła się ze mną nurtującymi ją obiekcjami.

–Równość, mój kochany, to teoretycznie piękna rzecz powiedziała. – Potwierdza ją Pismo Święte, równi rodzimy się w bólu i krzyku i równi w cierpieniu umieramy, wszelako w praktyce, czy wymagasz, abyśmy z próżniakami, którzy nie przepracowali uczciwie ni godziny, dzielili się naszym pałacem, a do kościoła na kazalnicę wpuszczali Żydowina? Pomyśl, co będzie, gdy słowa i definicje zechce kto obrócić w czyn. Czyż zburzenie odwiecznego porządku nie przyniesie więcej zła, łez i krwi niż jego trwanie? Przecież dziś maluczcy pogodzeni są ze swym losem, gdyż nie wiedzą, że może być inny, gdy jednak dotrą do nich twe myśli, a kiedyś dotrą, czyż nie zechcą być nam równi?

–I powinni mieć do tego prawo!

–Ale przecież nigdy wszyscy ludzie nie będą naprawdę równi, boć jedni są z urodzenia mądrzy i wytrwali, a drudzy głupi i leniwi, jedni silni, inni słabi... Więc gdy ich nawet zrównasz na siłę, cóż z tego wyniknie. Pęknie ład odwieczny, pryśnie ich szczęście prostacze, a pojawi się gorycz, kwas, zawiść i już nigdy nikt nie będzie kontentował się swoją kondycją.

–Tedy będą dążyć wzwyż.

–Jesteś pewien? A może cała ich aktywność skieruje się nie na to, aby się doskonalić, lecz by zabrać innym, którzy osiągnęli więcej? Zwłaszcza gdy dopuścisz, by sami stali się sędziami w swych sprawach, zastępując w ten sposób Boga, którego im zabierzesz.

Bóg! Zaiste, był to punkt dzielący nas diametralnie. Ja, od lat ateusz czy raczej agnostyk, nie potrafiłem zrozumieć Marii. Ze swego północnego matecznika wyniosła wiarę głęboką, jaką miewają chyba tylko dzieci i święci. Czasem zdawało mi się, że po prostu widzi, czuje tego swojego słowiańskiego Pana Boga, dobrego jak deszcz wiosenny i pięknego jak świt. I nie przeszkadzały jej w tym książkowe mądrości, naukowe odkrycia. Albowiem to samo, co mnie w religii odpychało, ją przyciągało.

Kiedym krzyczał o zbrodniach Torquemady, wspominał rozwiązłość Borgiów,

przyzywał pamięć Giordana Bruna wraz z jego męczeńską śmiercią na Campo del Fiori, odpowiadała:

– Kościół jest jak ludzie, wśród których trwa. Może błędzić jak oni, być grzeszny jak oni, a także wielki i święty jak oni. Bo czy człowiek, który błędzi, nie jest nadal człowiekiem, czyż wyzbywa się swej duszy nieśmiertelnej? Tak i Rzym jest przede wszystkim drogowskazem i depozytariuszem Dobrej Nowiny, ale że boski ogień podsycają rozmaici ludzie, więc czasem płomień, miast grzać serca, służy stosom.

– Czy wiesz, kochana, że inkwizycja spaliłaby cię, słysząc twe heretyckie tezy?

– To nie są tezy. To wiara. To pokora. To pogodzenie się z własną niedoskonałością. To wreszcie miłość. Do Boga w całym świecie i w tobie.

– We mnie? – zaśmiałem się. – Jeśli Bóg nawet był, to dawno poszukał sobie innego miejsca.

– Jest na pewno, Alfredo. Jest i kiedyś go poczujesz. Modlę się o to. – Popatrzyła na mnie przenikliwie, jakoś tak inaczej niż zwykle.

Wielokrotnie pytałem, jak godzi swą wiarę z naszym grzesznym związkiem.

– Zaślubiłam cię w duszy – odpowiadała. – Nie mam i nie będę miała innego męża prócz ciebie. I Bóg o tym wie.

Czasami zaś, porzuciwszy filozofowanie, mówiliśmy o dziecku naszym, które, jak obiecywała Maria, Ippolito będzie musiał uznać za swoje.

– A ty je wychowasz. Na najlepszego, najmądrzejszego władcę epoki.

Nadeszły jesienne chłody, słoty. Nic nie zapowiadało nieszczęścia. Ze względu na stan księżnej, widywaliśmy się rzadziej. Pisywaliśmy jednak naszym prywatnym szyfrem listy, które przynosił niestrudzony Anzelmo.

Nie mogłem być obecny przy porodzie. Nie spałem jednak całą noc. Niedługo po północy w całej Rosettinie zabiły dzwony i dano ognia z arkebuzów, ludzie wylegli na ulicę śpiewając i tańcząc, narodziny następcy tronu wieszczyły bowiem stabilizację, a naprawdę niczego bardziej pospółstwo nie łaknie niż świętego spokoju. Tańczyłem i ja z nimi.

Aż drugiego dnia pobladła ksieni franciszkanek powiedziała mi o złośliwej gorączce, która zniemacka dopadła położnicę.

– Co z nami będzie? – szlochała. – Bez protekcji Marii będziemy zgubieni.

–Dajże spokój płaczom, pani, twoja siostra wyzdrowieje, wezwano najlepszych medyków.

–A jeśli nie...

–Gdy będziesz u niej, daj, iżby zażyła to – tu podałem jej puzderko.

–Co to jest?

–Cudowny proszek, który otrzymałem od pewnego mnicha, gdym odwiedzał klasztor świętej Katarzyny na górze Synaj. Leczy złośliwe gorączki i zgorzałe rany. Udało mi się ustalić, że pochodzi on z pewnego gatunku pleśniowego pędzłaka, penicillium zwanego.

–Nie mogłem przewidzieć, że ksieni przed spotkaniem z siostrą zostanie poddana rewizji, a lekarstwo na jej oczach Ippolito własnoręcznie wysypie przez okno. Tymczasem również Anzelmo odradzał mi dłuższe pozostawanie w mieście.

–Nie moja to rzecz, mistrzu – mruczał – ale na waszym miejscu opuszczałbym Rosettinę co koń wyskoczy.

–A to czemu? – zdziwiłem się.

–Siła nagromadziła się wokół was ludzkiej zawiści i niechęci. Kościół i możni lękają się waszych nauk, aż strach pomyśleć, co by się z nami stało, gdyby najjaśniejszej protektorki zabrakło.

–Nie chciałem słuchać ostrzeżeń. W przebraniu mnicha dotarłem do pałacu. I zobaczyłem Marię, jeszcze bielszą niż zawsze, słabszą i gasnącą w oczach. Na mój widok gestem usunęła dworki. Padłem na klęczki koło łoża.

–Alfredo, Alfredo... – szepnęła. – Co ty tu robisz?

–Jestem przy tobie, Mario. Jestem i będę zawsze.

–Poruszyła niespokojnie głową.

–Musisz uciekać, kochany, musisz! Mnie nie pomożesz. Ja umieram.

–Wydrowiejesz. Najdroższa, zażyłaś mój lek?

–Kochany, błagam, uchodź póki czas. Gdy umrę, zginiesz.

–Zostałem w mieście, płakałem... Nie wiedziałem, co robić. Jak nakręcany pies, od którego urobiono mi przydomek, krążyłem wokół Castello, wokół katedry. Bywało, przystawałem przed portalem, w którym smoki, gryfy i centaury chylą łby przed

Pantokratozem, i wygrażałem mu pięścią.

–Jeśli jesteś, jeśli jesteś, jeśli jesteś, uzdrów ją. Tyś ponoć wszechmocny!

–Wpierw musisz uwierzyć, potem prosić – mruknął do mnie beznogi żebrak, kulący się między szkarpami, W tak wielkiej byłem desperacji, że nie poznałem w onym żebraku kapitana Massimo.

Maria umarła trzeciego dnia przed świtem. Może mi się tylko wydawało, ale czuwając w wynajętym pokoju visavis jej komnat w Castello, ujrzałem naraz chmurę białych mew, które, nie wiedzieć skąd, poderwały się ponad dachem pałacu.

Następnej nocy giermek Lodovica przyniósł mi wieść, że zapadła decyzja o moim aresztowaniu, dał mi konia i trzos. Ukryłem się w odległej winnicy, w miejscu, które znał jedynie Anzelmo. Stamtąd siepacze wielkiego księcia wywlekli mnie po tygodniu, zabrali do miasta i rzucili w głęboki loch pod Torre Nera. Byłem całkowicie osamotniony. Dawni przyjaciele zniknęli, Lodovico wyruszył akurat na pielgrzymkę do Rocca Papale, rodzina Marii udawała, że mnie nie zna, a ksieni dostała przeniesienie do klasztoru za Alpy.

Myliłby się jednak ktoś, kto liczyłby na długi przewód sądowy, bolesne dobywanie prawdy za pomocą mąk, starannie wyreżyserowane role oskarżycieli i obrońców. Nawet tego mi poskąpiono. Ośmiu małomównych, poźółkłych jak gęsi stolec prawników uzgodniło werdykt na podstawie zeznań zaledwie kilku starannie dobranych świadków. Zaniedbawszy nawet mnie przesłuchać, orzeczono mnie winnym herezji, czarów, deprawacji młodzieży, a nawet śmierci najjaśniejszej pani. Puzderko z resztkami synajskiego proszku było dowodem na me trucicielstwo.

Czemuż tak się stało? Chyba nie tylko dlatego, że Ippolito nie chciał rozgłosu. Odbierając mi życie, postanowił odebrać także coś, co było dla mnie od życia droższe: moje dzieła, moją chwałę! Od dnia mego pojmania jego ludzie krążyli po Europie, wykupując sygnowane przeze mnie obrazy, rzeźby, tkaniny. I niszczone je na moich oczach, acz bez postronnych świadków, jako prace inspirowane przez diabła. Arcyksiążę nie szczędził trudów ani pieniędzy. Z bibliotek całego kontynentu wykupywano i wykradano moje pisma, bez wciągania ich jednak na indeks ksiąg zakazanych, co byłoby, zdaniem prześladowcy, ich zbytęcną rekomendacją. A moi uczniowie? Znalazło się z trzydziestu żaków przyznających się otwarciu do pobierania u mnie nauk lub jeno oskarżanych o kontakty ze mną. Pod pozorem zaproszenia na debatę z legatem papieskim wysłano ich okrętem na Isole di San Isidoro. Okręt nigdy nie dotarł na miejsce przeznaczenia. Zatonął. Ludzie księcia mówili o gniewie Bożym, strażnicy więzienni plotkowali o celowym doprowadzeniu do wybuchu prochów w ładowni. Nic nie miało pozostać po Alfredo Derossim.

Władca opowiedział mi o tym wszystkim z pełną satysfakcją, gdyśmy się widzieli po

raz ostatni.

Na czas audiencji wyprowadzono z celi innych skazańców. Leżałem w pyle sam, półnagi i przykuty łańcuchem do słupa, a księżę pan, ubrany jak na bal, stał o parę kroków, oświetlając loch własnoręcznie trzymaną latarnią.

–Nie doceniłeś mej łaski w porę – mówił, rozkoszując się swemi słowy. – Proponowałem ci wyjazd i pieniądze, z pewnością oszczędziłoby ci to wielu niewygod i niechybnej śmierci.

–Zali tak trudno jest wysłać do Nowego Świata skrytobójcę? – spytałem.

Zachichotał.

–Może bym wysłał, a może bym nie wysłał, Alfredo. Bawiłbym się twą niepewnością. A bawić się lubię! Nie pytasz mnie jednak, czemu przyszedłem? Ano, doniesiono mi, że chcesz publicznego sądu, zali tęskno ci do tortur inkwizycji?

–Pragnę dowieść jeno, że jestem niewinny zarzucanych mi czynów.

Skrzywił się brzydko.

–Być może jesteś niewinny czarów, ja się na tym nie znam, ale z pewnością winien jesteś wiarołomstwa i cudzołóstwa. Tak bardzo pragniesz, aby wyszło to na świat? By splamiło pamięć mojej ukochanej Marii. Kobiety, którą niecznie zhańbiłeś.

–To była miłość!

–Miłość? Z jej strony raczej racja stanu. I dlatego z wdzięczności za oddane nam usługi proponowaliśmy ci wyjazd. Chcieliśmy mieć syna. Chcieliśmy, by był piękny, zdrowy i zdolny. Lodovico, pokój niech będzie jego duszy, zaproponował ciebie na ojca.

–Hrabia Malficano nie żyje?

Ippolito westchnął z udaną żalnością.

–Jacyś zbóje podli zakłuli go nożami, gdy wracał z pielgrzymki. No cóż, świat jest okrutny. Ważne, że wszyscy spisali się jak trzeba. Zrobiliście, co do was należało. Mam następcę i nie muszę mieć żony. Biedna Maria nie przewidziała jedynie własnej śmierci.

Coś ścisnęło mi gardło.

–Maria? Ona wiedziała...

Znów zaczął się śmiać.

–Sama to wymyśliła, biedaku. I przystała na ciebie. Ja proponowałem kogoś z gwardii, ona i Lodovico woleli filozofa, artystę... Szczęściem artyści umierają tak samo jak zwykli ludzie. A jeszcze i drugi raz, gdy zginą ich dzieła.

Może powinienem był go błagać. Żebrać nie tyle o życie, ile o sławę nieśmiertelną, która ulatywała teraz na wewnętrznym dziedzińcu wraz z palonemi obrazami i książkami. Nie zrobiłem tego. Spytałem tylko:

–Jeśli postanowiłeś pokarać mnie psychicznie, czemu jeszcze potrzebujesz mej śmierci? Dlatego że Maria mnie pokochała?

–Umierasz, bo nie potrzeba nam świadków.

–A co z Anzelmo, pewnie pięknie nagrodzicie go za wierną służbę...

Chmura przeleciała przez twarz księcia.

–Przepadł gdzieś, zdradziecki pies – wyrzucił z siebie gniewnie. – Zaszył się pewnie w jakiejś dziurze. Ale odnajdziemy go. I zetrzemy w proch!

Odczułem drobną satysfakcję. Anzelmo z rzadką konsekwencją zdradził wszystkich. W duchu życzyłem mu, by jego ucieczka się udała.

–A mój syn – spytałem. – Co z nim, jego także zamordujesz?

–To mój syn, mistrzu! – w oczach Ippolita błysnął gniew. – Mój jedyny, pierworodny. Nigdy nie dowie się o tobie, podobnie jak i potomność, na którą tak liczyłeś. Bądź pewny, filozofem nie ostanie, jego edukację zlecę najgłupszym kapralom mej gwardii.

Rozmowa była skończona, książę ruszył ku drzwiom, naraz stanął i odwrócił się.

–W swojej nieskończonej dobroci, mimo ogromu twych zbrodni pozwolę ci wybrać rodzaj śmierci, Freddino! Więc już teraz możesz zacząć się zastanawiać. Byleby nie była to śmierć ze starości.

I wyszedł, pozostawiając mnie w rozpacz głębszej niż wprzódy. Znikąd nie mogłem bowiem mieć żadnej pociechy. Ludzie mnie opuścili, w Boga nie wierzyłem.

A trafił do mej celi młody wieśniak, Antonio, czekający na stryczek. Zabił on był swego ojczyrna za to, że, jak twierdził, gwałtem niewolił jego siostrę, panienkę ledwie dwunastoletnią. Aliści macocha i młodszy bracia na rozprawie zaświadczyli przeciw zabójcy. Ów Antonio imponował mi spokojem. Modląc się, ufnie czekał śmierci i sprawiedliwości Bożej. Jakże zazdrościłem mu tego spokoju. Zazdrościłem mu

instancji, do której mógł się odwołać. Rozdzierał mnie żal i rozpacz, i niepewność. Brakło mi wiary. Czym była cała moja wiedza wobec tajemnicy umierania. Po wielekroć pytałem sam siebie: czymże miała być ona śmierć? Chwilą bólu i upadku w nicłość czy też początkiem nie kończącego się wędrowania po bezdrożach Tartaru, Szeolu, czyśćca? W piekło, jakie sam malowałem, z diabłami i ogniem, nie potrafiłem uwierzyć.

A w Boga? Chciałem, nie potrafiłem. Za długo dowodziłem sobie i ludziom, że jest zbędny. Choć teraz bardzo pragnąłem, żeby był. Moje rozterki obce były Antoniemu. Odchodząc na kaźń, ścisnął mi rękę i rzekł:

–Będę się za pana modlić! – Zdumiało mnie to. Jakże ten człowiek, w chwili swego odejścia, mógł jeszcze myśleć o bliźnim, martwić się moim losem.

W noc ostatnią przyśniła mi się moja Maria. Nie była smutna, raczej podniecona.

–Czekam na ciebie, naprawdę czekam.

Obudziłem się. Dniało. Ktoś po torturach jęczał w sąsiedniej celi. Zaczynał się mój dzień. Wyspowiadałem się jakiemuś pachnącemu czosnkiem analfabecie w habicie, żałowałem grzechów, otrzymałem nawet rozgrzeszenie i, ucałowawszy krwawiące nogi Chrysta, czekałem... Żebym jeszcze potrafił uwierzyć, że tam, poza Styksem, spotkam Marię, a zanim wypiję wodę z Lety, Rzeki Zapomnienia, jeszcze raz usłyszę jej śmiech, dotknę cudnego wgłębienia na dłoni, poczuję gorąco ust na swych wargach...

Werble. Werble. Otóż i Dziedziniec Płaczu. Koniec mej wędrówki. Na wprost trybuna możnych, gapie w oknach kamienic, w uliczkach, na dachach...

–Trybunał obradujący pod przewodem Jego Wysokości (zawsze sądziłem, że oficjalna tytulatura trwa długo, dziś zabrzmiała krócej niż bzyk pikującego komara) uznaje urodzonego Alfreda Derossiego, zwanego "Il Cane", winnym zarzucanych mu przestępstw (tu lista obfita jak jadłospis wielkanocnej wieczerzy) i skazuje go na karę śmierci. (Werble. Krótko. Jeszcze nie koniec?) W swej najwyższej łaskawości Najjaśniejszy Pan Arcyksiążę Ippolito Pierwszy Sprawiedliwy pozwala wybrać skazanemu rodzaj śmierci.

Uniosłem twarz. Na wąskich wargach władcy igrał uśmieszek. U jego stóp czarnoskóry faworyt ssał jego krzywy, bosa paluch. Naraz zapragnąłem uczynić mu jakiś kawał, sprawić, że przynajmniej w tym ostatnim momencie pozbawię go satysfakcji.

–Mam wybrać? – głos brzmiał ochryple, obco.

Skinął głową. Jeszcze raz powiodłem po otaczających mnie akcesoriach śmierci.

Pal, szafot, szubienica. Właściwie mogłem krzyknąć jedno zdanie, zanim oprawcy zatkają mi usta: "Jestem niewinny!", "Niech żyje wolna Rossettina!" albo: "Rznąłem arcyksiężną i jestem ojcem Carla!" (to za długie). W każdym razie musiałem się pospieszyć, gdyż bałem się, że omdleję lub, co gorsza, popuszczę zawartość jelit.

Ktoś powiedział: "Studnia Potępionych!" I dopiero kiedy dwaj barczyści, odziani na czerwono oprawcy w kapturach ujęli mnie pod ramiona, pojąłem, że to były moje słowa.

Część III

11. Wyrzutek

Wilgoć, chłód, strach, wilgoć, chłód, strach. Kołowrotek myśli, zrazu obracających się bez celu, na podobieństwo wodnego wiru, potem skupiających się niczym mgławica. (Mgławica, czy ja znam takie słowo?) Wreszcie świadomość: trwam. Żyję. Nigdzie nie lecę. Jestem w ciemności. Gdzie? Czy piekło może być wilgotne? Studnia. Studnia? Tak, jestem w studni! Nie spadłem, nie roztrzaskałem się na miazgę, zaczepiłem się o coś, wiszę... Nie. Raczej tkwię w jakimś lepkiem paskudztwie i jestem nagi. Do kroćset, zali w locie pogubiłem szaty? Macam ręką... Mokra obmurowana ściana. A więc jednak studnia. Wołam półgłosem: "Ha!" Odbijający się pogłos: "Ha, ha, ha!" Pode mną przepaść! Poruszę się, spadnę. Tak, to studnia!

Po chwili wróciła przeszłość. I ostatnia myśl, nim pochłonał mnie mrok: Dlaczego, na wszystkie świętości, nie spadam ruchem jednostajnie przyspieszonym? Sic! Teraz przypominam sobie lepiej – leciałem, z trudem powstrzymując się od krzyku. Leciałem i leciałem. Każdą swą komórką czekając na uderzenie, na ból straszny, rozdzierający, ostateczny, łamanie kości, wzajemne miażdżenie tkanek... Wokół mnie zaś kłębiły się wyziewy, jakby dym... Może dzięki nim straciłem przytomność przed dotarciem do dna? A może skutkiem otumanienia zdawało mi się, że lecę coraz wolniej i wolniej. Nieważne! Żyję! Jestem w studni. I to nie na dnie. Więc gdzie? Wydusiłem odrobinę śliny z zaschniętych ust. Odczuwałem okropne mdłości, dalibóg, jakbym przybył nie z lochu, a z suto zakrapianego bankietu. Splunąłem, czekałem plusku. Nic! A więc byłem daleko od dna. Wokół wszystko śmierdziało, prócz stęchlizny czułem odór gnicia, siarki i czart wie jakich fekaliów, dopiero po chwili zorientowałem się, że ugrzęzłem na niewielkiej półce, obok jakiejś dziury, z której sączyły się nieczystości...

Dopiero teraz ogarnął mnie prawdziwy strach. Zali przeżyłem tylko po to, by konać tu długo i podle? Czyżby zgotowano mi czyściec na ziemi? Biorąc pod uwagę czas lotu, a to pamiętam doskonale, musiałem znajdować się straszliwie daleko od powierzchni. Nawet jaszczurce trudno byłoby się stąd wydostać. Przemknął mi koncept rozpaczliwy, iżby skrócić swe cierpienia, wydobyć się z błota i skoczyć dalej w sztolnię. Tak uczynię! Naraz stanęły mi w oczach sceny śmierci Giovanniny,

Markusa i Marii. I pokornie schylona przed krzyżem postać Antonia idącego na śmierć. Nie wiedzieć czemu pomyślałem o Bogu. Tym, któregom się wyrzekł, zaparł, wykreślił ze swych myśli, lecz nigdy nie udało mi się dowieść, że Go nie ma. Zaświtało mi, iż może w mej mizerii, w mym zawieszeniu był cel jakiś wyższy. Że została mi dana jeszcze jedna szansa. Nie uwierzycie, ja, Alfredo Derossi, "Il Cane", pies bezbożny, uczyniłem znak krzyża. Tknięty niepojętym impulsem, zacząłem się modlić, czując, jak spływa na mnie spokój... I stał się cud. Księżyc musiał stanąć dokładnie ponad wlotem studni, bo naraz chłodne światło zalało szyb. Błysnęły poukładane nierówno warstwy kamieni. Boże Wszechmogący. Toż od cembrowiny dzieliło mnie ledwie kilkanaście stóp. Może było to złudzenie, sen? Powrócił okropny ból głowy, mętlik, słowa bez związku, obrazy, których nigdy, jako żywo, nie oglądałem.

Zacisnąłem zęby, powtarzając sobie: "Musisz!" Uniosłem się też nieco, próbując jedną ręką znaleźć jakiś występ nad sobą. Palce jednak ślizgały się po wilgotnym murze. Cóż za tortura wiedzieć, że tak niedaleko jest powietrze, miasto, życie. Naraz zmacałem hak wbity w spojenie zaprawy. Uwiesiłem się na nim; powinien wytrzymać, pomyślałem. Oswobodziłem nogi z plugastwa i podciągnąłem się. Jakiż byłem okropnie słaby, niezdarny. Przeszkadzał mi wydatny brzuch, nawet nie wiedziałem, że tak mi urósł na więziennym wikcie. Znalazłem jakieś niepewne oparcie w jakimś otworze, z którego wypadł kamień. Ale co dalej? I znów okazało się, że mój anioł stróż czuwa nade mną. Bowiem ledwie stopę od pierwszego haka oderwałem, znalazłem drugi... I przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Przyciśnięty do cembrowiny jak mucha do szyby, żmudnie poruszałem pierwszym hakiem, aż ostał mi w dłoni, po czym wzięłem go w zęby i począłem macać mur, szukając czegoś, co mogłoby mi posłużyć za młotek. Po jakimś czasie znalazłem niewielki kamień wystający z zaprawy. Przy pomocy haczyka udało mi się go wyłuskać. Teraz pozostawało mi już tylko jedno. Wbijać hak, podciągać się na nim. Wyjmować drugi... I da capo, al fine...

Godziny płynęły. Jednak niebo dopiero zaczynało różowieć, gdym złapał się kamiennej krawędzi, podciągnął...

Bez sił upadłem na bruk. Miałem torsje.

Cóż! Rzygam, a więc żyję – przemknęło mi. Obok studni dostrzegłem pokrywę, którą najwyraźniej zdjęto na czas egzekucji, a potem, na moje szczęście, nie nałożono ponownie. Rozejrzałem się wokół siebie. Coś w otaczającym mnie mieście postrzegłem dziwnego. Dziedziniec Płaczu zdawał się być podejrzenie przestronny i pusty. Czyżby uprzątnięto go zaraz po kaźni? Nie widziałem stłoczonych kramów, kup śmieci, nie czułem zapachu koni, łajna i uryny. Ani śladu rynsztoka. Znikły wszystkie budy między ratuszem a katedrą, dzwonnice otynkowano na białą, a i hełm na niej, choć spatynowany, nie przypominał mi dawnego zwieńczenia.

Co się stało? Miałbym halucynacje? A może śnię sen na jawie? Zwróciłem oczy w lewo ku rondlowi, gdzie gotowano fałszerzy. Nie było gara. Miast niego wznosił się wysoki cokół, a na nim stał pomnik z gatunku tych, jakich wiele można w Rzymie obaczyć, tyle że nie prężył się na nim antyczny heros, tylko mąż ubrany w staromodny kaftan, jaki lubił wdziawać przed laty stryj Benni. Mężczyzna ów jedną ręką przyciskał do piersi księgę, w drugiej, uniesionej do góry, trzymał kaganek w stylu etruskim. Na głowie miał przedziwny kapelusz pasterza owiec, natomiast twarz, a zwłaszcza zdobiąca ją hiszpańska bródka coś mi przypominała. Podczołgałem się pod cokół. Odczytałem napis majuskułą ze złotych liter uczyniony:

ALFREDO DEROSI "IL CANE"

MĘCZENNIKOWI POSTĘPU –

LUDZKOŚĆ

Gdyby niebo spadło mi na głowę, nie wywołałoby to na mnie większego wrażenia. Wstałem. Tak, to byłem ja. Wyrzeźbiony cokolwiek niezdarnie, ale ja – "Il Cane!" Tyle że ja żyłem! Owszem, byłem nagi, brudny, palce miałem zdarte do krwi, a na pokrytej zarostem twarzy zakrzepłą krew z głębokiej rany na czole.

Dobry Boże, cóż mi się przydarzyło? Może zapadłem w owej studni w sen jakiś lub letarg. Sam byłem świadkiem, jak po otwarciu krypty w kościele Santa Maria del Frari obaczyliśmy trupa pewnego mnicha, żywcem pogrzebionego. Udało mu się opuścić trumnę i wczołgać schodami na górę, ale płyty kamiennej nie zdołał już podważyć. Jak długo jednak tam przebywałem? Pewnikiem dłuższy czas, skoro zdążono wystawić mi pomnik. Może rewolta jaka zmiotła z tronu Ippolita i jego kamarylę...

Rozejrzałem się dookoła. Plac odnowiono chyba niedawno, boć wszystkie mury nosiły ślady świeżych tynkowań. Przy campanile kwitły magnolie, za moim pomnikiem ciągnął się trawnik i kwietniki. Musiało tedy upłynąć co najmniej parę dni. Znikł gdzieś szafot, szubienice, żerdzie na czerepy zbrodniów, studnie okalały łańcuchy, pozostały natomiast schodki dla dzieciobójczyń. Tyle że w miejscu dawnych drzwi jaśniało wyjście. Ruszyłem ku niemu. Wiedziałem doskonale, co za nim zobaczę: urwisko, dalej gnojną górę, łąki nadrzeczne, przystań... Wysunąłem głowę. I poraziło mnie światło. Jakby słońce w środku nocy skierowało swe promienie na stare miasto. Odwróciłem głowę. Widziałem skąpane w tym zimnym świetle nad sobą katedrę i zamek. Tak iluminowane sprawiały wrażenie teatralnej dekoracji.

Ale przede mną? Cóż to było za miasto? Nad ściśniętą kamiennym gorsetem Fiume del Fiori ujrzałem kilkanaście wysmukłych wież Babel, sięgających nieba, pełnych roziskrzonych okien, jakby pożar je trawił, między nimi, niczym ramiona ośmiornic, wiły się oświetlone ulice pełne pojazdów bez koni, o płonących ślepiach, posuwających się z rącością pantery i nieprawdopodobnym jazgotem. Wszędzie pulsowały światła. Napisy, raz gorejące, to znów znikające... Nazwy, lubo uczynione w jakimś języku europejskim, brzmiały dziwnie i obco: "GurbiCola", "Pizza Granda", "Banco Anzelmiano". Gdzież, na Boga, się obudziłem? Czyżby tak miało wyglądać inferno?

Zmrużyłem oczy. Raz i drugi. Obraz nie znikał. Stanowczo musiałem szybko oprzytomnieć, zebrać myśli, umyć się. Pomyślałem o rzece. Opodał tarasu, na który wyszedłem, dostrzegłem rzęsiście oświetlone schody. Puściłem się ku nim. Ledwiem

jednak na nie wskoczył, schody ożyły mi pod stopami. Krzyknąłem przerażająco, upadłem i począłem po nich koziołkować, a stopnie płynęły jak rzeka i na koniec wypłuły mnie na metalowy podest. Jęcząc, próbowałem powstać.

–Ależ cię urządzili, koleś – dobiegł mnie chrapliwy głos. Uniosłem oczy i ujrzałem żebraka. Wyglądał swojsko, choć odziany był dziwacznie, w pludry, jakby do konnej jazdy przeznaczone, i jakiś bury, połatany kubrak, ot, malutki, pękaty gnom z kompletnie łysą głową i twarzą przypominającą mordkę świnki, pokrytą parodniową, siwiejącą szczecinią. Cuchnął okropnie, ale swojsko.

–Możesz wstać? – zapytał. – Pospiesz się, tu niebezpiecznie. Hej, Ricco! – To zawołanie skierowane było do jego towarzysza, chudego jak szczapa mężczyzny z sięgającą ramion szopą skołtunionych włosów, który bobrował parę kroków dalej w metalowej, niedużej skrzynce.

–Co się, kurde, drzesz, Toto? Dwie butelki znalazłem. O, w mordę... Gliny! Spadamy! Bierz tego gołego melepetę, nim go dorwą.

W naszym kierunku podążał, wyjąc okropnie, wóz bez koni. Nie tracąc ni chwili, obaj oberwańcy pociągnęli mnie między jakieś płoty i baraki. Był to plac budowy. Chciałem im wprawdzie wytłumaczyć, że nie mam powodu kryć się, gdyż jestem cudownie zmartwychwstałym Alfredo Derossim, któremu w ich mieście wznoszą pomniki, ale jeszcze za młodu przyswoiłem sobie zasadę, że jeśli ludzie uciekają, należy uciekać wraz z nimi, a dopiero potem pytać się dlaczego.

–Szybciej, koleś, szybciej – przynaglał długowłosy.

Skręciliśmy pod jakieś filary, całe zabazgrane ohydnyimi bohomazami, coraz mniej było świecących kuł na żerdziach wokół drogi, aż wreszcie otoczył nas mrok. Stanęliśmy. Usłyszałem zgrzyt metalu. Toto podważył jakąś metalową płytę.

–Ładuj się – mruknął. – Do kanałów te łapsy jeszcze po nas nie schodzą.

Po metalowych obręczach wbitych w mur zesliśmy na krawędź kloaki, którą płynęło plugastwo. Szliśmy wąską cembrowiną, nie mówiąc nic, słuchając chlupotu nieczystości i kropli wody, ciekących ze sklepienia. Z palców Ricca wytryskał promień świetlisty, jaśniejszy niż dziesięć świec, bez dymu i zapachu.

Tak posuwaliśmy się czas dłuższy, aż ujrzelśmy poświatę ognia. Siedział przy nim inny mężczyzna w sile wieku, owłosiony jak małpa, o równie nieapetycznej powierzchowności, jak pozostali.

–Zobacz, kto się do nas przypalał, Lino – powiedział Toto. – Tak kompletnego golca to jeszcze nie widziałem.

Podciągnęli mnie do ognia. To, co zrazu brałem za ognisko, okazało jeno płomieniem wydobywającym się z jakiejś smrodliwej rurki, nad którą wisiał garnek. Pociągnąłem nosem.

Wykorzystują do palenia gaz błotny, pomysłowe – pomyślałem. Obok tej “kuchni” dostrzegłem dwa barłogi, mnóstwo śmiecia, puszek, butelek z dziwnego, miękkiego szkła, strzępów papieru i bliżej nie znanych mi przedmiotów.

–A tyś skąd się wyrwał, ciulu? – zapytał gospodarz, traktowany przez pozostałych żebraków z wyjątkową atencją. – Z kicia czy z wariatkowa? – Milczałem. Nie dał za wygraną. – Umiesz chociaż gadać? A może w ogóle nic nie kumasz?

Skinąłem głową na znak zrozumienia.

Język, którym się posługiwali, przypominał mi moją mowę ojczystą, tyle że wielce zniekształconą, pozbawiony został wdzięku trybów, czasów, deklinacji i koniugacji. Był bliski żargonowi naszych wieśniaków, acz nasycony licznymi wyrazami, których znaczenia nie pojmowałem.

–Zajarasz? – Grubasek wyciągnął pudełeczko podłużnych, białych pałeczek przypominających laski wanilii. Na wszelki wypadek pokręciłem głową. Brodacz natomiast skorzystał i wetknął sobie jedną z nich bezpośrednio w pysk. Nie użył żadnej lulki.

Gnom przytknął swoją laseczkę do ognia, cmoknął, potem dał odpalić i po chwili otoczyła ich chmurka aromatycznego dymu tytoniowego. Ricco tymczasem wyciągnął z worka obszarpane koszule i pantaloney.

–Ubierz się – rzekł, rzucając mi ubranie. – Nie są to ciuchy od Versace, ale lepszy łach niż goło w piach!

–Dziękuję – odparłem.

Lino siadł przy mnie. Uważnie przypatrywał się mojej twarzy i moim rękom.

–Szuka cię ktoś? – zapytał.

–Nie przypuszczam.

–“Nie przypuszczam”. Wyraża się jak typowy inteligenciak – zjeżył się brodacz. – Wkurzają mnie takie typy, bo przypominają mnie samego sprzed piętnastu lat. Niech wyschnie, zeżre coś i spierdala. Nie jesteśmy żadnym skubanym hospicjum.

–Poczekaj, Lino – mitygował go Toto. – Widzisz, że facet ledwie żyje. Trzeba mieć

Boga w sercu.

–Mnie to mówisz? Byłemu studentowi wydziału teologicznego? Boga to wiesz, gdzie ja mam? Nie lubię kłopotów. A obcy to zawsze mogą być kłopoty.

–Mogą, ale nie muszą.

Tymczasem Ricco wygrzebał z papierowej torby jakieś okrągłe, metalowe pudełko, na którym namalowany był posilający się kot, rozpruł wieczko nożem i podał mi, mówiąc:

–Twój kot też kupowałby whiskas.

W środku znajdowała się jakaś substancja, pachnąca dość smakowicie. Pożarłem ją natychmiast. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem coś w ustach. Chyba dość dawno. Moi gospodarze mierzyli mnie wzrokiem.

–Skąd się wziąłeś na Skarpie? – zapytał w końcu Toto. – To nasz rejon. Nigdy cię dotąd nie spotkaliśmy.

–Nie bardzo potrafię wam odpowiedzieć. Wydaje mi się, że coś się stało z moją pamięcią.

–Pewnie zwiąłeś z odwyku. Po tych pieprzonych kuracjach, hipnozach i elektrowstrząsach można ze szczętem ocipieć – ożywił się Ricco. – Przerabiałem to. A i tak trafiłem tutaj. Choć kiedyś pracowałem w telewizji.

Nie wiedziałem, co mógł oznaczać ów zlepek słów greckich i łacińskich, na me wyczucie mówiący o dalekowidztwie, ale z szacunku, z jakim Ricco wymawiał ów ostatni wyraz, wywnioskowałem, że chodzi o jakąś instytucję cieszącą się ze wszechmiar szacunkiem.

–Tak, tak, taką miałem rękę do reklamy, że nie było laski w mieście, która nie ciągnęłaby mnie do wyra, żeby się tylko załapać na zdjęcia próbne.

Przestałem go słuchać. Chciało mi się już tylko spać. Odczuwałem potworne zmęczenie, otuliłem się więc postrzępionym dywanikiem, który mi dali i usnąłem jak dziecko. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowałem, był stary Toto, który włożył sobie jakieś kołeczki do uszu połączone drutem z niedużym pudełkiem i zaczął poruszać się rytmicznie, jakby od wewnątrz rozpaliała go muzyka.

Obudziło mnie słoneczne światło padające mi wprost na nos. Otwarłem oczy. Światło sączyło się przez jakąś kratkę. Zali wróciłem do celi w Castello Nero? Byłby to doprawdy banalny koniec niezwykłego snu. Jednak łoskot ulicy, dolatujący z zewnątrz, świadczył, że cykl omamów trwa. Żebracy gdzieś się zapodzieli. Zabrali ze

sobą większość swojego chudego dobytku. Albo należeli do kanalarskich włóczęgów przemieszczających się co dnia, albo wspaniałomyślnie odstępowali mi to lokum wraz z barłogiem i skrzynką zrobioną z nie znanego mi materiału, służącą za stół. Poza tym w kącie znalazłem stertę zadrukowanych kart, przypominających nasze druki ulotne. Porwałem owe skrawki skrzętnie, mając nadzieję, iż dowiem się z nich czegoś o świecie, w którym się znalazłem. Przeczucie mnie nie omyliło. Zaraz znalazłem nagłówek "Il Giornale della Rosettina" i datę 25 czerwca 2001 roku. Poczulem zawrót głowy i doświadczyłem znów uczucia zapadania się w studnię. Od mej egzekucji minęły blisko cztery stulecia!

Dłuższy czas siedziałem nieruchomo. Szczęściem ów nagły szok odegrał dobroczynną rolę. Postawił mnie na nogach. Nawet jeśli wszystko było złudzeniem, złudzenie to poddane było pewnym regułom. Świat w mej głowie się uporządkował. Starannie przeczytałem wszystkie pozostawione zadrukowane stronnice. Na paru z nich widziałem kolorowe konterfekty przedstawiające ludzi płci różnej, jak i tej samej, bezwstydnie uprawiających miłość. Obrazy były tak dokładne, jakby wyszły spod ręki złego ducha, nie człowieka. Dalej ujrzałem liczne zdjęcia pojazdów na kołach, bez koni, napędzanych siłą tajemną. Trafiła się też poszarpana książka bardziej do oglądania, niż czytania, pełna strojów i sprzętów wraz z ich cenami. Stroje w porównaniu z odzieżą z moich czasów wydały mi się skromne, stonowane w barwach, zapewne wygodne i szybkie w nakładaniu, za to prezentowane tam urządzenia przypominały akcesoria alchemika. Od przeczucia kartek zabolęła mnie ręka.

–Spokojnie, Alfredo – powtarzałem sobie. – Nie wnikaj na razie, jak to się stało, ustal swoją sytuację. Jesteś w XXI wieku. W Rosettinie, w Europie, zdaje się, połączonej. Czego się dowiedziałeś? Przez ostatnie czterysta lat ludzkość dokonała niebywałego postępu: pojazdy samobieżne, światło ponadnaturalne, schody ruchome... Zarazem jednak nadal istnieją żebracy, a jak wynika z doniesień "Il Giornale della Rosettins", moc jest występków, morderstw i zbrodni.

Wśród nielicznych sprzętów pozostawionych w norze przez żebraków natrafiłem jeszcze na owo pudełeczko ze słuchawkami – z katalogu dowiedziałem się, że nosi nazwę "walkman". Naśladując postępowanie Toto, założyłem słuchawki na uszy i nacisnąłem jakiś guziczek.

Jazgotliwa kakofonia dźwięków rzuciła mną o ścianę. W pudełeczku siedział prawdziwy demon muzyki. Choć czy była to jeszcze muzyka? Udało mi się demona przytłumić, pokręcając jedną ze śrubek. Nadal brzmienie było barbarzyńskie, ale jakości tak doskonałej, że lepszej bym sobie nie mógł wymarzyć. Musiała tam grać cała orkiestra, słyszałem bowiem i dźwięki bębnów, i jakby rogów, i organów. Zaiste, jeśli miała się sprawdzić opinia Platona, że upadek świata bierze swój początek w

zwyrodnieniu muzyki, przyszłość XXI wieku nie wyglądała ciekawie.

Mimo to wrócił mi humor. Zwłaszcza gdy znalazłem kawałek suchego chleba i reszkę onego "whiskasa". Obiektywnie patrząc, czyż moja przygoda nie była frapująca. Żyłem i mogłem zaspokoić ciekawość własnej przyszłości w stopniu, o jakim Arystotelesowi czy Erazmusowi z Rotterdamu się nie śniło.

–Nuże, wykorzystajmy to! – zakrzyknąłem sam do siebie.

Gorączkowo zapragnąłem znaleźć się na świetle słonecznym, umyć się w rzece, odnaleźć jakąś akademię czy bibliotekę, gdzie z pewnością trafiłbym na mnóstwo ludzi, z którymi zdołałbym się porozumieć.

Tak zafascynowała mnie ta myśl, że zapomniałem o ostrożności. Przeszedłem naszą wczorajszą drogę wstecz i wnet znalazłem się pod filarami mostu, upstrzonymi owymi napisami wyglądającymi na plugawe, choć sensu ich nie umiałem pojąć, cóż bowiem oznaczały te różne: "Fuck off", "Rosettina – pany" czy "Parma – Żydy" lub połamane krzyże w religiach pragermańskich oznaczające słońce? W porośniętym zielskiem rowie natrafiłem na jeden z owych metalowych potworów. Pozbawiony szyb, bez kół, z poprutymi siedzeniami nie budził grozy, jeno politowanie. Buszowała weń gromada dzieciaków, która prysnęła na mój widok, obrzucając mnie obelżywymi słowami. Zajrzałem do wnętrza. Wehikuł przypominał powóz czy raczej sanie z małym kołem sterowym jak na okręcie. Z przodu, pod podniesioną klapą dostrzegłem mnóstwo poskręcanych rur i drutów przywodzących na myśl jamę brzuszną żywej istoty. Ponieważ w mechanice jestem dość biegły, szybko doszedłem, że sercem urządzenia musi być niewielki żeliwny kocioł. Czymże jednak w nim palono? Zwięzły zapach przywodził na myśl olej jakiś lubo wydzielinę ziemną, z której w Ilirii wytwarzali smołę na dachy i drogi. Nie miałem jednak czasu na dalsze badania. Idąc dalej, przez chwilę przyglądałem się drutom prowadzącym od latarni do latarni. Lampy były zbyt wysokie, by mógł je zapalać człowiek, przewody zaś za cienkie, iżby mógł nimi podróżować świecący gaz. Tymczasem między kupami śmiecia zamigotał mi brzeg Fiume del Fiori. Jeszcze chwila, a znalazłem się na kamiennym nadbrzeżu. Pochyliłem się nad wodą... Uderzył mnie odrażający smród chemikaliów. Rzeka, i za moich czasów niezbyt czysta, teraz była prawdziwym ściekiem. Musiałem się jednak obmyć. Choćby w ścieku. Trudno! Zanurzyłem się po pas...

Przerażający ryk. Z oszałamiającą szybkością zjawiała się łódź bez żagli. Umundurowani mężowie o tępym pyskach rakarzy wciągnęli mnie do środka. Widać było, że moja broda, zakrzepła krew i poranione palce nie wzbudziły ich zaufania.

–Dokumenty – warknął czarny jak smoła Murzyn, ku memu zdziwieniu, najwyraźniej przewodzący białym. – Dokumenty! – powtórzył, widząc, że nie reaguję na jego wrzaski.

–Co?

–Cokolwiek. Paszport, polisa, karta kredytowa, prawo jazdy...

–Nie pojmuję, o czym mówicie. Straciłem pamięć.

Ujrzałem jak funkcjonariusze wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

–Nada się, trochę poraniony, ale ogólnie nie wygląda na ćpuna – powiedział Murzyn.

– Mamy od rana fart.

Łódź zakręciła z ogłuszającym rykiem i ruszyliśmy w górę rzeki. Nałożyli mi na ręce metalowe bransolety. Opierałem się, twierdząc, że niczego złego nie zrobiłem. Instynktownie czułem, że ich zamiary wobec mnie są paskudne. Ciosem głową powaliłem Murzyna, chciałem skoczyć w wodę. Wtem biały o złamanym nosie wydobył pałkę. Spodziewałem się, że się nią zamachnie. Ale dotknął mnie jeno. Targnął mną przerażający wstrząs, docierający do krańców mego jestestwa. Straciłem przytomność.

12. Anielski pacjent

Ciemność absolutna. Dźwięki. Tik, tak, tik, tak – czyżby jakieś urządzenie alchemiczne? Znów trafiłem do studni? A może śnię dalej swój sen nie przespany? Kroki! Kroki wokół mnie. Męskie buciory, kobiece pantofelki. Głosy. Oddalają się, zbliżają... Z wolna zaczynam je rozpoznawać. Żyję. Dlaczego jednak nie mogę się poruszyć... Paraliż? Nie! Pod palcami czuję tkaninę. Mogę też poruszyć palcami nóg. Coraz więcej odczuwam. Na oczach nacisk bandaża. W ustach metaliczny niesmak.

**–Czy to pewne, że numer czterysta trzydziesty piąty nie miał żadnych dokumentów?
– dudni głos męski, władczy.**

–Nic nie miał – odpowiada głos kobiety, rzeczowy, spokojny, leciuteńko zachrypnięty. (Kiedyś lubiłem takie zmysłowe chryпки!)

–A sprawdziliście w kartotece poszukiwanych? Nikt go nie szuka?

–Dyrektor Randolphi stwierdził, że wszystko zostało sprawdzone. Mieli na to dwa dni. Zresztą i bez sprawdzania widać, że to skończony menel.

Kroki zbliżają się jeszcze bardziej, rozmawiający są tuż koło mnie. Ścisząją głosy.

–Śpi?

–Jak aniołek. Można powiedzieć, anielski pacjent.

–Ale stan, widzę, dosyć kiepski.

–Tylko na pierwszy rzut oka, panie doktorze. EKG doskonale. Ciśnienie nieznacznie podniesione. Serce trzydziestolatka. Nerki, sądząc po wynikach, też.

–Doskonale, Moniko. Zrób jeszcze warstwowe USG, po kolei, wątroba, trzustka, śledziona, no i nerki. Ile może mieć lat?

–Analiza chromosomowa mówi o czterdziestu paru.

–Dość stary.

–Młodszy bywają znacznie gorszymi dawcami. Pamięta pan, jak tydzień temu przywieźli dwóch nastolatków. I co? Okazało się, że to kompletny szmelc anatomiczny. Podroby jak u staruszków. I jeszcze w dodatku obaj seropozytywni.

–Miejmy nadzieję, że ten nic nie złapał.

–Wysłałam krew do laboratorium, niedługo będziemy mieli odpowiedź, o hiva i wassermana.

–Chciałem mieć na jutro komplet danych... – Chwila pauzy. – Zauważyłaś coś, dziecinko?

–Wydaje mi się, że się budzi.

–To załaduj mu wzmocnionego usypiacza. Nie lubię, kiedy dawcy budzą się przed zabiegiem. To, mimo wszystko, ludzie.

Cięższe buty oddaliły się. Usłyszałem szelest. Ktoś poprawiał tkaninę, którą byłem przykryty. Znowu usiłowałem się poruszyć, nie mogłem. Moje nogi, ręce i głowa były bardzo dokładnie przymocowane do podłoża. Gips? Nie, coś bardziej elastycznego. Wyznam, byłem mocno zaniepokojony moim statusem. Wprawdzie traktowano mnie delikatnie, było mi ciepło, intuicja podpowiadała jednak, że moja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Skoro nic mi nie dolegało, czemu leżałem przykuty do łóżka, dlaczego zawiązano mi oczy, po co uspięno, a teraz zamierzano uspić ponownie. Usiłowałem odezwać się. O, Matko Przenajświętsza, czymś lepkiem zaklejono mi usta. Kobieta chyba zauważyła moje poruszenie.

–Spokojnie, biedaku, to już długo nie potrwa... – w jej głosie pobrzmiwał ton współczucia. – Mój Boże, dotąd nawet cię porządnie nie umyli! – podniosła głos: – Claretto! – Rozległ się szybki stukot jeszcze innych butów. – Musimy go doprowadzić do porządku. Tyle że najpierw musi znowu zasnąć.

–Proszę strzykawkę, sestro – odezwała się druga niewiasta. – Poczulem na moim ramieniu dotyk delikatnych palców, po nim ukłucie, następnie odrętwienie rozchodzące się po całym ciele.

Naraz usunięto mi z oczu opaskę. Zmrużyłem powieki, uderzony intensywnym światłem. Poczułem delikatny dotyk gąbki, ocierającej z mojej twarzy zakrzepłą krew i brud. Ostrożnie rozwierając oczy, dostrzegłem sympatyczną buzię blondynki z lekko zadartym noskiem.

–Do licha – w głosie kobiety zabrzmiało nieoczekiwane zdziwienie. – To chyba niemożliwe.

–Co się stało? Pomóc ci, Moniko...? – dobiegło z boku pytanie niewiasty nazywanej Clarettą.

–Nie, nie. Dam sama radę! – Światło zniknęło. Twarz znów nakryto mi jakąś szmatą. Nie wiem czemu, skurczyłem się w oczekiwaniu bólu. Chciałem wrzeszczeć, ale nie mogłem, z gardła wydobywał mi się jedynie nieartykułowany bulgot...

–Po co ja cię uśpiłam, przecież powinniśmy pogadać, bo jeśli ty... – usłyszałem szept Moniki. – Wiem, dam ci zastrzyk kofeiny. To powinno zahamować działanie luminoksu.

Znów ukłucie. Słabsze. A może po prostu środek usypiający zaczął działać. Obrazy rozlewały się, dźwięki słyszałem z pogłosem, jakby dobywające się z pieczary...

Wnet powrócił osobnik tytułowany doktorem.

–W pierwszej kolejności muszę mieć próby wątrobowe. W Johannesburgu już czekają z operacją. Z kolei serce pojutrze poleci do Tel Awiwu. A właśnie. Czy pacjent był obrzezany?

–Nie!

–Szkoda, cena byłaby wyższa...

–Mogę wpisać w protokole obdukcji, że był.

–Szybko się pani uczy, Moniko. Długo pani u nas jest?

–Dwa miesiące.

–A przedtem?

–Odbywałam staż na chirurgii w Weronie. Ale nastąpiła redukcja etatów... Nie było posad nawet dla ochotniczek. Wtedy zobaczyłam wasze ogłoszenie i wysłałam swoje referencje.

–Co z jego próbkami krwi?

–Mają przysłać mi email. Zaraz siadam do komputera. Tylko...

–Słucham.

–Naprawdę nie ustalono jego tożsamości?

–Powątpiewa pani w ustalenia doktora Randolphiego? Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości, nie dano by go na linię priorytetów. A może widziała go pani kiedyś?

–Nie, w życiu – zaprzeczyła może nazbyt prędko.

Znów przerwała się nić mej świadomości. Tym razem chyba na krótko. Ocknąłem się, czując napływającą falę mdłości. Bagatela! Mieliście kiedyś torsje, mając zakneblowane usta? Nic przyjemnego. Czuję, że tracę oddech, że lada moment zadławię się na amen. Monika musiała zauważyć moją rozpaczliwą walkę. Jednym ruchem zerwała mi z ust kleistą taśmę. Wymiociny trysnęły fontanną.

–Przepraszam – wykrztusiłem.

–Nic nie szkodzi. Powinna była przewidzieć taką reakcję na antidotum.

–Gdzie ja jestem?

–Może to ja zacznę od pytań... – na moment zawahała się. – Czy ty jesteś tym, którego szukają?

Przerwałem jej:

–Nie mam pojęcia, kogo szukają!

–Ale nazywasz się Al...

–Al. Czasami tak mnie nazywano. Chociaż od tego skrótu zawsze wolałem pełne Alfredo.

–Nie czas na przekomarzania się, Aldo...

–Aldo?

–Od tygodnia wszyscy mówią tylko o twym zaginięciu. Media, Interpol... Obiecują wielką nagrodę. Rozumiem, że ci durnie z policji rzecznej wzięli cię za bezdomnego włóczęgę. Fakt, nie wyglądałeś najlepiej... Ale nie pojmuję, dlaczego nie zastosowano zwykłych procedur sprawdzających. Dyrektor nawet cię nie obejrzał.

Nie rozumiałem nawet połowy słów wypowiedzianych przez tę dziewczynę. Pojmowałem jednak, że z jakiegoś powodu chce mi pomóc.

–A może... – zawahała się – ktoś postanowił cię załatwić? Powiedz, co właściwie stało się z tobą w czasie Festa d'Amore? Uprowadzono cię?

–Nie pamiętam – zrezygnowałem z prób dłuższych wyjaśnień. Kimkolwiek był ów Aldo, od chwili, kiedy dziewczyna wzięła mnie za niego, diametralnie zmienił się jej stosunek do mnie. Może to była moja szansa.

–Jednak wiesz chyba, kim jesteś. Kim byłeś przed tygodniem...

–Przed tygodniem, przed tygodniem... Aldo? Tak, może Aldo...

–Pokaż stopę... – szarpnęła prześcieradło. – Oczywiście, tak! Słynne sześć palców Alda Gurbianiego...

–Aldo Gurbiani... – Chyba zetknąłem się z tym nazwiskiem w strzępkach gazety, tylko w jakim kontekście? – No, tak – mruknąłem. – Gurbiani. Coś mi się przypomina.

–Słuchaj, może udajesz wariata, a może rzeczywiście masz amnezję. Nie mam czasu, żeby to sprawdzać. Musimy natychmiast coś przedsięwziąć, zanim rozparcelują cię na detale.

–Nie rozumiem. Co chcą mi zrobić?

–Ja też nie miałam pojęcia, że jest to możliwe, zanim zaczęłam tu pracować... – urwała. Skrzypnęły drzwi. Szybko nakryła mi twarz jakąś szmatą. I zaczęła czyścić łóżko i podłogę.

–Co się stało, Moniko? – To znów ten ponury typ, nazywany doktorem.

–Pacjent miał torsje. Proszę się nie zbliżać, poślizgnie się pan, doktorze.

–Torsje na jakim tle?

–Nie jestem pewna. Być może uczulenie na luminox.

–Mniejsza z tym. Co z wynikami z laboratorium?

–Obawiam się, że mam złe wiadomości. Testy wypadły pozytywnie. To znaczy, że czterysta trzydzieści pięć jest nosicielem.

–Pieprzony ćpun!

–Oczywiście, ponowimy badania, ale na razie muszę zabrać go z powrotem do pawilonu diagnostycznego.

–Żeby to jasny szlag. – Lekarz był wyraźnie zdenerwowany. – Jak ja się wytłumaczę

szefom? Obiecaliśmy kontrahentom dostawę eksportową.

–Chyba damy sobie radę, sam pan wspominał, że jutro przybija łódź podwodna z sierotami z Bałkanów. Materiału do transplantacji nie zabraknie.

–Dobrze, róbcie, co do was należy.

Wyszedł. Monika odczekała chwilę, po czym łóżko drgnęło i cicho skrzypiąc, wytoczyło się na korytarz.

–Może zdejmiesz mi, pani, tę szmatę z twarzy – poprosiłem szeptem.

–Wykluczone, jeszcze cię ktoś rozpozna – odszepnęła. – I pamiętaj, to ja cię ratuję. Nikt inny. – Wtoczyła mnie do jakiegoś pozbawionego okien pomieszczenia. Tu dopiero ponownie odsłoniła mi twarz. Wreszcie mogłem przyjrzeć się jej dokładnie. Była szczupła, miała figurę chłopięcą, jaką w moich czasach preferowali rosettińscy biseksualiści. Rozchylony kitel ujawniał wielce nieprzyzwoicie wyeksponowane piersi, rozsadzające tkaninę ściśle przylegającą do ciała, a gdy zrzuciła kitel, ujrzałem króciutką skórzaną sukienkę i parę nieprawdopodobnie długich nóg. Pielęgniarka nie ukrywała swego zdenerwowania.

–Słuchaj, Aldo, chcę, żeby wszystko było jasne – rzekła. – Nie jestem bezmózgą frajerką. – Wywiozę cię stąd. Ale muszę mieć pewność, że mnie nie wykolegujesz. Domyślasz się chyba, jak dużo ryzykuję. Dla doktorka i jego koleśi zabić człowieka to jak rozgnieść pluskwę.

–Jestem pani niezwykle wdzięczna, wszelako, czy nie mogłabyś uwolnić mnie od tych kłopotliwych więzów, przykuwających mnie do łoża.

–We właściwym czasie. Kiedy dostanę, czego chcę.

–A czego pani sobie życzysz?

–A czego można chcieć. Kasy. Wywiozę cię stąd w bezpieczne miejsce. Sprowadzę prawnika. Podpiszesz stosowne papiery i możesz wracać do domu.

–Rozumiem. Z twoich słów, pani, wynika, że uważasz mnie, pani...

–Moniko!

–Pani Moniko, za obywatela dość majątnego.

–Nie udawaj sierotki, Aldo. Każdy głupi wie, że jesteś najbogatszym facetem w Europie.

Wtoczyła mnie razem z łóżkiem do jasno oświetlonej klatki i nacisnęła jakiś guziczek. Znów żołądek podszedł mi do gardła. Jechaliśmy w dół. Po chwili lśniąca wierzeje rozsunęły się. Znajdowaliśmy się w niskich piwnicach przypominających pieczary, gdzie stały rzędami owe pojazdy bez koni, równo jako prosiaki u cycków maciory. Monika podtoczyła łóżko do tyłu jednego z owych wehikułów, coś pod spodem zgrzytnęło i sama jeno część górna posłania ze mną i z pościelą wtoczyła się do środka. Nogami do przodu, co – jak wiadomo – nie jest najlepszym znakiem. Monika zamknęła klapę, a sama zajęła miejsce na stanowisku kierującego. Ozwał się pode mną ryk maszyny. Ruszyliśmy. Opanowałem strach. Zresztą bardziej pochłaniała mnie teraz myśl, co do zasad, na których wehikuł mógł działać. Analizowałem kiedyś możliwości konstrukcji machin parowych, tu jednak nie widać było ani śladu pary. Pomiędzy mną a przednim pomieszczeniem dostrzegłem uchylone okno, dzięki któremu mogliśmy ze sobą rozmawiać.

–Rzeknij mi, pani – odezwałem się, dręczony ciekawością – co porusza ten twój pojazd.

–Śmiesznie mówisz, Aldo, zupełnie jak cudzoziemiec. Chodzi ci o to, czy moja bryka jest na ropę czy benzynę?

–Właśnie.

–To stary ropniak!

Wyjechaliśmy na odkrytą przestrzeń, przez półprzezroczyste ściany widziałem równe szeregi drzew i niebo. Chwilę jechaliśmy aleją. Po czym zatrzymała nas zawarta brama. Nie widziałem nigdzie odźwiernego czy gwardzisty, ale Monika wyjęła tylko małe pudełeczko, wyciągnęła je przed siebie i wierzeje poczęły się same rozsuwać. Wróciłem do rozmowy.

–Rzeknij mi, waćpanna, azali mówi ci coś nazwisko Derossi i przydomek “Il Cane”?

–Oczywiście, kto nie zna ofiary ciemnoty i nietolerancji straconej w siedemnastym wieku za wolność głoszenia swych przekonań.

–A wie pani, co pozostało z jego dorobku? – pytałem dalej. Zastanawiała się chwilę.

–Raczej nie.

Na poboczu drogi ujrzałem wielkie malowidło przedstawiające nagą kobietę na dachu wehikułu. Malowidło uzupełniał napis: “Myślę, więc jestem wewnątrz alfa romeo”.

–To moje! – rzekłem chętnie.

–Wiem. Kontrolujesz dziesięć agencji reklamowych i masz monopol na billboardy.

–Myślałem o sformułowaniu użytym przeze mnie w wykładach padewskich: “Myślę, więc jestem”.

–Nie polewaj, Aldo – zaśmiała się. – Nawet dziecko wie, że to cytat z Kartezjusza.

Nie polemizowałem z kobiecą ignorancją, doszedłem do wniosku, że choć wioząca mnie białogłowa chciała uchodzić za uczoną, aż tak mądra, jak moja Maria, nie była. Tymczasem, oprócz warkotu maszyny, doszedł do mnie dźwięk inny, piskliwy, kilkanaście następujących po sobie tonów, potem jakaś miła melodyjka.

–Paolo, nie udawaj, że nie ma cię w domu... – powiedziała w przestrzeń przed sobą Monika.

Nie wiedzieć skąd, odpowiedział jej głos męski.

–To przedstawiaj się, jak dzwonisz, malutka. Masz jakiś problem?

–Potrzebuję twojej chaty. Najwyżej na parę dni.

–Miłość czy biznes?

–Jak najbardziej biznes.

–To w porządku. Odpalisz mi coś za to. Wracam w przyszłym tygodniu.

–A gdzie cię teraz rzuciło?

–Jestem w Nowym Jorku.

–To baw się tam dobrze. Dziękuję za chatę.

–Pa!

–Rozmawiała pani z kimś przebywającym obecnie w Anglii? – ozwał się, nie mogąc pohamować swego podziwu.

–W Ameryce. Mój przyjaciel jest w Nowym Jorku. – Powiedziała to takim tonem, jakby było dla niej oczywiste, że każdy musi znać miejscowość Nowy Jork, o którym, jako żywo, nigdy nie słyszałem. – Mam nadzieję – dodała – że nie zaczną szukać nas wcześniej niż za parę godzin. A wtedy będzie już po wszystkim.

Miałem ochotę zapytać: “Po czym?” Ale nie chciałem sobie psuć dobrego humoru. Tymczasem ruch na drodze, którą podążaliśmy, mocno osłabł, skręciliśmy w prawo, potem drugi raz, też w prawo. Wszystkie tutejsze drogi, w porównaniu z naszymi,

odznaczały się nieprawdopodobnie gładką nawierzchnią, a i sam powóz musiał być jakoś tak skonstruowany, że – mimo szalonej szybkości – prawie nie odczuwałem wstrząsów. Naraz na tablicy przy drodze ujrzałem napis: "Montana Rossa", co wywołało w moim sercu skurcz wzruszenia, a chwilę później znaleźliśmy się przed rzędem niewielkich domków, miejską manierą ustawionych ciasno obok siebie, każdy wszelako z małym ogródkiem. Wjechaliśmy w obejście; pojazd stoczył się po pochylni do piwnicy.

–Teraz cię rozwiążę – powiedziała Monika. – Będziesz mógł się poruszać. Z jednym małym ograniczeniem! – Z brzękiem wokół moich kostek u nóg zatrzasnęły się stalowe obrączki. – To, żeby nie przyszło ci do głowy uciekać.

–Pani! – rzekłem. – Twa ostrożność jest zbyteczna, masz moje słowo. Nadto pragnę zaznaczyć, że nie zwykłem odchodzić bez pożegnania, szczególnie z kimś, kto uratował mi życie.

–Możesz darować sobie komplementy. Nie jestem Matką Teresą ani Florence Nightingale. Uratowałam cię dla pieniędzy. A uciekać nie radzę ci dla twego własnego bezpieczeństwa. Mam podstawy podejrzewać, że komuś bardzo zależy, abyś nie wrócił na twe dawne miejsce.

Dom był spory i najbardziej zaskoczyła mnie nieobecność w nim służby. Kuchnia łączyła się z jadalnią, co – przyznam się – napełniło mnie znacznym obrzydzeniem i współczuciem wobec państwa, którzy musieli śniadać, widząc przyrządzanie potraw, narażeni na pospolitowanie się z kuchcikami. Za to gotowalnia, do której dotarłem, poruszając się małymi skokami, należała do najzaciejszych, w jakich zdarzyło mi się przebywać. Przywodziła na myśl wyrafinowane czasy rzymskie. Pojedyncza latryna z wodą bieżącą! Zmyślnie kurki, po odkręceniu których z kranów ciekła zimna bądź ciepła woda. W pierwszej chwili polałem sobie wrzątku na głowę. Ale potem pławiłem się w rozkosznie ciepłej cieczy, którą dwakroć musiałem spuszczać, by wreszcie się obmyć. Udało mi się też ustalić zasadę włączania iluminacji. Nic trudnego, światło zapalał przycisk, nawet małpa by się nauczyła. Szukałem wszędzie brzytwy do golenia, a nie znalazłszy, poprosiłem o pomoc Monikę.

–Zapomniałeś, jak się używa maszynki? – roześmiała się, lecz wręczyła mi okrągłą szkatułeczkę z wirującymi ząbkami, które, na kształt drapieżnego zwierzątka, bystro uporały się z moją szczeciną.

Dziewczyna pomyślała o wszystkim. Gdy wyszedłem w prześcieradle kąpielowym, podsunęła mi przygotowane ubranie. Miękkie i przylegające do ciała.

–Nie wiesz, jak założyć dres? Czekaj, rozkuję ci nogi. – Kajdanki spadły, ja zaś

pochyliłem się, aby rozmasować obolałe kostki. Monikę musiał bardzo zaniepokoić ten ruch. Dobiegła do mnie, pochwyciła za rękę, przerzuciła nad sobą jak piórko i unieruchomiła na dywanie.

–Co robisz, pani? – wybełkotałem.

–Nie próbuj tego więcej, mam czarny pas aikido – rzuciła. – A teraz możesz nałożyć spodnie.

Nie wiem, co oznaczał ów czarny pas. Chociaż mogłem się obawiać, że znów trafiłem na jakąś czarownicę.

Wcześniej przeżyłem inny szok. W łazience wisiało całościenne lustro. Atoli mąż, którego ujrzałem w jego doskonałej głębi, to nie byłem ja. To znaczy zgadzało się sześć palców, rysy twarzy, z grubsza też i postura. Aldo był jednak ode mnie wyższy, gdzieś o pół łokcia, posiadał większy brzuch i wydatniej rysującą się łysinę. Miał też szramę na dole żywota, po jakimś poważnym zabiegu, oraz okrągłą bliznę na ramieniu wielkości jednego denara. Nie znalazłem natomiast szczyrby na piersi, pamiątki po pojedynku w Paryżu z jednym ze słynnych muszkieterów pana de Treville.

Kimże więc byłem? Miałem świadomość Alfredo, ale ciało Gurbianiego. Cóż to oznaczało? Przypomniała mi się rozmowa, którą miałem kiedyś w Lizbonie z pewnym podróżnikiem bywałym w Indiach. Mówił on o rozpowszechnionej u miejscowych pogan wierze w wędrówkę dusz, zwaną metempsychozą. Byłżebym cielesnym dowodem na prawdziwość tego zabobonu? W takim razie dlaczego wyszedłem ze studni, w którą mnie ongiś wtrącono? Czemu nie pamiętałem niczego z przeszłości Alda? I co właściwie stało się z onym bogaczem?

Obok jadalni natrafiłem na bibliotekę chędogą i uzyskawszy aprobatę młodej kobiety, skoczyłem ku półkom. Księgi wydawane były na wyjątkowo marnym papierze, za to z nieprawdopodobnej jakości iluminacjami. Nazwiska większości autorów nic mi nie mówiły. Joyce, Diiren matt, Nabokov, Umberto Eco... Z radością zauważyłem jednak sonety Szekspira (a więc czytali go i po wiekach) oraz Dekameron Boccaccia. Z zapamiętaniem rzuciłem się na opasły tom Historia świata – dzieje nowożytne. Pochłaniałem go przez parę godzin z zapalem, jakiego nie doświadczył jeszcze żaden czytelnik. Nawet oprawcy Ippolita nie byłiby mnie zdolni od onej lektury oderwać. Któż bowiem miał sposobność poznawać dzieje czterech wieków po własnej śmierci?

Była to historia wielka i straszna, i bardziej bogata w zaskoczenia niż mity starożytnych Greków i Rzymian. Czytałem więc o szybkim schyłku Hiszpanii, który przewidziałem, i o niezwykłym rozwoju kolonii angielskich w Nowem Świecie (w ogóle nie zwróciłem uwagi na ich powstanie), które zakładali pospołu angielscy zesłańcy,

kurwy z Southwark, polscy węglarze, francuscy hugenoci, irlandzkie głodomory, którzy wszyscy razem ledwie po półtora wieku rzekli o sobie: "My, naród". (Skądś znałem to określenie.) Śledziłem też dzieje angielskiego panowania na morzu, aż po najdalsze zakątki, które zaczęło się od znanej mi z opowieści kapitana Massimo klęski Niezwyciężonej Armady. Studiując dalej dzieje powszechnie, współczułem niedolom mej zdegradowanej Italii. Zdumiewałem się głupotą Francuzów, przegrywających najlepsze szanse dziejowe w kolejnych bezrozumnych rewolucjach i wojnach. Widziałem, jak Niemcom, temu narodowi piwiarzy i pięknoduchów, wyrastają stalowe zęby i pięści. Płakałem nad losem Polski, ojczyzny mej ukochanej Marii, rozerwanej na sztuki przez sąsiedzkie bestie. Towarzyszyłem idącym na szafot: Karolowi I, Ludwikowi XVI i Marii Antoninie... I ogarniało mnie coraz większe zdumienie, gdy widział, jak co i rusz moje myśli, cytaty, bon moty przypisywano innym. Mój termin: "Umowa społeczna" przywłaszczył sobie niejaki Rousseau, formułkę: "Człowiek człowiekowi wilkiem" – Hobbes, "Wolność, równość i braterstwo" – francuscy rewolucjoniści... Wreszcie teorie ewolucyjnego powstawania gatunków – Karol Darwin. W innym dziele, w trzecim tomie encyklopedii, odnalazłem krótki biogram Alfredo Derossiego. Napisano w nim:

Malarz, filozof i wolnomyśliciel. Ofiara rosettińskiej kontrreformacji. Z jego dzieł zachował się w zbiorach prywatnych Portret szkockiego młodzieńca i parę wierszy w antologii wydanej w Lizbonie w roku 1632.

I to wszystko. Zatem nie mnie zawdzięczał świat ów niebywały postęp techniki – który zaczął się od przewidywanych przeze mnie parowców i balonów napełnianych rozgrzany powietrzem, a doprowadził do lądowania na Księżycu. Energia elektryczna, której istnienie ledwom podejrzewał, oświetlała miasta i wspomagała umysły. Odkryto bakterie, zbadano bieguny, wynaleziono szczepionki, tak że nikt już nie umierał od zapalenia głupiej ślepej kiszki. Zwalczono gorączki poporodowe (penicillium!), a walkę z obłędem odebrano egzorcystom, oddając psychiatrom. Imponujące, do czego zdolny stał się wyzwolony umysł!

Jednak, gdy otworzył karty dotyczące wieku dwudziestego, groza postawiła mi włosy dęba. Ludzkość, osiągając coraz znakomitszy poziom cywilizacyjny, potrafiła wyzwolić ze swego łona takie moce okrucieństwa i zbrodni, o jakich Heliogabalowi, Atylli czy Tamerlanowi się nie śniło.

Zakuto w kajdany całe narody, w tym własne. Zdobyto wprawdzie Księżyc, ale wcześniej zabito w jedną sekundę setki tysięcy Japończyków. Zatruto ziemię, wody i powietrze... I do takiego świata trafiłem.

Odłożyłem księgę targany sprzecznymi uczuciami, zastanawiając się, jak do tego mogło dojść, mimo zwalczania takich plag, jak głód, ciemnota, wyzysk i władza Kościoła. Dlaczego? Gdzie został popełniony błąd?

Nadeszła Monika, a wraz z nią młody, rozczochrany człowiek z kolczykiem w uchu, ubrany w niebieski, wytarty strój, przywodzący na myśl robotnika rolnego. Tymczasem był to znakomity ponoć prawnik, signore Prodi. Uścisnął mi rękę tak miękko, że omal nie ucałowałem go w wierzch dłoni.

–Zastanawialiśmy się z Angelo, jaką formę winna przyjąć nasza umowa – zaczęła młoda niewiasta.

–Mówcie, czego chcecie – odparłem. – Jeśli w istocie jestem owym Gurbianim i przy waszej pomocy mogę na powrót odzyskać jego status, nie mówić już o dobrach, spotka was nagroda.

–Sądzę – powiedział pan Angelo, a z miękkości jego głosu wywnioskowałem, że należy do osobników kochających inaczej – że najwygodniejszą formą będzie intercyza.

–Intercyza? – aż podskoczyłem i zwróciwszy się ku mej pielęgniarce, zawołałem: – Miałebym się z waćpanną ożenić?

–Tak, przy okazji taka wersja romantyczna wyjaśniłaby opinii publicznej twoje długotrwałe zniknięcie – powiedziała pielęgniarka. – Poza tym chcę być spokojna o przyszłość, a moim najlepszym zabezpieczeniem będzie zapis, że w razie rozwodu otrzymam jedną czwartą twoich aktywów.

–Ale Kościół... Zgodzi się na rozwód?

–Ślub zawrzemy cywilny, żaden kościół nie wpuściłby Gurbianiego nawet w swoje pobliże – zaśmiała się. – Oczywiście, nie musimy razem mieszkać, a po uprawomocnieniu się aktu odczekamy dla przyzwoitości jakiś czas i dopiero wtedy weźmiemy rozwód. Odpowiada ci to?

–To bardzo rozsądna propozycja – poparł ją Angelo. – Ja bym się zgodził bez namysłu.

–Wyznam, że jestem wielce zdumiony.

–Wolałbyś wrócić do szpitala w charakterze żywego banku organów? Poza wszystkim, cierpisz na amnezję, a ktoś już raz próbował się ciebie pozbyć i może zechcieć zrobić to ponownie, dobrze zatem będzie mieć u swego boku dyplomowaną pielęgniarkę.

–Oczywiście. Ale zanim podejmiemy taką decyzję, pragnąłbym się dowiedzieć... właściwie muszę przypomnieć sobie, kim jest ten Gurbiani.

Popatrzyli na mnie jak na wariata. Może zresztą rzeczywiście nim byłem.

13. Nowy wspaniały świat

Przyśnił mi się po raz wtóry sen dziwny, nierealny, straszny. Nie potrafię ustalić, kiedym go po raz pierwszy śnił. Czy w studni, w klinice transplantacyjnej czy owej nocy spędzonej pośród żebraków? Teraz powtórzył mi się jednak z najdrobniejszymi szczegółami. Oto znalazłem się w przedsionku piekła. Może to nawet było piekło. Wyglądało jak Rosettina, ta nowa nałożona na tę dawną, Rosettina opętana gorączką, ni to karnawału, ni tańca śmierci. Szły więc miastem kohorty diabłów płci obojga w rytm muzyki dziwnej, szalonej, rozrywającej wręcz bębenki uszu. Twarze mieli oszpecone okropnie, pokolorowane szatańsko, z kólkami w nosie, w wargach, ciała ich zaś były wstrętnie wytatuowane, pokryte skrawkami skór pełnymi kolców, ćwieków i gwoździ. Nieśli swe znaki i sztandary. Towarzyszyły im niewiasty nagie, w różne kolory malowane, jedne z głową goloną na modłę żydowską, inne z piersiami przerobionymi na łby rybie. Jeszcze inne ze światłem ze sromu bijącym. A płasali również oprócz nich, najwyraźniej wystawieni na urągowisko, młodziankowie przebrani za księży i mnichów w czapach z czarcimi rogami i zakonnice na koturnach z otworami na wymiona, w kusych habitach do pól uda. Niesiono wreszcie żywą karykaturę namiestnika Chrysta z pawiem i papugą przy sobie, którego na twarz miał naciągnięty kondom, a miast laski pielgrzyma dźwiżył kaduceusz opleciony przez dwa gigantyczne fallusy. Nad ulicą powiewały transparenty: "Niech żyje tolerancja!" Na trawnikach, ławkach i trotuarach parzono się każdy z każdym, bez względu na wiek, płeć czy nację, i urządzano konkursy spółkowania na czas. Wszyscy zaś zdawali się być oszołomieni jakimiś specyfikami, szczególnie dzieci nieletnie, źrenice mieli bowiem rozszerzone, mowę nieskładną... Wybuchy nie kontrolowanego śmiechu mieszały się ze spazmami zachwytu i płaczu.

I ja tam byłem, doświadczając oznak niezwykłego szacunku i czci od otoczenia, jakbym był królem lub patronem onego szaleństwa. I byłem. Miałem bowiem ciało Lucyfera. Stałem na wyniosłej trybunie z widłami w ręce obok nagiej niewiasty o kształtach Afrodyty w wieńcu z czarnych róż na głowie, a maszerujący pozdrawiali mnie: "Aue diavolo, aue diauolo!"

Pragnąłem się obudzić, bo jednocześnie dławił mnie strach i rozpacz głęboka, lecz koszmar trwał wśród grzmotu fajerwerków, w końcu sam zanurzyłem się w wir czarnej rozkoszy i byłem już tylko częścią onego Lewiatana, wypełniającego swym cielskiem szeroką aleję. Jakby dążąc do samozatraty, piłem trunki rozmaite, pociągałem ofiarowane mi skręty. Myśli mi się plątały, obrazy kręciły. Naraz porwałem w tany dziewczkę może trzynastoletnią w muślinie, piękniejszą niż sama olimpijska Hebe. Gniołem pocałunkami jej usta różane, delikatne i łapczywie szukałem piersi ledwie zakwitających...

–Nie tutaj, w samochodzie... – szeptała, dygocąc również, ani chybi z podniecenia. Przeszliśmy na parking. Tam mrok spadł na mnie nagle, coś łeb mi zakryło, usta zatkało. Nieznajomy głos chrapliwie zawołał:

–Mamy go!

Chciałem się obudzić, ale nie mogłem. Zapadałem w głąb, w siebie, w czeluść jakąś, w studnię bezdenną...

Wedle legend, rozpowszechnianych przez podległe sobie media, Aldo Gurbiani był dzieckiem ulicy, żulikiem, członkiem młodocianego gangu, samokontrolującym się wykolejencem, który wiele smaków życia próbował, stając się w końcu ekspertem tak od rynsztoka, jak i Parnasu. Wszystko zawdzięczał sobie, nie miał wzorców ni mentorów, a do sukcesów doszedł pracą i wrodzoną inteligencją.

W rzeczywistości pochodził z typowej klasy średniej. Był synem rosettińskiego adwokata i śpiewaczki operowej, która w dziesięć lat po urodzeniu syna zwariowała, uciekła do Katmandu i tam oddawała się płatnej rozpuście ze wszystkimi, nie wyłączając yeti. Ojciec Alda, imieniem Girolamo, ceniąc sobie nade wszystko święty spokój, posyłał syna do najlepszych szkół, od Gstaad po Trinity College, gdzie młody Gurbiani posmakował wszystkiego: od trawki po pedalstwo, choć – jak twierdził – najbardziej lubił bawić się w lesbijkę.

W nauce nie wyróżniał się niczym szczególnym, a jego ówcześni koledzy zapamiętali jedynie obsesyjną niechęć Gurbianiego do religii oraz demonstracyjne bicie konia na lekcjach wychowawczych. W późniejszym czasie zamówiłem dokładniejsze zbadanie genealogii osobnika, którego nie potrafię zwać nikim więcej, niż aktualnym kokonem mojej jaźni. Wynik był zdumiewający.

Carlo Rosettiński, syn Marii i mój, objął władzę nad księstwem po śmierci Ippolita, który zadławił się płatem pieczeni pożerany w trakcie wielkiego postu AD 1649. Następca tronu, wychowany, jak mi to w lochu arcyksiążę obiecał, w koszarach, nie przejawiał wielkich zdolności. Nawet jako żołnierz. Tym bardziej że podczas wojen w Niderlandach (miał wtedy osiemnaście lat) francuski kartacz urwał mu rękę, zatem nie dane mu było spróbować sił ni w malarstwie, ni w muzyce, ni w literaturze. Mimo tego defektu żył długo. Żonaty z księżniczką niemiecką, napłodził potomstwa co niemiara, tak że dziś nie ma chyba utytułowanej rodziny w Europie, która by nie pochodziła od niego, ergo ode mnie. Swoją drogą, miło mieć świadomość, że mógłbym mówić do tych wszystkich Burbonów, Windsorów, Habsburgów i Romanowych: "Moje wy wnuki kochane". Z jego następców żaden nie wyróżnił się szczególnie, ale czym można się wyróżnić w okrojonym terytorialnie, z roku na rok podupadającym państewku, żyjącym w cieniu cesarskiego hegemonia.

Ostatni z władców Rosettiny, Carlo IV, zginął już po swej abdykacji, wysadzony przypadkiem wraz ze skrzynią fajerwerków, które puszczano na cześć wkraczającego do miasta rewolucjonisty generała Bonapartego, obiecującego

przywrócić republikę. Oczywiście, Napoleon republiki nie przywrócił, a skarbów zrabowanych z muzeów nie odzyskaliśmy nawet po kongresie wiedeńskim. Po Carlu IV pozostały za to liczne trofea myśliwskie, albowiem łowcą był zawołanym i wymordował w ciągu swego życia tyle zoologicznych okazów, że można by je zaokrętować na nową arkę Noego, oczywiście po wcześniejszym zamienieniu jej w chłodnię. Poza tym pozostawił był jeszcze córkę, Carolinę, zrodzoną z nieformalnego związku z piękną Żydówką z Algieru, otrzymaną w prezencie od sułtana, z którym był polował na lwy czy może krokodyle.

Carolina, podobnie jak jej praprababka Beatrice, już jako dziecko oddana została do klasztoru, co jednak nie stanowiło szczytu jej marzeń. Toteż w czasie rewolucyjnego zamętu ochoczo opuściła nowicjat przy pomocy młodego, obiecującego generała Louisa Foutoulona, żywiąc zapewne nadzieję na odegranie roli, jeśli nie Pauliny Borghese, to przynajmniej Madame SansGene. Nic z tego nie wyszło i właściwie nie wiadomo dlaczego, urodę bowiem miała wielką, a temperament aż za duży. Inna sprawa, że zbyt wymagająca kochanka w trakcie wypraw wojennych może być najbardziej kłopotliwą częścią ekwipunku. Odwrotnie więc niż to było w przypadku Beatrice czy bizantyjskiej cesarzowej Teodory, które, zaczynając od barłogu indywiduów podłego stanu, trafiły na szeszlongi i trony, Carolina zrobiła swoistą antykarierę. Generał odstąpił ją po paru miesiącach swemu pułkownikowi, pułkownik – majorowi, major – kapitanowi... Podczas kampanii hiszpańskiej należała ledwie do sierżanta. I tylko śmierć tego ostatniego uchroniła ją przed spadkiem do jeszcze niższej ligi seksualnej.

Co gorsza, wpadła w ręce wrogiej partyzantki. Przywódca oddziału gerylasów, niejaki Miguel Fraganéz, był nie tylko szlachcicem, ale i dobrym katolikiem. Uchronił więc cześć Caroliny przed nagabywaniami swych podkomendnych, zachowując ją i jej dziewictwo (co do którego, jako pobożny Hiszpan, był absolutnie przekonany) osobiście dla siebie. Zresztą wkrótce w bitwie o Madryt stracił nogę, więc uciekać przed niewiastą nie mógł i niewiele myśląc, wbrew rodzinie i przyjaciółom, poślubił markietankę. W ogólnym rozrachunku nie był to jego największy błąd. Po latach gospodarowania w swym majątku w Leonie "starożeńcy" wyruszyli w wymarzoną podróż po Europie, gdzie Miguel wykazał szczególną predylekcję do zwiedzania nowożytnych kasyn. Przepuścił w nich cały majątek, a nawet pistolety pojedynkowe, więc nie miał czym popełnić samobójstwa. Jesień życia miał wyjątkowo smutną, musiał bowiem utrzymywać się jako nocny portier przy kasynie w BadenBaden. Jego ulubioną czynnością stało się naonczas wypłaszanie z miejscowego parku żebraków i jawnogrzesznic, czym zaskarbił sobie u nich przywilej "Jednonogiego Bandyty".

Sama Carolina, ongiś Południowa, potem Zachodnia, na koniec chyba Centralna, dorabiała praniem w hotelu. Momentem zwrotnym w jej życiu stał się dzień, gdy uprała pewnemu włoskiemu turyście cały plik banknotów pozostawiony w kieszeni spodni, które oddał do przepierki ochlapawszy je w kasynie melbą czy czymś podobnym. Ognisty Włoch, wściekły z powodu utraty wygranej, zamierzał sprać

praczkę, aliści w kącie piwnicznej izby zauważył kątem oka dziewczynkę przecudnej urody. Była to dwunastoletnia Dolores, w skrócie nazywana Lolitą, jedyny niepodważalny dorobek Miguela i Caroliny.

Umberto Gurbiani, wykładowca retoryki i profesor Szkoły Realnej w Turynie, wspinając się na szczyty swego kunsztu, przez trzy lata przekonywał państwa Fraganezów, że tylko on może zapewnić doskonałą przyszłość apetycznej nimfetce. Wielokroć częstowany czarną polewką, ponawiał swe awanse z wytrwałością dyplomowanego pedagoga i zapalonego pedofila. Dwa razy w roku przybywał do BadenBaden, pisał romantyczne listy i wspomagał Fraganezów drobnymi upominkami.

Wreszcie rodzice ustąpili, a sama Lolita nie miała nic do gadania. Jakiś czas tylko szukano biskupa gotowego udzielić dyspensy małolatce. Udało się wreszcie w Trewirze. Ślub odbył się cichy, jeśli nie liczyć bicia dzwonów i dramatycznego zdarzenia wkrótce po nim. Otóż gdy państwo młodzi wraz z rodzicami wracali z ceremonii zaślubin, pijany woźnica Jan Pyra (rodem z Poznańskiego) omal nie spowodował poważnego wypadku. Prosto pod powóz wpadł mu bowiem młody Izraelita z Talmudem w rękę, który pojawił się dosłownie jak widmo. Chłopak na szczęście nie odniósł większych obrażeń, ledwie koń go w głowę kopnął.

–Kurka wodna, widmo krąży po Europie, ni? – wrzasnął Pyra.

Wielce zdenerwowany incydentem Miguel Fraganez rzucił niedoszej ofierze w ramach odszkodowania złotą monetę, a gdy ten wahał się ją przyjąć, woźnica zawołał:

–Bierz, Żydu! To może być kiedyś kapitał.

Ja, ja das Kapital, schöne Wort! Zapamiętam... – rzekł półprzytomnie student. A potem zapytał, skąd nowożeńcy pochodzą.

–Z Hiszpanii – odparł Fraganez. A gdy młodzieniec, zapewne z uprzejmości, spytał również o ojczyznę powożącego, Jan Pyra czknął i odparł rezolutnie, “że woźnice nie mają ojczyzny”.

Tu Lolita spostrzegła, że młody starozakonny zanotował te słowa. Po czym wyrzucił Talmud do kosza i z otrzymaną monetą w rękę udał się do najbliższej księgarni, gdzie na witrynie pysznił się napis: “BESTSELLER – Adam Smith Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów – wydanie pełne, poprawione”. Zdziwiająca, że żadna z licznych biografii młodego Karola Marksa nie zanotowała tego epizodu.

Z Trewiru państwo Gurbiani przenieśli się do Turynu, gdzie przez sto pięćdziesiąt lat żyło parę następnych pokoleń Gurbianich nie odznaczających się niczym szczególnym – ot, ktoś był radnym miejskim, ktoś inny lokalnym hierarchą

faszystowskim, ktoś inny aktywnym działaczem Włoskiej Partii Komunistycznej.

Aldo, prapraprawnuk Umberta i Dolores, był nieprzeciętnie bystry. I ponad miarę cyniczny. Nawet z oficjalnego wizerunku wyziera pragmatyczny aż do bólu osobnik, wyzuty z zasad i pozbawiony jakichkolwiek uczuć. Wyrzucony ze studiów za brak pilności, na jakiś czas zaczepił się w piśmie wydawanym przez archidiecezję rosettińską, potem równie chętnie kolaborował z Czerwonymi Brygadami, wreszcie trafił do wielkonakładowej prasy kobiecej. W tym czasie, jak wielu dziennikarzy, dokonał zaskakującego odkrycia, że słowo drukowane, im głupsze i prymitywniejsze, tym bardziej do czytelników przemawia, a ludzie najchętniej czytają o tym, co już i tak wiedzą. W tym też czasie poznał jedyną miłość swego życia – pieniądze. Więcej: znalazł patent, jak je zdobywać. Włochy były w tamtych latach krajem dość konserwatywnym i wydawać by się mogło, że ktoś z takimi pomysłami, jakie przyszły do głowy Aldo, nigdy nie rozwinie skrzydeł. Na wszystko są jednak sposoby.

Niedaleko od Rosettiny egzystuje od późnego średniowiecza suwerenne mikropaństwo San Stefano, dotąd znane jedynie nielicznym turystom i kolekcjonerom znaczków pocztowych. Jednego razu Gurbiani, studiując z samozaparciem wiszący na gwoździu w toalecie publicznej na dworcu w Rawennie bedeker po San Stefano i okolicach, zauważył, że prawo księstwa nie potępia *expressis verbis* hazardu oraz pornografii. Niewiele myśląc, udał się na miejsce, omotał miejscowego biedakię, który do tej pory chodził w dziurawych skarpetkach, i wnet dostał od niego *carte blanche* na "wspomaganie sektora turystycznego". Jak tego dokonał, nie jest do końca jasne. Paparazzi węszyli skandal. Ponoć Gurbiani wiedział o księciu coś, o czym ten sam chciałby jak najrychlej zapomnieć. Być może łączyły ich stosunki daleko bardziej intymne, niż jest to dopuszczalne między wydawcą a jego protektorem. Ale nikt nie dowiedział się jakie i czy w ogóle.

Przy kasynie i wkrótce powstałym w jego cieniu luksusowym domu publicznym jeszcze w latach osiemdziesiątych Aldo założył wojowniczoobsceniczne piśmiennictwo "Minettio" i wkrótce potem nonkonformistyczną telewizję SGC (Stefano Gurbiani Corporation), która jako pierwsza pokazywała *peep show* i zapoczątkowała *tasiemcowy talk show* pod tytułem: "Dymanie na dywanie".

Elity Italii, Kościół, wreszcie władze włoskie wręcz dyszały ze wściekłości i chwyciły się najróżniejszych metod, iżby ukrócić te poczynania. Miały niestety związane ręce. Groteskowe San Stefano było suwerennym państwem, podmiotem prawa międzynarodowego, a próby odcięcia prądu, nałożenia prewencyjnej cenzury lub choćby opodatkowania zakończyły się szeregiem procesów przed sądami powszechnymi i w Trybunale Strasburskim, które pornomagnat ostatecznie wygrał, zyskując w dodatku opinię bezkompromisowego bojownika o wolność wypowiedzi i o prawa człowieka. W międzyczasie, dzięki skandalom, które są najlepszą formą reklamy, stacja SGC rozrosła się do kilkudziesięciu kanałów europejskich i

pozaeuropejskich, poszerzając oczywiście swą ofertę o programy poświęcone sztuce, przyrodzie i polityce.

Gurbiani inwestował również w przemyśle komputerowym, motoryzacyjnym, wznosił hotele, budował luksusowe transatlantyki. Jego częste romanse dostarczały pożywki pismom brukowym. Po francuskiej księżniczce, którą przegrał w karty do mistrza Wimbledonu, przez krótko afiszował się z pewnym dyktatorem mody, ponoć "kochającym bardzo inaczej", potem preferował "ogród japoński", oparty o żeński kwartecik skrzypcowy z Kioto, dla którego był pierwszym smykem. Nagminnie też zaliczał aktorki. W przerwach między regularnymi romansami zdobył do swej kolekcji dwie laureatki Oscara, trzy Cezara, jednego Srebrnego Niedźwiedzia i pół Złotej Muszli. (Pół, albowiem w trakcie miłosnych igraszek z rosyjską transwestytką zaskoczyła ich etażowa.) Nie dość tego, Gurbiani, nazywany przez prasę katolicką antychrystem, sponsorował wszelkie możliwe ruchy lewackie, eksperymenty artystyczne, a nawet przez krótki czas w centrolewicowym rządzie koalicyjnym pełnił funkcję ministra informacji. Jego konferencje prasowe, w trakcie których klął jak szewc, obrażał autorytety i bezlitośnie szydził ze słabszych przeciwników, przeszły do historii złego wychowania jako szczytowe osiągnięcia skutecznej manipulacji.

Tyle dowiedziałem się z broszur i filmu, który Angelo puścił mi na wideo. Byłem wstrząśnięty. Materiału było wystarczająco wiele, aby znienawidzić własną powłokę! Usiłowałem znaleźć w Gurbianim cokolwiek z siebie. Daremnie; poza ciekawością świata nic nie łączyło mnie z tym indywiduum. Usiłowałem też dowiedzieć się czegoś więcej o ostatnich przygodach medialnego magnata. Atoli jego zniknięcie pozostawało tajemnicą. W prasie brukowej mówiono wiele o pogroźkach, jakie otrzymywał przez dłuższy czas od młodzieży prawicowej z organizacji Pogonić Antychrysta. Samo zniknięcie przypominało niesamowitą opowieść, jaką za mych czasów zwykło się snuć w towarzystwie w długie zimowe wieczory...

Festa d'Amore – poprzedzające Noc Świętojańską trzy dni szaleństwa sponsorowanego przez SGC na podobnej zasadzie, jak organizowały swe Dni paryska "UHumanite" czy polska "Trybuna Ludu", z pozoru jest rodzajem letniego karnawału. Z pozoru, albowiem bardziej przypomina globalny sabat, zlot sił zła, manifestację zepsucia, tryumf cywilizacji rozkoszy nad kulturą umiaru.

Obok festiwalu porno, którego wizytówką są żywe, kopulujące posągi na Piazza Garibaldi, z całego świata ściągają do Rosettiny wszelcy artystyczni i estetyczni dewianci – odbywają się Targi Sztuki Wyzwolonej, mają swe kongresy i sympozja geje oraz lesbijki, transwestyci i sodomici. Ale nie tylko. Tu spotykają się i wymieniają doświadczenia przedstawiciele licznych sekt. Anarchiści wybierają czempionów Chaosu. Sataniści wyznaczają sobie randki w ciemno. Złote interesy robią handlarze narkotyków. A wstęp jest wolny dla wszystkich, może z wyjątkiem agentów Interpolu.

–I władze Rosettiny to tolerują? – pytałem Monikę zdumiony, obejrzawszy reklamówkę festy.

–A co mają zrobić? Kto może, wysyła w tym czasie dzieci na wakacje. Duchowieństwo rygluje się po kościołach, moralisci nie wychodzą z domów.

–Na filmie widziałem, że główną paradę na Via Illuminazione otwiera sam burmistrz, przekazując nimfom i faunom od Gurbianiego klucze miasta. Jak to możliwe?

–Biznes – dziewczyna rozłożyła ręce. – Na feście w trzy dni miasto zarabia lepiej niż na przemyśle farmaceutycznym przez cały rok. Zresztą, początkowo nie było tak różowo. Igrzyska, na znacznie mniejszą skalę, odbywały się w San Stefano. Ale od czterech lat, po wygranej lewicy... O! Patrz teraz, na wielką paradę. Widzisz siebie w stroju Lucyfera?

Zadygotałem. Na jawie śniłem raz jeszcze mój sen.

Czyżbym zapamiętał uprowadzenie Gurbianiego? Czy tak wyglądała pułapka? I któż ją zastawił? Może napastnicy zwabili go w zasadzkę, planując zadać mu śmierć w Studni Potępionych? Wersja wyglądała na prawdopodobną. Choć motywów nie znałem, trudno też było mi współczuć ofierze. Świadomość, że oto ja, "Il Cane", subtelny artysta, wnikliwy myśliciel i szlachetny człowiek, mogłem wcielić się w równie odrażające monstrum, budziła we mnie szczere przerażenie.

Ale nie skłamię, gdy dodam, iż podniecała mnie również przyrodzona ciekawość.

O czym wówczas myślałem? Czy miałem jakiś plan lub choćby słabe wyobrażenie, co przyjdzie mi czynić w następnych dniach? Chyba nie. Byłem jak rozbitek na nieznanym, obcym lądzie, w dodatku całkowicie zależny od mojej pielęgniarki i jej finansowych ambicji. Jednak bez niej zginąłbym, najprawdopodobniej jako "surowiec wtórny". Czy jednak z nią miałem jakąś szansę? Uznałem, że zanim cokolwiek samodzielnie przedsięwzię, najpierw muszę nauczyć się tego świata. Zrozumieć go. Wbrew pozorom było to trudniejsze niż obsługa sprzętu audiowideo. (To akurat zajęło mi kwadrans.) Czy nauczenie się podstawowej obsługi komputera... (Godzina!) Program Windows 2001 pomyślany był tak, że poradziłby sobie z nim nawet analfabeta z Neandertalu. Najtrudniej było mi zrozumieć przemiany obyczajów, mentalności, zmianę hierarchii wartości, a właściwie jej pełną anarchizację.

Oglądałem telewizję i nie mogłem w żaden sposób pomiarkować, dlaczego ludzie, mając do dyspozycji tak cudowny wynalazek, wykorzystują go tak miernie. Banalne seriale o miłosnych perypetiach Brazylijczyków, identyczne mordobicia i pościgi samochodowe zdawały wypełniać telewizyjny ekran bez reszty. Jeszcze gorsze były rozmowy z ludźmi obnażającymi bez żenady najskrytsze zakamarki duszy. Zresztą,

czy pozostawało jeszcze gdziekolwiek miejsce na prywatność: kamery wślizgiwały się do alków przywódców mocarstw. Fotografowie, zwani paparazzi, potrafili zagonić na śmierć polityków i ludzi sztuki, nie przejmując się, czy to, co ci z pierwszych stron gazet uprawiali, miało ze sztuką czy uczciwą polityką cokolwiek wspólnego. Najgorsze jednak, że z tej gorączkowej pogoni za sensacją wyzierała pustka, brak głębszej myśli, jakiegokolwiek refleksji.

–Telewizja to przede wszystkim guma do żucia dla oczu – tłumaczyła mi Monika. Mógłbym jej przytaknąć, gdybym wiedział, co to jest guma do żucia.

–Jakże wszelkie stacje mogą to nadawać na okrągło – wołałem zirytowany. – Przecież to marnowanie czasu. Zali nikt nie pomni, że życie jest takie krótkie? To zgroza!

–Ależ nie, to właśnie demokracja. Telewizje dostarczają ludziom wyłącznie tego, czego ci pragną.

–Jakże można pragnąć równie nudnych, powtarzających się, schematycznych programów, z których nie sposób dowiedzieć się niczego ciekawego?!

–A jeśli ludzie niczego nie chcą się dowiadywać?

–To po co oglądają?

Chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

–Może żeby nie być sami...

Samotność – ciekawa sprawa. W mojej epoce należałem do rzadkiego gatunku samotników z wyboru. Tutaj samotność była regułą. Samotnikiem była Monika, podobnie jej przyjaciel, który udzielił nam schronienia, i prawnik pedał. (Ale bez stałego partnera, w związku z tym skazany na częste poszukiwanie nowych sympatii w klubie bądź przez Internet.) Nie koniec na tym. W domkach po sąsiedzku mieszkali albo samotni emeryci, albo samotne matki wychowujące dzieci... Przeważnie jednaków.

–A gdzie są babcie tych wszystkich pociech? – pytałem.

–W domach starców. Mają tam naprawdę komfortowe warunki.

–A gdzie rodzina?

–Rodzina to ciężar, zobowiązania, konieczność wyrzeczeń, ograniczeń, a ludzie nie chcą niczego się wyrzekać.

Trzeciego dnia, wkrótce po tym, jak moja opiekunka zgodziła się uwolnić mnie z kajdanek, zaproponowałem jej wspólną wycieczkę na miasto. Monika zaproponowała.

–To zbyt ryzykowne, rozpoznają cię. Randolphi i jego ludzie na pewno cię poszukują.

–Kupisz mi siwą perukę i brodę, a ja zagrani staruszka na spacerze. I nie bój się, nie ucieknę ci. To byłoby bezcelowe. Trzymasz wszak w garści wszystkie atuty. Mogłabyś wypuścić na mnie twoich transplantatorów. Zlikwidowaliby mnie jako świadka ich procederu.

–I mnie, przy okazji.

–Dlatego ustalmy, że do chwili, kiedy wrócę na scenę publiczną jako Gurbiani, działamy solidarnie. A tak, swoją drogą, uważam, że powinnaś zadzwonić do tej twojej transplantatorni.

–Zwariowałaś? Po co?

–Aby uciąć ich poszukiwania. Wytłumacz, że masz dość tej pracy, że zachowasz pełną dyskrecję, natomiast jak ci się coś stanie, wiele bulwersujących informacji o klinice trafi do gazet i telewizji.

–Doskonała myśl. Będzie jednak lepiej, gdy wyślę do nich list, telefon mogliby namierzyć.

–W takim razie, co ze spacerem?

–Pójdziemy, pójdziemy.

Na wszelki wypadek pożyczylimy sobie pojazd Angela. W godzinę dojechaliśmy do centrum, co rusz zatrzymując się w zakrzepłych potokach samochodów. Monika nazywała taki stan korkiem. Zauważyłem, że w pojazdach, acz przeznaczonych dla kilku osób, przeważnie siedziała tylko jedna.

–Czy ci wszyscy ludzie naprawdę muszą równocześnie udawać się do centrum, mogąc załatwić zakupy w swych dzielnicach, interesy przez Internet, a kulturę czerpać z telewizji? – pytałem.

–Nie muszą, ale lubią – odparła moja przewodniczka.

–A dlaczego nie zbierają się w grupy?

–Jazda samodzielnie daje im poczucie wolności.

–Wielka mi wolność, być woźnicą samego siebie.

Zaparkowaliśmy w wielkim, piętrowym parkingu opodal Corso. Winda wydostaliśmy się na deptak. Wreszcie znaleźliśmy się w strefie mniejszego hałasu. Muszę wyznać, iż – w porównaniu z tą epoką – świat współczesny wydawał się być królestwem jazgotu. Hałasowały pojazdy, z każdego sklepu dolatywała muzyka, a młodzi ludzie paradowali ze słuchawkami w uszach, podrygując w takt muzyki, tak jakby cisza była im czymś nienawistnym lub jakby chcieli zagłuszyć jakąkolwiek myśl o myśli. Na szczęście, na Corso, poza dorożkami, nie było ruchu kołowego i panował większy spokój. Nagle przypomniała mi się ta sama ulica ongiś, w czasie karnawału. Pomyślałem o moich kolegach, nie żyjących od kilku stuleci, o tych wszystkich roześmianych dziewczynach, których nagie czaszki z dawna wypełniały katakumby cmentarzy...

–Dokąd chcesz pójść? – spytała moja towarzyszka.

Bez słowa skręciłem w ulicę Stromą. Byłem ciekaw mojego starego domu. Stał. Odnowiony chyba niedawno, wyglądał znacznie lepiej niż w mojej epoce. Nad oknami czerwieniły się kolorowe markizy, a nad bramą ze szklanymi, miast drewnianych drzwiami pysznił się napis: “Banco Anzelmiano. Rok założenia 1649”. Rok śmierci Ippolita! Przypadek? Interesujące. Niestety, zabytkowy budynek okazał się atrapą. Stare wnętrza wypruto, sień połączono z wewnętrznym dziedzińcem, urządzając w ich miejsce wielką halę operacyjną i schody na wyższe kondygnacje. Na półpiętrze pysznił się portret w złoconych ramach. Dobry Boże, byłżeby to Anzelmo? Tak! Mój sługa – wyszlachetniały, w bujnej francuskiej peruce, ze zwojem pergaminów pod ręką prezentował się jak wielki pan. Dalibóg, czyżby cała ta fortuna powstała z dobrze zainwestowanych judaszowych srebrników? Nad portretem złociła się ulubiona dewiza mego ucznia: “Nikt nie rodzi się milionerem”.

Weszliśmy na galerię otaczającą halę. Wisiały tam portrety mężów w strojach różnych epok z podpisami: “Nasi Wielcy Klienci – Renę Descartes, Blaise Pascal, Izaak Newton, Jean Jacques Rousseau, Yoltaire, Auguste Comte, Stuart Mili, Adam Smith, Alessandro Yolta, Luigi Galvani, Thomas Jefferson, Benjamin Franklin, Karol Darwin. Nazwiska te nie były mi już obce. Poprzedniej nocy przestudiowałem dzieło Historia ważniejszych odkryć i wynalazków. I naraz olśniło mnie. Anzelmo! Anzelmo w tajemnicy przed zbirami arcyksięcia uratował moje notatki, moje rękopisy, moje pomysły, a potem on i jego spadkobiercy skutecznie nimi handlowali przez dwa stulecia. Moje rozważania na temat relacji ciał były owym jabłkiem, które spadło na głowę Newtona. Mój wykład o związkach między energią zawartą w bursztynie a pośmiertnymi skurczami mięśni zwierzęcych zapłodnił wyobraźnię Volty i Galvaniego, zaś pomysł z piorunochronem rozwinął Franklin. Nie mówiąc już o mej rozprawie o podmiotowości człowieka wobec historii, zaczynającej się podobnie jak Jeffersonowska Deklaracja Niepodległości “My, naród...” Brawo, Anzelmo. Twój bank dokonał największej intelektualnej grabieży w historii!

–Załatwiamy coś tutaj? – spytała Monika, nieświadoma tajfunu szalejącego w mej

duszy.

–Dzisiaj jeszcze nie.

Wtedy w mym mózgu objawił się cel. Sprawa nadająca sens memu powrotowi. Przywrócić dokonania mistrza "Il Cane" ludzkości. Pomóc mu wspiąć się na należne mu miejsce pomiędzy Leonardem i Szekspirem, a może wyżej. Byłem przekonany, że skarbiec Banco Anzelmiano zawiera moje rękopisy, a kto wie co jeszcze. Anzelmo wiedział, gdzie jest skrytka w Bazylei, wiedział, co zakopałem w Fontainebleu. Jeśli rola Gurbianiego mogła mi ułatwić odzyskanie siebie – gotowy byłem stać się nawet Gurbianim.

Przez następne parę godzin włóczyliśmy się po mieście. Wspierając się na parasolu, odwiedzałem stare kąty, nie mogąc odpędzić wrażenia, że poruszam się wśród scenicznych dekoracji. Był to w istocie inny świat. Najbardziej zdumiewał mnie panujący w nim kult młodości. Nigdzie nie dostrzegałem poważnych i dostojnych mężów, dumnych ze swego statusu, wszyscy usiłowali udawać młodzieńców. Starcy czernili włosy, na twarzach kobiet moje oko medyka amatora znajdowało ślady licznych operacji. A kiedy Monika opowiedziała mi o poprawianych nosach i silikonowych piersiach, me zdumienie nie miało granic. Na bulwarach i w parkach widać było zdyszanych, wyschniętych staruchów w dresach, usiłujących dogonić dawną młodość; okazały, dostojny brzuch wydawał się być czymś nieprzyzwoitym. Innych przejawów wstydu nie zauważyłem. Niewiasty, odziane w męskie pantalony i szatki przylegające do ciała, zachowywały się swobodniej niż nasze kurtyzany. Na ulicach wymieniano pocałunki i poufale gesty, w parku, na trawnikach, mimo iż festa się skończyła parę dni temu, jawnie uprawiano miłość, bez krzty wstydu czy bojaźni bożej. A zuchwałość homoseksualistów? Grecka miłość i za mych czasów kwitła, ale nikt nie ośmieliłby się demonstrować tej skłonności na ulicy, w biały dzień. Nadto z tych wszystkich młodych, dobrze ubranych i zadowolonych ludzi płci obojga, krzykliwych i nonszalanckich, emanowała tak niebywała pewność siebie, taki brak szacunku dla starszych...

Niedaleko Santa Maria del Frari, przy konwencie zamienionym w muzeum sztuki nowoczesnej, zdarzył się incydent. Z kościoła wyszła siwowłosa, zadbana staruszka. Ostrożnie stąpała po schodach. Naraz, nie wiedzieć skąd, pojawiło się dwóch młodzieńców na deskorolkach. Jeden podciął ją, aż padła, drugi wyrwał torebkę. Śmignęli obok nas. Nie do końca, mam ciągle dobry refleks, błyskawicznie wysunąłem parasol i chwyciłem rączką za łydkę napastnika. Wyleciał w powietrze jak z procy, poszybował nad trotuarem i walnął twarzą w stragan z prażoną kukurydzą. Torebka upadła obok niego. Podniosłem ją i wręczyłem zapłakanej starowince.

–Uważaj! – krzyknęła Monika.

Ostrzeżenie było jak najbardziej na czasie. Kompan złodzieja zawrócił, zeskokczył z

deski, w jego ręku lśnił nóż.

–Po cholerę mieszałeś się w to, zgredzie!!!

Chwyciłem parasol za rączkę, przypominając sobie wskazówki paryskich fehmistrzów. Parada, zwód, atak. En avant! Wytrącony nóż brzęknął, padając na chodnik. Przytknąłem ostrą końcówkę ombrello do szyi zaskoczonego maślaka.

–Na kolana – huknąłem. – Na kolana. I zapamiętaj, ragazzo, od dzisiaj będziesz szanował starszych. Powtórz!

Wybełkotał żadaną formułkę. Przypadkowi przechodnie zaczęli bić mi brawo.

–Chodźmy już – zagdakałem starczo do Moniki, która z rozdziawionymi ustami przypatrywała się zajściu. Wzięła mnie pod rękę i pociągnęła w stronę parkingu.

–Ty nie możesz być Aldem Gurbianim, ten skurwysyn nigdy nie zdobyłby się na coś takiego – szepnęła, gdy znaleźliśmy się sami.

Przez skromność nie zaprzeczyłem.

Inna sprawa, że sam miałem w głowie mętlik. Jedno nie ulegało wątpliwości: dano mi szansę, mnie jedyńemu spośród znanych mi ludzi. Drugie życie. I coraz mocniej czułem, że nie wolno mi zmarnować tego daru. Toteż ucieszyłem się, gdy Angelo przyprowadził swego znajomego o równie anielskim imieniu Gabriel i nazwisku Zachs. Starszy o dwie dekady od prawnika, był suchym, szpakowatym facecikiem z licencją prywatnego detektywa. Miał zająć się naszym bezpieczeństwem. Przedstawiłem mu się jako Gurbiani, który wskutek porwania i po późniejszych przejściach ma kłopoty z pamięcią. Poprosiłem o dokonanie paru usług. Nie wiem, czy kupił wersję z amnezją, w każdym razie, na naszą prośbę, najpierw udał się na zwiady do Centrum Transplantacyjnego.

–Panika, proszę państwa, panika – oznajmił po powrocie. – W dobę po waszej ucieczce centrum zostało zlikwidowane. Personel i “pacjentów” ewakuowano trzema śmigłowcami, a w budynkach ktoś podłożył ogień. Sfajczyło się wszystko doszczętnie.

Wniosek nasuwał się oczywisty. Randolphi i jego ludzie doskonale wiedzieli, kogo mieli poćwiartować i kto zbiegł. Nie jakiś anonimowy włóczęga, którego zeznaniami nikt by się nie przejmował... Miało to jednak poważne implikacje. Świadczyło bowiem o spisku. Komuś wyjątkowo zależało na usunięciu Gurbianiego – Gabriel dopuszczał myśl, że wprawdzie porwania mogli dokonać jedni, inni natomiast, którym bardzo odpowiadało zniknięcie potentata, gotowi byli uczynić wiele, aby nie dopuścić do zmartwychwstania szefa SGC. Na moją prośbę detektyw podjął obserwację kluczowych szefów Konsorcjum. Nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek otrzymał cynk

na temat możliwości rychłego powrotu szefa. Chociaż... Dwa dni po naszej ucieczce media ogłosiły, że nagroda za informacje mogące przyczynić się do odnalezienia Alda Gurbianiego wzrosła do dziesięciu milionów euro. Ale może była to zbieżność zupełnie przypadkowa. Za to na nieprzypadkowe wyglądało zainteresowanie krewnymi i znajomymi mojej pielęgniarki. Jak sprawdził Gabriel, na podsłuchu był dom jej ciotki, przed mieszkaniem w Campinie cały czas stała zaparkowana furgonetka. Dziwni, smutni faceci rozpytywali wśród kolegów i koleżanek. Przy czym nie byli to bynajmniej funkcjonariusze policji.

–Jesteś pewna, że nie trafią na dom Paola?

–Poznałam go przypadkowo na nartach w Dolomitach, nikt nie wiedział o naszym krótkim romansie...

–Obyś się nie myliła.

14. W plugawym imperium

Nagle, publiczne pojawienie się szefa SGC i to, w dodatku, na własnym ślubie wywołało, wedle określenia Moniki, "efekt petardy ciśniętej do kurnika". Oczywiście, owo entre zostało przez nas starannie przygotowane. Na miejsce mego zmartwychwstania wybraliśmy niepozorny gmach magistratu w Montana Rossa. Na pół godziny przed ceremonią informacja o tym, że Monika Mazur i Aldo Gurbiani zamierzają się pobrać, trafiła do Internetu, wywołując prawdziwe szaleństwo w mediach. Na świadków wybraliśmy Angela Prodiego, naszego zaufanego prawnika, oraz przyjaciółkę szkolną Moniki – Sopię Rinaldi, która, zwabiona przez Gabriela, dopiero na miejscu dowiedziała się, w czym będzie uczestniczyć.

Przygotowania zajęły nam okrągły tydzień. Przede wszystkim musiałem nauczyć się być Gurbianim. Obejrzałem tysiące zdjęć i nagrań z jego udziałem (przy okazji przyswoiłem sobie zasady posługiwania się wideo), ćwiczyłem gesty, pozy, sposób artykulacji i wprawiałem się, by w żartach być równie jak on cyniczny i zgryźliwy. Nauczyłem się rozpoznawać około pół tysiąca najważniejszych osób z otoczenia medialnego magnata, na podstawie jego autografów wypracowałem jego podpis; chwalić Boga, w moim nowym wcieleniu rękę miałem sprawną jak wprzód. Jednego mi się nie udało – polubić Alda. Z każdą chwilą wydawał mi się postacią bardziej odrażającą, ulepioną z jednej bryły haniebnego paskudztwa. Dlaczego więc zgodziłem się być nim? W końcu, mimo przechwałek panny Mazur i jej "czarnego pasa", z pewnością bym sobie z nią poradził.

Jaki jednak miałem wybór? Ja, przybysz z przeszłości, rzucony w środek piekła XXI wieku? Miałem może stać się znowu bezdomnym, na którego organy w każdej chwili mogą połaszczyć się bezlitośni transplantatorzy? Rola Gurbianiego, mimo wszystko, wydawała się być dla mnie uśmiechem fortuny. Szansą na przywrócenie właściwej

roli dla świętej pamięci Alfredo Derossiego. Nadto, uważałem, może naiwnie, że kiedy tylko zechcę, będę mógł się wycofać.

Gabriel zebrał dla mnie również nieco informacji na temat Banco Anzelmiano. Była to szacowna instytucja, od pokoleń stanowiąca własność ustosunkowanej rodziny Zaccaria, która nie zamierzała się z nim rozstawać. Drobną część akcji posiadali inni właściciele, ale nawet skupienie ich wszystkich nie dawałoby pakietu kontrolnego. Najprostsza tedy metoda, jaką mogłoby być wykorzystanie forsy Gurbianiego na wykup tajemnic Anzelma, nie wyglądała na realną.

Tymczasem, o ile potentat medialny stawał się dla mnie coraz paskudniejszy o tyle, przy bliższym poznaniu, Monika wyraźnie zyskiwała. Ta bystra dziewczyna okazała się osobką nie tylko ładną, ale również bardzo sympatyczną. Jak moja arcyksiężna, pochodziła z Polski – jej dziadek, ranny w ciężkich bojach polskiego korpusu o Anconę, Bolonię i Rosettinę, zapoznał babkę, gdy jako rekonwalescent kwaterował w pewnej winnicy. Pochodzenie i słowiańska uroda pozostały jedynym związkiem Moniki Mazur z północną ojczyzną. Nie była istotą sentymentalną. Wcześniej osierocona, musiała nauczyć się radzić sobie sama. Z rozbijającą szczerością opowiedziała mi, jak wzbogacała swoją studencką kasę pracując w charakterze “dziady sitter”, to jest damy wynajmowanej przez zasobnych emerytów w celach wiadomych.

–I potrafiłaś się zdobyć na coś takiego!? – zawołałem wstrząśnięty.

–Biznes to biznes – odpowiedziała. – Zresztą wybierałam zawsze takich, którzy właściwie nic nie mogą, ot, pogadać, podotykać, polizać...

Bezpruderyjna, to najlepsze określenie charakteru panny Mazur. Chociaż wydaje mi się, iż było to charakterystyczne dla czasów, w których przyszło jej żyć. Kobiety zachowywały się jak dziwki, za wyjątkiem feministek, które usiłowały być jak mężczyźni. Monika postępowała nad wyraz swobodnie. W upalne dni przełomu czerwca i lipca kręciła się po domu w przejrzystych majteczkach i mikroskopijnym staniku, sprawiając, iż moje ciało dość natrętnie przypominało mi, że jestem mężczyzną, który od prawie czterech wieków nie miał kobiety. Dziewczyna szybko zorientowała się, jakie myśli przychodzą mi do głowy.

–Chciałbyś? – zapytała któregoś popołudnia, patrząc mi prosto w oczy z wyzywającym uśmiechem. A ślepia miała jak moja princessa: błękitne. – Nic z tego.

–Ale dlaczego? – wybąkałem, czerwony jak rak. – Wzbudzam w tobie niechęć?

–Wręcz przeciwnie. Mogłabym się w tobie zakochać. Ale nie lubię mieszać miłości z interesami.

Nie skomentowałem. Od pewnego czasu odnosiłem wrażenie, że dziewczyna usiłuje

grać twardszą i bardziej cyniczną, niż była w istocie. Ale chyba taki obowiązywał tu, w tym stuleciu styl.

Lokalni dziennikarze zjawili się jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości. W jej trakcie zaczęli napływać następni. Zanim jeszcze wypowiedzieliśmy: "Tak", z łoskotem wirników wylądował skrzydlaty ptak (przypominający maszyny, które ongiś sam wykoncypowałem, posiłkując się rysunkami Leonarda) – helikopter ze znakami SGC. Gdy jego pasażerowie pojawili się w drzwiach sali, zidentyfikowałem ich bez trudu. Chuderlawy, nerwowy kurdupel, to musiał być dyrektor generalny, Eusebio Rozenkrantz. Długonoga piękność to niewątpliwie moja sekretarka, a zarazem szefowa marketingu – Amerykanka Lili Watson. Piękna suka, która, wedle obiegowej opinii, gorące ciało modelki (debiutowała na rozkładówce "Minettio") łączyła z zimnym mózgiem na miarę twardego dysku komputera. Natomiast zwalisty typ o wejrzeniu rotweilera pasował mi na szefa ochrony, Lukę Torresego.

W trakcie ceremonii cała trójka wpatrywała się we mnie z najwyższym natężeniem. Jakby nie wierzyli własnym oczom. A przecież wyglądałem tak, jak powinien przy takiej okazji wyglądać Gurbiani: biały garnitur w paski, purpurowa róża... Uśmiechnąłem się do współpracowników. Odpowiedzieli krzywymi grymasami. Co rusz błyskały flesze, co starałem się przyjmować z naturalną nonszalancją. Po zakończeniu ceremonii, gdy wszyscy rzucili się ku mnie, zatrzymałem ich wzniesionymi rękami.

–Proszę państwa – rzekłem. – To ceremonia cicha i prywatna. Na wszystkie interesujące was pytania odpowiem jutro, w południe, w salach konferencyjnych mego biura na Piazza Garibaldi. – Po czym wyszedłem drogą ewakuacyjną, czyli małymi służbowymi drzwiami dla pracowników magistratu.

Oczywiście, nie mogłem uniknąć spotkania z moimi najbliższymi współpracownikami. Poczekałem na nich w gabinecie udostępnionym mi przez burmistrza. Lili obcałowywała mnie, co rusz ocierając oczy, jakby za wszelką cenę pragnęła wydusić z nich łzy. Rozenkrantz miał głupią minę kogoś, kto oswoił się z myślą o rychłym przejściu całego biznesu, a teraz widzi, jak konfitury znikają mu sprzed nosa. Ścisnął mnie, podskakując na podobieństwo ratlerka witającego swego pana. Aż dziw, że nie merdał ogonkiem. Natomiast Luca Torrese potrząsnął tylko moją rękę i warknął:

–Cholera, szefie, gdzie się pan podziewał?

–Miałem pewne kłopoty.

–Ja jestem od rozwiązywania pana kłopotów. Mogłeś przynajmniej dać znak życia.

–Porozmawiamy o tym później, Luca. Dziś wziąłem ślub. Chcę jak najszybciej

znaleźć się w domu.

–A właśnie, skąd wytrzasnąłeś tę dupę, Al? – zaczął żartobliwie Eusebio. Nie zdołał dokończyć. Porwałem go za klapy, uniosłem w górę, nic wielkiego, ważył ledwie czterdzieści siedem i pół kilo, i cisnąłem o ścianę.

–To nie żadna dupa, tylko moja żona, direttore, i żądam, byś okazywał jej należyty szacunek!

–Oczywiście, przepraszam – bąkał zmieszany. Kiedy go uderzyłem, musiał przygryźć sobie język i z ust sączyła mu się krew, nadając jego chudemu obliczu wygląd twarzy karłowatego wampira.

–Jeśli chcesz, szefie, stąd spływać – powiedział Torrese – to śmigłowiec grzeje silniki.

–W porządku. – Ruszyłem ku tylnemu wyjściu. Na korytarzu spostrzegłem szpakowatego mężczyznę w garniturze, do którego wszyscy odnosili się z szacunkiem.

–Przepraszam, Aldo, że zawracam ci głowę w takiej chwili – rzekł ów szpakowaty osobnik, zastępując mi drogę – ale wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, nie wiedziałem, kim jest ten człowiek. Ale skoro mówił do mnie po imieniu...

–Tak, słucham.

–Nie wiem, czy się orientujesz, ale premier wyznaczył mnie osobiście do nadzorowania śledztwa w sprawie twego uprowadzenia.

–Znalazłem się sam, bez niczyjej pomocy. Nie ma sprawy.

–Jest sprawa. Media tego nie podały, ale parę dni temu porywacze pękli...

–Porywacze?

–No, ci gówniarze z grupy Pogonić Antychrysta. Szli w zaparte, ale mamy swoje metody. No i opowiedzieli, jak przy pomocy naćpanej małolaty wciągnęli cię do samochodu. Jak zdalnie odpalili pojemnik z gazem w tym wozie, pozbawiając cię przytomności, jak wreszcie, przekonani, że zakatowali cię na śmierć, wrzucili twe ciało do Studni Potępionych... Nie przypuszczali, że możesz ujść z życiem. Nawet mnie trudno było uwierzyć, że przeżyłeś. Badając studnię, znaleźliśmy ślady twojej krwi na cembrowinie. Eksperci byli jednak przekonani, że pozostawiłeś je, spadając w dół.

–Skąd wiecie, że to moja krew?

–Analiza DNA. W szpitalnym banku masz swoją próbkę na wypadek potrzeby transfuzji.

–Naturalnie... Anie szukaliście ciała?

–Na dnie nie znaleziono niczego. Ale płynie tam podziemna rzeka, więc mieliśmy prawo przypuszczać, że prąd cię porwał... W związku z tym, rozumiesz, będę musiał zadać ci kilka pytań. No i skonfrontować z tymi szczeniakami.

–Musimy zrobić to dziś?

–Oczywiście, że nie musimy. Ale jutro, na przykład, po południu...

–Termin ustal z moją sekretarką. Z Lili. Uśmiechając się przyjaźnie, wyciągnął do mnie rękę.

–Cieszę się, że wróciłeś... A, przy okazji, czy mógłbyś dać autograf dla mego syna. On uwielbia twój kanał "Przygoda".

Mam cię, draniu – pomyślałem, podpisując się na wizytówce z nadrukiem: "Ministerstwo Sprawiedliwości, podsekretarz stanu, Sandro Volponi". – Potrzebujesz mego autografu i linii papilarnych do autoryzacji, że ja to ja? Już się robi!

Podczas lotu śmigłowcem Monika świetnie odgrywała rolę zakochanej kobiety. Wtulona we mnie, wpatrzona czule w me oczy, co rusz całująca, a to w ucho, a to w policzek, skutecznie izolowała mnie od podróżujących z nami "diadochów" Gurbianiego. Nie cieszyło ich to. A Lili była naprawdę wściekła.

Widziałem, jak Eusebio parokrotnie usiłował zagaic rozmowę, ale po moim wybuchu nie chciał chyba ryzykować nowego konfliktu, więc zamykał usta, zanim zdołał je na dobre otworzyć. Dopiero kiedy wylądowaliśmy na dachu wieżowca Konsorcjum, wybąkał:

–Kondycja firmy jest znakomita, a twoje zniknięcie paradoksalnie zwiększyło zainteresowanie naszymi ofertami. Otworzyliśmy nowy kanał w Indiach, a sprzedaż w Europie Wschodniej tylko w ostatnim miesiącu wzrosła o dwadzieścia procent.

–Na jutro rano potrzebuję skróconego raportu o wszystkich polach naszej aktywności – wyrecytowałem opracowaną formułkę. Zbladł.

–Ależ, Aldo, do jutra w żaden sposób nie zdążę...

–To się postaraj. – Teraz zwróciłem się do Lili. – Przybędę jutro o dziewiątej, przejrzę materiały przygotowane przez Eusebia, o jedenastej chcę zobaczyć wszystkich szefów, o dwunastej konferencja dla prasy. A po lunchu umówisz mnie z ministrem Volponim. Resztę ustalimy rano. A ty... – tu spojrzałem na Lukę.

–Lecę z tobą, szefie – stwierdził stanowczo. – Musimy pogadać. Wspólnie ustalimy, przed czym mam cię chronić.

–Przed nikim, zwykle środki bezpieczeństwa wystarczą.

–Nie sędzę – nachylił się nad mym uchem. – W trakcie ślubu zarządziłem badanie techniczne śmigłowca... To znalazłem przy podstawie wirnika – pokazał mi niewielkie pudełeczko z wystającymi kablami. – Zapalnik mógł być sterowany nawet za pomocą telefonu komórkowego.

–Wiesz, kto mógł to zrobić?

–Nie mam pojęcia. Ktoś, kto wiedział, że wrócisz, mimo że wszyscy przekonani byli o twej śmierci. A zatem kiedy pogadamy?

–Jutro. Dziś jestem zmęczony.

Zawarliśmy kompromis, ja zgodziłem się, by Luca towarzyszył mi w locie do rezydencji, on zrezygnował z zadawania pytań, póki nie odpocznę. W czasie drogi nie odmówiłem sobie przyjemności obejrzenia na małym telewizorze fragmentów kilkunastu dzienników telewizyjnych. We wszystkich programach wieści o mym zmartwychwstaniu wyprzedziły dramatyczne informacje z frontu kaszmirskiego i zamieszek na Ukrainie. Popołudniówki wypuściły wydania nadzwyczajne pełne zdjęć moich, Moniki, śmigłowca itp. Ogromne nagłówki wołały: "Alclo i dziewczyna znikąd", "Gdzie się podziewał Wielki Gurbi?", "Kim jest tajemnicza bella bionda?", "Zredukowana stażystka z kliniki w Weronie odnajduje się w ramionach Markiza de Sade XXI wieku". I bodajże najwymowniejszy tytuł: "Pornomagnat wrócił do swego plugawego imperium".

Gurbiani mieszkał w ultranowoczesnej rezydencji wzniesionej na Rocca Diavolo, stromych, poczerniałych skałach trzydzieści kilometrów na zachód od Rosettiny. Wjazd do niej przypominał wejście do Sezamu ze znanej baśni Semiramidy. Pierwszy impuls pilota otwierał bramę, neutralizując kolczatki i inne niespodzianki czekające na ewentualnych intruzów, drugi sprawiał, że olbrzymie bloki bazaltu usuwały się na boki, otwierając wjazd do windy samochodowej, która w kilkanaście sekund dostarczała wóz i jego pasażerów na parking pod osłoniętym przez skały tarasem. Znajdowało się tam również lądowisko dla helikopterów. Tam też usiadł owego, przechodzącego do kronik wieczoru nasz stalowy ptak.

Z tarasu można było wejść do obszernego domu, ulokowanego na skraju urwiska, bądź do ekokopuły, w której magnat zainstalował funkcjonującą cały rok replikę tropikalnej laguny, z palmami, bajecznie barwnymi papugami i oswojonymi lampartami. Tych lampartów nieco się obawiałem, nie będąc pewnym, czy przywiązane są bardziej do ciała Alda, które pozostało, czy do duszy, jak wiadomo, podmienionej na inną, moją. Wielkie koty jednak, na mój widok, zaczęły łasić się i mruczeć, co przyjąłem za dobry znak.

Centrum domu wypełniał obszerny salon, odważnie wysunięty ponad przepaścią, z olbrzymim panoramicznym oknem, wyposażonym w pancerną szybę, przez którą widać było całą dolinę rzeki, Rosettinę, tak część starą z jej dominantami, katedrą, Castello Nero i wieżą Palazzo della Guistizia, jak i też Citta Nuova z kępą wieżowców. Dalej można było dojrzeć statki na lagunie i górski łańcuch na horyzoncie zamykający perspektywę.

Przywitałem się ze służbą – liczącą dwanaście osób, w tym pięciu ochroniarzy. Skład uzupełniał kucharz z pomocnikiem, ogrodnik, technik konserwator sprzętu domowego, dwójka kelnerów, także dwie piękne pokojówki, z których jedna podała mi rękę w sposób, z którego wywnioskowałem, że łączyły ją z szefem dość intymne stosunki. Dzięki Bogu i Monice obejrzałem parę reportaży o prywatnym życiu Gurbianiego, znałem więc z grubsza rozkład wnętrza. Sypialnię wypełniało olbrzymie wodne łóżko o zmiennej geometrii, na suficie lśniło powiększające zwierciadło, w salach rekreacyjnych znajdowało się jacuzzi, wanny do masażu, sprzęt do ćwiczeń fizycznych... Widać było, że Aldo nie odmawia sobie niczego. Na olbrzymim ekranie telewizyjnym visavis łoża można było oglądać naraz trzydzieści sześć programów bądź dowolne obrazy z wnętrza rezydencji, jak również licznych biur firmy. Nie spodobało mi się to pomieszczenie, kazałem więc posłać dla mnie i dla żony w dwóch przylegających do siebie sypialniach gościnnych. Zażądałem też usunięcia z nich wszelkiego monitorowania. Polecenie wykonano bez szemrania. Potem wziąłem kąpiel i zamierzałem spać.

Weszła Monika. Otulał ją przezroczysty peniuar, nie ukrywający niczego.

–Nie przypuszczasz chyba, że zrezygnuję z nocy poślubnej? – szepnęła, widząc me zaskoczenie.

–Jednak stwierdziłaś niedawno, że nie mieszasz interesów z miłością.

–Ale nie wolno mi lekceważyć obowiązków małżeńskich...

Była piękna, bliska, gorąca i pachniała jak czarodziejski kwiat. Któż nie zapragnąłby go zerwać? Zwłaszcza po tak długim poście.

Na progu mego łoża Monika zatrzymała się. Wątpliwości?

–Obiecaj mi jedno – szepnęła.

–Tak?

–Powiesz mi, kim naprawdę jesteś?

–Powiem. Tylko trochę później. – Pociągnąłem ją ku sobie. Złączył nas pocałunek, ręce zaczęły pozbywać się garderoby... I, niestety. Czyż należało złożyć to na karb zaskoczenia, czy rezerwy, jaką ciągle miałem do oblubienicy? Nie mogłem... Mimo wewnętrznego podniecenia. Czyżby król porno ukrywał przed opinią publiczną wstydlivy defekt?

–Spokojnie, to pewnie z emocji – szepnąłem sobie. – Dziewczyna jest zachwycająca, nie musisz się spieszyć. Przecież nie chodzi tu o miłość. Pofolguj zmysłom!

Wyznam szczerze, w dawnych czasach miałem wiele kochanek i nader z rzadka korzystałem z usług ladacznic. Nie pozwalała mi na to miłość własna, a także lęk przed paskudnymi chorobami. Nigdy jednak nie miałem problemów ż...

–Aldo, co ci jest? – w głosie Moniki zabrzmiało zdumienie połączone z niepokojem.

–Naprawdę nie wiem, nigdy dotąd...

–Nie podobam ci się?

–Podobasz mi się, Moniko, może nawet za bardzo...

–Więc?

–Chyba nie jestem gotów. To takie nagle...

–Rozumiem. – Podniosła się i narzuciła peniuar. – Prawdziwy Gurbiani, wedle rozpowszechnionych opowieści, był zwolennikiem nieograniczonej, wesołej zabawy w łóżku. Ty, widzę, nie lubisz seksu na zimno.

–Ty to powiedziałaś.

–Myślisz, że to się może kiedyś zmienić?

–Chciałbym...

Jeszcze chwila, a jej już nie było. Zapadłem w sen. Śniła mi się Maria i musiał to być sen bardzo realistyczny, gdyż rano zawstydziły mnie plamy na prześcieradle. Nie żałowałem, że nic nie wyszło z moją urzędową żoną. Pamiętając o jej wyrachowaniu, miałem wobec Moniki zbyt wiele rezerwy, by stracić dla niej głowę... A i moje ciało widocznie miało swój rozum.

Parę minut przed dziewiątą dotarłem śmigłowcem do mego biura. Czekala tam zarówno Lili Watson, jak i zestawienia sporządzone przez Rozenkrantza. Samego Eusebia zastałem w saloniku obok gabinetu, śpiącego w fotelu.

–Jak zwykle kawa ze śmietanką? – zapytała słodziutko panna Watson.

Przygotowany do lekcji, zwinnie ominąłem zastawioną pułapkę.

–Wiesz kochanie, że piję wyłącznie czarną kawę. Bez cukru!

–Myślałam, że mogłeś zmienić upodobania. Tak się zmieniłeś, że trudno cię poznać.

Najlepszą obroną jest atak, udałem więc zniecierpliwienie i wzburzenie.

–Przez dwa tygodnie wisiałem między życiem a śmiercią, porwano mnie, rozbito głowę, mam dziury w pamięci... Trudno, żebym funkcjonował od razu, jak po urlopie spędzonym na Seszelach.

–Oczywiście, prosiaczk. – Podeszła do mnie i ucałowała mnie siarczyście, wrażając język głęboko, chyba aż do dwunastnicy. Ledwo złapałem oddech.

–Skąd wykombinowałeś tę babę i jak cię zmusiła do ślubu? – Uklękła przede mną i już sprawnie manipulowała przy mym rozporoku. Łokciem strąciłem kryształowy wazon, który roztrzaskał się o posadzkę. Odskoczyła, a chrapanie Eusebia ustało.

–Pomówimy o tym kiedy indziej, Lili – rzekłem, poprawiając garderobę.

–Ależ jesteś punktualny, Aldo – powiedział, otwierając drzwi i wchodząc Rozenkrantz. – Mam wszystko, o co prosiłeś, i chętnie wytłumaczę ci osobiście...

–Jeśli będę miał jakieś wątpliwości, poproszę was. A teraz dziękuję.

Wycofali się, wymieniając znaczące spojrzenia. Czyżby podejrzewali, że ktoś podmienił im szefa? Siadłem nad papierami.

Wspólnikiem Gurbianiego musiał być sam diabeł. I była to niewątpliwie spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Firma kwitła. Wszystkie jej agendy przynosiły dochody, a bilans zysków przekraczał dochód niejednego państewka. Jednak spoza tych optymistycznych kolumn, na których sąsiadowały ze sobą liczby obrazujące wysokość wpływów z reklam, z działalności wydawniczej i koncertowej, z produkcji gadżetów, z domów gier i schadzek, nachalnie wyłamał się inny obraz. Oglupienia i demoralizacji. Do licha, ileż za każdą z tych liczb musiało się kryć rozbitych rodzin, zwichrowanych talentów, pospolitej dewiacji i niepospolitego świństwa. Nigdy nie byłem świętoszkiem, ale bezczelność i hucpa SGC wywoływała we mnie obrzydzenie.

Ale przecież to nie była moja sprawa. Musiałem tylko odnaleźć swoje rękopisy.

Cały bezmiar samotności przyszło mi odczuć szczególnie wtedy, gdy musiałem stanąć przed zarządem Konsorcjum. Do Wielkiej Okrągłej Sali przybyło blisko pięćdziesięciu prezesów i dyrektorów. Zadziwiające towarzystwo. Przeważali ludzie młodzi, wysportowani, opaleni, zadowoleni z siebie. Powitali mnie oklaskami. A ja, przymknąwszy oczy, miałem wrażenie, jakbym znalazł się naraz na wybiegu wśród dzikich bestii. Szef stacji "Eroticon", Leo Bianchi, o wydatnych czerwonych policzkach, przypominał wyliniątego pawiana, dyrektor finansowy SGC spoglądał spode łba jak rasowy szakal, szef kasyna wyglądał jak olbrzymi kreteński byk, któremu brakuje jedynie kółka w nosie. Obok wierciła się naczelną "Minettio", Letycja Romero, szczupła żmija o zgryzie krokodyla. A dalej kłębiły się pozostałe hieny, węże, padalce... Otworzyłem szerzej oczy. Wróciły ludzkie kształty. Tak, miałem tu ich wszystkich: sprawnych, bezideowych, o niebywałym instynkcie samozachowawczym i talencie do robienia pieniędzy. Wątpię, czy ktokolwiek z nich był przyjacielem Gurbianiego, wszyscy jednak związali się z Aldem na dobre. Ciekawe, czy ktokolwiek ostałby z nim na złe? Jediną postacią odbiegającą od reszty był stojący nieco z boku przy filarze starszy mężczyzna przypominający smutnego krasnala ze zjeżoną szopą siwych włosów – profesor Ugo Carducci, szef zespołów naukowobadawczych.

–Panie, panowie – powiedziałem. – Dziękuję, żeście wpadli (przyjazny szmer). – O mej przygodzie wiele wam nie opowiem, bo nie czytałem jeszcze dzisiejszych gazet (śmiechy, oklaski). Tych, którzy liczyli, że nie wrócę, przepraszam. Tych, którzy liczą, że nic się nie zmieni, rozczaruję. Mam parę pomysłów, jak zdynamizować naszą działalność, i liczę, że mi w tym pomożecie (brawa). Jeszcze jedno. Mam drobne kłopoty z moim osobistym komputerem (tu znacząco puknąłem się w czoło), więc jeśli jestem komuś winien jakieś pieniądze, to, uprzedzam, niczego nie pamiętam...

Przyniesiono szampana. Zacząłem krążyć po sali, witając się z każdym, bardziej słuchając, niż mówiąc. Wyznam, że wielu aluzji i półsłówek nie rozumiałem. A i przypisanie nazwisk do twarzy w większości wypadków możliwe było tylko dzięki identyfikatorom. Tak zatoczyłem pełny krąg i wróciłem do Eusebia.

–A gdzie jest Salvatore Lippi? – spytałem dostatecznie głośno, by usłyszało mnie więcej osób niż sam tylko Rozenkrantz. Direttore zmieszał się.

–Nie przyjął propozycji objęcia Regionu Wschodniego – uprzedziła go panna Watson. – Dlatego trzy dni temu przyjąłem jego dymisję. Dostał królewską odprawę.

–Szkoda! Sprawdził się jako doskonały szef kanału "Przyroda i kultura" – zauważyłem. – Czyżby podczas mej nieobecności stało się coś, co uniemożliwiło pozostawienie go na tym stanowisku?

–Pogłębiające się różnice programowe – bąknął Rozenkrantz.

–Chciałbym porozmawiać z nim po południu – oznajmiłem Lili.

–Nie wiem, czy go znajdę – odparła dość arogancko.

–W takim razie od razu poszukaj sobie nowej pracy – rzekłem. I zrobiło się cicho.

Czy przesadziłem? Cóż. Nie należę do szaleńców skaczących z wieży do basenu, nie sprawdziwszy, czy jest w nim woda. Starannie przestudiowałem biografię Gurbianiego. I zagrałem dokładnie tak, jak postąpił pięć lat temu, rozpędzając całe kierownictwo Regionu Zachodniego. Inna sprawa, że panna Watson była w firmie od lat świętą krową...

Konferencja prasowa sprawiła mi mniej kłopotu. Żartując, zasłaniałem się brakiem pamięci. Wspomniałem, że w trakcie festy wsiadłem do jakiegoś samochodu łowczyni autografów, prawie natychmiast usłyszałem niezbyt mocną detonację, po czym straciłem świadomość. Odzyskałem ją dopiero w głębi Studni Potępionych. Barwnie odmalowałem wygrzebywanie się ze sztolni, mówiłem o przejściowej amnezji, tułaczce po kanałach i wysypiskach śmieci i o pomocy, jakiej udzieliła mi pielęgniarka Monika Mazur. Na wszelki wypadek zataiłem epizod mego aresztowania i pobytu w klinice. Mówiłem też o stopniowym odzyskiwaniu pamięci. I o tym, jak z czułości, jaką otoczyła mnie Monika, zrodziła się miłość. Wszyscy się wzruszyli, a przynajmniej udali wzruszenie. Wspomniałem również o trwającym śledztwie w sprawie mego porwania, obiecując, że opinia publiczna zostanie zapoznana z jego wynikami. Nie chcąc, aby nastrój liryczny zdominował bez reszty konferencję, opowiedziałem na koniec parę tłustych kawałów z przygotowanego do druku najnowszego numeru "Minettio". A w odpowiedzi na pytania, czy zamierzam wypoczywać, czy też wrócić do pracy, rzuciłem tajemniczo, że przygotowuję parę niezłych projektów.

**–Czasami otarcie się o śmierć niesłychanie dobrze robi na potencję. Intelektualną...
– wyznałem.**

–Słuchając pana – powiedziała szczupła dziennikarka z "Il Corriere della Sera" – można dojść do wniosku, że zaczyna pan wierzyć w Boga.

–Sukces byłby pełen, gdyby On uwierzył we mnie i wykupił pakiet satelitarny SGC.

Gremialny wybuch śmiechu stworzył znakomitą szansę na efektowne zakończenie konferencji.

W gabinecie oczekiwał mnie Luca Torrese. Siedział na moim biurku i bezceremonialnie grzebał w jakichś papierach.

–Co się z tobą dzieje, szefie? – wybuchnął. – Olałeś moje przestrogi podczas Festa

d'Amore i efekt był wiadomy. Od paru miesięcy sygnalizowałem ci, że nie panujemy nad wszystkimi strukturami SGC, ale ty mi nie dowierzałeś.

–Wiesz, kto zorganizował moje porwanie? – spytałem, patrząc mu prosto w oczy.

–Mam podejrzenia, ale brakuje mi dowodów.

–Znajdź więc dowody, albo zlecę to komuś innemu.

Zobaczyłem, jak nerwowo drgnęły mu żuchwy.

–Jest następna sprawa. Pan Amalfiani zadzwonił do mnie przed godziną. Niepokoi się o swoje pieniądze. Żąda podania terminu, traci cierpliwość.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Coś podpowiadało mi, że próba chwycenia Torresego za kark i wyrzucenie go za drzwi nie byłaby najlepszym pomysłem. Gorzej, nie miałem pojęcia, kim jest ów Amalfiani. Pozostawała gra na czas.

–Słuchaj, stareńki, wpadnij do mnie wieczorem, to pogadamy, za chwilę mam spotkanie z tym bubkiem z ministerstwa.

Niechętnie zlął z biurka.

–Zebrałem dossier tej Moniki, znaczy się twojej żony – powiedział. – Cwana gapa. Jeśli cię czymś zaszantażowała, możemy szybko to rozwiązać.

–Niczego nie będziemy rozwiązywać. I bardzo cię proszę, nie wtykaj nosa w moje sprawy rodzinne.

–Wpadnę o dwudziestej.

Gdy wyszedł, sięgnąłem do Who is who. Przerzuciłem skorowidz dwukrotnie i nie znalazłem tam żadnego Amalfianiego. Nie znalazłem też nikogo o tym nazwisku w książce telefonicznej. Ki diabeł? Rzecz wyjaśniła krótka rozmowa z Gabrielem Zachsem.

–Naprawdę nie wiesz, kto to jest Amalfiani? – zapytał, ścisząc głos.

–Nie mam pojęcia.

–Jego prawdziwego nazwiska nie zna nikt, ale wielu twierdzi, że pod tym pseudonimem ukrywa się szef połączonych Ndraghetty, Camorry i Cosa Nostra. Wielu podejrzewa, że ma z nimi jakiś układ. Niedobrze, że akurat tego nie pamiętasz.

Westchnąłem. Znałem już pseudonim najważniejszego z diabłów, z którymi pakt musiał zawrzeć Aldo.

Wiceminister Volponi zabrał mnie do municypalnego aresztu śledczego, ulokowanego w nowoczesnym kompleksie niskich, betonowych prostopadłościanów mieszczących się poza miastem. Najpierw, dzięki podglądowi kamer, mogłem przyjrzeć się trójce aktywistów PA, moich porywaczy. Zaskoczyła mnie ich młodość. Austriak, Chorwat i Włoch nie mieli razem więcej niż pięćdziesiąt parę lat. Cherlawi, z trądzikiem młodzieńczym i łupieżem wyglądali na grupę licealistów ze szkoły publicznej, którzy nabroili podczas majówki. Pokazując mi ich, Volponi nadmienił, że współniczka tego sympatycznego tria, niejaka Andrea, po samobójczej próbie przecięcia żył jest teraz w więziennej klinice. Natomiast jej siostra, trzynastoletnia Nicole, która odegrała rolę erotycznego wabika, przebywa w domu pod nadzorem policyjnym.

–I te dzieciaki naprawdę chciały mnie zabić? – spytałem z niedowierzaniem.

–Niech cię nie zwiedzie wygląd tych aniołków, Aldo – na wąskich wargach ministra pojawił się ironiczny uśmiech. – Te dzieciaki są członkami bardzo niebezpiecznego ruchu fundamentalistycznego. Podobnie jak ich guru, zwany bratem Raymondem, są zdania, że nadszedł czas rozpoczęcia czynnej walki ze złem. Atakują więc tych, których uznają za bezbożników i gorszycieli, podpalają sklepy z pornografią, publikują listy notabli korzystających z usług prostytutek, pikietują kliniki aborcyjne i instytuty inżynierii genowej, wreszcie golą na tyso gwiazdki peep showów. Na szczęście oficjalne władze kościelne nie popierają ich ekscesów.

–Schwytaście tego Raymonda?

–Ukrywa się gdzieś w Szwajcarii. To dość tajemniczy gość. Były uczestnik zgromadzenia w Taize, później zagorzały lefebrysta. A obecnie... Niektórzy mówią, że finansują go Arabowie. W każdym razie obalamucona młodzież uważa go za wcielenie Mesjasza. Rozpowiadają o jego stygmatach i prorocत्वach, wierzą w dokonywanie przezeń cudownych uzdrowień...

–Raymond Priestl... – powiedziałem bezwiednie.

–Oczywiście, musiał pan o nim słyszeć – ożywił się Volponi. – Przecież pańska telewizja zapowiadała nawet specjalny program demaskujący tego szarlatana.

–Zapowiadała...

–No, jakieś dwa miesiące temu. Hit stulecia. Tylko zawsze zastanawiałem się, dlaczego program został w ostatniej chwili odwołany.

–Dlaczego... – na moment poczułem uderzenie gorąca. Działo się ze mną coś niedobrego. Skąd napłynęła ta niewyobrażalna fala strachu? Skąd znałem to

nazwisko?

– Źle się czujesz, Aldo? – spytał minister. – Może wody?

– Nie, nie – zaczerpnąłem głębiej powietrza i zmieniłem temat. – Czy dałoby się z tymi chłopakami porozmawiać?

– Z naszej strony nie ma problemu. Wątpię jednak, czy oni na to przystaną. Do tej pory udało nam się złamać tylko tę Andreę. Sypnęła kolegów, ale natychmiast próbowała targnąć się na życie.

– A jeśli stwierdzą pod przysięgą, że to nie oni dokonali na mnie zamachu, wypuścicie ich?

Funkcjonariusz popatrzył na mnie niedowierzająco.

– Jak to?

– Powiedzmy, mam wobec nich... swoje plany.

Przez chwilę w zamyśleniu pocierał dłonią czoło.

– Sądzę, że to da się załatwić. W areszcie nie są zbyt przydatni naszym organom śledczym, natomiast na wolności, być może, mogliby doprowadzić nas do Raymonda. Od czasu twego porwania jakby się pod ziemię zapadł.

– W takim razie, jeśli możesz, ułatw mi spotkanie z nimi.

– Teraz? To ryzykowne.

– Ale chyba możliwe. Niech tylko wpierw dowiedzą się, że są zwalniani.

Volponi uśmiechnął się. Nie ulegało wątpliwości, że już wcześniej świadczyli sobie z Gurbianim rozmaite usługi. Jakże? Moja wiedza na temat większości kontaktów potentata była ciągle żałośnie mała.

Z młodymi porywaczami spotkałem się godzinę później na tylnym dziedzińcu aresztu śledczego. Po prostu podszedłem do nich, gdy tylko opuścili swe cele, mrużąc oczy nieprzywykłe do słońca, oszołomieni nagłym uwolnieniem.

– Cześć, dzieciaki – powiedziałem łagodnie. Zjeżyli się jak myszy na widok węża. – Chciałem wam tylko powiedzieć, że nie żywię do was urazy. Sądzę nawet, że wasz czyn był w pewnym sensie usprawiedliwiony. – Nie odpowiadali, zapewne wietrzyli prowokację. – Bardzo chciałbym sobie z wami porozmawiać, oczywiście, nie teraz. Za jakiś czas. Jak dojdziecie do siebie. Na razie życzę wam: "Szczęść Boże"...

Brama aresztu zaczęła się rozsuwać. Najwyższy ze zwalnianych fundamentalistów, pozbawiony zarostu albinos (z akt, które zdążyłem przejrzeć, wynikało, że nazywa się Vouk Ivanovic i pochodzi z Zagrzebia), został nieco z tyłu i w momencie, kiedy mnie mijał, zdołał wykrztusić:

–Dlaczego pan to robi?

–Może mam taką fantazję, a może nie jestem tym, za którego mnie uważacie – szepnąłem mu do ucha i oddaliłem się.

15. Plany i komplikacje

Wracając ze spotkania z wiceministrem, połączyłem się z Gabrielem Zachsem i poprosiłem go, aby dowiedział się jak najwięcej o trójce porywaczy, całej grupie PA i Raymondzie Priestlu. Potem kazałem memu kierowcy, krótkoszyjemu, mrukliwemu Sycylijczykowi imieniem Franco, by skręcił na rosettińską starówkę. Lili Watson odnalazła już Lippiego w porcie jachtowym na Lagunie i wezwała go do mego biura. Zmieniłem jej plan; w biurze ściany miały uszy. Zadzwoiłem na komórkę Salvatore i zaproponowałem na miejsce spotkania Dziedziniec Płaczu. Chciałem pogadać ze zwolnionym dyrektorem na neutralnym gruncie, a przy okazji jeszcze raz rzucić okiem na Studnię i mój pomnik. Niechętnie przystał na tę propozycję; razem z rodziną przygotowywał się do wyjścia w morze, planując rejs na wyspy Dodekanezu. W międzyczasie przy pomocy mego poręcznego notebooka zapoznałem się z dossier młodego menadżera. Mało rzeczy we współczesnym świecie zachwycało mnie bardziej niż ten elektroniczny mózdek mieszczący się w niewielkiej walizeczce – maszyna do pisania, biblioteka, magazyn gier – który dzięki satelitarnemu połączeniu z Internetem dawał wręcz nieograniczone możliwości. Poza tym skutecznie zabezpieczał moją prywatność, można go było uruchomić jedynie dotykając klawisza wyposażonego w czytnik linii papilarnych właściciela.

Wedle danych z kartoteki osobowej Salvatore Lippi miał trzydzieści dwa lata i pochodził z Genui. Ukończył studia filozoficzne i dziennikarskie. W młodości był znanym działaczem ekologicznym. Jego film o zagładzie raf koralowych zdobył nagrodę na festiwalu w Rosettinie i przyczynił się do powstania Światowego Programu Ratunkowego. Salvatore zdobył spore doświadczenie marketingowe, kierując jakiś czas włoską sekcją kanału ECO. Podkupiony przez Gurbianiego trzy lata temu, wydajnie pracował dla Konsorcjum, będąc, przy okazji, jego listkiem figowym. W kierowanych przez Lippiego kanałach nie znalazłbyś ani śladu pornografii, komercji i głupoty. Jeśli idzie o życie prywatne, miał żonę i trójkę dzieci. Na zdjęciu przedstawiał się jako szczupły brunet o dość miłym wejrzeniu. Takich facetów i za moich czasów bez większych ceregieli można było zaprosić do domu lub bez wahania nabyć od nich mało używaną karocę lub nałożnicę.

Chciałem zostawić kierowcę w podziemnym parkingu, ale Franco tylko pokręcił

głową.

–Pan Torrese kazał mi pana pilnować – rzekł wymownie, uchylając marynarki i ukazując imponujący pistolet zatknięty za pasek. – Oczywiście będę dyskretny.

Windą wyjechałem na plac i przez krótką chwilę przypatrywałem się swojej karykaturze na cokole. Dopiero teraz zobaczyłem drwiący uśmieszek na kamiennych wargach. – “Il Cane” – zdawał się mówić pomnik – pięknie się wpakowałeś, chłopie, czy nie lepiej mieć serce z kamienia? – Było gorąco, odczuwałem lekkie zawroty głowy. Siadłem na ławce, na moment przymknąłem oczy...

Obraz pojawił się nagle. Szedłem korytarzem wykutym w skale. Przede mną rośło światło. Naraz drogę zagroził mi mąż, którego chyba musiałem skądś znać. Ognście rudy, miał na sobie białą szatę, a kiedy uniósł ręce, ujrzałem broczące krwią przeguby.

–Raymond Priestl! – wykrzyknąłem. – To pan?

–Zasnąłeś, Aldo? Aldo!

Ocknąłem się, nad moją ławką pochylał się Salvatore. Popatrzyłem na wieżę zegarową. 16.00. Lippi zjawił się punktualnie. Uścisnął mi rękę i wyciągnąwszy z kieszeni papierową torbę z ziarnem dla gołębi, usiadł obok mnie na ławce vis-a-vis pomnika Alfredo Derossiego.

–Jeśli przypuszczasz, że zmienię swoją decyzję, to muszę od razu zaznaczyć, że nie masz na co liczyć – zaczął stanowczo.

–Najpierw chciałbym się dowiedzieć o istocie owych różnic programowych między tobą a Eusebiem.

Popatrzył na mnie, nie kryjąc zaskoczenia.

–Przecież rozmawialiśmy o tym parę razy, Aldo. Nie zgadzałem się na wprowadzenie programu “Psyche”.

–“Psyche”? Wybacz, Salvatore, ale po moim wypadku mam ogromne dziury w pamięci i nie mogę sobie przypomnieć...

–Nie pamiętasz? – Jego zdumienie rosło. – Przecież to był twój ulubiony konik, twoje marzenie o absolutnej władzy nad ludźmi. Niemoralne, ale pasjonujące. Powiedziałem ci, że nigdy się na to nie zgodzę. Że to przekracza... W końcu nawet wynalazca programu, Ugo Carducci, miał spore wątpliwości, czy SGC powinna przystąpić do jego wdrażania. A nawet ty, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, sprawiałeś wrażenie, jakbyś się wahał.

–Ostatni raz? Kiedy to było? Popatrzyl na mnie jak na wariata.

–Na moim jachcie, dwa dni przed tym porwaniem. Bardzo mnie wtedy zaskoczyłeś.

–Kto był wtedy jeszcze z nami?

–Tylko Luca Torrese. Dopiero później przyleciała Lili. Z jakiegoś powodu była wściekła. Mielismy wrócić do sprawy po Festa d'Amore.

Milczałem chwilę, zastanawiałem się, ile prawdy o sobie mogę powiedzieć Lippiemu. A jeśli nawet powiedziałbym mu wszystko, czyż nie potraktowałby moich wynurzeń za prowokację albo, w najlepszym razie, nie pomyślałby, że Gurbiani oszalał?

–Rozumiem, Salvatore – rzekłem ostrożnie. – A jeśli ci powiem, że rezygnuję z “Psyche” na dobre...

–Koledzy ci nie pozwolą. Stawka jest zbyt wysoka. Carducci, który jest moim przyjacielem, też ma obawy, uważa, że zaprzedał duszę diabłu, ale nie może się wycofać.

Korciło mnie, aby zapytać go, na czym polega ów program “Psyche”, ale uznałem, że będzie na to czas.

–Pozwól jednak, że jeszcze raz cię spytam. Jeśli zaniecham wdrożenia “Psyche”, wrócisz?

–Nie. Kiedy wreszcie podjąłem decyzję o rezygnacji, poczułem się naprawdę wolny. Nie chcę dłużej pracować dla Konsorcjum. Nie muszę.

–I ja czasami też mam go dość – westchnąłem. – Po tym, co przeszedłem, muszę sporo rzeczy przemyśleć. Być może zmienię linię programową SGC. Zrezygnuję z większości nadawanej tandety. Z tego pornochlamu. Dzięki naszej kondycji finansowej możemy sobie na to pozwolić.

–Mówisz serio? – na twarzy Lippiego pojawił się cień zainteresowania.

–Szukam kogoś, kto mi w tym pomoże.

–Nie do wiary! I wymyśliłeś sobie, że to będę ja. Ciekawe, w jakim charakterze?

–Mego doradcy. A wkrótce, kto wie... Coraz trudniej mi się porozumieć z Eusebiem.

–Musiałbym się zastanowić. – Z tonu jego głosu wyczułem, że połknął haczyk. – Daj mi trochę czasu, Aldo.

–Tylko nie zastanawiaj się za długo. Umówmy się na jutro, w południe, ale nie u

mnie. Powiedzmy, w biurze mecenasa Angela Prodiego przy Piazza d'Esmeralda. I zabierz ze sobą profesora Carducciego, chciałbym z nim również pogadać.

Nie odpowiedział, tylko w zamyśleniu karmił gołębie zlatujące się coraz większą hurmą. Zamierzałem się już z nim pożegnać, gdy z zakrystii katedry wyszedł ksiądz w szatach liturgicznych. Towarzyszył mu mały ministrant. Spieszyli się bardzo, zapewne wezwani do umierającego. Z nawyku przeżegnałem się na ich widok. Kątem oka zarejestrowałem bezbrzeżne zdumienie na twarzy Salvatore, który jednak też się przeżegnał.

Nie chciałem robić żadnej rewolucji. Pragnąłem przede wszystkim minimalnego bezpieczeństwa. Lippi sprawiał wrażenie osoby, na której będę mógł się oprzeć. Przynajmniej do czasu, kiedy dotrę do skarbcza Banco Anzelmiano. Czy mogłem jeszcze liczyć na kogoś innego?

W drodze do domu usiłowałem wydobyć z komputera jakieś informacje na temat Luki Torresego. Ale oprócz roku urodzenia w katalogu danych osobowych nic nie było. Nie znalazłem nawet wysokości wypłacanej mu gaży.

Nie trafiłem także nigdzie na najmniejszy ślad programu "Psyche". Chociaż w zestawieniach przygotowanych przez Rozenkrantza znalazłem rubrykę: "Emisyjny Program Innowacyjny – badania, próby, instalacja". W ciągu ostatniego roku pochłonął, bagatela, półtora miliarda dolarów kredytu, a w ostatnich zaledwie dwóch tygodniach następne osiemset milionów. Co mogło tyle kosztować i jakie bajeczne zyski miało przynieść? Carducci będzie musiał mi to wyjaśnić.

Zaintrygowała mnie również maleńka ikonka w rogu ekranu – palec położony na ustach. Czyżby jakieś dodatkowe zabezpieczenie? Najechałem na nią kursorem i kliknąłem. Pojawiła się komenda: "Podaj hasło". Trudno było mi uwierzyć, żeby Gurbiani, uruchamiając dostęp za pomocą daktyloskopijnego sensora, zabezpieczał się przed samym sobą. Może brał pod uwagę ryzyko, że ktoś zechce obciąć mu palec... Dzięki informacji o twardym dysku zorientowałem się, że pliki zastrzeżone stanowiły około jednej trzeciej pamięci komputera. Nieźle. Tylko jak się do nich dostać, nie znając hasła?

Torrese czekał na mnie na skraju dziedzińca w cieniu platanu i gdyby nie zrobił żadnego ruchu na mój widok, prawdopodobnie bym go nie zauważył. Gestem zaprosiłem go do wnętrza domu. Odmówił.

–Lepiej przejdźmy się – zaproponował, wskazując mi wydeptaną ścieżkę pośród skałek. – Ktoś się chyba bardzo ciebie obawia, szefie... – zaczął półgłosem, gdy tylko się z nim zrównałem.

–To nie nowina – wzruszyłem ramionami. – Lepiej powiedz mi, kogo masz na czele listy tych strachajłów?

–Nie czas na żarty. Znalazłem trzy świeżo zainstalowane podsłuchy. W twojej sypialni, w helikopterze i w samochodzie. Fachowa robota. To irytujące, ale niestety nie mogę być pewien wszystkich moich ludzi. Ktoś z samej góry najwyraźniej bardzo się boi tego, co możesz zrobić.

–Sęk w tym, że nie mam jeszcze sprecyzowanych zamiarów.

–Wróciłeś, to wystarczy. Parę osób mogło się przyzwyczaić do myśli, że już po tobie.

Poczułem cień sympatii do superochroniarza.

–Czy możesz ustalić, komu najbardziej zależało na moim zniknięciu? – zapytałem.

Skrzywił się, podniósł z ziemi jakąś złamaną gałązkę i oglądał ją z ciekawością fitologa.

–Może nikomu, może wszystkim? – mruknął enigmatycznie.

–A tak między nami, czy ja sporządziłem testament?

–Z tego, co wiem, nie... – znów patrzył na mnie czujnie, jakby chciał się upewnić, że ja to jednak ja.

–Kto w takim razie odziedziczyłby cały majątek?

–Masz od cholery kuzynów, szefie. Przeważnie głodomory i gołodupce. Całe bractwo dotąd trzymaliśmy na dystans. Ale od chwili, kiedy zniknąłeś, nie było dnia, by nie dowiadywali się, kiedy zostaniesz uznany za zmarłego, i miny im rzedły, gdy Lili odpowiadała, że muszą upłynąć miesiące albo lata.

–Uważasz, że ktoś z rodziny mógłby maczać w tym palce...

–Za chudzi w uszach. Inteligenciaki. Ale póki co, już zaczęli się zapożyczać a conto spadku.

–Istnieje więc motyw...

–Nim uszczknęliby cokolwiek ze schedy, zarząd wykupiłby ich aktywa za grosze.

–Zarząd, mówisz? Czyli kto?

–Nikogo nie wskazuję palcem, zanim nie znajdę potwierdzenia.

–Oczywiście, oczywiście. Na początek chciałbym obejrzeć i przesłuchać nagrania z moich ostatnich spotkań i posiedzeń. Powiedzmy z tych, które odbyły się na jakieś trzy dni przed moim porwaniem.

–Nie pan jeden. Policja też chciała od tego zacząć.

–Chciała?

–W nocy kiedy zniknąłeś, w archiwum wybuchł pożar. Sfajczyło się wszystko.

–A twoi ludzie?

–Wszyscy zajęci byli poszukiwaniem ciebie. Strażnik, który miał tego dnia dyżur, zginął w pożarze.

–Rozumiem. Mogę ci podsunąć jeszcze jeden trop. Chodzi mi o inny spalony obiekt.

–Klinika w Fergovii? – Oczy mu błysnęły.

–Słyszałeś o kimś, kto się nazywa Randolphi?

–Naturalnie, Piętro Randolphi to wiceprezes fundacji “Nowe Życie”.

–Musimy dobrać mu się do skóry.

–Jak najchętniej. Wiem, że chcieli cię tam zlikwidować.

–Skąd wiesz?

–Mam swoje chody w policji rzecznej i municypalnej. Doniesiono mi również, że bez większego rozgłosu, na prośbę Randolphiego, poszukiwano ich zaginionej pracownicy, niejkiej Moniki Mazur, i pacjenta o rysopisie zbliżonym do twojego. A kiedy jeszcze wybuchł tamten pożar i kiedy ten policyjny ścigacz wpakował się nocą na holowany tankowiec, wystarczyło już tylko skojarzyć fakty.

–Wiesz, gdzie teraz można szukać tych transplantatorów?

–W grę wchodzi albo Wyspy Liparyjskie albo Sardynia... Ale zostaw to mi. Mam ci dostarczyć całego Randolphiego czy wystarczy w kawałkach?

–Nie, nie – zaprotestowałem gorliwie. – Myślę o spektakularnym zdemaskowaniu całej ich bandyckiej działalności. Chciałbym zrobić telewizyjny reportaż z akcji policji na ich ośrodki. Na żywo!

Torrese uśmiechnął się współczująco.

–Rzeczywiście kiepsko jest z twą pamięcią szefie. Przecież fundacja należy do sieci pana Amalfianiego, a my też mamy tam swoje udziały i partycypujemy w zyskach.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, jakby ktoś wrzucił mi za koszulę ognistą salamandrę.

–Moja cholerna pamięć – jęknąłem. – Co się z nią dzieje? Coraz bardziej przypomina szwajcarski ser.

Zdusił peta w dłoni i – zgodnie z nawykiem zawodowca nie pozostawiającego po sobie żadnych śladów – schował niedopałek do jakiegoś pudełka.

–Szefie! – jeszcze raz popatrzył mi głęboko w oczy. – Jeśli rzeczywiście masz aż takie problemy ze sobą, tym bardziej muszę zawczasu wiedzieć, w co chcesz się wpakować? Tymczasem od wczoraj robisz dziwne posunięcia!

–Ja? Nie sądzę.

–Nie pojmuję, dlaczego wymogłeś na policji zwolnienie tych gówniarzy z PA. Przecież to fanatycy. Wszyscy szepczą, że ten ich Raymond wydał na ciebie wyrok jako na antychrysta. Masz zostać wyeliminowany wszelkimi metodami. Jeśli sądzisz, że wkupisz się w ich łaski, jesteś w błędzie.

Sam nie wiem dlaczego, zacząłem mu się tłumaczyć:

–Sandro Volponi nie wierzy w prawdopodobieństwo kolejnego zamachu, uważa natomiast, że po wypuszczeniu tych terrorystów, policja, idąc ich tropem, dojdzie do brata Raymonda. Ja tylko poszedłem władzy na rękę. Zresztą zachowam ostrożność. I ufam twym zdolnościom, Luca.

–Moim zadaniem jest cię chronić – odparł sucho. – Przed wszystkimi. Jeśli zajdzie potrzeba, nawet przed samym sobą. Przy okazji, to ostentacyjne spotkanie z Lippim też nie było potrzebne. Eusebio i bez tego jest w panice. A ludziom spanikowanym różne głupie pomysły mogą strzelić do głowy.

Wiele bym dał za garść informacji o Luce Torresem. Kim był, skąd się wziął? Jakie naprawdę stosunki łączyły go z Gurbianim? Był jego przyjacielem czy tylko wynajętym kondotierem? A może człowiekiem Amalfianiego oddelegowanym do pilnowania prezesa SGC? Wskazywał na to choćby fakt, że mafioso kontaktował się z Gurbianim wyłącznie za jego pośrednictwem. Gdybym jednak miał pewność, gdybym wiedział o nim coś więcej i gdybym mógł mu w pełni zaufać... Dylemat: znaleźć dla mego rolę w mych planach czy jak najszybciej się go pozbyć? Niestety, pozostawała tylko czujność. Jak wobec wszystkich...

–Jeśli idzie o dossier pani Moniki, przesłałem wszystko pocztą elektroniczną do twego komputera. Specjalnych rewelacji tam nie ma, może poza jedną...

Przerwałem mu.

–Jeśli naprawdę chcesz być mi pomocny, sporządź mi raport innego rodzaju. Z pewnością śledzisz układy wewnątrz SGC. Chciałbym dowiedzieć się, jak moje zniknięcie wpłynęło na układ sił w zarządzie. Dla kogo mój powrót jest szczególnie niekorzystny? Kto z władz konsorcjum kontaktował się ostatnio z Randolphim? Kto miał możliwość zlecić mu moją fizyczną likwidację?

–Nareszcie gadasz jak szef. Oczywiście, już to przygotowałem. Tu masz dyskietkę. A teraz najważniejsze: Amalfiani znów dzwonił i pytał, czy nic się nie zmieniło, czy może być spokojny, że plan zostanie zrealizowany.

–Jeśli tak mu zależy, czemu nie zadzwoni bezpośrednio do mnie.

–Co? – wyrwało mu się. Przez moment patrzył na mnie jak na wariata. – Rzeczywiście straciłeś pamięć. Nigdy nie wierzyłem w te wszystkie amnezje, ale w twoim wypadku...

–Wszystkie sprawy mi się przypominają, dzieje się to jednak dość powoli.

–Ale żebyś nie pamiętał procedury... Nikt z nas nie ma bezpośrednich kontaktów z Amalfianim. Dla mnie jest głosem w telefonie. Ty spotykasz się z jego rosettińskim rezydentem...

–Ach, tak – powiedziałem, udając, jakbym sobie coś przypominał.

–Powinieneś czasem pomóc swej pamięci – poradził mi Luca. – Wystarczy przecież zajrzeć do komputera. Zapisywałeś bardzo skrupulatnie wszystko w tajnych plikach.

–To wszystko nie jest takie łatwe. Zapomniałem kodu dostępu – wyznałem z prostotą. Popatrzył na mnie z politowaniem.

–Co się z tobą dzieje, Aldo? Znam cię piętnaście lat, a nie mogę pozbyć się wrażenia, że widzę cię po raz pierwszy.

–Powątpiewasz, czy ja to ja?

–To akurat już sprawdziłem. Od linii papilarnych po ślady zapachowe. Zastanawiam się jednak, co te gnoje z tobą zrobiły? Wyprały ci mózg?

–Nie przesadzaj, Luca. Przyjrzyj się mi.

–Kogo innego może zwiedzisz. Mnie nie. Jesteś Gurbianim, ale nie zachowujesz się jak Gurbiani. Oczywiście mnie to nie przeszkadza, pracuję dla ciebie i wykonuję twoje polecenia, ale inni... Gdyby pan Amalfiani zaczął podejrzewać, że coś jest nie

tak... Nie uratowałby cię nawet cały twój majątek.

–Wiem.

Staliśmy sami na koronie skał, skąpani w blasku zachodzącego słońca. Z lewej strony wznosiło się lesiste wzgórze z wieżą triangulacyjną. Pod nami ciemniał przepaścisty żleb. Gdyby Luca Torrese chciał mnie strącić w dół, nie miałby chyba sposobniejszej okazji. Ale on tylko uśmiechnął się.

–Trochę więcej zaufania do mnie, szefie.

Nagle skoczył na mnie, obalił i przydusił do ziemi. Zrobił to tak raptownie i z taką siłą, że nie miałem czasu zaczerpnąć tchu. Czekałem na cios, ukłucie, ból. Nic takiego nie nastąpiło.

–Wycofamy się na czworakach, powoli – rzekł, nie rozluźniając uścisku.

–Ale co się stało?

–Chwileczkę. – Z kołnierza wyciągnął cienki pręt zakończony główką jak u szpilki. – Gianni, weź Franco i rzućcie okiem na wzgórze Dei Impiccati. Chyba widziałem kogoś w pobliżu wieży triangulacyjnej. I meldujcie.

–Ja nie widziałem nikogo – powiedziałem, cofając się na kolanach. – Poza tym to mógł być jakiś turysta.

–Czasem lepiej być przewrażliwionym, widziałem wyraźny refleks świetlny. Może była to tylko lornetka, a może celownik optyczny... No, możemy już wstać. Odprowadzę cię do domu, Aldo.

Milczałem, pogrążony w myślach. Nie wierzyłem mu zbyt. Incydent wyglądał mi na zainscenizowany jak na zamówienie. Jakby Torrese chciał szybko dowieść swej lojalności i przydatności. Tymczasem to jeszcze pogłębiło moją wobec niego rezerwę. Po drodze kolejny raz zastanawiałem się, co właściwie przydarzyło się Gurbianiemu. Brałem pod uwagę, że nawet jeśli porwanie i wrzucenie do Studni mogło być spontanicznym czynem fundamentalistów, to już próba rozparcelowania jego organów wskazywała na celowe działanie kogoś z bliskiego mi kręgu. Jacyś jego wrogowie z SGC, Amalfiani, władze? Przy całej życzliwości, nie dowierzałem Volponiemu. Głęboka nieufność wyniesiona z doświadczeń poprzedniego życia nakazywała mi ostrożność. Szczególnie wobec tych, którzy wydawali się przyjacielscy. Jeśli chciałem przeżyć, nie mogłem wykluczyć nikogo i niczego. Nawet tego, że moje cudowne ocalenie przez Monikę mogło być elementem misternej gry.

Spotkałem ją koło sztucznej laguny. W jednoczęściowym kostiumie wyglądała wyjątkowo powabnie.

–Wykąpiesz się, Aldo? – spytała.

–Może później.

Torrese skręcił do windy prowadzącej do garażu, a ja wszedłem do domu. Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do Gabriela. Nadal nie odpowiadał.

W gabinecie otworzyłem komputer i zajrzałem do przesłanych mi plików. Najpierw sięgnąłem po raport o stosunkach wewnątrz Konsorcjum. Nie wiem, na ile Torrese przedstawił sytuację obiektywnie, ale z zamówienia wynikało, że zniknięcie Gurbianiego ujawniło istnienie dwóch walczących ze sobą frakcji. Jedną – pragnącą zachowania status quo – tworzyła grupa skupiona wokół Rozenkrantza i Lili Watson, do drugiej, dążącej do zdobycia większej autonomii wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych, studiów filmowych i fotograficznych, pism, drukarni i sieci klubów wchodzących w skład imperium, należeli ludzie Leona Bianco z "Eroticonu" i sfera Letycji Romero z "Minettio" i Klubów Wesołego Prosiaka. Pomędzy nimi lawirowali pragmatycy, do których Luca zaliczył Lippię, ale grupa ta topniała w oczach. Sam Torrese lokował się ponad frakcjami, przedstawiając siebie jako funkcjonariusza bezwzględnie oddanego Gurbianiemu. Może zresztą był takim. Raport nie zawierał wniosków, sugerował jednak, że frakcja Rozenkrantza i Watson uzyskała pewną przewagę.

Nauki jednego z mych mistrzów, Makiawela, nakazywały, by sprzymierzyć się ze słabszymi.

Następnie z pewną obawą zajrzałem do pliku dotyczącego mojej żony. Biogram Moniki był krótki. Potwierdziło się wszystko, co o sobie mówiła. Szkoła pielęgniarek. Rozpoczęte i przerwane studia medyczne. Staż na chirurgii w Weronie. Luca dołączył też wyciąg z raportów policyjnych o jej zarobkowaniu przez ostatnie dwa i pół roku jako damy do towarzystwa. Dalej znalazłem wydruk z jej konta bankowego. Zaskakująco niski. Sprawę wyjaśniły dopiero przelewy. Wszystkie dla prywatnej kliniki neurologicznej pod Neapolem. Dlaczego? Dzięki informacjom z kolejnej strony wszystko stało się jasne. Trzy lata temu na tamtejszy oddział rehabilitacji trafił piętnastoletni Giovanni Mazur. Po niefortunnym skoku na główkę ze skałek w Piccola Marina na Capri doznał uszkodzenia rdzenia kręgowego. Pozostawał sparaliżowany. Intensywne i drogie zabiegi rehabilitacyjne przywróciły mu częściową sprawność jednej ręki. Dobry Boże! Czyżbym tak się pomylił w swej ocenie?! Do tej chwili uważałem Monikę za współczesną kurtyzanę, zimną, wyrachowaną, pozbawioną serca. A tymczasem ona całe swe życie poświęciła ratowaniu brata...

Poczułem się głupio. Gwałtownie zapragnąłem rozmowy z moją żoną. Bez świadków i bez podsłuchów.

Zastałem ją nad krytą laguną, nad którą, mimo nadchodzącego zmierzchu, mocno

świeciło sztuczne słońce. zaproponowałem jej nocną przejażdżkę, co przyjęła z zachwytem. Windą zjechaliśmy na poziom ulicy. W garażu natychmiast pojawił się Franco, mój pierwszy szofer. Chciałem go odprawić, nie czułem zagrożenia. Nikomu nie mogło przecież przyjść do głowy, że Gurbiani zechce akurat dziś opuścić swoją twierdzę. Szofer gwałtownie zaoponował.

–Pan Luca kazał mi...

–Anuluje ten rozkaz, Franco, nie będziesz mi dziś potrzebny – powiedziałem i poprosiłem Monikę, żeby sama siadła za kierownicą lamborghini.

–Z przyjemnością. A dokąd chcesz pojechać? – spytała lekko zaskoczona.

–Przed siebie.

Jestem pewien, że ochroniarz pojechał za nami, ale udało nam się go zgubić. Moja żona na autostradzie jechała z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Potem błyskawicznie skręciła w labirynt uliczek jakiegoś miasteczka i tam zawróciła w stronę Rosettiny. Na pustej wiejskiej drodze zjechaliśmy na pobocze. I czekaliśmy kwadrans. Nikt się nie pokazał. Jeśli ktoś podążał za nami, to musiał to czynić nader umiejętnie. Optymistycznie założyłem, że zmyliliśmy wszystkich, którzy by chcieli zakłócić naszą intymność. Byliśmy sami, my, samochód i noc. Klucząc i wielokrotnie zmieniając kierunek jazdy, dotarliśmy na koniec do Montana Rossa. Poprosiłem Monikę, by zaparkowała w ustronnej uliczce.

–Wracamy do domu Paola? – spytała trochę zaskoczona.

–Nieco dalej.

Jeszcze wczoraj, kiedy udawaliśmy się na ceremonię ślubną, zauważyłem drogowskaz i reklamę Parku Archeologicznego. Sądząc z mapy, obejmował on całą dawną posiadłość donny Pazzi z akweduktem, sadzawką i świętym kręgiem. To było wymarzone miejsce na taką noc. Pieszko doszliśmy do bramy parku.

–O tej porze jest już dawno zamknięte – powiedziała Monika. – Zresztą sam widzisz wywieszkę: "Chiuso".

–Mam stałą przepustkę na wstęp o dowolnej porze – odparłem. I nie była to z mej strony czcza przechwałka. Za dwieście euro nie tylko weszliśmy na teren wykopalisk, ale otrzymaliśmy od ciecica butelkę wina, przewodnik i zapewnienie, że nikt nie będzie nam przeszkadzał podczas spaceru. Do rana.

Słońce dawno skryło się za linią horyzontu, ale noc była widna i niebo usiane gwiazdami. A ja znałem drogę. Miejsce niewiele się zmieniło, nadal unosił się nad nim żywiczny zapach pinii. Poza tym wykarczowano znaczną część chwastów i

uprzątnięto gruz ze ścieżek. Zrekonstruowano także jedno ze skrzydeł rzymskiej villi, w świętym kręgu ustawiono reflektory i głośniki przeznaczone, jak poinformowała mnie Monika, dla weekendowych imprez z gatunku luce e suono. Parę olbrzymich cyprysów musiało rosnąć na tych zboczach jeszcze za moich czasów.

Święte źródółko natomiast zasypano jeszcze w XVII wieku i obecnie wodociąg dostarczał wodę do sadzawki. Cykady darły się jak oszalałe. Siedliśmy w cieniu ocalałego narożnika atrium, w miejscu, w którym Beatrice oddawała się ongiś kultowej rozpuście.

–Rozumiem, że znaleźliśmy się tu nieprzypadkowo powiedziała Monika.

–Prosiłaś, bym powiedział ci o sobie. Spełnię twoją prośbę – rzekłem uroczyście. – A więc naprawdę nazywam się Alfredo Derossi. Od czasu, gdym, na życzenie francuskiego monarchy, sporządził żelaznego psa poruszającego głową, przewracającego oczyma i puszczającego parę z pyska, przyłgnęło do mnie przyzwisko "Il Cane".

–"Il Cane"? Nie żartuj, człowiek, o którym mówisz, został stracony trzy i pół wieku temu. Musiałbyś być jego duchem...

–Albo jego powtórna inkarnacją. I to w dodatku przeniesioną w ciało swojego praprapraprawnuka. Jednak jeśli chcesz poznać prawdę, to wysłuchaj mnie, w miarę możliwości nie przerywając, historia będzie dość długa, ale chyba zajmująca. – Ojciec mój, Luigi Derossi, był pijakiem i poetą. W onych czasach szło to często w parze...

Nie przerywała. Opowiadałem jej co najmniej dwie godziny. Słuchała zdumiona, cicha, czasem z ust wyrywało się jej krótkie: "Och!" lub westchnienie. Księżyc tymczasem wzeszedł ogromny, pyzaty, tak że doskonale widziałem jej twarz piękną, raz wstrząśniętą, raz rozbawioną. Dodatkowo jasności przydawała łuna świetlna sponad Rosettiny.

–Zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi jak koncept literacki. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób moja jaźń przemieściła się w ciało Gurbianiego, wypierając jego świadomość – tłumaczyłem. – Czy sprawiła to magia Studni Potępionych, czy jakiś wyższy zamysł opatrzości? W każdym razie jestem tu z tobą, wyrzutek z innego czasu, zdumiony podobnie jak ty... I pewnie tu już pozostanę.

–Biedaku – przytuliła mnie do siebie, pocałowała. A było w pocałunku tym i współczucie, i tkliwość, i może coś więcej. Objąłem ją i ja. Smakowała jak dojrzały owoc. Pachnąca brzoskwinią, delikatna i soczysta. Rozpinałem jej guziki, całując piersi cudne, ona zaś wygięła się w łuk, iżby umożliwić mi zsuniecie jej majteczek. Byłem gotów do dzieła, lecz nie spieszyłem się, czując szansę na coś większego niż chwilowe pożądanie lub gwałtowną erupcję pozostawiającą po sobie jedynie wygaśły

krater. Dobry Boże! Czyżby w mym sercu suchym jak pustynny porost pojawiła się raz jeszcze nadzieja na miłość...

Oprzytomnienie przyszło nagle. Naraz zaniechałem pieszczot i przysłoniłem jej usta palcem. Jakiś zmysł podpowiedział mi, że nie jesteśmy sami. Mam czujny słuch człowieka, który bywał w wielu opresjach. Nie potrafiłbym powiedzieć, co zaniepokoiło mnie tym razem. Czy była to zmiana w tonacji trzeszczenia cykad, spadający kamyk, trzask łamanej gałązki... Coś, człowiek lub zwierzę, znalazło się niedaleko nas. I starało się, byśmy nie zauważyli jego obecności. Przypomniał mi się Torrese, jego skupiona, czujna twarz. Uznałem, że powinniśmy jak najszybciej opuścić to pustkowie.

–Muszę ci koniecznie wyrecytować mój sonet do Beatrice... – powiedziałem głośno. – Niech no tylko go sobie przypomnę – to mówiąc, pociągnąłem ją za sobą. Padliśmy na kolana i pełzaliśmy ku arkadzie prowadzącej ku dawnemu cubiculum. Dookoła panowała niezmacona cisza. Możem się mylić, może tylko dawała znać o sobie przewrażliwiona wyobraźnia artysty? Zawiał wiatr. Mój wyczulony, nieomal zwierzęcy węch pozwolił mi natychmiast zwiertzyć nienawistny zapach ludzkiego potu. Ktoś mi wrogi, bo przecież nie przypadkowy turysta, krył się gdzieś w prawo powyżej nas. Może czatował na naszym dawnym stanowisku, z którego ongiś wspólnie z hrabią Lodovico obserwowaliśmy orgię... Pełznąć wśród pokrzyw i ostów wyrastających między kamiennymi płytami, szczęśliwie minęliśmy cubiculum. Do bezpiecznej gęstwy oliwkowego gaju zostało ledwie parę kroków, niestety po nie osłoniętej niczym przestrzeni. Miałem nadzieję, że jeśli uwaga intruza będzie skupiona na sadzawce, uda się nam przeskoczyć owo puste pole.

–Biegnij za mną – szepnąłem w ucho Monice. – Na mój znak.

Skinęła głową. Wziąłem kamyk i cisnąłem go ku sadzawce. Plusnęło. Skoczyliśmy do przodu, jeden sus, drugi, trzeci...

Ciszę zmaćcała seria strzałów szatkujących liście. Wpadłem między drzewa. Monika za mną. Naraz potknęła się, wydając bolesny krzyk. Chwyciłem ją ramiona, osunęła się jak ścięty kwiat. Czuję lepkość wypływającej krwi. Jej oddech zrobił się świszczący. Dobry Boże, oberwała... W płuco. W prawe!

–Uciekaj, Aldo... Nie... Alfredo! Uciekaj! – szeptała.

Nie mogłem uciekać ani jej zostawić. Na dobitkę byłem bezbronny. Nawet telefon komórkowy zgubiłem, czołgając się przez ruiny. Co robić? Może szukać pomocy u staruszka ciecica. Jeśli ten jeszcze żyje... Uniosłem się ostrożnie. Znow zaterkotały strzały. Drań musiał widzieć w ciemnościach jak kot! (Znacznie później dowiedziałem się o noktowizorze.) Opodal brzęknęła rozbijana szyba... Aha, trafił w magazyn archeologicznych artefaktów. Dotąd, w ciemności nawet nie zauważyłem tego

baraku. Pełną jak zaskroniec wśród krzaków, dotarłem do wybitego okna, na szczęście nie zaopatrzono go w kraty, i wskoczyłem do wnętrza. Po omacku szukałem czegośkolwiek, co mogłoby posłużyć mi za broń. Wazy, puchary, kabłąki skroniowe, fibule... Po chwili znalazłem nóż. Jak na antyczny zabytek, w całkiem niezłym stanie. Zacisnąłem dłoń na rękojeści. Zmacałem charakterystyczny modelunek liści akantu. Jezus, Maria! To był mój własny nóż, prezent od kapitana Massimo! Pozostawiony w krypcie podczas szalonych igraszek z Beatrice.

Tymczasem snajper wyszedł na otwartą przestrzeń. Pewnie wiedział, że nie jestem uzbrojony, nie musiał więc zachowywać przesadnej ostrożności. Skierował się w stronę jęczącej Moniki. Uniósł broń.

Dawno nie rzucałem nożem. Ale pewnych umiejętności, takich jak pływanie, jedzenie, jeżdżenie konno czy kopulowanie, raczej się nie zapomina. W ten zamach włożyłem cały swój kunszt. Ostrze śmignęło jak pocisk. Trafiłem! Drań, chwalić Pana, nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej. Wrzasnął, upuścił broń i opadł na kolana, usiłując wyrwać z ciała mordercze żelazo. Przyskoczyłem do niego. Nadepnałem na automat. Morderca umierał. Padając, strącił z twarzy noktowizyjne gogle. Miał brzydkie, dziobate lico i wystające kości policzkowe. Mongoł, Koreańczyk, przedstawiciel którejś ze wschodnich nacji zamieszkujących Rosję...

–Kto cię na mnie nastął – szarpnąłem go. – Gadaj, a ocalisz życie, wezwę medyków.

–Za późno – wyszczerzył zęby i skonał.

Dobiegłem do Moniki, wziąłem ją w ramiona. Była półprzytomna, ale jeszcze żyła. W cubiculum odnalazłem upuszczoną komórkę; jej zielonkawe światelko pobłyskiwało w trawie. Zadzwoiłem na pogotowie. Czekać na jego przybycie, zastanawiałem się, kogo mam zawiadomić jeszcze. Lukę Torresego? A jeśli Azjata działał na jego zlecenie... Równie prawdopodobnym inspiratorem zamachu mógł być ktoś z Konsorcjum albo z fundacji "Nowe Życie". Najmniej prawdopodobna była wersja, iż zabójcę wynajął ktoś z PA. Fanatycy w każdej epoce zwykli załatwiać swoje sprawy sami, nie wysługując się najemnikami. A Amalfiani? Chyba też nie. Wedle Torresego byłem mu ciągle do czegoś potrzebny.

Zadzwoiłem jeszcze raz do Gabriela Zachsa. Niestety telefon detektywa milczał. Nie mając innego wyjścia, zdecydowałem się skontaktować z Volponim. W końcu był wiceministrem.

–Nie mam pojęcia, kto mógł wysłać tego najemnika – ocenił dygnitarz. – Czeng to poszukiwany przez Interpol płatny zabójca. Ale nie żaden as, trzecia liga raczej. Komuś najwyraźniej się spieszyło.

Znajdowaliśmy się na korytarzu szpitala, do którego przywieziono Monikę. Opodal, za zamkniętymi drzwiami trwała operacja. Jej wynik ciągle był niepewny.

Jadąc karetką na sygnale obok obwieszanej kroplówkami żony, zadzwoniłem do Luki. Po jego głosie mogłem wnioskować, że mój telefon wyrwał go z głębokiego snu. A może tak świetnie udawał. W każdym razie do szpitala przybył kwadrans zaraz po ministrze. Był na mnie niezwykle rozżalony.

–Tak się nie robi, szefie! Uciekłeś własnej obstawie, naraziłeś siebie i żonę. Czy to nie przesada?

Wstrzymałem się od komentarza, zapytałem tylko:

–Domyślasz się, kto to mógł zrobić, Luca?

–Nie mam pojęcia!

Wydaje mi się, że powiedział te słowa odrobinę za szybko, ale może byłem przewrażliwiony. Sytuacja komplikowała się. Ktoś najwyraźniej stracił cierpliwość i zaczął na mnie polowanie.

–Aldo, poznaj Mateottiego. – Volponi zbliżył się do nas, prowadząc człowieka, przy którym Luca, choć nie ułomek, zdawał się być karzełkiem. – Mateotti będzie od tej chwili twoim osobistym aniołem stróżem.

–Chwila, moment – obruszył się Torrese. – Ja odpowiadam za bezpieczeństwo pana Gurbianiego.

–Już nie. Przynajmniej do chwili wyjaśnienia kulis ostatniego zamachu – skontrolował Volponi. – Nawiasem mówiąc, Mateotti już się zabrał do roboty. Pokaż im, co znalazłeś.

Olbrzym zbliżył się kołyszącym krokiem marynarza i zademonstrował nam pastylkę przypominającą miętowy cukierek.

–Piękna pluskwa. Była przyklepiona do podwozia. Pozwalała śledzić was z odległości pół kilometra – wyjaśnił.

Torrese porwał mikronadajnik i oglądał go wielce zdenerwowany.

–To chińska produkcja – zawołał po chwili. – My używamy wyłącznie sprzętu niemieckiego.

Volponi, kompletnie go ignorując, zwrócił się do mnie:

–Mateotti poleci z tobą do domu, rozejrzy się tam i pozostanie przy tobie jakiś czas

– oznajmił.

Zza zakrętu szpitalnego korytarza wyłonił się chirurg. Był zmęczony, ale na mój widok spróbował się uśmiechnąć.

–Signore Gurbiani. Pańska żona będzie żyć – oznajmił. – Straciła sporo krwi, stan jest poważny, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

16. Imperium kontratakuje

Dom zastałem cichy, pusty, zda się całkowicie pozbawiony życia. Luca Torrese zaprowadził mnie do sypialni, podczas gdy Mateotti zajął się systematycznym sprawdzaniem garaży, pokoi, instalacji podglądowej, słowem całym tym, jak się wyraził, “elektronicznym szajsem”, którym naszpikowana była rezydencja. Nie znalazł jednak nic oprócz naszych własnych instalacji, które i tak poleciłem odłączyć.

Torrese, który przez całą drogę nie odzywał się, w rezydencji powrócił do robienia mi wymówek:

–Robisz cholerny błąd, szefie, ufając Volponiemu. A jeśli ten zamach to robota ludzi z ministerstwa... To najbardziej skorumpowany resort.

–Masz jakieś konkretne poszlaki czy to tylko hipoteza?

–Mam wiele hipotez – odparł lakonicznie. – Byłoby mi łatwiej, gdybyś mi powiedział, co się właściwie stało? Gdyby transplantacja mózgu była możliwa, rzekłbym, że przeszczepiono czyjś rozum do głowy Gurbianiego.

–Skąd takie przypuszczenie?

–Będę z tobą szczery. Widzę coraz więcej różnic między moim szefem przed i po porwaniu. Aldo miałby trudności z pokrajaniem pizzy scyzorykiem i trudno mi sobie go wyobrazić w roli miotacza noży, zdolnego załatwić zawodowca, i to z odległości trzydziestu kroków.

–A więc byłeś w Montana Rossa?

–Telewizja była.

Westchnąłem ciężko, jak może wzdychać tylko ktoś niewinnie posądzany.

–Może mnie nie doceniałeś, Luca. A może po prostu nigdy dotąd nie musiałem walczyć o życie. Fakt, ostatni raz rzucałem nożem bardzo dawno temu. Ale jako chłopak byłem naprawdę mistrzem.

Nie wiem, czy go przekonałem, ale z pewnością zmusiłem go, by zastanowił się nad

senownością swoich podejrzeń.

–Może mówisz prawdę. Dlaczego jednak po domu pęta się ten mięśniak Mateotti.

Uśmiechnąłem się i postanowiłem zdobyć się na szczerość.

–Posłuchaj mnie, Luca. Po moim powrocie zaczęły się dziać tu dziwne rzeczy. To, że przyjąłem pomoc Sandra, nie oznacza, że ufam jemu, nie tobie. Znalazłem się w sytuacji, że przez jakiś czas nie będę ufać nikomu. A co się tyczy mojej tożsamości, to myślałem, że wszechstronnie ją potwierdziłeś.

–Nie wiem, co o tym myśleć. Dawniej powiedziano by, że to czary.

–A dziś?

–Cokolwiek się z tobą działo, pracuję dla ciebie, Aldo. Chyba że znajdę dowody, iż coś się stało z prawdziwym Gurbianim, a ty maczałeś w tym ręce. Wtedy strzeż się!

–Dziękuję za uczciwe postawienie sprawy.

Wszedł Mateotti, meldując, że wszystko jest w najlepszym porządku, a wartownicy znajdują się na swoich stanowiskach. Poczęstowałem obu szklaneczką wina i kazałem im iść spać. Sam chwilę jeszcze zmagalem się z komputerem Gurbianiego, próbując odgadnąć klucz dostępu – sprawdziłem najrozmaitsze słowa pasujące, moim zdaniem, do postaci potentata, określenia dewiacji seksualnych, co popularniejsze przekleństwa. Niezmienną odpowiedzią było: “Brak dostępu”. Corpo di Bacco! Byłem przekonany, że zapoznanie się z prywatnymi danymi Alda pozwoliłoby rozjaśnić mroki, wśród których stąpałem. Równie niedostępny pozostawał osobisty sejf. Ten problem jednak mógł mi pomóc rozwiązać Gabriel. Już wcześniej, gdy pytałem go o możliwość dotarcia do skarbca Banco Anzelmiano, chwalił się znajomością najlepszych kasiarzy... Dobrze chociaż, że w szufladzie biurka znalazłem kolekcję kart kredytowych, gdyż inaczej, będąc krezusem, musiałbym zacząć pożyczać pieniądze. Przed udaniem się na spoczynek, zadzwoniłem jeszcze do szpitala. Monika ciągle spała po operacji, Volponi zapewnił jej ochronę, nie miałem się więc czego obawiać. Potem wykonałem telefon do Zachsa. Nadal u detektywa odzywała się wyłącznie automatyczna sekretarka. Koło drugiej w nocy dowlokłem się do łóżka i zasnąłem błyskawicznie.

Przyśniło mi się rozległe, ciemnawe mieszkanie. Stałem w drzwiach, ledwie sięgając klamki. Czułem na policzkach łzy. Nie wiem, dlaczego płakałem. Nade mną dudnił bas.

–Zasłużyłeś na karę?

–Tak, tato.

–Poproś o nią.

–Bardzo proszę o wymierzenie mi sprawiedliwej kary, tato.

–Przyniosłeś pas?

–Tak, tato.

–Kładź się i licz...

Pod zapłakanyimi policzkami czułem pluszowe pokrycie kanapy pachnące kurzem i środkami przeciw molom. Przepajał mnie strach. Strach i nienawiść. Z boku dobiegł chichot; to chyba służąca nie mogła się powstrzymać od okazania w ten sposób złośliwej satysfakcji. Świsnął pas i...

–Co zrobiłeś? Znowu się zmoczyłeś, padalcu?

–Tak, tato.

–Wiesz, co teraz musi nastąpić?

–Tak, proszę o wymierzenie podwójnego wymiaru kary. Sen był idiotyczny, nie kojarzył mi się z niczym. Nikt jednak nie jest w stanie sterować własnymi snami, więc nie powinienem być mieć do siebie pretensji, zresztą po chwili znów zaszła zmiana w scenach mojego widzenia. Biegłem. Biegłem, ale wcale nie uciekałem. Niosła mnie czysta radość. Stopy moje posuwały się po nieprawdopodobnie pięknej łące pełnej barwnego kwiecica. Gdzież są jeszcze takie łąki? W niebie? Zastanawiałem się, dokąd biegnę. I naraz ujrzałem drobną sylwetkę w bieli, nieomal na linii horyzontu. Maria? Przeskakiwałem kwietne kobierce, wykrzykując jej imię... Ale w echu odbijało się: "Monika! Monika..." Byłem coraz bliżej, zwalniałem bieg. A radość przemieniała się z wolna w niepewność, niepokój, wreszcie w strach. Postać odwracała się. I naraz postrzegłem, że jest to drobny, rudowłosy mężczyzna w białym habicie. Raymond Priestl.

–Jak ja mogę rozpoznawać pana, skoro pana nigdy nie widziałem – wykrzyknąłem. I obudziłem się...

"Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię" – chełpił się przed wiekami Archimedes. Mogłem mu tylko zazdrościć. W świecie, w którym się znalazłem, żadnego oparcia nie miałem. Byłem jak ów, opisywany w starożytnym egipskim papirusie rozbitek Sinuhet, sam na wyspie nieznanej, wśród dzikich zwierząt i okrutnych tubylców.

Oczywiście, bojaźń podsuwała stosunkowo proste rozwiązanie, oto, korzystając z

bogactw Gurbianiego, uciec precz, zaszyć się na jakiejś rubieży, tam oddawać się badaniu owych czasów, trwając w nadziei, że nikt nigdy mnie nie odnajdzie. Jednak czy mogłem tak uczynić? Nie byłem tchórzem, który ustępuje przed byle wyzwaniem. Nie byłem też jagnięciem, pokornie oddającym łeb pod nóż. Poza tym, jak czytelnik kryminalnej noweli, byłem ciekaw, kto za tym stoi i jak ta historia się skończy.

Rankiem w towarzystwie Mateottiego i Torresego (wolałem mieć ich obu na oku), polecałem mym śmigłowcem do szpitala. Monika już odzyskała przytomność i na mój widok uśmiechnęła się leciutko. W pościeli, bledziutka, z oczyma nakrytymi rzęsami była taka krucha, taka biedna, taka moja... Lekarze nie pozwalali jej mówić, jednak rokowali, że kuracja zakończy się pomyślnie.

Zabawiłem u niej około kwadransa i obiecałem zajrzeć przed wieczorem. Goniły mnie obowiązki. W południe, razem z Lippim i Carduccim, mieliśmy spotkać się w biurze Prodiego. Szykowałem piękny pasztet dla władz SGC. Pragnąc umknąć przykrych niespodzianek, przed dziewiątą zabrałem mecenasa wprost z jego podmiejskiej willi i przywiozłem go do biura przy Piazza d'Esmeralda. Mateotti zapewnił obecność piątki swych najlepszych ochroniarzy. Luca dodał trzech swoich.

–Co ty kombinujesz, szefie, z tym Prodim? – zapytał mnie Torrese.

–Zamierzam sporządzić pewien dokument.

–Testamenty to moja specjalność – ucieszył się Prodi, dowiedziawszy się, o co mi idzie. Jego gładkie i różowe policzki zaczerwieniły się jeszcze bardziej na widok supermęskich zakapiorów, mających ochraniać jego biuro.

–Testament? Ja tam jestem przesądny – wyznał Mateotti – i dlatego testamentu nigdy nie sporządzę.

Nie widziałem powodu, iżby wyjawiać mym opiekunom, że nie zamierzałem wcale żegnać się z życiem. Wręcz przeciwnie. Testament miał zabezpieczyć mnie przed dalszymi zamachami. Zamknąłem się z Prodim w gabinecie, zostawiając obu ochroniarzy na zewnątrz. Podstawowy zapis był prosty: W razie nagłej śmierci Alda Gurbianiego SGC miało ulec likwidacji, a moje osobiste aktywa bezzwłocznie wycofane. Zgodnie z przedślubną intercyzą Monika Gurbiani winna otrzymać czwartą część majątku, w tym wszystkie nieruchomości, mój jacht pełnomorski, posiadłości na Szeszelach i w Belize. Reszta miała przypaść katolickiej fundacji charytatywnej "Tertio Millenio".

Prodi nerwowo przetykał ślinę.

–Jesteś pewien swej decyzji? – wykrztusił.

Nie byłem niczego pewien, może poza tym, że założona przez ojców dominikanów

fundacja "Tertio Millenio", której – oprócz hospicjów i schronisk dla bezdomnych – podlegały liczne uniwersytety katolickie, stacje radiowe i telewizyjne, prasa religijna, była obiektem bodajże najmocniej atakowanym przez media podległe SGC. Epitety w rodzaju: "zmowa świętoszków", "bractwo białych katabasów", "neoinkwizycja" czy "pedofratrzy" to najłagodniejsze z pojawiających się określeń. Jeden z biskupów, zaszczuty przez reporterów Konsorcjum, popełnił samobójstwo po tym, jak parę feministycznych aktywistek oskarżyło go o gwałt.

–Nie do mnie należy zadawanie pytań – wybąkał adwokat – ale dlaczego decydujesz się akurat na taki zapis?

–Dlatego, żeby nikomu nie przyszło do głowy pozbawiać mnie życia – odparłem. – Mam nadzieję, że wiedząc o takim testamencie, wszystkim będzie zależało, abym żył długo i szczęśliwie.

–Ogłoszą cię niepoczytalnym.

–Niech spróbują! Gotów jestem poddać się wszelkim badaniom.

–Opublikujesz informację o swych zamiarach w mediach?

–Nie, na razie dowiedzą się o nich tylko ci, którzy powinni się dowiedzieć. Ile czasu zabierze ci przygotowanie dokumentu?

–Normalnie trwa to...

–Nie normalnie, ale dla mnie!

–Na jutro.

–Chcę załatwić sprawę dziś w południe. Trzy godziny to kupa czasu.

Prodi tylko pokiwał głową.

Nie wiem, jakim sposobem tę moją rozmowę z adwokatem zdołał podsłuchać Torrese. Może miał zainstalowaną pluskwę w gabinecie mecenas... W każdym razie dopadł mnie, kiedy tylko wyszedłem z toalety.

–Jesteś szalony, Aldo, właśnie popełniłeś samobójstwo.

–Przeciwnie, Luca, właśnie podpisałem doskonałą polisę na życie. Nie rozumiesz? Pomyśl bez emocji. Po podpisaniu testamentu, jeśli ktokolwiek z SGC czy nasz kochany Amalfiani zechce zrobić mi kuku, pięć razy się zastanowi. W wypadku mojej śmierci praktycznie cały szmal ląduje w rękach najgorszego przeciwnika Imperium.

Pojał koncept, zaśmiał się i rozluźniony zajął miejsce przy sąsiednim pisuarze.

–Jeśli dobrze rozumiem, ten cały testament będzie na lipę.

–Oczywiście, zamierzam żyć bardzo długo i nieraz jeszcze zmienić swoją ostatnią wolę.

–No to mi ulżyło – powiedział, odchodząc od pisuaru. W drodze powrotnej do mego wieżowca odbyłem krótką telefoniczną konferencję z Lippim. Salvatore zgodził się przybyć do kancelarii w samo południe. Zawiadomił również Carducciego. Nie wspominałem nic o testamencie, potwierdziłem jednak, że chcę, aby pomógł mi zreformować SGC.

–W jakim kierunku?

–W przyzwoitym. Aha, jeszcze jedno, Salvatore. Dużo myślałem nad tym, co mi ostatnio powiedziałaś. Mówiłaś, że podczas ostatniej rozmowy przed moim porwaniem miałem sam wątpliwości co do programu “Psyche”.

–Odniosłem wrażenie, że było to coś więcej niż wątpliwości. Teraz właśnie przypomniałem sobie, co najbardziej uderzyło mnie podczas tej rozmowy.

–Co?

–Twój spokój. Przez ostatnie dwa miesiące byłeś prawdziwym kłębkim nerwów. Dopiero po podróży do Szwajcarii...

–Ja byłem w Szwajcarii?

–Dwa dni. Wróciłeś trzeciego, w południe. Zresztą zapytaj Lili. Albo Torresego. Był przecież z tobą.

–Lecę do biura, porozmawiamy na miejscu. Odłożyłem komórkę na półkę. Torrese, zajmujący w kabinie śmigłowca miejsce obok mnie, rzucił na nią okiem.

–Masz nie odsłuchaną wiadomość, szefie. Sięgnąłem po aparat. Nie bardzo wiedziałem, jak się odsłuchuje nagrane wiadomości, na szczęście aparat sam wyświetlał odpowiednie polecenia. Wiadomość pochodziła z wczoraj, z godziny osiemnastej. Usłyszałem podniecony głos Gabriela.

–Mam dla ciebie sporo ciekawostek, Aldo. Dotarłem do kolegi z policji, który węszył wokół PA. Te twoje przyjemniaczki, oprócz Vouka Ivanovica, w zasadzie nie należały do ruchu. Twoje porwanie było ich pierwszą akcją. I, co ciekawe, w ostatnich dniach, jak na bezinteresownych ideowców przystało, niezwykle szastali forszą. Coś mi tu śmierdzi, Aldo. Zadzwoń wieczorem.

“Nie ma więcej nowych wiadomości” – zakończyła przekaz komórka.

–Zmieniamy plany – zawołałem do Mateottiego, kiedy próba kolejnego połączenia się z detektywem zawiodła. – Polecimy na via Emilia, zaraz przy Schodach Weneckich.

–Tam nie ma lądowisk. Wszędzie gęsta zabudowa. Najbliżej można wylądować przy rzece, niedaleko estakady – odpowiedział ochroniarz.

–Dobrze.

–W takim razie wezwę tam twojego mercedesa – powiedział Torrese.

Skinąłem głową.

–Niech podjedzie od razu na Via Emilia, my ten kawałek możemy przejść pieszo. Dla zdrowia.

Ochroniarze nie wyglądali na zachwyconych tą propozycją. I trochę racji mieli. Droga przez zaułki zajęła nam przeszło kwadrans i zdążyliśmy się nieźle zasapać, zwłaszcza że osobiście taszczyłem moją torbę z notebookiem.

–Może ja wezmę komputer – zaproponował Torrese.

–Dam radę, Luca.

–Ależ ty się potrafisz zmieniać.

Uderzyły mnie te słowa. I musiałem zadać pytanie.

–Zmieniłem się, twoim zdaniem, już kiedyś?

–Przez ostatnie dwa miesiące... cholernie. A po tej wycieczce do Szwajcarii to już zupełnie ci odbiło.

–Byłeś tam ze mną?

–Byłem, ale urwałeś mi się w Sionie.

–Czy mówiłem ci, dlaczego tam pojechałem?

–Domyślałem się... – urwał, bo właśnie zrównał się z nami Mateotti.

Wyszliśmy na skwer. Przy fontannie Trzech Trytonów zobaczyłem znajomą korpulentną sylwetkę. A więc tu obecnie urzędował żebrak Toto. Postanowiłem dać mu, wracając, sowity datek. Teraz chciałem jak najspieszniej zobaczyć Gabiela Zachsa.

Oto i Via Emilia 27. Naciskaliśmy domofon, ale nikt nie odpowiadał na dzwonki. Wreszcie Luca posłużył się wytrychem. Agencja Zachsa mieściła się na trzecim piętrze. Bez windy. Drzwi zastaliśmy wyłamane, a niewielkie biuro wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Zamierzałem odejść, gdy Mateotti wskazał na szafę nie dosuniętą do ściany. Podchodząc bliżej, zauważyłem, że jest umocowana na zawiasach i ukrywa za sobą przejście do części mieszkalnej.

–Santa puttana – zaklął Torrese.

Gabriela znaleźliśmy nagiego w wannie. Według Mateottiego, nie żył od ponad dwunastu godzin. Znaleźliśmy brzytwę, którą otworzył sobie żyły, ale mój ochroniarz, dokonawszy pobieżnych oględzin, wykrył spory krwiak z tyłu głowy.

–Ogłuszyli go, rozebrali, wsadzili do wanny, a potem... – resztę wykładu zastąpił wymowny gest. – Musiał kogoś cholernie wkurzyć.

Wracając przez sypialnię, ujrzałem za wewnętrznym oknem jakiś cień przemykający po galerii.

–Uważaj – wrzasnął Torrese i pociągnął mnie za masywne biurko. Obaj zawodowcy wyciągnęli spluwy. Okno nie było zamknięte, ale Mateotti wybił je kopniakiem. Usłyszeliśmy dudnienie kroków. Ktoś bardzo się spieszył. Mój ochroniarz wyskoczył na drewnianą galerię biegnącą wokół wewnętrznego dziedzińca.

–Stój, stój – wrzeszczał, goniąc za uciekającym. Po chwili odgłos pogoni ścichł w oddaleniu. Torrese wstał, obszedł pokój i ostrożnie wyjrzał przez okno na ulicę.

–Gdzie ten kretyn Franco zostawił wóz – warknął.

Zbliżyłem się do balkonu. Rzeczywiście. Od bramy domu Gabriela do naszego opancerzonego mercedesa dzieliło nas dobre sto metrów skąpanej słońcem ulicy. Luca wydłubał z kieszeni komórkę i wystukał numer. Czekał.

–Nie ma go w wozie. Jak zwykle poszedł na lody, łakomy skurwiel – denerwował się. – Nigdy nie potrafi opanować apetytu. No nic. Siedź mi tu i nie wychylaj się. Ja podstawię auto bliżej. Kiedy wróci Mateotti, niech sprowadzi cię na dół. Tylko ostrożnie. – Ruszył ku drzwiom. Naraz jednak obrócił się, cofnął i wyciągnął zza cholewy niewielki pistolet. – To na wszelki wypadek – powiedział, wręczając mi go. – Pamiętaj, jak ćwiczyliśmy na strzelnicy?

Skinąłem głową, chociaż, Bóg mi świadkiem, po raz ostatni broń palną miałem podczas pewnego pojedynku w Wiedniu, a i to skończyło się na dziurawieniu powietrza. Torrese wyszedł. Pozostałem sam w spustoszonej mieszkanie, z trupem w wannie i niesamowicie głośno tykającym zegarem. Nie byłem jednak przerażony. Czułem, że budzi się we mnie duch wojownika. Chciałem walki. Chciałem zetrzeć w

pył spiskowców, kimkolwiek byli. Marzyła mi się rozprawa z Konsorcjum Zła. Przyszedł mi nawet do głowy koncept zgoła niesamowity. A gdyby obrócić je na służbę dobra?

Jedno głębokie uderzenie zegara. Już wpół do dwunastej. Czasu nie zostało wiele. Przez okno popatrzyłem na ulicę. Mercedes stał na swym miejscu pod sklepem z pamiątkami, opodal stojaka z maskami i pajacami. Parę kroków dalej była kafejka. Może tam schronił się kierowca łakomczuch... Ujrzałem Torresego. Szedł kocim krokiem zawodowca, trzymając się blisko ścian, czujny, gotowy. Doszedłszy do limuzyny, rozejrzał się. Chyba nie zauważył nic podejrzanego. Sięgnął do klamki. Najwyraźniej kierowca pozostawił nie zamknięte drzwi. Nie wiedząc dlaczego, krzyknąłem: "Nie!"

Podmuch wybił z okien wszystkie szyby, mercedes zamienił się w ognistą kulę, zawyły autoalarmy paru innych samochodów zaparkowanych na ulicy. Nogi ugięły się pode mną. Czyjeś kroki zabębniły na krużganku.

–Mateotti?

Odpowiedzi nie było. Naraz zdjął mnie lęk. A jeśli Mateotti był w zмовie? Jeśli mym przeciwnikiem był nie kto inny, a Volponi? Z pistoletem w ręku i torbą z notebookiem na ramieniu wypadłem z mieszkania i puściłem się ku ciemnym schodom.

–Stój, Aldo, nie bądź idiotą – zabrzmiało naraz za mną z góry. Poznałem głos Volponiego. Skąd się tu wziął? Jasne! Spisek! Spisek!!! Przyspieszyłem biegu. Byłem już na parterze. Naraz w drzwiach od podwórka dojrzałem zwalistą postać. Tak, to był Mateotti. Wyciągał ku mnie ręce... Zagradzał drogę! Wypaliłem raz i dwa, i strzelałem aż do pełnego opróżnienia magazynka.

Straciłem poczucie rzeczywistości. Raptem na całej klatce schodowej zapaliły się światła i ujrzałem, że we wszystkich drzwiach stoją ludzie i przypatrują się, jak strzelam do nie znanego im człowieka. Oprzytomniałem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że w ręku nie miał żadnej broni. Mój Boże, zabiłem bezbronno! Odwróciłem się w stronę zbiegającego Yblponiego. Ale Sandro nie biegł, on leciał. Jakaś siła wyrzuciła go poza barierkę podestu trzeciego piętra. Wymachując rękami, runął wprost na figurę krasnala stojącą pośrodku holu. Uderzenie. Krzyk wiceministra ucichł. Nastąpiła cisza. Widziałem spojrzenia ludzi przygważdżające mnie, pełne niemego oskarżenia.

–Morderca! – wrzasnęła przeraźliwie rozczochrana staruszka.

Nie czekałem dłużej. Wypadłem na ulicę. Tłum przechodniów gromadził się wokół zniszczonego samochodu. Pod moimi nogami leżała wykrzywiona w rozpaczliwym grymasie urwana głowa szmacianego pajaca z pobliskiego straganu. Kopnąłem ją i

pobiegłem pod prąd ściągających zewsząd gapiów. Wyły karetki, lada moment można się było spodziewać policji. Na Schodach Weneckich zwolniłem. Schowałem pistolet do kieszeni. Na ramieniu ciągle miałem notebooka. Musiałem go zabrać instynktownie... Na Via Farinaria wmieszałem się w tłum turystów, przyglądziłem włosy. W jasnym garniturze wyglądałem na poważnego biznesmena, który właśnie wyrwał się z biura na wczesny lunch.

Tysiące myśli przelatywało mi przez głowę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że znalazłem się w prawdziwej matni. Monika w szpitalu. Torrese i Yblponi nie żyli, Mateottiego w panice zastrzeliłem ja sam. I pewnie nigdy się nie dowiem, czy miał wobec mnie jakieś złe zamiary.

–Tylko spokojnie, tylko spokojnie – powtarzałem sobie. – Znajdziemy jakieś wyjście. Lekarze dowiodą, że byłeś w szoku. Przeżyłeś kolejny zamach na siebie, byłeś świadkiem brutalnego morderstwa...

Z budki opodal Piazza degli Tritoni zadzwoniłem do Prodiego.

–Cześć, Angelo, trochę mi się przedłużyło – mówiłem maksymalnie spokojnym głosem. – Możesz poprosić do telefonu Lippięgo?

–Jeszcze go nie ma – powiedział Prodi – ale już przybył ten profesor, jak mu tam, Carducci, dam ci go do aparatu.

–Przecież Salvatore jest z tobą – powiedział Ugo zaskoczony moim pytaniem.

–Ze mną? Skąd takie przypuszczenie?

–Dzwonił twój kierowca, Franco, i mówił, że razem jadą po ciebie na Stare Miasto. Czy coś się stało? – w głosie Carducciego pojawił się wyraźny niepokój.

Zawahałem się, czy mu powiedzieć, co zaszło, gdy w perspektywie ulicy zobaczyłem hamujące z piskiem dwa samochody policyjne, które zablokowały ruch. Szybko działają, pomyślałem, jakby byli uprzedzeni, że coś się może zdarzyć. Lada moment pewnie znajdą się także u Prodiego.

–Daj mi jeszcze mecenasa, Ugo – powiedziałem, a gdy ten odebrał, wyrzuciłem z siebie: – Jest gorzej niż źle. Jeśli ci życie miłe, nie wspominaj nikomu o testamencie. Mieliśmy umówione spotkanie w sprawie jakiejś darowizny dla Moniki...

Próbowałem coś powiedzieć, ale odłożyłem słuchawkę. Policjanci, którzy wysiedli z radiowozu, ruszyli w górę uliczki, zaglądając systematycznie do sklepów. Starając się okiełznać narastającą panikę, wyszedłem z budki i odwróciłem się. Przed sobą miałem fontannę, grupę zwiedzających starówkę zakonnice, dwóch emerytów grających na ławce w szachy. I korpulentnego żebraka udającego ślepeca z napisem

na tekturze: "Weteran Legii Cudzoziemskiej prosi o wsparcie".

Również od uliczek dążących ku górze dobiegało wycie radiowozów. Pętla zaciskała się. Nie miałem wyjścia. Podszedłem do żebraka. Odwrócił ku mnie twarz w ciemnych okularach.

–Pomóż mi, Toto. Proszę – powiedziałem, ściągając z przegubu złotego patka.

Część IV

17. Lochy Rosettiny

Ciężko pracujące pióra wycieraczek nie nadążają ze zmiataniem strug wody zalewających szybę. Widzę ręce zaciśnięte kurczowo na kierownicy. Co chwila gwałtowny ruch. Hamulec, gaz, hamulec, gaz... (Prowadzę? Zarazi Przecież ja nie mam prawa jazdy!) Coś woła we mnie: "Zwolnij, idioto!" Kolejny zakręt, redukuję do trzydziestu kilometrów na godzinę. I tak za szybko. Wóz omal ociera się o bariery. W dole urwisko. Dzięki Bogu, mam ABS. (Co to jest ABS?) Znow w górę... Niewiele widać w ulewie, jakieś krzaczki równe, zielone. Winnice! Gdzie ja jestem? Snop światła z reflektorów wyławia tablicę: "Anzere 7 km, Crans Montana 24 km". Crans Montana. Do diabła, jestem w Szwajcarii? Co mnie tam zaniósło?

Kawałek prostej drogi. Gwałtownie przyspieszam. Słyszę jakiś głos powtarzający: "Masz być o świcie!" Ile jeszcze do świtu...

Naraz na poboczu wyrasta jakaś postać w kapturze. Cholera! Naciskam hamulec do dechy. Udało się. Postać macha rękami. Z drogi! Nie biorę nigdy autostopowiczów. Czuję, że drżą mi ręce. Głowa mi pęka. Chyba jechałem całą noc. Przestaje padać, włączam długie. Światło wyłapuje w mroku jasną postać dwie serpentyny dalej. Wysoki, przygarbiony mężczyzna w bieli. Idzie wolno. Na ramieniu niesie krzyż. Czy ja śnię? Ręce puszczają kierownicę, wóz ścina zakręt...

Budzę się. Dookoła smrodliwy mrok. Gdzie ja jestem? Słyszę niskie pochrapywanie i wysoki gulgot. Naturalnie, to Toto i Ricco. Cofnąłem się w czasie? Jestem na kolejnym piętrze snu? Szczypię się w rękę, wraca porcja wspomnień: placyk z fontanną Trzech Trytonów. Moja prośba. Błyskawiczna decyzja Tota. Zrzuca ciemne okulary i kusztykając na jednej nodze (drugą ma przemyślnie podwiązaną, tak aby wyglądała na kikut), ciągnie mnie do pobliskiego kościoła. Przez nawę i zakrystię dostajemy się na podwórko, wprawdzie drogę zagradza tam zamknięta furtka, ale przygotowany na wszystko Toto ma do niej klucz. Studzienka kanalizacyjna... Waham się chwilę, Toto spogląda na mój piękny, jasny garnitur.

–Faktycznie, szkoda tego bajeranckiego sjuta – mruczy. – Moglibyśmy za niego tankować i jarać aż do jesieni.

Głosy i łoskot butów dobiegają już z wnętrza kościoła. Gliny!

–Nie ma co żałować garniturów, kiedy ludzi gonią łapsy – stwierdza żebrak i wskazuje do wnętrza. Ja za nim. Zasuwamy pokrywę. Toto zapala latarkę. Czas jakiś maszerujemy szparkim krokiem. Jeden zakręt, krzyżówka. Żebrak sapie z wysiłku i nie reaguje, kiedy pragnę mu podziękować. Chyba nie chce ze mną rozmawiać. Po jakiejś godzinie wędrówki stajemy. Toto wskazuje schodki prowadzące w górę.

–Tędy dostaniesz się na parking supermarketu – instruuje mnie zwięźle.

–Ale ja nie mogę wyjść. Ścigają mnie.

–Gównu mnie to obchodzi – odpowiada Toto. – Wiemy, kim jesteś, panie Gurbiani! Najbardziej parszywą świnia z tych – wskazuje głową w górę – które zamieniają świat w piekło.

–Nie jestem Gurbianim, jestem...

–Nie pierdol! Spadaj.

–Jednak przed godziną mi pomogłeś. Wyciąga zza pazuchy patka i oświetla go latarką.

–Ładny zegarek – mówi.

–Zróbmy zatem interes – proponuję. – Mogę sprawić, że będziesz bogaty. Nigdy nie zaznasz niedostatku. Porzucisz to życie...

–A wiesz, czy chcę? – pyta. – Czy już nie byłem bogaty? Zanim moja stara odeszła, a ja zacząłem pić... Teraz jestem przynajmniej wolny.

–Czyli nie pomożesz mi?

–A czy ja powiedziałem, że nie pomogę. Tylko że jest nas trzech.

–W porządku.

–A co możesz nam dać?

Oświetla mnie, ja przetrząsam kieszenie, wyciągam portfel. Gotówki mam niewiele. Naraz wzrok żebraka wyławia lśniący prostokąt plastiku. Gwiżdże z podziwem.

–Diamentowa karta Eurobanku. Kurde flak! Słyszałem o czymś takim w legendach. Rzeczywiście jesteś królem.

–Nigdy jej nie używałem – mówię szczerze. – I wyznam otwarcie, nie wiem nawet, co

mi daje.

–Nie wiesz? – Toto przygląda mi się podejrzliwie. – Ech, ci bogacze. Daje wszystko. Tylko czy nie jest zablokowana? Jeszcze nie była. Sprawdziłem to, wydostając się na górę. W sklepie z biżuterią dokonałem zakupów na jakieś dwa miliony euro. Sprzedawcy uwijający się wokół mnie nie widzieli w tym nic podejrzanego. Znali z mediów twarz Gurbianiego, współczesnego nababa. Jeden tylko ekspedient, o bardziej wyczulonym nosie, obwąchiwał mnie podejrzliwie, wyczuwając chyba woń kanałów. Zdenerwowało mnie to.

–Każdemu zdarza się puścić baka – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Idąc w stronę windy, musiałem przejść koło witryny z telewizorami. Naraz poczułem się jak w gabinecie luster. Ze wszystkich ekranów spoglądała na mnie twarz Gurbianiego. A spiker podnieconym głosem mówił o zbrodni, jaka zdarzyła się na Starym Mieście. Błyskawicznie skręciłem na schody prowadzące do garaży.

Pod głową uwiera mnie twarda torba z komputerem. Kiepski pomysł na poduszkę. Nie wiem właściwie, po co go trzymam. Nie znam kodu dostępu do sekretnych plików. Jednak w obecnej chwili ten notebook to jedyny łącznik z osobą, którą byłem przez ostatni tydzień. No, może jeszcze ta biżuteria wypychająca mi kieszenie. Próbuję zasnąć. Byle do świtu. Miejmy nadzieję, że grupka żebraków, która przyjęła mnie do swej kryjówki w pobliżu elektrociepłowni, nie wpadnie na pomysł, że najprostszą drogą do zdobycia wszystkiego jest ukręcenie mi głowy.

–Na ile mi uwierzyli?

Gdy spotkaliśmy się z Ricco, ten zjeżył się jak kot na widok psa.

–Precz, gnoju – wycharczał, ignorując moją wyciągniętą rękę.

–Ależ, Ricco...

–Zjeżdżaj albo wypruję ci flaki. To przez ciebie i tobie podobnych tu jestem.

–Chcę to naprawić.

–Gówna prawda.

–Możemy zrobić z nim interes. – Toto pokazuje otrzymane ode mnie brylantowe kolczyki. – Chce zapłacić za ukrywanie go.

–Lepiej załatwmy go...

–Spoko, chłopaki, bez poruty! – Z mroku wyłania się Lino i żebracy cichną na widok swego guru. – Jeśli chce zrobić z nami interes...

–A czy starczy mu szmalu na opłacenie wszystkich, których on i jego media zniszczyły, którym wyprały mózgi i odarły z ideałów.

–Myślę o tym – odpowiadam impulsywnie.

–Jak chcesz to zrobić? Rozdasz cały majątek jak jakiś święty?

–Może zacznę od tego, że przestanę zatruwać świat produktami SGC, zmieniając linię programową.

–Żartujesz, koleś?

–Mówię absolutnie serio.

–Nie wierzę. – Oczy Ricca lśnią nienawiścią. – Dlaczego niby po trzydziestu latach szerzenia zgorzenia Aldo Gurbiani miałby się zmienić w świętego Franciszka?

–Może dlatego, że nie jestem Gurbianim.

–Polewasz! – Wszyscy trzej podrywają się na równe nogi. – W takim razie, kim, do kurwy nędzy, jesteś?

Zastanawiam się, czy opowiedzieć im historię o Derossim. Powstrzymuję się – nie uwierzą. Wymyślam więc historię o klonie, parę dni wcześniej czytałem coś na ten temat. Opowiadam, że piętnaście lat temu Gurbiani, chcąc zapewnić sobie nieśmiertelność, nakazał sklonowanie swej osoby.

–Mamy uwierzyć, że masz tylko piętnaście lat, zgredzie?

–Oczywiście, czyżby żaden z was nie słyszał, że sklonowana istota w błyskawicznym czasie dochodzi do wieku prototypu?

–Dobra – przerywa Lino. – A co później?

–Równie błyskawicznie się starzeje. Cóż, mam przed sobą najwyżej pięć lat.

–Kiepska sprawa. – Po raz pierwszy czuję w ich głosie lekkie współczucie. – Teraz jest jasne, dlaczego chcesz to wszystko odkręcić. Tylko co z prawdziwym Gurbianim?

–Został zabity. Wrzucony do Studni Potępionych.

–A ty skąd się wzięłeś, leszczu?

–Aldo ściągnął mnie na paradę podczas Festa d'Amore. Towarzyszyłem mu, ucharakteryzowany na murzyńskiego niewolnika. Nie odstępowałem go o krok. W określonym momencie on chciał się urwać z zabawy, a ja, po zmyciu makijażu, miałem go zastępować do rana. Byłem świadkiem porwania i morderstwa. Widziałem wszystko, a kiedy ci fanatycy pozbyli się ciała, przyszło mi do głowy zastąpić Alda...

–Kurde flak!

–Mogło mi się udać, mamy z Aldem identyczne znamiona, linie papilarne, głos... Walnąłem pół litra dla kurażu, pozbyłem się charakteryzacji i ubrania. Troszkę się pokancerowałem, waląc łbem o cembrowinę. No i chyba za bardzo się zgłuszyłem, bo kiedy was spotkałem, nie wiedziałem, na jakim świecie żyję.

–Ale jaja! – mruczy Ricco.

–Nie wziąłem tylko pod uwagę, że spisek przeciw Gurbianiemu wykuł się gdzieś w jego najbliższym otoczeniu. Że "przyjaciele" nie dopuszczą do jego zmartwychwstania. Najpierw próbowali mnie przerobić na surowce wtórne, potem sprzątnąć... Teraz wrobili mnie w morderstwo. Jestem sam. Nikogo nie mam oprócz was.

–Spoko, koleś. – Czuję na plecach łapę Lina. – Może uda się coś wykombinować. Zwłaszcza jeśli wszystko to, co nam powiedziałaś, jest prawdą.

–Nie wierzycie mi?

–Wszystkiego nam chyba nie mówisz. Na przykład, kto jest twoim głównym wrogiem i jak chcesz z nim wygrać?

–Sam nie wiem.

O świecie Lino wypuszcza się na rekonesans. Wróciwszy, ciska na skrzynkę zastępującą szafkę nocną związany jeszcze plik porannych gazet, który zwędził sprzed jakiegoś sklepiku.

–Wszyscy cię szukają, facet – mówi z uznaniem. – A swoją drogą, człowieku, dlaczego nie powiedziałeś nam za pierwszym razem, że jesteś sobowtórem Gurbianiego?

–Czy pomoglibyście mi wtedy?

–Na górze jesteś kawałem parszywej świni, na którą nawet nie warto splunąć – stwierdza Ricco, przybierając moralistyczny ton. – Ale tutaj jesteś tylko człowiekiem, który ucieka, jednym z nas.

Czołówki wszystkich dzienników wypełniają doniesienia o mojej zbrodni. Są fotografie, noty biograficzne, komentarze. Mimo różnic w tytułach, ton artykułów jest zgodny. Magnat medialny na skutek przeżyć doznanych podczas niedawnego porwania popadł w paranoję, co naoczni świadkowie (tu prawie wszystkie dzienniki zamieściły fotografię klatki schodowej na Via Emilia z przykrytymi prześcieradłami ciałami Volponiego i Mateottiego) potwierdzają, i w ataku szału zastrzelił bezbronnego funkcjonariusza policji oraz przyczynił się do śmierci paru innych osób, w tym wiceministra sprawiedliwości, który usiłował mu w tym przeszkodzić. Ani słowa o próbach zamachu na mnie, o zamordowaniu Zachsa, o napadzie w Montana Rossa. Wiadomość o wysadzeniu mojego mercedesa znajduję dopiero w rubryce miejskiej. Mowa jest o samochodzie, w którym na skutek eksplozji oparów benzyny poniosła śmierć jedna osoba. Nie ma nawet inicjałów Luki Torresego.

Wszystkie doniesienia kończą się przedstawieniem mojego rysopisu i apelem do społeczeństwa o pomoc w schwytaniu niebezpiecznego wariata.

–Kłamią – wrzeszczę, z trudem opanowując się przed podarciem w strzępy kolejnego brukowca. – Nie ma tu ani słowa prawdy.

–A czegoś ty się spodziewał – uśmiecha się Ricco. – Wierzysz w zagwarantowaną konstytucyjnie wolność prasy?

–Wierzę w żurnalistyczną pazerność na pieniądze. Przecież moja afera to dla plotkarskich mediów niebywała gratka, by zwiększyć nakłady i zarobić jeszcze większe pieniądze. Logiczne jest więc, że jedni powinni pisać tak, a inni inaczej. Skąd w takim razie ta jednomyślność? Dlaczego więc wszyscy piszą tak samo kłamliwie?

–Widocznie chodzi o znacznie większy szmal – sugeruje Lino.

–Ale przecież ten tutaj to organ rządowy, a ta druga szmata należy do koncernu Heinemanna...

–Być może w twojej konkretnej sprawie geszefty władzy, finansjery i mafii są zgodne – odpowiada Ricco.

–Wszystko to system, jedna klika – spluwa Lino. – Tylko my jesteśmy poza tym szambem, siedząc w szambie. A tak naprawdę, powiedz, dlaczego załatwiłeś tych facetów.

Boli mnie głowa, wieczorem wypiliśmy garnek medycznego spirytusu, ledwie rozrobiony z przeterminowanym sokiem. Duszę mam jeszcze bardziej obolałą. Wróciłem do punktu wyjścia – jestem tropioną zwierzyną. Nie wiem, co robić. Kolejne zwiady dokonywane przez moich kloszardów przynoszą same złe informacje. Policja pilnuje mojej żony w szpitalu. Nie odstępuje również Prodiego. Na nadzwyczajnym posiedzeniu Rada Nadzorcza SGC przekazała pełnię decyzji Zespołowi

Zarządzającemu i ta decyzja ma położyć kres walkom frakcji – triumwirat tworzą: Rozenkrantz, Bianchi i Carducci.

W to ostatnie nazwisko nie mogę uwierzyć. Carducci, w którym obaj z Salvatore pokładaliśmy tyle nadziei... Oczywiście, teraz nie ma już większego znaczenia, czy go kupili, zastraszyli czy zawsze pracował na dwa fronty. Carducci to czytelny sygnał dla mnie (żadnych marzeń, Aldo!), a zarazem ważna informacja. Przygotowania do wdrożenia "Psyche" ruszają pełną parą. Żebym jeszcze wiedział, na czym polega ten program.

Czułem, że stanowi on klucz do zrozumienia wszystkiego, co zdarzyło się w SGC. Świtała mi coraz prawdopodobniejsza koncepcja biegu zdarzeń, choć brakowało mi w tej konstrukcji paru istotnych klocków. Naturalnie poszło o "Psyche". Z niewiadomego powodu Gurbiani zmieniał stosunek do swego ukochanego przedsięwzięcia. Zapewne to właśnie spowodowało decyzję o jego usunięciu. Postanowiono posłużyć się fundamentalistami chrześcijańskimi, żeby wszystko wyglądało prawdopodobnie. Aż tu Aldo powrócił. Jakaż panika musiała wybuchnąć wśród spiskowców. Postanowiono usunąć go raz jeszcze, rozkawałkując na przeszczepy. Nie udało się. Przeżył, wrócił na dawne stanowisko. Wprawdzie z wielkimi dziurami w pamięci... Ale za jakiś czas wszystko mogło mu się przypomnieć. I co wtedy? Tak, zdarzenia układały się w logiczny ciąg. Może tylko niepotrzebnie szukałem grupki spiskowców: przeciw Gurbianiemu mogli być wszyscy – obie frakcje SGC, Amalfiani, skorumpowana sprawiedliwość. Tych nielicznych, którzy byli odmiennego zdania, wyeliminowano.

Jeśli moja hipoteza była prawdziwa, sytuacja przedstawiała się niewesoło. Dotychczasowy plan runął. Teraz, nawet gdybym chciał przedstawić publicznie rzeczywisty przebieg zdarzeń, uznano by je za rojenia człowieka szurniętego. A gdybym sporządził testament, nie miałby on żadnej wartości prawnej.

Przez cały dzień nie wychyliłem nosa z kanałów, analizowałem jawne pliki komputera, co jakiś czas próbując za pomocą najrozmaitszych haseł dobrać się do tych utajnionych. Nic! Mogłem za to bez większej trudności satelitarnie połączyć się z Internetem, spróbować zablokować konta SGC albo ogłosić swoją wersję wydarzeń, wolałem jednak nie ryzykować namierzenia.

Mimo usilnie podejmowanych prób nie udało mi się ustalić, co się właściwie stało z Lippim. Nie żył? Został uprowadzony? Uciekł? Moi uczynni żebracy dowiedzieli się od sąsiadów, że ostatniej nocy dwa wozy meblowe wywiozły dobytek Salvatore, a taksówka zabrała żonę i dzieci na lotnisko. A więc chyba jednak uciekł.

Pewne nadzieje wiązałem ze spotkaniem z którymś z trójki moich porywaczy. Szczególnie liczyłem na Chorwata. Lino, który dysponował własną siecią

informatorów, wywiedział się, że wieczorami bywa on w pubie irlandzkim niedaleko cmentarza.

Postanowiłem złożyć mu wizytę. Po zapadnięciu zmroku, w nienagannie dobranych łańchmanach dotarłem w okolice Porta Nera. Tam czekałem. Ricco, który zdobył jakieś porządniejsze ubranie, wszedł do pubu.

Vouk Ivanovic siedział samotnie na wysokim stołku, popijając piwo. Obok stały dwa opróżnione kufle. Chorwat musiał być z kimś umówiony, bo co jakiś czas spoglądał na zegarek.

Ricco zajął miejsce na stołku obok niego.

–Ktoś chce z tobą pogadać, koleś – mruknął bezceremonialnie, upijając mu guinnessa z kufła. – Czeka za rogiem.

–Kto?

–Nie przedstawiła się. Ładna laska. Blondyna. Chorwat połknął haczyk i wyszedł, nie dopijając piwa.

Ricco poprowadził go w głąb uliczki. Tam już czekał Lino z moją spluwą.

–Niespodzianka – powiedział.

Vouk chciał zawrócić, ale z tyłu zastąpił mu drogę korpulentny Toto.

–Chcecie forsy – wybełkotał chłopak. – Nie jestem przy kasie, dopiero mam dostać.

–Powiedziałem już, że ktoś chce z tobą pogadać, koleś – powtórzył Ricco. – Czeka po drugiej stronie. – Wskazał na cmentarny mur.

W oczach Ivanovica pojawiła się trwoga.

–Co wy ode mnie chcecie, ja nic nie wiem...

Lino odbezpieczył broń, w której, nawiasem mówiąc, nie pozostało ani jednego naboju. Potem Ricco po plecach Tota wspiął się na mur. Następnie wciągnął za sobą kredowobiałego Chorwata, wreszcie Lina. Toto nawet nie usiłował iść w ich ślady. Czekałem na nich obok grobowca Barzuolich. Chłopak, mimo mego przebrania, poznał mnie natychmiast.

–To pan? – wybąkał.

–Obiecałem, że się kiedyś spotkamy. No i jest okazja.

–Ale czego chce pan się dowiedzieć, wszystko powiedziałem na policji.

–Nie wszystko, na przykład nie podałeś nazwiska waszego zleceniodawcy.

To był samodzielny pomysł naszej komórki.

–Bzdura. Nie jesteście żadnymi bojowcami! Do tej pory zdarzyło się wam tylko raz rozrzucić jakieś ulotki. To było zlecenie od kogoś z zewnątrz. Więc nie mydl mi oczu, tylko gadaj: Kto nadał wam moje porwanie? Kto opracował plan? Kto zapłacił?

Milczał.

–Posłuchaj, dzieciaku – powiedziałem, biorąc go za klapy. – Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia, więc nie licz na moją dobroduszość. Mogę cię na przykład zamknąć w tej krypcie, byś pozostał tam do dnia Sądu Ostatecznego. Albo któryś z moich przyjaciół zademonstruje na twojej szyi sposób działania garoty. – W tym momencie Lino wyciągnął pętlę z cienkiego drutu i machnął nią znacząco.

–Ja... ja... go nie znam! – wykrztusił chłopak.

–To Raymond Priestl?

–Oszalałeś, człowieku, za mały ptaszek jestem, żeby kontaktować się z Prorokiem. Nigdy go nie widziałem osobiście. Poza tym jego nauka wyklucza zadawanie śmierci. Krzyżobłękitni to mięczaki. Zresztą myśmy tylko zgrywali tych fundamentalistów dla czadu...

–Wróćmy zatem do pytania: Kto i kiedy was wynajął?

–W dniu Festa d'Amore. Trzy godziny, zanim... No, wie pan.

–Kto to zrobił?

–Powiedziałem, nie znam go. Widziałem go przedtem tylko raz, szukał trzynastki do zabawy, załatwiliśmy mu Niccola. Taki niski, tęgą basior, ciemny na pysku.

–Ten? – Z przygotowanych zawczasu szkiców wyciągnąłem portrecik mojego szofera Franco.

–Si, signore!

–Ujawniłeś to Volponiemu podczas przesłuchania...

–Absolutnie nie. Nawet kiedy pękliśmy, trzymałem się wersji, że to nasza własna inicjatywa. Ten gość twierdził, że nawet jeśli wpadniemy, szybko nas wyciągnie. Ale jeśli zaczniemy sypać, wszyscy wylądujemy na dnie laguny.

–Teraz jednak sypiesz?

–Bo jak nie sypnę, pan mnie zaraz zabije, a ten gościu musiałby się najpierw dowiedzieć, że sypałem. – Brzmiało to logicznie. – Gdybyście tam w pubie poczekali, to już byście go mieli – dorzucił z własnej inicjatywy.

–Byłeś umówiony z Franco?!

–Miał przynieść resztę kasy. Cholera... – Urwał, pochylił się i zaczął wymiotować. Jeszcze chwila, a chwyciły go dreszcze. – Boże, jak boli... – jęczał. – To piwo miało taki dziwny smak. Ratunku! – Wstrząsany konwulsjami osunął się na ziemię. Przyklęknąłem koło niego i przytknąłem palce do jego szyi. Nie żył.

–Zdaje się, że otrzymałeś resztę zapłaty – westchnąłem i popatrzyłem na Ricca, który przerażony trzymał się za żołądek. – A tobie co...

–Upiłem łyk tego piwa, Najświętsza Panienko, ratuj!

–Boli cię coś?

–Jeszcze nie.

–Obok jest schronisko dla bezdomnych – zawołał Lino. – Zgłoś się do nich, niech ci zrobią płukanie żołądka. – Przerwał, bo z oddali doleciał zgrzyt otwieranej bramy. Potem rozbłysły latarki.

–Przyszli po nas – zaskomlił Ricco. – Wiejemy.

Zostawiliśmy stygnące ciało Vouka i popędziliśmy w głąb nekropolii. Na szczęście, cmentarz był rozległy, a żebracy znali go jak własną kieszeń. W połowie drogi Ricco zaczął jęczeć.

–Łapie mnie, łapie. O, Boże. Zostawcie mnie tu. Pozwólcie mi umrzeć.

–A ty byś nam pozwolił? – Zarzuciłem go sobie na plecy i tak dobiegliśmy do muru. Chwila wysiłku i byliśmy na parkingu schroniska.

–Ja go tam zatargam – zaofiarował się Lino. – Ty bierz jakiś wóz i splywaj. Spotkamy się w naszej norze.

Działalem jak w transie. Trzeci z samochodów, do którego usiłowałem się włamać, miał nie domkniętą szybę. Nie posiadał też żadnych anty złodziejskich zabezpieczeń. Zwarłem przewody na krótko. Zapalił. Wyjechałem z gęsto zastawionego parkingu, nie zważając o żaden z samochodów. Jeszcze chwila, a znalazłem się w potoku aut na Via Illuminazione. Gładko zmieniałem pasy, stawałem na światłach. I dopiero gdy

dotarłem w rejon elektrociepłowni, uświadomiłem sobie, że przecież ja nie umiem prowadzić samochodu.

–Nie możesz z nami zostać – powiedział Lino, gdy w godzinę potem znów się spotkaliśmy. Do kompletu brakowało tylko Ricca, lekarz zatrzymał go w schronisku. Na szczęście dawka trucizny okazała się zbyt mała, aby go zabić.

–Gliny już wiedzą, że ci pomagamy. – Toto bezradnie rozłożył ręce. – Przeczeszą wszystkie nory i kanały. Jak przed czterema laty, gdy szukali “Wampira z Brzytwą”.

–A więc mam oddać się w ich ręce?

–Spoko! – huknął Lino. – Znam faceta, który podrabia dokumenty, a przy okazji prowadzi lombard. – Za jedną z twych błyskotek będziesz miał i nową tożsamość, i drobne kieszonkowe. Pryśniesz z kraju i cię nie dorwą.

–Mam parę spraw do uregulowania tu, na miejscu.

–A kto ci broni wrócić, kiedy sprawa przyschnie? Nasz aparat przemocy jest najślabszy i najbardziej skorumpowany w całej Zjednoczonej Europie. No, może poza krajami Europy Wschodniej.

–Gdzie waszym zdaniem powinienem uciec?

–Ja bym wiał do Szwajcarii – bez namysłu wypalił Toto. – To ostatnia w miarę normalna kapitalistyczna wyspa na bezmiarze zjednoczonego morza eurokracji.

W głowie odezwał mi się ostry dzwoneczek: Szwajcaria? Czy był to przypadek, czy sam los kierował mnie tam, gdzie mogę spotkać Raymonda Priestla i być może znaleźć klucz do zagadki Alda Gurbianiego?

18. Jeszcze jedna tożsamość

O świcie ogary poszły w las. Mieszkańcy Rosettiny zgodnie twierdzili, że takiej obławy nie widzieli od czasu poszukiwania w roku 1945 skarbów ukrytych przez zięcia Mussoliniego. Tyle że skarbów wówczas nie odnaleziono, tym razem zaś... Kilka tysięcy policjantów zablokowało wejścia do kanałów, a wyspecjalizowane patrole, wyposażone w psy, detektory termiczne i noktowizory poczęły przetrząsać labirynt pod miastem. Dokonano zatrzymań setek bezdomnych, alkoholików, żebraków i narkomanów. Policijni informatorzy dwoili się i troili, usiłując dowiedzieć się czegokolwiek o Gurbianim i ludziach udzielających mu pomocy. Ogłoszono wysokie nagrody za jakąkolwiek wskazówkę, nawet podaną anonimowo. Po sprawdzeniu informacji delator miał otrzymać indywidualny kod pozwalający przy

pomocy zwykłej karty telefonicznej podjąć z bankomatu jeden tysiąc euro premii. Dla włóczęgów i śródmiejskich mętów – majątek. Poza tym nikt nie lubił Gurbianiego i gdyby tylko mógł, to by zadenuncjował go z czystej przyjemności.

Mysz nie miała prawa wymknąć się z Rosettiny.

Około siódmej rano Lino Pavone (jak się okazało, brodacze nosił jakieś nazwisko) wysłuchał wiadomości na tranzystorowym odbiorniku, a potem przełączył się na częstotliwości policyjne.

–Są wszędzie, skubańcy! – mruknął. – Ściągnęli nawet posiłki z innych miast.

–No to nas mają – jęknął Toto. – Nie wydostaniemy się ani górą, ani dołem.

–Moment! Jest jeszcze pewna szansa. Elektrownia leży na uboczu, poszukiwania zaczną na pewno od Starego Miasta, później przeczesają śródmieście. Zanim tutaj dotrą, upłynie jakiś czas.

–Ale co możemy zrobić, próbować przebić się? – zapytałem.

To byłaby ostateczność. Mam inny plan. Znam jednego z tutejszych strażników, robiliśmy kiedyś wspólne interesy, pieniądze kocha nad życie.

–Co nam po strażniku. Jeśli nawet wypuści nas na otwarty teren, złapią tam nas jeszcze prędzej.

–Nie chodzi o wyjście, lecz o dostęp do magazynu.

–A co takiego jest w magazynie? – zaciekawilem się. Lino, który od pewnego czasu porzucił żebraczy slang, przedstawił mi swój plan. Był absolutnie szalony, ale nie stać nas było na lepszy.

–Uciekajcie. Ja nie dam rady – wyznał Toto.

–Nie brałem cię pod uwagę – powiedział Lino. – Kiedy się już stąd wydostaniemy, przejdiesz kanałami jak najdalej stąd i zgłosisz się z informacją do karabinierów. Przyznasz, że wyprowadziłeś Alda spod fontanny Trytonów, ujawnisz wszystkie kryjówki, później przypomnisz sobie nawet o elektrowni. I pamiętaj: nie miałeś pojęcia, komu pomagasz. Wyznaj, że gdybyś wiedział, że to Gurbiani, pierwszy wbiłbyś mu majcher w brzuch.

Muszę powiedzieć, że w ciągu ostatnich paru dni nabrałem ogromnego podziwu dla naszego brodacza. W odróżnieniu od meneli, których na socjalne dno strącił alkoholizm i narkomania, Lino Pavone był, wedle własnych słów, “żebrakiem z wyboru”. Jego filozofia życiowa nie pozwalała mu pracować, a poczucie moralne

kraćć, no, poza drobiazgami niezbędnymi do przeżycia, takimi jak telewizory, sprzęt audiowideo czy orzeszki pistacjowe, którymi najchętniej się odżywiał. Napędem jego działań, jak twierdził, było nieposkromione umiłowanie wolności. Po raz pierwszy schronił się do kanałów, uciekając przed służbą wojskową, później w obawie przed aresztowaniem. Jako doskonały haker komputerowy włamał się do Europejskiego Centrum NATO i uruchomił czerwony alarm, stawiając w stan gotowości siły nuklearne po obu stronach istniejącej jeszcze wówczas Żelaznej Kurtyny.

–Byłem młody, głupi, myślałem, że w ten sposób wykażę bezsens wyścigu zbrojeń.

Po tym numerze znów ukrywał się parę lat, później chciał nawet wrócić do normalnego życia. Ale już nie umiał. Rok wytrzymał w małżeństwie, potem miał własną łódź na Sardynii, którą woził turystów spragnionych głębokiego nurkowania. Ale nie pisana mu była stabilizacja. Druga żona go rzuciła, wspólnik okradł, komornik zabrał łajbę, a z pacyfizmu wyleczyły listy brata, który poległ, służąc w siłach pokojowych w Bośni. Okazało się, że żywot kloszarda nie miał alternatywy. W podziemiach Rosettiny był niekwestionowanym autorytetem moralnym podobnych mu wykolejeńców. I tam miał spokój.

Na realizację planu wypadło czekać do wieczora. Potem musiałem poświęcić kolejne brylantowe cacko, otrzymując w zamian dwa zestawy sprzętu do nurkowania: kombinezony, maski, płetwy, pasy balastowe, butle, kamizelki, latarki, regulatory i ciśnieniomierze, a nawet komputery z kompasem. W elektrowni wykorzystywano ten sprzęt do sezonowych badań podstawy zapory.

–Ależ ja nigdy w czymś takim nie pływałem! – zawołałem przestraszony.

–To prostsze niż wchodzenie po schodach, a na pewno lżejsze – uspokajał mnie Pavone. – Mam tylko jedno pytanie: Cierpisz na klaustrofobię?

–Chyba nie...

–Obawiam się, że jednak zaczniesz.

Suchy trening zajął około pół godziny. Potem pożegnaliśmy Toto.

–Jesteście szaleni, chłopaki – sapał. – Ja bym w życiu czegoś takiego nie zaryzykował.

–A mamy inne wyjście?

–Czy nie lepiej byłoby przepłynąć zbiornik za zaporą?

–Brzegi są strome, a na obwodnicy wokół jeziora jest aż gęsto od patroli.

Jeszcze raz Lino rozłożył sfatygowaną mapę.

–Pięćset metrów za elektrownią dotrzemy do burzowca; łączy się on starym kanałem przelewowym z kolektorem ściekowym Monreale. W ten sposób wydostaniemy się z akwenu Fiume dei Fiori.

–I co dalej? – spytałem spocony z emocji.

–Powinniśmy dotrzeć do nowego kolektora, to rura o przekroju dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów i długości około trzech kilometrów, odprowadzająca ścieki z Nuovo Monreale do oczyszczalni nad brzegiem Fiume dei Lumini. Jeśli tam dotrzemy, wygraliśmy. Ty, Toto, dasz cynk Farinacciemu, żeby miał wszystko przygotowane, a jak się już wydostaniemy, zadzwonię do niego na komórkę.

–Daj Boże, żeby się wam udało.

–Jeszcze jedno – powiedziałem, wręczając mu moją torbę. – Lepiej, żebyś do mego powrotu ukrył gdzieś tego notebooka, wołałbym, żeby nie dostał się w niepowołane ręce.

–Masz to jak w banku.

W ciągu dnia obaj z Linem zmieniliśmy diametralnie powierzchowność. Przy pomocy Tota ogoliliśmy się na łyso. Przy czym “żebrak z wyboru” poświęcił również swoją imponującą brodę, ja pozostałem z trzydniowym zarostem, mając nadzieję, że nawet mała bródka utrudni moją identyfikację.

Wyruszyliśmy o jedenastej. Ponieważ zdołałem nieco przywyknąć do panującego smrodu i zahartować się do wędrówek kanałami, pierwszy odcinek nie sprawił mi trudności. Koło pierwszej w nocy dotarliśmy do wielkiego zbiornika. Owalne pomieszczenie wypełniała cuchnąca ciecz.

–No i gdzie ta rura? – spytałem.

–Gdzieś tam – Pavone wskazał na przeciwną stronę basenu. – Według mnie około trzech metrów poniżej powierzchni; znajdziemy. Popłynę pierwszy. Pamiętaj, nurkuj spokojnie, nabierając powietrza równymi, głębokimi oddechami.

–Na pewno nam go wystarczy?

–Absolutnie. To płytkie nurkowanie, w dobrych czasach potrafiłbym na jednej butli wytrzymać półtorej godziny. Ważne, że płyniemy z prądem, to powinno nam sprzyjać. Jeszcze jedno, Aldo. Wycofać możesz się tylko po pierwszych kilkudziesięciu metrach. W rurze nie da się zawrócić.

Skinąłem głową.

–Pamiętasz znaki? – Zetknął kciuk z palcem wskazującym, tworząc kółko. – To oznacza, że wszystko jest okay. Tak – uderzył kantem dłoni w otwartą dłoń – została połowa zapasu powietrza. Tak – zacisnął pięść – zostało sto barów. Tak – przejechał dłonią po gardle – nie mam czym oddychać.

–I co wtedy?

–Wtedy zaczniemy się martwić. Ale nie przypuszczam, żeby do tego doszło. Aha, w razie innych problemów możesz zastukać latarką o butlę. A na razie rozgrzewka.

Nałożyliśmy rynsztunek i pasy balastowe, potem płetwy i maski i skoczyliśmy w głąb.

Ogarnął mnie nieprzenikniony mrok, zapaliłem latarkę. Nic nie było widać. Obróciłem się i zobaczyłem majaczące przede mną pomarańczowe płetwy Lina. Ciecz była chłodna, gęsta, zawieszista. Wołałem nie myśleć o jej składzie. Mój przewodnik dopłynął do ściany i omiół ją latarką, potem skręcił w prawo. Opadałem. Poczulem rosnące wibrowanie w uszach. Poruszyłem wedle instrukcji żuchwą celem wyrównania różnicy ciśnienia. Nic. Ścisnąłem palcami nos, próbując dmuchnąć. Daremnie. Dopiero jak przełknąłem ślinę, pomogło. Ciśnienie wyrównało się. Niestety opadałem dalej. Byłem za ciężki. Co robić? Szukałem nerwowo zaworu dopuszczającego powietrze przy kamizelce, ale nie mogłem go znaleźć. Rozpaczliwie machałem płetwami. Wypłynąć! Wypłynąć! Lino pojawił się przy mnie po paru sekundach. Dopełnił kamizelkę i pociągnął mnie w górę. Po chwili wisieliśmy już przy ciemnym otworze wlotowym. Mój Boże, przypominało to wejście do beczki! Potem wypłynęliśmy na powierzchnię. Zrzuciłem maskę i nerwowo łykałem powietrze.

–Spoko! – powiedział Lino. – Dobrze ci poszło. To była rozgrzewka. Za trzy minuty ruszamy. Chyba że zrezygnujesz...

–Płynę – powiedziałem z determinacją.

Teraz nie było już trudności ze znalezieniem wlotu. Najpierw Pavone, a potem ja wpłynęliśmy do rury. Wyprężyłem się, maksymalnie wyciągnąłem ręce do przodu i starałem się nadać równy rytm płetwom. Początkowo szło fatalnie; raz szorowałem brzuchem po oślizłym dnie, to znów wierzch butli zahaczał o występy w spojeniach rury. Z każdym metrem czułem pogłębiające się uczucie trwogi. Jeszcze możesz zawrócić – kołatało mi w głowie. Nie! Przymknąłem oczy, starając się myśleć o czymś przyjemnym.

Wyobraziłem sobie Sadzawkę Rusalek i moje spotkanie z Beatrice... Trochę lepiej. Równe ruchy wyprostowanych nóg. Niestety, z zamkniętymi oczami zaryłem się w maź. Podniosłem powieki... Już prawie nie było widać światełka mego przewodnika.

Musiałem przyspieszyć. Szczęściem szło mi coraz składniej: dopuszczając i upuszczając powietrza w kamizelce, uzyskałem upragnioną równowagę...

A może się nam uda?

Na wyświetlaczu zegarka zauważyłem, że minęło pół godziny. Manometr wskazywał, że zużyłem połowę zapasu tlenu – zastukałem w butlę i dopłynąwszy bliżej, pokazałem to Lino. Odpowiedzią był znak “okay”.

Płynęliśmy dalej. Byłem przekonany, że dystans trzech kilometrów pokonaliśmy już ze dwa razy, nic jednak nie wskazywało, żeby rura miała się skończyć. Naraz Pavone się zatrzymał. Serce we mnie zamarło. Czyżby jakaś krata? Zaświeciłem latarką. Zamajaczyła wysoka przeszkoda w postaci nagromadzonych śmieci, ponad którymi pozostał tylko niewielki przepływ dla wody. Boże kochany! Widziałem, jak Lino, dokonując prawdziwych łamańców, usiłuje w wąskim tunelu sięgnąć noża przypasanego do łydki. Podpłynąłem i odpiąłem mu go. Wziął się do roboty. Ciął i babrał się w nieczystościach. Trwało to chyba całą wieczność. Wreszcie, kiedy w zmaczonej cieczy nie widziałem już nic, poczułem, że jego płetwy znów się poruszają, a on sam oddala się ode mnie. Ruszyłem jego śladem, chwilę przeciskałem się przez paskudną maź, dygocąc na myśl, że utknę. Zrobiło się luźniej, tunel jakby lekko skręcił pod górę. Odczułem niewysłowioną ulgę. Zerknąłem na zegarek, minęło pięćdziesiąt pięć minut. Potem na manometr. Santa Maria! Strzałka dawno minęła krytyczne pięćdziesiąt barów i znajdowała się przy końcu czerwonego pola. Kończyło mi się powietrze. Zastukałem w butlę. Pavone odwrócił głowę. Pokazałem najpierw pięść, następnie przejechałem nią po gardle. Zrozumiał. Machnął latarką, bym podpłynął bliżej. Uniosłem manometr, kierując nań snop światła.

Kiwnął głową, a następnie gestami nakazał odpiąć mi pas i kamizelkę. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Pokazał jeszcze raz i zakończył znakiem “okay”. Po czym pokazał mi drugi ustnik na długiej rurce odchodzący od jego regulatora. Zrozumiałem. Chciał, żebyśmy oddychali powietrzem z jego butli. Ale jak to sobie wyobrażał...

Zaczerpnąłem ostatni głęboki łyk i pozbyłem się akwalungu. Podpłynąłem pod Lina szurając brzuchem po dnie rury. Rękami macałem za ustnikiem. Był! Wetknąłem go w usta. Smak nieczystości... Oddech. Cudowne powietrze, życie!

Objęci niczym para kochanków wznowiliśmy wędrówkę. Teraz jednak posuwaliśmy się bardzo wolno. Plątały nam się płetwy, zahaczaliśmy a to o dno, to o górę rury... Jak długo jeszcze, jak długo jeszcze.

Aż naraz kolejny oddech nie przyniósł upragnionego powietrza. Ponowna próba. Nic. Paraliżujący strach. Poczułem, że Lino puszcza mnie. Bezradnie machnąłem płetwami. Nie dotknąłem dna. Ani ścian. Uniosłem głowę. Coś połyskiwało w mroku.

Uczułem, że jego dłoń naciska mnie i pcha do góry. Machnąłem płetwami. Światło zbliżało się. Wydawało mi się, że trwa to wieczność, ale naraz moja głowa wynurzyła się z wody. Byłem w zbiorniku pod gołym niebem, w oczyszczalni, nad głową płonął wielki, pyzaty księżyc. Udało się!

Poszukałem wokół siebie Lina. Ani śladu. Brak bąbelków na powierzchni cieczy. Zrobiłem dwa głębokie oddechy. Nabrałem powietrza w płuca i zszedłem w dół. Nic! Jeszcze raz. I znalazłem go. Wisiał zaplątany w resztki jakiejś sieci na większe odpadki. Nie miał latarki ani noża. Ale ja miałem. Dwoma cięciami oswobodziłem go... I pociągnąłem bezwładne ciało.

W ustach miał zawór od swej kamizelki. Chciał przeżyć, wykorzystując ostatnią rezerwę powietrza tkwiącą w uniformie. Wyciągnąłem go na brzeg. Wszędzie paliły się latarnie i lada chwila mógł pojawić się strażnik. Nie dbałem o to. Zrobiłem mu sztuczne oddychanie, uciskałem klatkę piersiową... Pomogło. Zakrztusił się, rzygnął i otworzył oczy.

–Dziękuję, Aldo – mruknął. – Pierwszy etap za nami.

–Mów do mnie: Alfredo, jeśli możesz – zaproponowałem.

Dotarcie od zbiornika do brzegu rzeki zajęło nam kwadrans. Pozostaliśmy w piankach, butlę i resztę sprzętu topiąc przezornie w basenie. Okazało się, że Lino ocalił połowę naszych kosztowności, reszta została w mojej kamizelce, która przepadła w tunelu. Ale to nie było ważne. Z jaką radością rzuciliśmy się w czystą toń Lumini. Nie musieliśmy nawet płynąć. Lżejsi dzięki piankom, daliśmy się unosić bystremu nurtowi ku morzu. Coraz dalej od Rosettiny, naszych prześladowców i ich blokad.

Niedaleko wybrzeża, przy moście wyszliśmy z wody. Brodząc wśród zielsk na dwa łokcie wysokich, dotarliśmy do zapuszczonego domku letniskowego. Wybite szyby wskazywały, że dawno nikt w nim nie mieszkał. Autostrada odcięła go od innych zabudowań wsi, a dzikie śmietniska dopełniły reszty.

–Tu odpoczniemy – zdecydował Lino.

Nie musiał mnie zachęcać. Już spałem.

Tym razem przyśnił się mi inny sen. Wielka gonitwa. Znajdowałem się sam w jakimś ogromnym mieszkaniu. Swobodnie mieściłem się pod stołem i musiałem wspinać na palce, by sięgnąć klamki. W rękę, a właściwie w rączce trzymałem pistolet na wodę. Tup, tup, tup, tup, tup, tup! Ściganą ofiarą był wielki żółty kot, dachowiec, który niebacznie skorzystał z otwartego okna. Zatrzasnąłem je i teraz trwała fantastyczna

zabawa. Kot uciekał, ja go goniłem, a kiedy znalazłem go na celowniku, kierowałem nań strugę orzeźwiającego płynu. Prychał, parsknął, uciekał; jakież to było zabawne. Czasem udawało mu się schować tak, że traciłem go z oczu. Popęniał jednak błąd i czując moje zbliżanie się, mruzczał groźnie jak ranny tygrys. A ja się go nie bałem, miałem pistolet i nie zbliżałem się za bardzo, świadom ostrości kocich pazurów. Znow wyprysnął spod kanapy, przewrócił wazon i wspiął się na firankę. Dopadłem go na gzymsie – struga wody! Miauknął i skoczył wprost na mnie, uchyliłem się, kot przesmyknął mi między nogami i wpadł do korytarzyka. Pognałem za nim. Na zakrętach kocur zabawnie koziółkował po linoleum, a ja cieszyłem się, wiedziałem bowiem, że szlak ucieczki kończy się ślepo. No, może niezupełnie. Przygotowałem przecież pułapkę. Uchylone drzwiczki pralni.

Dachowiec skorzystał z nich, wpadł do wąskiego pomieszczenia. Jedynym miejscem, gdzie mógł się schronić, były otwarte jak paszcza gada drzwiczki pralki automatycznej. Skoczył w otwór! Tu go miałem. Zatrzasnąłem drzwiczki i przez chwilę wpatrywałem się z satysfakcją w moją zdobycz. Czułem, jak łomocze moje małe serduszko. Potem sięgnąłem do programatora i włączyłem odwirowywanie. Zobaczysz, kiciu, jak to jest być kosmonautą... Ruszyło. Wirująca żółć. Długo to nie trwało, po dobrej chwili znow otworzyłem pralkę. Uderzył mnie okropny odór fekalii, moczu, może wymiocin. "Kosmonauta" po prostu zesrał się w bębnie. "Kici, kici" – zawołałem słodziutko. Kot chwilę trwał nieruchomo, potem wytoczył się jak pijany, upadł na ziemię, wstał, znow upadł. Nie miał ani woli walki, ani sił do ucieczki. Miauczał. Wściekło mnie to głupie miauczenie. Chciał mnie wziąć na litość? "No dalej, huzia! Zabawa nie skończona!" – wołałem. Szturchnąłem go kijem od szczotki. Nie zareagował. Byłem wściekły. Nie tak miało być, to tylko zabawa. Włączyłem wodę, żeby przepłukać pralkę. Emocja mijała, pozostał wstyd i strach. Rozbity wazon, podarta firanka, pod lodówką rosła kałuża wody. Otworzyłem okno. "No, zjeżdżaj – krzyknąłem. – Czynię cię wolnym". Kot pojął chyba wartość oferty, bo niemrawo wspiął się na parapet, a stamtąd na zewnętrzny gzyms. Nie wziął jednak pod uwagę swego skołowania. Stracił równowagę. Kiedy wychyliłem się na zewnątrz, w pierwszej chwili go nie zauważyłem. Uderzył mnie hałas miasta, zapach spalin i kwitnących oleandrów. A kot? Był teraz tylko żółtawą plamką na trotuarze sześć pięter pode mną. Chyba nie spadł na cztery łapy. Rozpłakałem się. Jak mógł mi coś takiego zrobić, kanalia?! Zaraz, jakie głupie imię dała mu sąsiadka? Scipio czy jak...

–Aldus, Aldus, już wróciłam. Aldus, Aldus – zabrzmiał z głębi mieszkania starczy głos.

–Idę, idę, pani Weroniko – odkrzyknąłem i obudziłem się.

Toto spisał się nadzwyczajnie. Kiedy wskazał glinom naszą poprzednią kryjówkę i znaleziono w niej jasny garnitur Gurbianiego, wdzięczność funkcjonariuszy nie miała granic. Żebrak otrzymał gratyfikację, a po przesłuchaniu został przewieziony do najlepszego schroniska w mieście. Prowadzącym nagonkę wydawało się, że już nas mają. Trudno o mylniejsze przypuszczenie.

Domek, choć wyglądał na opuszczony, już wcześniej musiał służyć Pavonemu za kryjówkę. Pod podłogą ogrodowej szopy znajdowała się skrytka. Bezzwłocznie wydobył z niej jakieś konserwy, pistolet, telefon komórkowy, parę ubrań, futerał z napisem: "Polaroid", lornetkę.

–Potrzebujemy fotografii do dokumentów – powiedział Lino. – No, zrób przyjemny wyraz twarzy, drogi łysku.

Potem wsiadł na stary, odrapany rower i odjechał, polecając mi, żebym nie wychylał nosa z chałupy. Nie miałem zamiaru.

Wstał letni dzień, nieco zamglony, parny. Siedziałem sam w zrujnowanym pomieszczeniu, obserwując jaszczurkę spacerującą po framudze. Zaiste, jakże doskonałą istotą była, jak Stwórca przewidział jej proporcje, jej funkcje. Odwróciła głowę. Mierzyliśmy się wzrokiem. Wspomniałem dzisiejszy sen. Co by zrobił teraz mały Gurbiani? Cisnął w nią kawałkiem cegły, próbował schwytać... A ja? Napawałem się jej pięknem, jej harmonią, gracją, słonecznymi refleksami w kropkach rosy na liściu dzikiego wina. Naraz smyknęła ku mnie i już wspinała mi się po rękę, mała, zwinna, żywa... I już jej nie było. Poczulem dziwną wilgoć na policzku. Płakałem, dlaczego?

Wróciłem myślą do snu. Niepokoił mnie bardziej niż poprzednie. Niepokoiły mnie i inne rzeczy, na przykład, dlaczego ja, Alfredo Derossi, wiedziałem, jak się prowadzi samochód. Dlaczego zgadywałem, który kanał telewizyjny wywołam, naciskając określoną cyfrę na pilocie. Dlaczego znajome wydawały mi się twarze spikerek... Czyżby wracała mi pamięć? Czyżby w ciele Gurbianiego została część jego duszy, mogąca z czasem się obudzić i mnie zdominować? Sama myśl, że mógłbym choć w części stać się Aldem, napawała mnie zgrozą. Przypomniał mi się Doktor Jekyll i pan Hyde Stevensona, opowieść o dwóch postaciach w jednym ciele. Moment, chwileczkę, przecież ja nigdy nie czytałem takiej książki!!! Nie mogłem jej przeczytać. Została napisana dwa wieki po mojej śmierci!!! Skąd o tym wiem? Na rany Chrystusa, co się ze mną dzieje? Wstałem, napiłem się przegotowanej wody...

–Uspokój się! – powtarzałem sobie. – Jesteś Alfredo Derossi, ten bydlak Aldo nie ma do ciebie dostępu. Ty wierzysz w dobro. Wierzysz w Boga!!! Nawet jeśli coś ci się przypomina, nawet jeśli przypomni ci się wszystko, masz osobowość, charakter,

świadomość Derossiego. Nie lękaj się. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Wczesnym popołudniem usłyszałem szcęk zdezelowanego łańcucha rowerowego. Powrócił Lino. Tryskał optymizmem.

–Byłem we wsi – zawołał od progu. – Ani śladu glin. Jesteśmy poza pętlą obławy.

–Co z naszymi dokumentami?

–Spoko, Alfredzie, jesteśmy umówieni o piątej na parkingu dwa kilometry stąd. Zobacz, mam świeże bułeczki, wiejski serek i butelkę montanijskiego wina.

Z wygoloną głową, w czystym przyodziewku nie przypominał w niczym bossa szmaciarzy, raczej fachowego pracownika firmy ochroniarskiej. Przez moment zastanawiałem się, czy dobrze czynię, ufając mu bezgranicznie. Ale nie miałem innego wyjścia. Zresztą nawzajem ocaliliśmy sobie życie. A to zbliża ludzi. Koło czwartej wymaszerowaliśmy z domu. Skwar był niemiłosierny, na szczęście Pavone pomyślał o wszystkim, miał dla nas firmowe czapeczki biura Globtroter, a plecaki nadawały nam wygląd typowych turystów. Szliśmy ukosem, zbliżając się do autostrady, słuchając narastającego hałasu przejeżdżających samochodów. Po półgodzinnym marszu wspięliśmy się na nasyp i przez dziurę w siatce wyszliśmy na przydrożny parking. Chyba nikt nie zwrócił na nas uwagi. Ani posilająca się rodzina Węgrów, ani dwaj kierowcy tirów, grający w karty przy drewnianym stole, ani kilku harleyowców, raczących się piwem.

–Oto i nasz wozik – Lino wskazał używanego alfa romeo z rejestracją rzymską, o kradzieży którego właściciele dowiedzą się dopiero za dwa tygodnie, po powrocie z urlopu. Miał do niego kluczyki. W skrytce obok kierownicy znaleźliśmy dwa komplety dokumentów. Były tam oryginalne paszporty z misternie podmienionymi fotografiami, prawa jazdy, ubezpieczenia, a także karty kredytowe. Ja nazywałem się teraz Ernesto Verania, agent handlu nieruchomościami "Verania Pesco" z Rzymu, zamieszkały na Via Cavour 35 b. Pavone zaś był moim doradcą finansowym i nazywał się Lino Hagel. Zastanawiałem się, co stało się z oryginalnymi panami Veraniem i Haglem, ale Lino uspokoił mnie – po wypadku drogowym przebywali na rekonwalescencji w szpitalu w Abruzzach i żadne paszporty, a tym bardziej prawa jazdy, nie miały być im przez dłuższy czas potrzebne. Ze stempli granicznych wynikało, że pan Verania podróżował dużo i często. W tym roku był już i w Stanach, i w Rosji, i w Izraelu...

–Poprowadzisz? – zapytał Pavone, siadając na fotelu obok miejsca kierowcy.

–Ja przecież w życiu nie prowadziłem...

–A przedwczoraj? – roześmiał się. – Więcej z cmentarza, przejechałeś sam całe miasto. Nie opowiadaj mi więcej bzdur o amnezji. Umiejętności technicznych się nie

zapomina. Nawet jeśli się jest tylko klonem.

–Dobra. Spróbuję. – Siadłem za kierownicą. Instynktownie zapiąłem pas, wyregulowałem ustawienie fotela, przekręciłem kluczyk rzucając okiem na wskaźniki. Benzyny fuli! Klimatyzacja czynna. Zagrał silnik. Odezwało się automatycznie radio. Psiknąłem wody na szybę i uruchomiłem wycieraczki. – Możemy ruszać – powiedziałem wesoło.

Pojechaliśmy na południe, kierując się w stronę Rzymu. Gdzieś po pięciu kilometrach czekała nas pierwsza blokada. Mimo włączonej klimatyzacji zrobiło mi się gorąco. Policjanci sprawiali wrażenie zmęczonych i znudzonych. Kontrola przebiegała rutynowo: “Zatrzymać się, dokumenty, otworzyć bagażnik”. Cały ciężar rozmowy wziął na siebie Lino.

–Wracamy do domu? – spytał funkcjonariusz, oglądając nasze paszporty.

–Nie da się całego życia spędzić w Wenecji – odparł z uśmiechem Pavone. – Zwłaszcza jak się ma reumatyzm.

–Zatrzymywali się panowie w Rosettinie?

–A po co, panie władzo – Lino wyszczerzył swe zaskakująco dobre jak na żebraka uzębienie. – Lecieliśmy obwodnicą. A co, dzieje się tam coś ciekawego?

–Możecie jechać – policjant zatrzasnął klapę bagażnika. Parę godzin później, nie dojeżdżając do Rzymu, znaleźliśmy się przy krzyżówce z A1 – Autostradą Słońca.

–Dokąd teraz – spojrzałem na swego przewodnika.

–Na północ!

19. Przełącz św. Bernarda

Zaiste czas nie jest, jak mi się kiedyś wydawało, wartością matematyczną. Jest istotą żywą, złośliwą rzeką płynącą w jednym kierunku nurtem coraz bardziej wartkim. Boć porównajmy nocie młodziana z nocami starca. Toż występują tam dwa różne czasy. W młodości każda noc jest długa niczym ta grudniowa, zdaje się nie kończyć i niesie niezwykle zdarzenia. U starca przypomina krótkich parę godzin w czerwcu około północy. Ledwie zmierzchnie się, już wstaje dzień nowy, przybliżający nas wieczności. Niestety, żebyż jeszcze owa szybka noc niosła obfitość smaków i zapachów prawdziwej nocy czerwcowej, napęczniałej szaleństwem i wiarą w siebie... I nadzieją! Próżne żale. Nie wypełnia jej śpiew ptaków i nie kończy wpółomdlały powrót po rosie, gdy wszystko jest nowe, świeże i czyste, a granica między snem i jawą niezauważalna.

Winienem więc błogosławić wypadek mój, w historii świata jedyny, porównywalny z udanym skokiem z wierzchołka wodospadu, bom w okamgnieniu przeskoczył prawie czterysta zim i jesieni.

Co ważniejsze, czułem się prawie tak, jak tamtej wiosny w Rosettinie, gdy jeszcze żyła Maria, gdym kochał jak młodzik, a świadomość miał dojrzałego męża. Teraz, siedząc za kierownicą, też nie odczuwałem znużenia lubo zrezygnowania, chciało mi się żyć i wyglądało na to, że mi się uda. Każda mila czy, jak się teraz liczy, każdy kilometr oddalał nas od prześladowców. My zaś gnaliśmy z prędkością antylopy drogą, która bez trudu przecinała góry wysokie, śmiało zagłębiała się w tunele, jakby lekceważąc siły natury i kpiąc z przeszkód, ongiś wyglądających na niepokonane. I zdawała się ta droga być wyzwaniem rzuconym samemu Bogu, jawną demonstracją potęgi rodu ludzkiego, który za mych lat ledwie raczkował, a teraz osiągnął zwinność orła, siłę słonia i mądrość komputera.

Pavone, z którego niczym z pieluchy rozwieszanej na wietrze wyparowały definitywnie resztki kloszardzkiego stylu, znakomicie nadawał się na towarzysza podróży, dostarczał mi mnóstwo informacji o tym nowym świecie, diagnozując go bezwzględnie, precyzyjnie i bez zbędnego rozgadania:

–Wszystkiemu winien jest Kartezjusz ze swą chęcią uczynienia człowieka i jego samoświadomości miarą wszechrzeczy – mówił, a ja nie protestowałem. (Chcąc dochodzić swych praw autorskich, musiałbym wyznać mu zbyt wiele, a i Kartezjuszowi nawymyślać od złodziei.) – Ludzkość złapała się w oświeceniową pułapkę na złość dawnym mniemaniom, że świat nieustannie się psuje.

–Aurea prima... – zacytowałem Owidiusza.

–Tak. Przyjęła a priori, że wiek złoty dopiero będzie i zaczęła go budować. Nawet za cenę holocaustów, gułagów, a obecnie poprawności politycznej. Zabieg ów jako żywo przypomina przemieszczenie przyrodzenia z przodu na tył, co może i ułatwia życie, choć trudno jest zachowywać kontrolę, kogo naprawdę się dyma. Uwierz, Alfredo, jako młody człowiek brzydziłem się konserwatystami bardziej niż szpinakiem. Uważałem ich za ekskrementy umysłu. Dziś sam jestem jednym z takich odpadów, lecz muszę przyjąć z pokorą, że człowiek z natury rzeczy jest istotą niedoskonałą i niezdolną do samoreformowania...

–Niezdolną, mówisz?

–Bez impulsu z zewnątrz człowiek pozostawiony gołej biologii i konsumpcji musi się zdegenerować, tracąc to, co w nim było najlepsze. Prędzej czy później wróci na drzewo, czy raczej do jaskini, gdyż wskutek jego radosnej działalności drzew już nie będzie. By mógł się doskonalić, potrzebuje, tak jak żywopłot nożyc ogrodnika, norm moralnych, autorytetów, tradycji... czyli wiary, bo wszystko koniec końców

sprowadza się do fundamentu, jakim było Objawienie.

–Zatem nie wierzysz we własną dynamikę postępu?

–Wierzę w ograniczoność umysłu ludzkiego. Posłuchaj, Aldo, czy jak wolisz, Alfredo, chociaż ani jednego, ani drugiego miana dziecku bym na chrzcie nie dał: człowiek widzi zaledwie ułamek widma słonecznego, słyszy niewielkie pasmo dźwięków, jego zmysł powonienia to ledwie jedna milionowa część możliwości głupiego psa, dlaczego apriorycznie zakłada się, że wszystko może pojąć? Tymczasem my, zadufani w rzekomy rozum, wyzbyliśmy się jakiegokolwiek pokory. Wobec przyrody i wobec Boga.

–Wierzysz więc w Boga? – spytałem, patrząc na dziwny amulet w kształcie słońca dyndający na jego szyi.

–Wierzę, że jest niezbędny. Współczesna fizyka dowodzi, że wszechświat jest w stałym stanie entropii, rozpadu, dążenia do chaosu. Tylko impuls z zewnątrz może go porządkować. Śmieszą mnie wszyscy dzisiejsi lewicowi intelektualiści, ustalający zasady moralne i prawa człowieka bez Boga. Bez czytelnej granicy pomiędzy dobrem a złem. Przecież jest to wznoszenie obelisku na ruchomych piaskach. Dowolność zasad sprawia, że zginą wszystkie. Bez Absolutu jest nicość. Nie jestem wyznawcą żadnej z koncesjonowanych religii, Alfredo, ale wierzę w przepajającą wszechświat wielką moc, na którą nie mam wpływu, ale do której mam szacunek, chociaż nie umiem się do niej modlić.

Wszystko to, co mówił, było wyjątkowo bliskie moim przemyśleniom. Mógłbym do jego dowodów dorzucić jeszcze własne spostrzeżenia. Cóż bowiem dała mi konfrontacja ludzkich dokonań po stuleciach – ogromne rozczarowanie faktem, że postęp cywilizacyjny nie idzie w parze z kulturalnym, a nawet go wypiera. Cóż z tego, że wszyscy korzystają z higienicznych toalet, kiedy gazety, które można w nich przeczytać, są coraz głupsze? Jakże się cieszyć, że mechanizmy oszczędzają niebywale czas, kiedy jest on potem beztrosko trwoniony. A ludzka wolność, czy przypadkiem nie jest tylko finezyjniejszą formą zniewolenia?

Patrząc na Lina, zastanawiałem się, kim mógłby być ten człowiek, gdyby inaczej potoczyło się jego życie. I czy czasem jego wybór metody życiowej nie podyktowany był ambicją – nie mogąc być pierwszy na ziemi, wolał być królem kanałów.

Na wieczerzę zjechaliśmy do Asyżu. Miasta, którym zachwyciłem się ongiś, spędzając tu jedną jesień nad uzupełnianiem fresków Giotta i studiowaniem pewnych pism dotyczących zielarstwa gdzie indziej zagubionych. Stanęliśmy na parkingu nieopodal katedry, która opleciona rusztowaniami dopiero dźwigała się ze zniszczeń

po niedawnym trzęsieniu ziemi. Chyba w istocie ciążyła nade mną klątwa Ippolita; freski górnego kościoła bowiem, w których malowaniu miałem swój udział, bezpowrotnie przepadły. W baraku obok pomieszczeń zajmowanych przez rekonstruktorów mogłem obejrzeć film, nakręcony amatorską kamerą przez jakiegoś turystę podczas przedostatniego kataklizmu. I miałem odpowiedź, jak bluźniercze były moje zachwyty nad wszechmocą człowieka. W obliczu nawet niewielkich wstrząsów tektonicznych byliśmy tylko żuczkiem na tej ziemi, a nasze arcydzieła jedynie okruchami cegły, zaprawy, farby i tynku.

Zamyślony wróciłem do samochodu. Pavone, który poszedł wywiedzieć się o jakąś spokojną, nie rzucającą się w oczy kwaterę, jeszcze nie wrócił. Nie chcąc marnować czasu, przetarłem szyby i reflektory. I naraz coś podkusiło mnie, aby, wzorem Luki Torresego zajrzeć pod samochód i sprawdzić, czy gdzieś w podwoziu nie kryje się przypadkiem szpiegowskie urządzenie. Znalazłem je mimo zmyślnego ukrycia i kurzu, który je pokrywał.

Przylepiony prostopadłościanik był mniejszy niż pudełko zapalek. W pierwszej chwili miałem ochotę oderwać pluskwę i rozgnieść ją nogami na miazgę. Pohamowałem się. Póki podsłuchujący nie zorientują się, że wiem o ich istnieniu, dopóty będę miał nad nimi przewagę. Poza tym fakt, że mnie śledzili, zamiast zabić, wskazywał, że, kimkolwiek byli, przedstawiałem dla nich jakąś wartość. Nadto powinienem ustalić, jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Pavone. Był wtajemniczony? Może tylko wykorzystywany... Łatwość, z jaką zdobył sprzęt, dokumenty i samochód, już wcześniej budziła we mnie nieładne podejrzenia. Musiałem jednak uzyskać pewność. Poza tym kalkulacja podpowiadała mi, że lepiej będzie, jeśli granicę przekroczymy we dwóch, zgodnie z planem.

Wrócił Lino i uradowany zaczął opowiadać o niedrogim pensjonacie położonym niedaleko od strzeżonego parkingu.

–Zmieniłem plany – przerwałem mu. – To znaczy?

–Wydaje mi się, że błędem byłoby trwonienie czasu na nocleg tutaj. Wcześniej czy później nasi prześladowcy zorientują się, że wydostaliśmy się z Rosettiny i obława obejmie cały kraj. Jedźmy dalej. Nie czuję się zmęczony. Poza tym możemy prowadzić na zmianę, a im prędzej znajdziemy się na granicy, tym lepiej.

Wyglądał na zaskoczonego, ale podporządkował się, kwitując to krótko:

–Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej...

Na odcinku autostrady do Bolonii prowadził Pavone, ja drzemałem, aby następnie zmienić go za kierownicą. Cieszyłem się, nie musząc z nim rozmawiać; nie czułem się tak dobrym aktorem, by móc ukryć nagłą przemianę mego humoru. Noc była

mroczna, parna. Tylko drogowskazy przypominały nam o mijanych miastach – Modena, Parma, Cremona, Piacenza... Ileż wspomnień, zdarzeń, romansów, wykonanych dzieł i minionych przyjaźni łączyło mnie z tymi miejscowościami, teraz ograniczającymi się do mijanych w zawrotnym tempie błękitnych tablic, informujących o zjazdach i wjazdach. Północ już minęła, ale ani przez chwilę nie malał ruch na drodze, mijaliśmy wielkie ciężarówki, turystyczne vany, samochody osobowe, mozolnie ciągnące przyczepy kempingowe. Co jakiś czas ogarniał nas niczym rój szerszeni zagon szalonych motocyklistów.

Między Mediolanem a Turynem pochwyciła nas w swe objęcia gwałtowna burza. Zabobonni ludzie nazwaliby to widowisko istnym pandemonium. Pioruny waliły jak działa pod San Angelo, a błyskawice rozdzierały kurtynę nieba niby ogniste miecze archaniołów. Potem spadł deszcz tak rześisty, że niczego nie było widać oprócz nie nadszających ścierać strug wody wycieraczek.

Zwolniłem znacznie i myślałem już nawet, aby zjechać na pobocze, ale Lino uspokoił mnie – dzięki ABS nawet najgorsze kałuże nie powinny być nam straszne. Burza zresztą ustała równie nagle, jak się pojawiła.

Koło Castellamonte zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej uzupełnić zapas paliwa i wypić kawę. Wyznam, że powoli zacząłem przyzwyczajać się do tego napoju, za moich czasów uchodzącego za turecką osobliwość. Ledwie zamówiliśmy espresso i dwie porcje pasta con frutti di mare, Pavone powiedział, że idzie wydalić to i owo, chociaż wcale nie musiał mi się opowiadać. Dawniej bym taką informację zlekceważył, teraz jednak, wpatrując się w szybę odbijającą wewnątrz lokalu, zauważyłem, że zamiast do WC, skręcił do kabiny telefonicznej. Uśmiechnąłem się gorzko do siebie. A więc jednak. Intuicja to niegłupia rzecz.

Znów zmieniliśmy się przy kierownicy. Autostrada zanurzyła się w dolinie Aosta, okolonej przez monumentalne szczyty alpejskie. Wkrótce znaleźliśmy się na rozjeździe – autostrada prowadziła wprost do tunelu świętego Bernarda, zaś stara droga lokalna serpentynami na przełęcz.

–Moglibyśmy pojechać górą? – spytałem.

–Oczywiście – odparł Lino. – Tyle że zajmie nam to więcej czasu.

–Możliwe. Mam nadzieję jednak, że na górze nikt nie będzie specjalnie kontrolował szalonych turystów, a poza tym chętnie obejrzałbym wschód słońca na przełęczy.

–Nie ma problemu.

Stromymi zakosami, dobywając resztek sił z silnika alfa romeo, dotarliśmy na szczyt. Minęły nas zaledwie dwa samochody. Co jakiś czas rzucałem okiem we wsteczne lusterka. Żadnych świateł. Nikt za nami nie jechał. Odpowiadało to moim

planom. Zaspani strażnicy na nasz widok tylko machnęli ręką, nie wychodząc ze swej budki: "Jechać, jechać..."

Ledwie minęliśmy przełęcz, Lino, na moją prośbę, zatrzymał auto w małej zatoczce pozostawionej przez łuk drogi. zaproponowałem mu dojście kilkaset metrów do skalnej krawędzi, skąd widok mógł być rozleglejszy. Niebo różowiało, powietrze było rześkie, przejrzyste. Po lewej stronie piętrzyła się spowita śniegiem piramida masywu Mont Blanc, niżej gęstniały mgły bezkresne... Zatrzymaliśmy się. Od strony drogi nikt nie mógł nas zauważyć. Pod stopami rozpościerała się przepaść bezdenna.

–Nie wiedziałem, że jesteś takim miłośnikiem przyrody – żartował Pavone. – Dla mnie to wszystko to tylko trochę większa kupa kamieni.

–Czy masz komórkę? – spytałem, ignorując temat. Wyjął aparat z kieszeni i podał mi go.

–Chcesz zadzwonić do twojej żony do szpitala? – spytał. I w tym momencie jego uśmiech zmienił się w brzydki grymas. – O co ci chodzi, Alfredo?

Odbezpieczyłem pistolet, wyciągnięty zawczasu ze skrytki i trzymałem mego przewodnika na muszce.

–Dla kogo pracujesz, Lino? – zapytałem twardo. – Szczera odpowiedź ułatwi nam obu życie.

–Odbiło ci z niewyspania, Alfredo, nie mam pojęcia, o co ci chodzi?

–A ja nie mam czasu ani ochoty na żarty. Wiem o pluskwie w samochodzie, o twych telefonach ze stacji benzynowej. Potrafię kojarzyć fakty.

–Nie wiem nic o żadnej pluskwie, a jeśli idzie o telefon, dzwoniłem do naszego poczciwego Tota.

–Zła odpowiedź, przyjacielu. Kiedy po skończeniu rozmowy wszedłeś naprawdę do toalety, dopadłem automatu i nacisnąłem "Redial". Od kiedy Toto wita się słowami: "Farinacci, słucham"?

–Farinacci to przecież nasz kontakt – usiłował wykręcić kota ogonem. – Wiesz przecież, że Toto nie ma telefonu. Znaczący się, bałem się dzwonić na twoją komórkę, bo może być na podsłuchu.

Kłamał dość składowo, ale potrafię odróżnić szczerą od krętactwa.

–Wymyśl lepiej coś innego, bo naprawdę tracę cierpliwość.

–Odłóż pistolet, obejrzymy razem wschód słońca, pogadamy...

Nie mogłem przystać na tę propozycję. Wiedziałem, że może mieć jeszcze jakąś broń ukrytą przy sobie.

–Nie opuszczaj ręk, Lino.

–Nie wierzę, że chcesz mnie zastrzelić, stary? Nie masz na to jaj. – Wolno ruszył w moją stronę...

–Doprawdy? – Nie zostawił mi wyboru. Strzeliłem. Kula zdruzgotała mu stopę. Padł na ziemię miotając przekleństwa.

–Co robisz?! Uratowałem ci życie, skurwysynu!

–Bo takie miałeś zadanie. Mów, kto ci je zlecił, zanim zajmę się drugą nogą. A pistolet, o ile wiem, jest dziewięciostrzałowy.

Pojął, że nie blefuję, zmienił taktykę.

–Nie wiesz, w co się ładujesz, Alfredo, nie masz z nimi żadnych szans – wycedził przez zęby. Jego twarz szpecił grymas bólu.

–Chciałbym wiedzieć przynajmniej, z kim nie mam tych szans? – naciskałem nieustępliwie. Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Tylko nie przekombinuj. No, kto wydał zlecenie?

–Ludzie Amalfianiego – wybąkał wreszcie.

–Tak myślałem, ci z SGC chcą mnie po prostu wykończyć. Amalnani ma bardziej skomplikowane plany. Mam nadzieję, że powiesz mi, jakie.

–Chcą wiedzieć, co zrobisz. Z kim się spotkasz? Czy działasz sam, czy ktoś cię nakręcił...

–A kiedy już byś się wszystkiego dowiedział... Co miałeś ze mną zrobić?

–Nie jestem mordercą – obruszył się. – Możesz dać mi coś do zatamowania krwi?

Rzuciłem mu chustkę. Jęcząc, próbował opatrzyć ranę. Nie spuszczałem go z oka.

–Rozczarowałeś mnie, Lino. Ty, filozof, apologeta tradycyjnych wartości moralnych, jakże udaje ci się godzić teorię z praktyką... Od dawna pracujesz dla Amalfianiego?

–Nie pracuję dla Amalfianiego. Nie wchodzimy sobie w drogę, to wszystko – wybuchnął. – Jestem niezależnym filozofem, nie gangsterem. Ale świat jest, jaki jest.

Nie da się uniknąć kompromisów. Czasem potrzebowałem jakichś informacji, to mu je sprzedawałem.

–A tym razem sprzedałeś mnie... Ładna transakcja. Na chwilę zamilkł, wreszcie powiedział z ociąganiem.

–Naprawdę nie chciałem tego, zwłaszcza od momentu, kiedy poznałem cię lepiej. Ale zmusili mnie. Mają moją córkę, Mimi. – Z portfela wydobyl zdjęcie ładnej nastolatki. – Nie utrzymujemy ze sobą kontaktu, ale ja ją kocham, a oni o tym wiedzą. Zagrozili mi, że jeśli nie pomogę im z tobą, to... Boże, co teraz z nią będzie – głos nieomal przełamał mu się w szloch. Prawie mu wierzyłem. Musiałem jednak pytać dalej.

–A właściwie czego chcą ode mnie?

–Nie mam pojęcia. Są na ciebie wściekli, bo podobno coś im obiecałeś, potem chciałeś się wycofać, a Organizacja utopiła w tym projekcie miliony.

–Chodzi o program "Psyche"...

–Psy... co? Nie mam pojęcia, o co im chodzi. I wolę nie wiedzieć.

Przypuszczałem, że i tym razem mówił prawdę, choć nie przybliżało mnie to do niej ani na milimetr. Zrobiło mi się żal tego nieudacznika. Przecież właściwie nic mu się w życiu nie udało, nawet dość w końcu żalosne próby wystrychnięcia mnie na dudka. Musiałem jednak kontynuować przesłuchanie.

–Kontaktujesz się osobiście z Amalfianim?

–Skądże, ja? Mały pionek? Zresztą nikt nie wie, kto to jest. Farinacci ma łączność jedynie z capo Organizacji na Rosettinę, a ile jest jeszcze szczebli hierarchii do szczytu drabiny, nikt nie wie.

–A kto jest tym capo Rosettiny?

–Człowieku, zabijają mnie.

–Jeśli mają to zrobić i tak to zrobią. Nie powiem, że wiem od ciebie.

Wahał się chwilę.

–Niccolo Zaccaria.

–Co takiego?! Właściciel Banco Anzelmiano?

–Całkiem możliwe, nie znam się na bankowości. Rusz się lepiej, wezwij jakąś pomoc, zanim umrę z upływu krwi.

–Nie umrzesz, zrób sobie z paska szelek opaskę uciskową. Jakoś dokusztykasz do strażnicy.

–Nie zostawiaj mnie tu, Alfredo. Błagam!

–Z praktycznego powodu powinienem cię zabić, ale jakby nie było jestem humanistą.

Zostawiwszy narzekającego Pavonego na krawędzi urwiska, powróciłem do samochodu. Droga nadal była pusta, a niebo coraz jaśniejsze. Od strony szwajcarskiej nadjeżdżał mercedes z dwoma rowerami na dachu. Wszedłem pod mój samochód, mercedes zatrzymał się. Oderwałem pluskwę i trzymałem ją ukrytą w dłoni.

–Stało się panu coś? – Z mercedesa wychyliło się dwóch miłośników cyklizmu.

–Usunąłem już usterkę – odrzekłem pogodnie. – Ale zaraz... – Pochyliłem się nad ich wozem. – Czy przypadkiem nie macie za mało powietrza w lewym tylnym kole? – Zanim wysiedli, wsunąłem nadajnik pod błotnik. – Nie, przepraszam, wydawało mi się tylko. Szerokiej drogi!

20. Powrót do Sionu

W Martigny zostawiłem wóz na parkingu w dzielnicy hotelowej, a sam pobiegłem na dworzec kolejowy. O 7.35 chciałem złapać Intercity z Genewy. Nie miałem wielu pomysłów. Właściwie jeden. I to chyba nie najlepszy. Odszukać Raymonda Priestla. Chyba nie byłem w tym dążeniu osamotniony. Szukały go władze, żurnaliści, wyznawcy. I jeszcze pewnie paru facetów bez poczucia humoru. Niestety, w dzień po zniknięciu Gurbianiego prorok również jakby zapadł się pod ziemię. Tłumy pątników, z którymi spotykał się na górze zamkowej w Sion, naraz zostały bez pasterza. Chorzy i cierpiący daremnie czekali na uzdrowiciela. Przepadł.

Mimo to pojechałem do Sionu. Po obozowisku wielkiej rzeszy ludzi pozostały jedynie ślady wygniecionej trawy, kilkanaście porzuconych przyczep kempingowych, stragany zamknięte na głucho. W jedynym czynnym stoisku z dewocjonaliami nabyłem za bezcen parę broszurek na temat Raymonda. Stygmaty brata Raya, Dziewięć błogosławieństw, Wyzwania czasu ostatecznego, Nowy Kościół Boży powstaje.

–On wróci – powiedział sprzedawca, suchy i tak pofałdowany, jakby po jego twarzy przeczołgał się lodowiec. – Wtedy to znów będzie się sprzedawało jak świeże bułeczki.

Siadłem na skale w cieniu samotnego drzewa i zagłębiłem się w lekturze. Kim jesteś, święty bracie Raymondzie?

Priestl nie był człowiekiem starym, liczył trzydzieści trzy lata i pochodził z Ameryki. Powinien być więc typowym dzieckiem owego pokolenia wojny wietnamskiej i afery Watergate, dzieci kwiatów, palonych staników i kart powołania. Niektórzy twierdzą, że wtedy właśnie ostatecznie umarł stary świat dziewiętnastowiecznej moralności, a zatryumfowało widmo relatywizmu. Właściwie można rzec, że Ray był w sensie dosłownym dzieckiem Marksa i cocacoli, znaleziono go bowiem w chłodną noc bożonarodzeniową na brooklińskim śmietniku w skrzynce po cocacoli, zaś jedynym kapitałem, jakim dysponował, był spowijający go kocyk. Teoretycznie nie powinien był wyrosnąć na kogoś nadzwyczajnego, adoptowało go bowiem bezdzietne małżeństwo. Ojciec gliniarz, matka kelnerka. Oboje, podobnie jak portorykański ksiądz z miejscowej parafii imieniem Alonso, wyznawali ideały drobnomieszczańskie i bardzo ucieszyli się, że po błyskotliwym ukończeniu szkół publicznych ich adoptowany syn postanowił zostać nie maklerem, programistą komputerowym, prawnikiem czy gangsterem, ale księdzem.

Seminarium ukończył – nazwijmy to – postępowe. Prowadzone było one w duchu New Age'u i delikatnej kontestacji Watykanu w takich kwestiach, jak antykoncepcja, aborcja czy celibat. Niektórych seminarzystów wyprowadziło to poza Kościół (i to całkiem daleko), inni trafili do licznych sekt, których działalność nasiliła się w oczekiwaniu na przełom roku dwutysięcznego, lecz osłabła, gdy nadeszło nowe tysiąclecie, a oczekiwany Armagedon nie nastąpił.

Ray, interesujący się na studiach zagadnieniami ekumenicznymi, postanowił spróbować połączyć praktykę z teorią i nie dopełniwszy święceń, wyjechał do Europy, gdzie został wolontariuszem w ekumenicznym Taize. Tam, po roku dokonał się w jego myśleniu kolejny przełom. Odszedł bowiem od wspólnoty, przystąpił do lefebrystów i wkrótce rozpoczął okres pokutny w pewnym klasztorze o arcysurowym rygorze pod Lozanną. Twierdził, że wśród tradycjonalistów zamierza szukać prawdziwego Kościoła – czy wierzył już wówczas, że z Panem Bogiem da się rozmawiać wyłącznie po łacinie?

W klasztorze wytrwał parę lat, aż zaczęły dziać się z nim rzeczy dziwne; najpierw na skutek postów zapadł w dziwną śpiączkę trwającą czterdzieści cztery dni. Niektórzy lekarze z kliniki w Vevey, dokąd go przewieziono, uważali brata Raymonda za zmarłego – wielokrotnie ustawał mu puls i zanikał encefalogram, a przy życiu podtrzymywała go aparatura reanimacyjna. Aż czterdziestego czwartego dnia wstał i począł mówić dziwnym językiem – sprowadzeni językoznawcy ustalili, że jest to aramejski. Po paru dniach wróciła znajomość mowy nowożytnej, za to występować zaczęły krwawe stygmaty – pojawiły się krople krwi na czole, jak po ukłuciu cierniową koroną, pręgi na plecach, jakby ślady od bicia, nie gojące się rany na przegubach i wreszcie głęboka blizna w lewym boku. Lekarze i miejscowi księża przyjęli te zjawiska bardzo krytycznie. Dopuszczali nawet myśl, że niezrównoważony Priestl dokonał samookaleczeń. Obserwowano go więc pilnie, starając się nie dopuszczać do rozgłosu. Jednakże, pomimo intensywnych zabiegów, rany mnicha

nie goiły się, miast odoru gnicia dobywał się z nich zapach róż.

Wreszcie któregoś dnia Raymond, krążąc po szpitalu, zaszedł na oddział intensywnej terapii, gdzie leżał biskup Lozanny, nieprzytomny po głębokim wylewie. Stał koło łóżka i dźwięcznym głosem nakazał mu wstać. Wedle broszurki, hierarcha, dopotąd sparaliżowany i niemy, uniósł się z łóżka, ukląkł i głośno podziękował Bogu.

Tego wydarzenia nie udało się utrzymać w tajemnicy. Wieść o cudownym uzdrowicielu obiegła katolickie kantony Szwajcarii. Ktoś nawet zaczął mówić o powrocie Mesjasza. Priestl zdementował energicznie te enuncjacje.

–Jestem tylko znakiem czasu – mówił. – Sługą ludzi.

Nie chciał rozgłosu, nie pragnął sławy, toteż zaraz po opuszczeniu szpitala uciekł w Alpy, zaszył się w chacie pasterskiej nad jeziorem Tseuzier, gdzie pościł i modlił się, prosząc Boga o wskazówki.

Jednak znaleźli go i tam – chorzy i łaknący pociechy, a także nienawistnicy pragnący go zdemaskować. Czy mógł odmawiać posługi przybyszom? Modlił się wraz z cierpiącymi, pocieszał, pomagał. I odzyskiwali ślepi wzrok, a głusi słuch. Cofał się rak, kapitulowali Alzheimer i Parkinson.

Niejeden autorytet medyczny próbował udowodnić mu hochsztaplerstwo, na próżno. Hierarchia kościelna, jak zwykle w takich przypadkach, nabrała wody w usta, nie popierając brata Raymonda, ale i nie potępiając. Wielu próbowało naśladować Priestla, szczególnie młodzi ludzie z kręgów charyzmatyków. Nikt jednak nie dorównał temu najdziwniejszemu z proroków.

W dobie goniących za rozgłosem kaznodziejów, showmanów, porywających głosem i ekspresją, Ray stanowił ich zdecydowane przeciwieństwo. Był cichy, nieśmiały, dopiero gdy go wręcz zmuszono, by nauczał, zaczął dzielić się swymi przemyśleniami z ludźmi. Co jakiś czas schodził z gór i wypowiadał swe proste i nieco naiwne kazania na stokach zamku w Sion, który rychło zwać zaczęto Nowym Syjonem. Zrazu głosił tę katechezę raz w tygodniu, potem częściej, a słowa jego, jak kręgi rozchodzące się po wodzie, szły między ludzi i tam nabierały mocy. Uzdrowieni i nawróceni roznosili Żywe Słowo. Zaniepokojone władze kościelne rade byłyby zakazać mu kazań, ale wysłannicy Kongregacji Wiary nie znaleźli w nich niczego zdroźnego. Czego bowiem nauczał prorok z gór, a jego wyznawcy, zwani od niebieskiego krzyża, który przyszywali sobie do odzieży, "krzyżobłękitnymi", roznosili po świecie?

Udzielał w zasadzie tylko trzech wskazań – traktować serio przykazania, dawać świadectwo swej wiary i nie ulegać relatywizmowi. Dobro jest dobrem, zło złem. Zaś tolerancja nie oznacza akceptacji. Innowierca, zboczeniec czy bluźnierca nazywani

powinni być po imieniu. Krzyżobłękitni nie podawali ręki gorszycielom, nie przyjaźnili się z kłamcami, nie przymykali oczu na złodziejstwo. Wybaczyć można było największe grzechy, warunkiem była skrucha. Do walki z aborcją, pornografią, bluźnierstwem nie szukano wsparcia prawa – wystarczyło potępienie moralne.

W rok po pierwszym publicznym wystąpieniu Priestla liczba zadeklarowanych krzyżobłękitnych nie przekraczała kilku tysięcy, ale byli wszędzie. W najróżniejszych środowiskach. Pojawili się nawet w kręgach od dawna uznanych za kompletnie pozbawione zasad moralnych. Wybitny aktor potrafił odmówić roli w filmie, w którym miała wystąpić była heroina porno, europejski pisarz zwrócił dyplom honorowego obywatelstwa pewnej holenderskiej metropolii, gdy zalegalizowano w niej eutanazję. Nie dziw, że obecność wyznawcy Priestla wprawiała w przerażenie organizatorów dyskusji na żywo (wiele redakcji wprowadziło poufny zakaz wpuszczania sympatyków błękitnego krzyżyka do studia). W odróżnieniu od dotychczasowych krzykliwych, histerycznych działaczy prawicy, łatwych do skompromitowania i ośmieszenia, ich jedyną bronią był spokój wsparty na niezłomnej wierze i wierności zasadom. Krzyżobłękitnym nie wolno było łamać prawa, ale również milczeć wobec zła. Podczas burzliwej dyskusji w szwajcarskim parlamencie nazwano ich "najgroźniejszą sektą nowoczesnej Europy". Planowano nawet referendum na temat możliwości wydalenia ich z terenu Konfederacji Helweckiej. Rzecz bez precedensu w kraju uważanym za ostoję demokracji. W Niemczech czołowi intelektualiści zbierali podpisy pod listem otwartym domagającym się leczenia psychiatrycznego religianckich ekstremistów.

Analitycy, którzy dotąd za jedyną alternatywę dla ginącej chrześcijańskiej Europy upatrywali potężniejący islam, przecierali ze zdumienia oczy. Oto powstał ruch mocą i świeżością pierwszym chrześcijanom podobny. Dowodzący, czego może dokonać indywidualny przykład. Inna sprawa, że wszystko opierało się na Priestlu. Jaką siłę mogli mieć konstruktorzy Nowego Królestwa Bożego pozostawieni samopas? A proroka nie było już od dwóch tygodni. O jego uczniach media nawet nie wspominały. Czyżby ruch krzyżobłękitnych miał się okazać efemerydą bez znaczenia?

Rozpytywałem okolicznych mieszkańców o okoliczności zniknięcia mnicha. Odpowiadali mi niechętnie, przyglądając się podejrzliwie mojej tysej czaszce i nie ogolonej brodzie.

–Chce pan go znaleźć? – zapytała naraz zadbana starsza pani w czerni, która wysunęła się z niewielkiego hoteliku o fasadzie wychodzącej wprost na zamek.

–Najpierw chciałbym wiedzieć, co się z nim stało?

–Po prostu zniknął. Nie przybył na poranną modlitwę, na Anioł Pański, na wieczorne czuwanie. Nie zjawił się w namiocie, gdzie przychodzili chorzy, nie odwiedził

hospicjum. Jego asystenci nic nie wiedzą o tej zaskakującej zmianie planów, jego samochód stoi pod namiotem, w którym mieszkał. Do swej chaty w górach też nie powrócił. Nie zostawił żadnego znaku. Policja też nie natrafiła na jego ślad.

–A co mówią ludzie?

–Jedni uważają, że został porwany i zabity przez bezbożników, inni, że skrył się w oczekiwaniu prześladowań, a paru rozgłasza, że wniebowstał. Ja wierzę, że wróci. Czekam. Wynajęłam w hotelu pokój z widokiem na zamek aż do końca roku... Chce pan zobaczyć, jaki mam stamtąd wspaniały pejzaż?

Zaprosiła mnie do swojego pokoiku na mansardzie. Nie zauważyłem tam prócz krzyża żadnych świętych obrazków, ot, parę książek – Katechizm, Czarna księga komunizmu i Dżuma Camusa. – Nie uwierzy pan, jeszcze miesiąc temu byłam osobą całkowicie niewierzącą, gorzej: wojującą ateistką. Wieloletnim członkiem Komunistycznej Partii Francji.

–Skąd więc taka przemiana?

–Mój syn umierał na AIDS. Sam był sobie winien, a raczej winne były moje bezstresowe metody wychowawcze, narkotyki, przygodni kochankowie. Zorientowałam się zbyt późno, nie było nadziei na choćby zahamowanie postępów choroby. Ale powiedz pan to matce. Szukałam pomocy u różnych szamanów, bioenergoterapeutów...

–I uznała pani, że i Priestl nie zaszkodzi?

–Byłam w rozpacz. Nie myślałam już racjonalnie. Przyjechałam tu, zaproponowałam mu pieniądze za cud. A wie pan, co usłyszałam w odpowiedzi?

–No, nie wiem. Że cudów nie ma?

–“Nie potrzebuję pieniędzy, proszę ofiarować swoją duszę”.

–“Panu?” – spytałam.

–“Tak, Panu Najwyższemu”.

–“Ależ to niemożliwe, ja nie wierzę w coś tak śmiesznego jak dusza”.

–“A w życie wieczne swego syna pani wierzy? Proszę spróbować!”

–“To obrzydliwy religiancki szantaż!” – zawołałam wściekła, że jakiś klecha chce łamać moją swobodę wyznania.

–“Przecież ja do niczego pani nie zmuszam. Wydaje mi się, że zaszła pomyłka, źle

panią skierowano, nie jestem żadnym cudotwórcą. To wiara uzdrawia. Ja mogę się najwyżej modlić za panią i za duszę Armanda..."

–Powiedział: "Armand", słyszy pan, a ja nawet nie poinformowałam go, jak mój chłopak się nazywa.

–A zatem syn ozdrowiał? – spytałem.

–Nie, umarł – westchnęła. – Nie miałam w sobie wtedy dość wiary.

–Dlaczego więc została pani tutaj?

–Nasz paryski lekarz powiedział mi przez telefon, że dokładnie o godzinie, kiedy rozmawiałam z bratem Raymondem, Armand poprosił o księdza. A przecież nawet nie był ochrzczony.

–To mógł być przypadek.

–Naturalnie mógł być. Tylko że tych przypadków jest tu dużo. Widziałam metamorfozę tylu ludzi, którzy znaleźli się w strefie wpływu brata Raymonda. Kpiarzy, którzy płacząc wyznawali, że przybyli go ośmieszyć. Bogaczy oddających swój majątek na cele charytatywne. Priestl nie chciał niczego dla siebie. Widziałam dzieci z porażeniem mózgowym zaczynające mówić i mężczyznę z przetrąconym kręgosłupem, który odzyskał czucie w rękach. Wkrótce sama zaczęłam się modlić. Najpierw trochę bezmyślnie, powtarzając to, co mówili inni, później samodzielnie.

–Za kogo się pani modliła?

Jej policzki pokrył rumieniec wstydu.

–Za głupie matki... I proszę uwierzyć, gdzieś dwa tygodnie temu Raymond sam skierował na mnie swe oczy.

–"Claire – powiedział – długą drogę przebyłaś, jestem z ciebie dumny. I dlatego ośmielałem się mieć do ciebie pokorną prośbę. Jeśli odejdę, czekaj..."

–"Dokąd chciałbyś odejść, Ray"?

–"Mówię... jeśli. Ty czekaj. Zjawi się tu człowiek, Włoch imieniem Aldo, a wtedy powtórzysz mu słowa, że żeby dojść, trzeba iść dalej".

Skoczyłem na równe nogi. Jeśli nie była to pułapka, zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. – Ja jestem Aldo.

–Wiem. Inaczej bym pana nie zaczepiła.

–Czy powiedział coś więcej. Gdzie mam go szukać?

–Nie, mówił, że to panu wystarczy.

Najwyraźniej prorok przecenił moją inteligencję. Nie miałem pojęcia, co robić dalej. Mimo moich indagacji, pani Claire upierała się, że Priestl nie przekazał jej nic więcej. Udało mi się natomiast dowiedzieć sporo o samym Raymondzie. Był drobny, chłopięcy – taki kruchy – mówiła. Przypominał trzcinę gotową złamać się przy mocniejszym porywie wiatru, mówił półgłosem, nieśmiało, czasem brakowało mu słów.

–Ale za to miał oczy...

–Zwyczajne, łagodne, jakby zamglone.

–Gdzie więc kryła się jego siła? Czym urzekał ludzi, że gotowi byli rzucić wszystko i podążyć za nim?

–Zdobywał nas dobrocią i prawdą. Nie można go było nie kochać. On był... On jest – poprawiła się – jak sam Chrystus.

Wizerunek musiał być przesadzony, ale złożyłem to na karb egzaltacji starszej pani, w której umyśle Priestl najwyraźniej zastąpił zmarłego syna. Poza tym w kreślonej przez nią sylwetce jedne cechy zdawały się wykluczać drugie. Łagodność i moc, dobroć i bezkompromisowość.

–Gdyby pan go tylko posłuchał. Wszystko byłoby jasne. Pamiętam, na początku mego tu pobytu uczestniczyłam w jego rozmowie z kobietą. Nie ja jedna; przed zamkiem były nas tysiące. To była Włoszka, matka pięciorga dzieci spodziewająca się szóstego. Była biedna, mąż ją porzucił. Przedstawiała racjonalne argumenty za aborcją. Raymond odpowiedział jej prosto. “Nie dręcz się, niewiasto, problemem, którego nie ma. Unikniesz rozdarcia, gdy uznasz coś za nieuchronne. Jeśli przyjmujesz za swoje przykazanie: «Nie zabijaj», będziesz wiedziała, że nie ma żadnych warunków usprawiedliwiających zabójstwo, będziesz myślała nie o tym, czy urodzić dziecko, ale jak się nim zająć?” I potrafił ją przekonać. Twierdził, że najwięcej problemów mają ludzie z powodu nadmiaru wolności, którą sobie nadali. Jeśli popatrzeć na życie w kategorii obowiązków i powinności, jeśli częściej myśleć o rzeczach nieuchronnych, a mniej o doraźnej łatwiźnie...

Wówczas zabrałam głos, w tłumie mieliśmy do dyspozycji wiele mikrofonów. Zaoponowałam namiętnie przeciw sprowadzaniu roli kobiety do inkubatora, pozbawianiu jej prawa do decyzji... Mówiłam bardzo impulsywnie.

Skontrolował mnie delikatnie i krótko:

–“Claire, rozmawiałaś kiedyś ze swymi rodzicami, czy przed twym urodzeniem dyskutowali nad problemem: dziecko czy nowy samochód?”

Zamilkłam.

–I ludzie to przyjmowali bez zastrzeżeń? – zapytałem.

–Na tym polegała jego magia...

Nasza rozmowa przeciągnęła się do popołudnia. Później rozmawiałem jeszcze z miejscowym księdzem, który, ryzykując ekskomuniką, przystał do krzyżobłękitnych. Podobnie jak współpracownicy Priestla sprawiał wrażenie zagubionego. Pracownik parkingu wyraził nękające wszystkich obawy:

–Mogli go zabić.

Myślałem sporo nad sformułowaniem: “Żeby dojść, trzeba iść dalej”, ale nie potrafiłem tych słów zinterpretować. Co, u licha, chciał mi tym sposobem przekazać? Wynająłem prywatny pokój na skraju miasta, obawiając się, że ludzie Amalfianiego z pewnością będą mnie poszukiwać, i czekałem na jakiś znak. Nabyłem również kasetę z nagraniami. Nie były profesjonalne; w tle słyszałem odgłosy miejskiego gwaru, świst wiatru. Głos Priestla zaś brzmiał słabo, nieraz na granicy słyszalności. Ale było w nim coś fascynującego. Szczególnie polubiłem jeden psalm.

Wysoko w górach jesteście blisko Boga,

pomiędzy nami tylko chmury, słońce, wiatr,

bo życie jest, jak bardzo stroma droga,

a każda mila to tak jakby kilka lat...

Olśnienie przyszło we śnie. Wrócił w nim obraz jazdy w dżdżystą noc samochodem serpentynami, ręce zaciśnięte na kierownicy. Drogowskaz: “Anzere 7 km”.

Zerwałem się z posłania, za oknem noc, jeszcze nie zaczynało świtać. Telefonicznie zamówiłem taksówkę.

–Zawiezie mnie pan do Anzere? – spytałem taksjarza o oczach zaczerwienionych, jakby dopiero wstał z łóżka.

–Jeśli zapłaci pan za kurs powrotny.

Domyślałem się, czego szukał w tamtej okolicy Gurbiani. Wysoko w górach mieściła

się dawna pustelnia Priestla. Oczywiście nie łudziłem się, że mógł do niej wrócić, wielu przede mną już to sprawdzało, ale skoro miałem "iść dalej", to dokąd... Może przynajmniej natrafię na jakąś wskazówkę.

W Anzere sprzed hoteliku nieopodal stacji kolejki linowej na Sex Rouge ukradłem górski rower. Właściwie pożyczylem. Miałem szczerą wolę go zwrócić. Ciągłe było jeszcze ciemnowo, ale pedałowalem zawzięcie w stronę masywu Ravilhorn. Po dobrej godzinie, równo ze wschodem słońca dotarłem w pobliże niewielkiej siłowni nad brzegiem jeziora Tseuzier. Objechałem je wokół i pozostawiłem wehikuł w miejscu, gdzie ścieżka zaczęła stromo wspinać się pod górę. Zauważyłem tam nawet amatorsko wykonany drogowskaz z napisem: "Cabana Priestl". Ranek robił się prześliczny, na trawach i alpejskich kwiatach leżała rosa, co jakiś czas odzywały się świstaki. Nigdzie ani śladu turysty. Idąc wyżej, posłyszałem dzwonki krów. To szwajcarskie "milki" wychodziły na swe górne pastwiska. Po chacie Raymonda pozostały jedynie osmalone kamienie i resztki spalonego drzewa. Ktoś podpalił ją dobry tydzień temu. Na głazach leżały jednak znicze i świeże kwiaty dowodzące ludzkiej pamięci. A między kamienie odwiedzający powtykali, niczym w jerozolimską Ścianę, karteczki z prośbami i modlitwami. Odszukałem pasterzy. Mówili jedynie po francusku, a mnie, pomimo lat spędzonych w Paryżu, szła ta mowa zaskakująco opornie. Oczywiście, nie wiedzieli niczego, od dwóch tygodni nie widzieli Priestla.

Zgodnie z przekazanym wskazaniem, próbowałem iść dalej, jednak po przejściu kolejnego kilometra ścieżka skończyła się przy skalnym rumowisku. Wspiąłem się i na nie. I tam stanąłem bezradny. Dalej ciągnęło się szare kamienne bezdroże, zaś nad nim piętrzyła się pokryta śnieżną czapą bryła góry Wildstrubel. Jak okiem sięgnąć, ani śladu człowieka, szałas, ścieżki lubo wskazówki. Czułem się pokonany. Bezradny.

Postanowiłem odpocząć i wracać. Naraz na bezchmurnym niebie obaczyłem wielkiego orła. Szybował z rozpiętymi skrzydłami niczym pierzasta lotnia, naraz złożył się jak nurek do skoku i zapikował między głązy. Potem wzbił się znowu z pustymi szponami i dalej szybował, aby ponowić swój atak... Kiedy uczynił tak po raz trzeci i nadal nie miał żadnej zdobyczy, uznałem, że nie może być to przypadek i nie zlekceważyłem znaku. Ruszyłem krawędzią urwiska. Potem dokonałem karkołomnego przejścia granią, ryzykując w każdej chwili skręcenie karku. Wreszcie ujrzałem osłoniętą skalną półkę. I martwego barana wbitego na żerdź... To on musiał przywabić ptaka. Obok zwierzęcia ujrzałem wąski otwór. Chłodny powiew wskazywał, że jaskinia jest przelotowa. Dzięki swej przezorności, w plecaku miałem latarkę. Wszedłem do groty suchej i ciasnej, tak iż momentami musiałem iść na czworakach. Chwalić Boga, nie było żadnych rozgałęzień. Posuwałem się tak czas dłuższy, aż znów zamajaczyło światło dnia. I ujrzałem postać ludzką stojącą na tle skalnego okna. Wydawała się ogromna. Otaczała ją świetlista aureola, tak że nie mogłem zobaczyć rysów twarzy. Ozwał się za to głos cichy, słodki, nie wiedzieć dlaczego znajomy.

–Witaj, Aldo. A więc udało ci się wrócić. Bogu niech będą dzięki.

Z trudem opanowałem uśmiech politowania. Prorok Priestl stanowczo był przereklamowany, cóż to za cudotwórca, który nie potrafi odróżnić fałszywego Gurbianiego od prawdziwego. Poza tym już na wstępie zirytował mnie jego przyjazny ton wobec człowieka, którego nawet ludzie znacznie mniej pobożni uważali za wcielenie antychrysta. W zestawieniu z naukami o dawaniu świadectwa brzmiało to obrzydliwie dwuznacznie.

–Siadaj, pewnie napijesz się mleka. – Podał mi gliniany kubek. Z bliska okazał się drobny, wręcz mały, zaś płomiennorude włosy, znane z konterfektów, pospolicie wyblakłe i rzadkie. – Widzę, że zdziwiły cię moje słowa. Cóż, zapewne niewiele pamiętasz ze swego poprzedniego życia, prawda? Czasem w snach wracają jakieś obrazy, jakieś słowa, ale wszystko ciągle nie składa się w całość...

–Skąd pan o tym wie? – wyrwało mi się.

–Nie wiem, skąd wiem, ale wiem – odparł cicho, dotykając delikatnie mej głowy, jak matka głaszcząca dziecko. Pamiętałem jego twarz z fotografii – teraz nie przypominał samego siebie: schudł, jego rysy się wyostrzyły. – Jesteś głodny? – spytał. Pokręciłem głową. – A zatem, Aldo, najpierw chciałbyś pewnie, bym ci przypomniał, co tu się wydarzyło ostatnim razem...

–Byłbym bardzo wdzięczny.

–Długa to historia, ale czasu nam nie brakuje... No cóż, trzy miesiące temu w zamku w Sionie pojawiła się twoja najlepsza reporterka, Mabel Finger. Słynna "Szalona Mabel", która potrafiła przespać się z następcą tronu brytyjskiego i przeprowadzić z tego dla SGC transmisję na żywo. Byłeś przekonany, że zrobi ze mnie szmatę. Ośmieszysz fałszywego proroka, zmiażdży pseudokapłana, zdemaskuje rzekomego uzdrowiciela. Kiedy zadzwoniła, że wraca z materiałami, byłeś przekonany, że będzie to hit. Ogłosiłeś to w zapowiedziach programowych SGC...

–Nie pamiętam, nic nie pamiętam.

Uśmiechnął się.

–Chyba to dla ciebie lepiej. Chociaż to akurat muszę ci przypomnieć. – Wyciągnął rękę jak Bóg Ojciec do Adama na fresku Michelangelo w Sykstyнії i dotknął mnie koniuszkami palców. Przeszył mnie elektryczny wstrząs, światło nagle zgasło, po czym znowu rozbłysło. Zobaczyłem mój gabinet w SGCCenter i Gurbianiego mieszającego palcem lód w szklance z alkoholem.

21. W poszukiwaniu straconej pamięci

–Przyszła Mabel – zaanonsowała panna Watson, a w głosie jej zabrzmiała spora doza niechęci do młodszej i zdolniejszej pracownicy.

–Niech włazi – powiedział Gurbiani, łyknął dwie pastylki i popił rozcieńczoną whisky z colą. Cholerny ból głowy. Dawniej kac przechodził mu jak ręką odjął po jednej aspirynie lub szybkim porannym numerku. Dziś nie pomagało ani jedno, ani drugie.

Mabel Finger była ruda i piegowata, ale miała wszystko na miejscu i podobno była niezła w łóżku. Aldo nie przeleciał jej dotąd z prostego powodu. Nie cierpiał rudych i piegowatych.

Mimo to przywitał ją serdecznie.

–Cześć, dupeczko. Czego się napijesz?

–Masz malibu?

–Głupie pytanie. Ja wszystko mam. – Pilotem przywołał automatyczny barek, po czym wyjął z chłodziarki mleko. – A ty co masz dla mnie?

–Trzyście godzin nagrań z ukrytej kamery, ale całkiem niezłej jakości. Tylko – wygięła usta w podkówkę – chyba tym razem nie będziesz ze mnie zadowolony.

–A to czemu?

–Nie znalazłam na niego haka.

–Jak to? – Palec mieszający kostki lodu zamarł. – Żadnego? Przez tyle dni?

–Gdyby się uprzeć, starczyłoby tych nagrań na pięć procesów beatyfikacyjnych. Mówię ci, szefie, on naprawdę jest jak święty. Nie bierze od ludzi szmalu za swoje usługi, nie żyje ze swymi wyznawczyniami, nie ćpa, nie pije i niczego nie udaje. Jedynie modli się i... uzdrawia.

–Nie pieprz!

–Już pierwszego dnia jakaś kobieta dziękowała mu przy mnie, że przerzuty raka piersi zniknęły bez śladu...

–Ech, Mabel. Wczoraj się urodziłaś? Nie wiesz, jak to się robi? Baba była na pewno podstawiona. Taka “święta klakierka”.

Też ją o to podejrzewałam. Dlatego sprawdziłam. Dotarłam do jej szpitala, do kart choroby, do lekarzy. Przed przybyciem do Sionu dawali jej miesiąc życia.

–Nie opowiadaj mi takich głodnych kawałków. – Aldo nie znosił rzeczy, których nie

rozumiał. – A może i ciebie ktoś podkupił?

–Nic nie poradzę, szefie, naprawdę widziałam dziesiątki zdarzeń nie mieszczących się w głowie. Rozmawiałam z ludźmi, którzy się tam gromadzą. Nie wykryłam żadnych szwindli, żadnego prania mózgow; oni naprawdę szczerze się tam modlą i wierzą, że to pomaga. I niektórym pomaga.

–Jeżeli jeszcze powiesz, że i ciebie nawrócił ten magik, to będzie cud wszech czasów.

–Daj spokój, Aldo. Znasz mnie. I wiesz, że zrobię dobry reportaż nawet z gównianego materiału. Priestl ma wyrobioną przez media opinię ciemnego guślarza. Ludzie otrzymają więc to, czego się spodziewają. Może nie będzie to nokaut, ale poślę go na dechy. Wybiorę najbardziej głupie wypowiedzi pielgrzymów, przykłady bezrozumnej dewocji, wywiady z rozczarowanymi, do uzdrowień których nie doszło, przekupniów, którzy golą pielgrzymów po kieszeni... Zmontuję słowa przeciw obrazom. Da się obejrzeć. Tyle, że nie o tym chciałam mówić. On mnie przejrzał!

Gurbiani omal nie upuścił szklanki.

–Co ty chrzanisz?! Kiedy?

–Podejrzewam, że od samego początku. Natomiast wczoraj przed moim wyjazdem osobiście odwiedził mnie w hotelu, w Anzere.

–I co?

–Akurat segregowałam taśmy, ledwie udało mi się wepchnąć je pod kołdrę. A on od progu: "Przepraszam, córko, ale musiałem przyjść. Byłoby nieuczciwe, gdybym was nie ostrzegł".

–"Jakich was?" – spytałam.

–"Ciebie i Gurbianiego".

–Wypowiedział moje nazwisko?

–Tak. A potem demonstracyjnie odkrył kołdrę. Ale nie dotknął taśm. Tylko popatrzył tak cholernie dziwnie mi w oczy i powiedział:

–"Powiedz mu, że choć przychodzi mi to z trudem, modłę się za niego. Czasu jest mało. Bóle będą się nasilać..."

–"Jakie bóle?" – pytam.

–"Głowy! Potem pojawiać się będą miejscowe stany odrętwienia, znikające i

powracające... Przekaż mu, że radzę, aby jak najszybciej się skontaktował z doktorem Rendonem..."

–Skurczybyk! Wypowiedział nazwisko mojego prywatnego lekarza... Musi mieć wszędzie szpiegów.

–Pewnie tak. W każdym razie obiecałam, że powiem ci wszystko, co mi mówił, i jeśli zechce, przekażę mu twoją odpowiedź. A on na to: – “Nie przekażesz, nie przekażesz – i uśmiechnął się smutno. – Chociaż gdybyś potrafiła być bardziej uważna..."

–Ale taśm nie zabrał?

–Niechby spróbował, wiesz, takiego chudzinę to ja jedną ręką... Teraz, jeśli pozwolisz, pojedę do domu trochę się odświeżyć, a potem wezmę się ostro do montowania.

Pięć minut później zapomniał o rozmowie. Zresztą promieniujący ból całkowicie ustąpił. Dopiero w czasie oglądania wieczornych wiadomości wszystko powróciło. Z intonacji w głosie spikera wyczuł, że zdarzyło się coś ważnego:

–Światowej sławy reporterka od lat związana z SGC, Mabel Finger, jadąc dziś z dużą prędkością Via Romana, na zakręcie najechała na krawężnik i straciła panowanie nad kierownicą. Jej wóz zderzył się z jadącym z przeciwnej strony mercedesem. Dziennikarka nie była przypięta pasami. Wyleciała przez przednią szybę wprost pod koła ciężarówki...

Ból pod czaszką gwałtownie powrócił. Aldo zaklął, podniósł się z fotela, odstawił drinka, przeszedł się parę razy po puszystym dywanie, a potem poszukał numeru telefonu doktora Rendon.

Wszystkie badania utrzymywali w tajemnicy. Nawet Luce Torresemu, który towarzyszył mu w drodze do kliniki, zwierzył się jedynie z zadawnionych problemów z zatokami. (Na wydział onkologiczny przeszedł z laryngologii podziemnym łącznikiem.) Akurat potrzebował plotek na temat swego zdrowia, teraz, kiedy finiszował z programem "Psyche"!

Wyrok zapadł szybkiej, niż myślał. W pierwszej chwili Gurbiani osłupiał.

–Chyba kpisz, doktorku? – zawołał. – Co to ma znaczyć: niewielkie szansę? Dysponuję nieograniczonymi środkami.

–Środki nie mają nic do rzeczy – odparł przyciszonym głosem Rendon. – W pewnych sytuacjach medycyna bywa ciągle bezradna. Guz jest rozległy,

nieoperowalny. Jego umiejscowienie w mózgu wyklucza zastosowanie naświetlań. Oczywiście, będziemy go hamować, zapewnimy wszelkie środki uśmierzające ból...

–Może trzeba powtórzyć badania, ściągnąć innych specjalistów.

–Miałem w tej sprawie trzy konsylia, Aldo.

Dopiero teraz cała prawda doszła do niego z pełną brutalnością. Chciał wstać, nie mógł, przytłoczony przerażeniem.

–Ile doktorze? – wyjąkał. – Ile mam czasu?

–Masz zdrowy, silny organizm, Aldo. A my uczynimy wszystko... Do pół roku.

Nie spał tej nocy. I przez parę następnych. Oto nagle mozolnie wznoszony gmach jego kariery walił się. Imperium medialne, niebywale możliwości nie miały żadnej siły przebicia wobec paru komórek, w których jakiś czas temu rozpoczął się proces rakowacenia. Mówi się, że po ukończeniu trzydziestego piątego roku życia człowiek choć raz myśli o śmierci. Gurbiani dobiegał pięćdziesiątki i dotąd ani razu się nad śmiercią nie zastanawiał. Pieniądze, hormony, bypassy miały zapewnić mu co najmniej drugie tyle fajnego życia. A potem... Kto wie, do czego będzie zdolna nauka? Disney podobno się zamroził. Inni sporządzali swoje genetyczne kopie. Za kilkanaście, najpóźniej kilkadziesiąt lat elektroniczna kopia zeskanowanego mózgu da nieśmiertelność... Pół roku! Jakież szatan to sprawił?! I skąd ten szaman się tego domyślił? – Obejrzał na wideo swoje telewizyjne wystąpienia. Między tymi sprzed roku a obecnymi nie dostrzegł różnic. Skąd więc Priestl mógł wiedzieć?

Przez jedną dobę głużył się alkoholem, ale w połączeniu z zażywanymi lekami dało to efekty opłakane. W środku nocy wyszedł na taras nad swym domem. Na horyzoncie migotały światła Rosettiny, nad głową płonęły gwiazdy.

–Jakże ja jestem sam – powiedział do siebie pijaniusieńki Aldo i się rozplakał.

W istocie bowiem samotny był jak mało kto. Przyjaciół nie miał. Kobiety traktował jak bezmózgie zabawki. Rodzina? Od lat nie miał kontaktów z tą gromadą głodnych nierobów. Zresztą brzydzili się nim. Jedyne dziecko, jakie mógł mieć, Lili usunęła w drugim miesiącu... Może nie powinna była tego robić...

Patrzył na światelka miasta. Za każdym kryło się jakieś okno, mieszkanie, ludzie... Pieprzone, niewarte rozdeptania mrówki, jednak te mrówki miały przeważnie jakiś cel w życiu. Coś po sobie zostawiały... Dzieci, wnuki lub choćby ciepłą pamięć. Wrócił do saloniku i zaczął oglądać swoje najlepsze programy. Po kwadransie roztrzaskał ekran. Gówno! Gówno! Gówno!

Przybiegła przerażona pokojówka.

–Co się stało, szefie? Jestem potrzebna?

Przepędził ją przekleństwem. Była mu zbyt cenna. Ze strachu od paru dni przestał mu stawać.

Poszedł na strych, gdzie leżały walizy, skrzynie nie otwierane od ostatniej przeprowadzki. Przedzierając się przez pajęczyny, odnalazł kufer ze lwami wytłoczonymi na masywnym wieku, dziwiąc się, że jeszcze nikt go nie spalił. Otworzył... Uderzyła go dziwna woń. Nie potrafił ocenić, czy był to zapach dzieciństwa czy śmierci? Znalazł zdjęcia matki w kostiumie scenicznym. Własny szkolny dyplom za pierwsze miejsce w konkursie plastycznym. Nagrodę Stowarzyszenia Wolnej Prasy dla wybijającego się studenta. Kilka teczek z maszynopisem młodzieńczej, nigdy nie ukończonej powieści... Na dnie palce natrafiły na jakiś większy, zakurzony obrazek. Przetarł go i ujrzał pacholątko prowadzone przez anioła skrajem ciemnego wąwozu. Podpis głosił: "Pamiątka pierwszej Komunii Świętej".

Histeryczny śmiech rozbrzmiewał długo, długo, aż przeszedł w szloch.

Musiało minąć dwa miesiące, by Gurbiani dojrzał do decyzji. Dla postronnych obserwatorów niewiele się zmienił. Nadal był autorytatywny, pewny siebie, zjadliwie dowcipny. Chociaż zaniechał większości uciech i zabaw, a gdy nie musiał, nie wychodził w domu. Najbliższym współpracownikom powiadał, że pracuje nad czymś większym. I rzeczywiście, kiedy do rezydencji zaglądał czy to Eusebio, czy Lili, czy profesor Carducci z wieściami na temat zaawansowania prac nad dekodernami maskującymi, niezmiennie znajdowali go pochylonego nad notebookiem. Co pisał, nie udało się im ustalić, albowiem z jakiegoś powodu zachowywał tę informację dla siebie. Od pewnego czasu wymagał też przysyłania wszelkich wycinków dotyczących Raymonda Priestla. Kazał też dostarczyć sobie wszystkie taśmy nagrane przez Mabel Finger. Wiadomo, że oglądał je, ale co uczynił potem? Żadna z nich nie wróciła do archiwum.

Któregoś dnia zażądał helikoptera. Miał lecieć tylko on i Torrese. Nie było tej wyprawy w żadnym z wcześniejszych planów, próżno by szukać jej w terminarzach firmy. Luca jak zwykle nie zadawał pytań. Przejął osobiście stery i ruszyli w stronę kantonu Valais. Nad Alpami szalały burze, ale Aldo uparł się lecieć, co zdumiewało ochroniarza; pan jego dopotąd szaleńczą odwagą się nie wyróżniał. Przybywszy do Sionu późnym popołudniem, wynajęli pokój w najlepszym z miejscowych hoteli. 'Roku wielkiego nie było. Uzdrowiciel miał zejść z gór dopiero za dwa dni. W środku nocy Luca obudził się z jakiegoś niespokojnego snu i wiedziony intuicją pobiegł do recepcji, gdzie dowiedział się tylko tyle, iż dwie godziny wcześniej jego patron wsiadł do wynajętego samochodu i oddalił w nieznanym kierunku.

–I przybył do pana? – dopytuję się Priestla. Kiwa głową. Siedzimy na progu jaskini, pożywiając się owczymi serkami i podpłomykami upieczonymi własnoręcznie przez Raymonda. – Jak go pan przyjął?

–Normalnie.

–Przecież wedle pańskiego systemu wartości był wcielonym złem.

–Dla mnie byłeś wyłącznie chorym, przerażonym człowiekiem. Nie pamiętasz?

–Nie pamiętam.

–To przypomnij sobie.

Znów przeszywa mnie elektryczny impuls i znowu zachodzi zmiana w scenach mojego widzenia. Jest dżdżysty dzień, a właściciel SGC stoi ubłocony od stóp do głów na progu szałas proroka. Widzę go jakby trochę z zewnątrz, z góry, z boku...

–Byłeś zapisany? – powstrzymuje potentata brodaty cerber jakby żywcem wyjęty z komiksu o Asteriksie.

–Niech wejdzie – słychać cichy głos z wnętrza. – Błogosławieni, którzy błądzą, albowiem ich ścieżki prostować się będą.

Uzdrowiciel nie podał ręki Gurbianiemu, podsunął mu jedynie aluminiowe krzeselko rybackie, sam zasiadł na nie heblowanej ławie i stamtąd przypatrywał się potentatowi.

–A więc odwiedził mnie pan głównie po to, aby zapytać, skąd wiedziałem o pana chorobie i w jaki sposób przewidziałem śmierć panny Finger? – mówi, zanim jeszcze Aldo zdoła otworzyć usta. Zaskoczony potentat kiwa tylko głową. Ten cwany mag zdołał zaskoczyć go już pierwszym zdaniem.

–To proste, widzę aury wokół ludzi. Zawsze zresztą je widziałem, tylko kiedyś nie potrafiłem ich właściwie rozpoznawać, a teraz zmysł postrzegania trochę mi się wyostrzył.

–Rozumiem, że emisje bioprądów człowieka chorego różnią się od tego, co wydziela człowiek zdrowy, nie wyobrażam sobie jednak przewidzenia śmierci w wypadku drogowym. To się nie mieści w głowie.

–Był pan kiedyś w Afryce? – pada pytanie zda się nie na temat.

–Oczywiście. Wielokrotnie.

–A więc musiał pan widzieć, jak śladem chorego zwierzęcia podążają hieny. Czują zdobycz. Oni też.

–Jacy oni.

–Nie nazwę ich, choć mają wiele nazw. Czają się dzień i noc. Czasem bliżej, czasem dalej. Gdy czują, że czas się zbliża, osaczają jak wilcze stado duszę, nie dopuszczając światła. Wtedy stają się widoczne. Dla mnie, ale nie tylko...

–Widzi pan diabły? – Aldo chce się zaśmiać, ale przeszywa go dreszcz.

–Widzę koncentrującą się ciemność i czuję zło. Biedna Mabel... Były przy niej tak blisko. Nie mogłem jej pomóc, ale modłę się za nią codziennie.

–Imputuje pan, że moja najlepsza współpracownica została po śmierci porwana do piekła? – Gurbiani czuje wściekłość, że w tej rozmowie dał zepchnąć się do defensywy.

–Nie twierdę nic podobnego. Albowiem nikt nie zna Tamtej Strony ani wyroków Ojca. Czuję jedynie ból jej duszy, lęk, cierpienie, słyszę po nocy jej krzyk z głębokości. Nie wiem jednak, czy potępienie jest ostateczne i wieczne.

–Dobra, panie święty – Aldo postanawia zmienić ton. – Wysłuchałem kawałka kazania przypisanego na dzień dzisiejszy, a teraz pogadajmy otwarcie. Czy pańskie bioenergoterapeutyzmy mogą pomóc na mego raka?

–Nie wiem.

–Czy to unik, czy zaproszenie do finansowej licytacji?

–To zależy od pana.

–Proszę rzucić kwotę.

–Nie zrozumieliśmy się. Nie handluję ludzkim życiem. Muszę wiedzieć, czy pan naprawdę chce żyć.

–A kto, kurwa, nie chce, świat jest paskudny, ale to jeszcze nie powód, żeby opuszczać go przed pięćdziesiątką.

–Panie Gurbiani, każdy lekarz panu powie, że warunkiem terapii jest akceptacja jej przez organizm. Nie można pomóc choremu, który się poddał i pogodził ze śmiercią.

–Ależ ja się nie godzę.

–Pogodził się pan dawno temu jeszcze jako dziecko, przekładając nienawiść do ojca

sadysty i matki, która was opuściła, na cały świat i obrażając się na Boga, iż mu nie pomógł. Potem pogarszał pan ten stan, co dzień ustępując własnym słabościom, zastępując swe lęki pychą i arogancją. A pieniądze stały się z czasem jedynym miernikiem pana własnej wartości.

–Kto panu o tym nagadał?

–Wie pan, jest w języku piłkarskim określenie: “stałe elementy gry”. Chociaż każdy człowiek jest istotą niepowtarzalną, jak wszystko na tym świecie, to jeśli wysłuchało się tysiąca spowiedzi...

–Nie zamierzam się przed panem spowiadać, ani teraz, ani nigdy. Nie dam się otumanić gusłami i jarmarcznymi sztuczkami. Jeśli może pan mnie wyleczyć, proszę, zrób pan to, mogę nawet z wdzięczności wybudować panu jakiś monumentalny kościół na miarę tego choćby, jaki powstał w Polsce, w jakiejś prowincjonalnej miejscinie, na “L” bodaj, ale, do cholery, nie życzą sobie nawracania.

–Zatem lepiej będzie, jeśli się pożegnamy.

–Oczywiście, cwaniaczku. – Gurbiani zrywa się na równe nogi.

–Wiem, że i tak pan wróci.

–Każdemu to mówisz?

–Jest w tobie tyle nienawiści i tyle pustki oczekującej na miłość.

–Sranie w banię!

–Będę czekał na ciebie i będę się modlił. Nie wiem, czy uda mi się uzdrowić twe ciało, ale dusza jest ważniejsza. Jeśli zdołasz wykrzesać w sobie żal za swe grzechy, znajdziesz siłę i na pokutę, i na zadośćuczynienie.

Aldo nie chciał tego słuchać. Wybiegł z szałas. Deszcz właśnie skończył padać. Góry w pełnym majestacie suszyły się w słońcu, a pół nieba przepasywała ogromna tęcza.

–I ani przez chwilę nie zwątpił pan w szansę nawrócenia Gurbianiego? – pytam Raymonda Priestla.

–Nie wolno mi było. Wiedziałem, że zasiałem ziarno. Czułem, że zapadło głęboko. Gurbiani, choć obrażony i wściekły na mnie, wyszedł stąd innym człowiekiem. Choć może sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Zresztą proszę sobie przypomnieć.

W Sionie znalazł się późnym popołudniem, zmęczony, z bolącą głową, wściekły, że zmarnował czas. Do tego prorok zaszczerpił mu dodatkowy niepokój w duszy... Oni. Czekaający, otaczający go coraz ciaśniejszym kręgiem. Szatani? Erynie? Całkowity nonsens. Co ten pieprzony mnich zrobił, że nawet teraz Aldo czuł ich obecność... Potęga pieprzonej sugestii!

Odstawił wóz na parking i wracał do hotelu przez most na Rodanie. Rzeka wezbrała po ostatnich deszczach, ale pogrążony w myślach, nie zwracał na to uwagi. Zastanawiał się, czy pogłos, który słyszał, to odbicie jego kroków o kamienną balustradę czy też... Z zamyślenia wyrwał go ostry krzyk:

–Au secours, au secours!

Uniósł głowę. Pomocy wzywała starsza kobieta biegnąca nadbrzeżem: w spienionym nurcie widać było jasną główkę paroletniego dziecka próbującego utrzymać się na powierzchni.

–Ludzie, na miłość Boską, niech ktoś pomoże – krzyczała starowinka.

Gurbiani rozejrział się; na moście i nad brzegiem było mnóstwo gapiów, nikt jednak nie kwapił się do udzielenia pomocy. Naraz dziecko w rzece zniknęło pod wodą. Musiał tam być wir. Aldo, wiedziony nagłym impulsem, zrzucił buty i skoczył z mostu. Po chwili był przy małej, sam prąd go zaniósł. Zanurkował, trafił na drobne ciało, wyrwał je z kipieli i pociągnął ku brzegowi. Nie wiedział, skąd bierze w sobie tyle sił... Naraz pojawiła się jakaś łódka, oboje zostali wciągnięci do środka. Ludzie na brzegu bili brawo. Po zejściu na ląd cała uwaga zogniskowała się na dziewczynce, ktoś robił jej sztuczne oddychanie, zajęchała karetka. Aldo uciekł. Był cały mokry, nie miał butów, ale do hotelu zostało ledwie parę metrów...

–Boże, co się panu stało?! – zawołała na jego widok recepcjonistka.

–Trochę padało – odparł i powlókł się do apartamentu, gdzie natychmiast przebrał się w szlafrok.

Za chwilę nadbiegł wzburzony Luca Torrese.

–Gdzie się podziewałeś, szefie? – zawołał. – Cholera! Najadłem się przez ciebie sporo strachu.

–Niepotrzebnie, zrobiłem sobie małą wycieczkę.

–Było mnie uprzedzić... Aha, w międzyczasie ktoś przyniósł przesyłkę.

–Przesyłkę?

–To chyba jakaś książka, nie otwierałem, ale wykrywacz nie wskazuje obecności metalu.

–Dobrze. Przynieś mi małego drinka.

Kiedy Luca wyszedł, rozpakował paczkę. Była tam rzeczywiście książka: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu.

–Kto to dostarczył? – spytał ochroniarza, gdy ten powrócił. – I kiedy?

–Okolo jedenastej. Taki rudawy, chudy mężczyzna koło trzydziestki, o bardzo miłym głosie.

Aldo nie skomentował. Choć wedle krążących pogłosek Priestl potrafił być w kilku miejscach naraz, nie miał zamiaru wierzyć w takie brednie. Jedno dobre, ból głowy znów przeszedł. Kładąc się do łóżka, machinalnie sięgnął po przyslaną książkę i otworzył na chybił trafił. Miał przed sobą fragment Dziejów Apostolskich. Zaczął czytać półgłosem:

Szaweł ciągle jeszcze siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich. Udał się do arcykapłana i poprosił go o listy do synagog w Damaszku, aby mógł uwięzić i przyprowadzić do Jerozolimy mężczyzn i kobiety, zwolenników tej drogi, jeśliby jakichś znalazł. Gdy zbliżał się już w swej podróży do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba. A gdy upadł na ziemię, usłyszał głos, który mówił: "Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz?" "Kim jesteś, Panie?" – powiedział. A On: "Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić"...

To ostatnie wspomnienie zaskoczyło mnie. Kiedy przerwałem podróż we własną pamięć, zobaczyłem na twarzy Raymonda uśmiech człowieka zadowolonego z siebie.

–Nie wiedziałem tylko, że twoja przemiana zacznie się tak szybko – powiedział i spytał: – Pamiętasz, co było dalej?

–Nie tyle pamiętam, co udało mi się ustalić. Po powrocie Gurbiani zmienił się bardzo. Chyba myślał nawet o reformie SGC, a przynajmniej o rezygnacji z programu "Psyche"... A propos wie pan, co to jest?

–Domyślam się, że coś bardzo złego. A ty znów nie pamiętasz?

–Proszę mi pomóc, to sobie przypomnę.

Z nastroszoną grzywą siwych włosów, pod tablicą pełną wzorów matematycznych profesor Carducci wyglądał rzeczywiście jak klon Alberta Einsteina. Może zresztą nim był. W każdym razie grupka ludzi zebrana w podziemnym "bezpiecznym gabinecie" wieżowca SGC wsłuchiwała się w niego jak w wyrocznię.

–Mimo obowiązujących zakazów, badania nad kryptoreklamą, to jest taką, która niezauważalnie przenika do ludzkiego mózgu i wywołuje pożądane skutki, prowadzone były od dawna – przemawia naukowiec. – Znane były zabiegi wmontowywania pojedynczych "niewidzialnych" klatek do filmów i tym podobne proste metody. Mają one trzy podstawowe słabości: wymagają dość długiego czasu emisji, nie są w stu procentach skuteczne, a, co najgorsze, mogą zostać łatwo wykryte. Obecny postęp nauki pozwala ominąć te przeszkody. Miniaturyzacja w elektronice powoduje, że komputery, które w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zajmowały setki szaf, w latach osiemdziesiątych stały się niewielkimi kostkami, a w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się procesory wielkości łebka od szpilki. Dziś są już prototypy urządzeń nie większych niż cząstka hemoglobiny. Wyobraźmy sobie, że wprowadzone do ludzkiego mózgu działać tam będą jako swoiste dekodery impulsów wysyłanych przez stacje nadawcze. Impulsy te dla monitorujących nas instytucji i naszej konkurencji stanowiłyby niezauważalną część emisji, dopiero dekodery przetworzyłyby je na określone reakcje w mózgu, zamieniając supozycję w bezwzględny przymus. Reklama "Pijcie gurbicolę" w zestawieniu z ukrytym impulsem uruchomi natychmiastowy głód tego napoju, pragnienie porównywalne jedynie z głodem narkotykowym.

–Genialne – zaciera ręce Rozenkrantz. – Przy pomocy takiego urządzenia będzie można sprzedąć każdy szajs.

–Powiedz im o możliwościach stymulacji wyższych potrzeb! – woła Aldo Gurbiani, zachwycony jak dziecko, któremu obiecano nową, wspaniałą zabawkę.

–Oczywiście. – Ugo przelyka ślinę. – Przy odpowiednim programie możemy wywołać akceptację dowolnej idei lub poparcie wyznaczonego przez nas człowieka.

–Nareszcie skończą się głupie kampanie wyborcze! – Lili Watson klaszcze w dłonie.

–Tylko ludzie muszą mieć we łbach nasze dekodery. To chyba trudne – marudzi Eusebio.

–Ale wykonalne. Nawet w skali całej ludzkości – woła Aldo, a Carducci kiwa głową.

–Tylko jak wyobrażacie sobie akcję dobrowolnych wszczepień miliardom ludzi? – pyta Lili.

–To akurat najprostsze, mikroprocesory mogą znaleźć się w pożywieniu, na przykład w firmowych czekoladkach, które w charakterze upominków świątecznych roześlemy wszystkim odbiorcom naszej telewizji. Procesory odporne na kwas żołądkowy, a zarazem przenikliwe przez błony śluzowe dotrą do krwi i niesione z jej prądem utkną w naczyniach włoskowatych w mózgu...

–A cena takiego zabiegu... – pyta Eusebio. – Jeśli będzie zbyt wysoka...

–W wypadku masowej produkcji koszt jednej “czekoladki” nie przekroczy stu euro.

–To i tak potrzebujemy miliardów nawet na eksperyment w części kraju.

–Nakłady zwrócą się stukrotnie – zapewnia Gurbiani.

–Nie mamy tyle szmalu – wzdycha Rozenkrantz.

–Mój bank zajmie się tym problemem – mówi, wychodzący zza filaru mężczyzna.

Ugo i Eusebio patrzą zaskoczeni na szefa. Kim, u licha, jest człowiek, który przysłuchiwał się ich poufnej naradzie? Lili wydaje się go znać, bo nie wygląda na zaskoczoną.

–Ach, prawda, zapomniałem o prezentacji – śmieje się nerwowo Gurbiani. – To jest pan Niccolo Zaccaria. Właściciel Banco Amalfia... Anzelmiano. Główny wspólnik naszego wspaniałego przedsięwzięcia.

Kolejna zmiana w scenach mojego widzenia. To chyba już po powrocie ze Sionu. Laboratoria SGC. Za oknem noc. Wpatrzony w monitory komputerów Carducci.

–Zbliżyliśmy się do finału, szefie, za trzy tygodnie prototyp będzie gotów i możemy uruchamiać produkcję. Zakłady w Malezji tylko czekają...

–Przyszedłem właśnie o tym porozmawiać, Ugo. Niektórzy mają wątpliwości co do naszego przedsięwzięcia. Rozmawiałem w tej sprawie z dyrektorem Lippim.

–Tylko krowa nie ma wątpliwości – zgadza się Carducci. – W moim raporcie dla pana sygnalizowałem o słabym punkcie, jakim jest utrzymanie kontroli nad nadajnikami. Gdyby ktoś je przechwycił lub nakrył nasze fale silniejszym impulsem, ludzka horda z wszczepionymi procesorami zacznie słuchać komend kogoś innego.

–Myślę o większym zagrożeniu. Zastanawiam się, czy mamy prawo do takiej ingerencji w ludzkie umysły, do takiej manipulacji?

Ugo wstaje i zrywa z nosa okulary.

–I pan to mówi. Pan, który od lat wspierał moje badania, rozpraszał moje wahania.

–A jeśli powiem ci, że się zmieniłem? Że pewne sprawy przemyślałem, że najchętniej chciałbym się wycofać.

–Może pan na mnie liczyć, od pewnego czasu czułem się jak Uczeń Czarnoksiężnika. Najchętniej wróciłbym do pracy nad moimi mikroprocesorami dla potrzeb medycyny. Na tym też można zarobić.

–Cieszę się, że jesteśmy zgodni. Tylko niech to na razie pozostanie między nami. Musimy postępować bardzo ostrożnie. SGC utopiła w tym morze forsy. Jesteśmy poważnie zadłużeni. Nie mówię już o miliardach niejawnej pożyczki z Banco Anzelmiano...

–A zatem?

–Czy ktoś poza tobą mógłby kontrolować proces przygotowawczy?

–Wykluczone. Całość koncepcji mam w głowie, współpracownicy znają wyłącznie detale, a schemat główny jest jedynie na zaszyfrowanych plikach w moim komputerze. No i pan dostał kiedyś dyskietkę...

–Przekopiowałem ją i na wszelki wypadek zniszczyłem.

–To dobrze. Czekam na instrukcje.

–Na razie musimy zagrać na czas, Ugo. Niech pojawią się nieprzewidziane trudności w pracy nad prototypem, błędy konstrukcyjne. Chcę, aby wdrożenie programu opóźniało się. Nawet do pół roku. A gdyby coś mi się stało...

–Obawia się pan czegoś?

–Wszyscy jesteśmy śmiertelni, Ugo. A więc jeśli coś mi się stanie, udasz się do Szwajcarii, do Sionu. Odszukasz tam człowieka nazwiskiem Priestl. Raymond Priestl.

–Z tej obietnicy Carducci się nie wywiązał – mówię do Raymonda cokolwiek zmęczony rozmową i przytłoczony mnóstwem faktów.

–Może nie mógł. Może znalazł się w czymś w rodzaju aresztu domowego. Może był szantażowany.

–To możliwe. Im więcej przypominam sobie z tamtych dni, tym bardziej widzę, jaki byłem naiwny...

Przez przerwana blokadę w tamie niepamięci wlewają się kolejne obrazy. Rozmowa z Lippim na jachcie. Humory Lili Watson. Nieokreślony niepokój Torresego, który

bagatelizuję. Potem dziwne spotkanie w SGC... O północy w moim gabinecie zastają Rozenkrantza, Bianchiego i Lili Watson. Zaskoczeni moim przybyciem, tłumaczą, że dopracowują szczegóły jutrzejszego otwarcia Festa d'Amore.

–Chciałbym wyłączyć się z wielkiej parady, trochę źle się czuję – mówię im.

–Parada bez Wielkiego Szatana to byłaby prawdziwa klęska – wołają chórem.

Ustępuję im.

–Dobrze, będę Wielkim Szatanem. – Ale w duchu dodaję: Po raz ostatni! Cóż, nie mogę dawać im powodu do podejrzeń. Zwłaszcza teraz, kiedy krystalizuje się mój plan. Muszę odsunąć od władzy aktualnych współpracowników. Jeśli dobrze to wszystko przygotuję...

Nad ranem dostaję telefon od Zaccariego. Nalega na spotkanie. Dopytuje się, czy wszystko w porządku z programem.

–Pan Amalfiani wyłożył wielkie pieniądze – powtarza.

–Wszystko będzie w porządku – uspokajam go. I zastanawiam się, czy niepokój mafiosa to coś więcej niż intuicja.

–Chciał zrobić dokładnie to co ja teraz – mówię do Priestla. – Był jednak bardzo nieostrożny, nie wziął pod uwagę, że jest inwigilowany, a jego najbliżsi współpracownicy gotowi będą wynająć morderców. W dodatku zechcą przypisać panu rolę inspiratora zbrodni.

–Dlatego się tu ukryłem – tłumaczy Raymond. – Doskonale wiem, że jestem przez nich poszukiwany, tak samo jak ty, Aldo.

–Nie jestem Aldo – wołam. – Nie chcę nim być. Ale boję się, że wraz z odzyskaniem pamięci Gurbiani może zdominować Derossiego.

–Jeśli nawet, bracie, będzie to ten nowy Gurbiani.

–Nowy czy stary, nienawidzę ich obu. Nie oszukujmy się, to przecież kanalia, która nawróciła się wyłącznie z tchórzostwa.

–Nie traktuj tego aż tak emocjonalnie – mówi ciepło rudy mnich. – Któż bowiem z nas nie jest tchórzem.

–Na przykład pan!

Uśmiechnął się gorzko.

–Nie wiesz nawet, jak często się boję. Jak proszę Ojca Przedwiecznego, aby oddalił ode mnie ból i cierpienie, które jest mi pisane. A Gurbiani... Wbrew pozorom nie należy go sądzić zbyt surowo. Czym różnił się od innych ludzi swego wieku? Może skalą działań, przedsiębiorczością, brakiem hipokryzji. Cóż, minęły czasy, kiedy uważano hipokryzję za hołd występku złożony cnocie... Czyż nie należy cię widzieć, Aldo, jako najbardziej reprezentatywny produkt tego świata. Zrodzony na jego obraz i podobieństwo. Jesteś jego konsekwencją i rozpaczą.

Milczę, bo co mam powiedzieć, że usprawiedliwiając Gurbianiego, tym mocniej pogrąża mnie, Alfredo Derossiego, zwanego "Il Cane" – prawnowajcę tryumfującego zła. Demiurga tego wspaniałego świata.

–Nie gryź się, bracie – odgaduje moje myśli prorok. – Zaprawdę powiadam ci, byli stokroć więksi grzesznicy, a dostąpili świętości w Panu.

22. Czas apokalipsy

Słońce sięga zenitu, jaskinia, doświetlana dotąd przez wschodni wylot, pogrąża się w mroku, wychodzimy więc na skalną półkę, mrużąc oczy i chłonąc powietrze czyste jak kryształ.

–Co mam dalej robić? – pytam Priestla. – A co chciałbyś?

–Pewnie liczysz, że przejmę rolę Gurbianiego, przegonię tych łotrów z zarządu SGC i uczynię tę maszynę zepsucia narzędziem nowej ewangelizacji.

–Jeśli chcesz i możesz, uczynić to.

–Dasz mi rozgrzeszenie? Wysłuchasz mej spowiedzi?

–Tego uczynić nie mogę, albowiem biskup Sionu odmówił mi prawa udzielania sakramentów. Co prawda, mógłbym się powołać na wyższe błogosławieństwo...

–Od kogo?

Ułamek sekundy waha się, czy mi odpowiedzieć.

–Od Ojca Świętego. Byłem u niego, zanim zeszedłem nauczać. Cierpiał bóle dotkliwe, na które żaden medyk nie mógł znaleźć lekarstwa. Spotkaliśmy się w Ogrodach Watykańskich, odjąłem mu cierpienia, a potem rozmawialiśmy długo, szczerze i serdecznie. Powiedziałem mu, że nie chcę zastępować Kościoła ani hierarchii, tylko posługiwać ludzkim cierpieniom i dawać świadectwo wiary.

–“Czyń to tedy dalej – powiedział mi tedy Biskup Rzymu. – Nie mogę tego poprzeć głośno, zaś Kongregacja do spraw Doktryny Wiary pracuje powoli, ale masz moje błogosławieństwo”.

–“Dzięki, Ojczy” – zawołałem, całując pierścień Rybaka, a on mówił dalej na wpół do siebie, na wpół do postaci jasnych i ciemnych, których pełno było w ogrodach, a które tylko jam wyczuć potrafił.

–“Może już czas, może już czas”.

–“Na co, Ojczy Święty?”

–“Na nowy Kościół. – Zadrżałem, bo zabrzmiało to jak czysta herezja. Szczególnie w ustach namiestnika Chrystusa. – Wiele znaków mówi, że nasza misja się wypełniła. Zawisnęliśmy pomiędzy rytuałem a próbą dorównania nowym czasom. Lud nudzi się misterium, intelektualiści zbyt gorączkowo usiłują przekonać boże dzieci do nowych prądów w każdej z dziedzin nauki, sztuki, polityki. Jedni chcą szukać potwierdzeń w nauce, inni zakładają, że natura wiary i nauki jest rozdzielona. Że materia i absolut nie mają styku. A przecież nie ma wiary bez cudu, bo skąd by się wzięła; bez objawień proroków, bez Syna Bożego, bez świadectw męczenników wiara byłaby fikcją literacką. Trzeba nam cudów. Wielu cudów. Któż je sprawi? Kościół nasz stał się organizacją, którą trudno utrzymać, a jeszcze trudniej zreformować. A ludzkości, jak nigdy, potrzeba rzeczy najprostszej, szczerzej wiary, twórczego przykładu. Jeśli ma przetrwać trzecie tysiąclecie, potrzebuje ofiarnych przewodników i potrzebuje cudów. Wierzę, że uda się dokonać tego właśnie tobie”.

Chciałem coś powiedzieć, ale on odszedł bez pożegnania i tylko wchodząc w mury Watykanu, odwrócił się na progu i uczynił za mną krzyż wielki, aż poczułem go na swych plecach jak brzemień ogromne, zda się ponad siły.

–Utworzysz więc nowy Kościół? – zapytałem.

–Nie wiem, kto go utworzy i kto go obaczy, albowiem nie będzie to prędko. Może ty, może twoje dzieci...

–Nie mam dzieci.

–To będziesz je miał. Teraz ostaw mnie tutaj. Jestem zmęczony.

–Jednak trwając w ukryciu, skąd weźmiesz wiernych, kapłanów, misjonarzy? Twoi ludzie rozpierzchli się, kiedy zniknąłeś.

–Pod krzyżem też nie widziano tłumów wyznawców Jezusa. Czy jednak potrafisz zajrzeć w serca moich uczniów, tych, którzy teraz uciekli? Czy wiesz, na ile zmienili się we własnych sercach. Na ile dają przykład swojemu otoczeniu, rodzinie. Wiem, że

jest wielka potrzeba, albowiem bez wiary człowiek zginie, skończy się jako gatunek, ustępując miejsca cyborgom lub zamieniając tę planetę w pozbawioną życia bryłę magmy. Ale receptą nie ma być nowa sekta, jakich dziś niemało, lecz ruch oddolny, bezinteresowny, rodzący się w duszy każdego człowieka.

–Czy to nie zbyt naiwne pragnienie?

–Czasami widzę, jak te ludzkie krople zmieniają się w strumyczki, strumyki w potoki, te zaś w rzeki.

–Któż to poprowadzi taką rzekę bez organizacji, bez hierarchii? – Będą nowe cuda i będą nowi męczennicy. Będą... – urwał w pół słowa. Cień mroczny padł na niego. Uniosłem głowę i ujrzałem kilku mężczyzn w komandoskich panterkach uzbrojonych w broń automatyczną.

–Znaleźliśmy ich – zakrzyknął najrośniejszy z nich do mikrofonu wystającego spod kołnierza. – Obu.

Mimo nietypowego stroju i uczernionej twarzy poznałem go natychmiast. To był mój szofer, Franco. Morderca Torresego, Gabriela Zachsa, a pewnie i ministra Volponiego... Chciałem cofnąć się, ale z głębi skalnego korytarza dobiegał również stukot podkutych butów. Odwrót mieliśmy odcięty. Popatrzyłem na Raymonda. Poblady, z przymkniętymi powiekami przypominał człowieka stojącego na szczycie wieży i gotującego się do skoku.

Weszło dwóch zbrojnych, a za nimi zażywny mężczyzna o stalowym spojrzeniu. Niccolo Zaccaria we własnej osobie.

–Widzisz teraz swój błąd, Aldo – powiedział, uśmiechając się dołem smagłej twarzy, reszta oblicza pozostawała nieporuszona. – Co ci odbiło? Chciałeś zaryzykować wszystkim dla jakiegoś nawiedzonego łachmyty. Jeśli nie chciałeś grać z nami, było przynajmniej lepiej się ukryć... A tak... – wyciągnął spod pachy pistolet i bawił się nim jak domorosły kowboj. – Wielka przegrana. A pan, panie święty – nagle odwrócił się do Priestla – co stoisz jak słup? Zrób coś, jakiś mały cud, na przykład zamień mnie w żabę albo poleć do góry, albo przynajmniej zniknij, bo jeśli idzie o chodzenie po wodzie, to jakby wody tu za mało.

Najemnicy zarechotali. Priestl otworzył szeroko wprzymknięte oczy.

–Nie bluźnij, człowieku, albowiem jeszcze dziś staniesz przed Najwyższym Sędzią – rzekł.

Tego było za dużo nawet dla mafiosa o żelaznych nerwach.

–Puszczę cię przodem, Mesjaszyku – wycedził. I strzelił. Kula trafiła Raymonda w

pierś i cisnęła o skałę. Zaccaria strzelił jeszcze dwa razy, potem ogień otworzyli jego komandosi. Siekali seriami białe, drobne zwłoki, aż zmieniły się w jedną krwawą miazgę. I nie zdarzył się żaden cud, nie zatrzęsała się ziemia, nie pociemniało słońce. Skamieniały oczekiwałem na swoją kolej, ale Franco tylko pchnął mnie w stronę korytarza.

–Idziemy – warknął.

Z łoskotem wirnika na płaskowyżu wylądował śmigłowiec. Szofer skuł mi ręce kajdankami, wepchnął do środka, po czym usiadł przy mnie. Obok pilota ulokował się don Zaccaria.

–Lecimy – powiedział i wychylił się do swych zbirów. – Wy, chłopaki, wiecie, co robić, rozpraszacie się i każdy wraca osobno...

Maszyna wystartowała, załśniły ośnieżone szczyty, pod nami rozpostarła się srebrna tafla jeziora Tseuzier. Zupełnie jakby nic się nie stało.

–Nie zabijesz mnie? – spytałem Zaccariego. – Czekasz na polecenie od Amalfianiego?

–Głupcze! – zarechotał. – Czyżbyś przez te wszystkie lata naszej współpracy nie zorientował się, że Amalfiani to ja!

Tym mnie zażył. Rzeczywiście nie przyszło mi to do głowy.

–Natomiast ty nie próbuj udawać, że jesteś jakimś pieprzonym klonem. Lino może to łyknąć. Ja wiem, że żadnego klonowania nie było, zaś ty to ty.

–Zatem wiem już o sobie co nieco – mówię. – Rozumiem, że nie oszczędziłeś mnie z chrześcijańskiego miłosierdzia.

–Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia – zarechotał. – Jeśli będziesz rozsądny, zachowasz życie i pokaźną część majątku. Gratis mogę dorzucić twoją kobietę, nad którą czuwają w szpitalu moi ludzie.

–A jaka jest cena?

–Kontynuowanie programu "Psyche" pod naszą kontrolą.

–A do czego ja wam jestem potrzebny? – zapytałem zdziwiony. – A Ugo Carducci?

–Okazał się skończonym palantem – powiedział mafioso i po raz pierwszy uczułem w jego głosie coś jakby smutek. Popatrzyłem na moje ubranie, była na nim jeszcze krew Raymonda Priestla.

Można jedynie w przybliżeniu odtwarzać, co ubiegłej nocy wydarzyło się w wieżowcu SGC. Wszystko, co wiem, pochodzi z relacji Lili Watson, która miała szczęście lub raczej pecha znaleźć się w samym środku wydarzeń.

Łatwość, z jaką poradziłem sobie z Linem Pavonem doprowadziła do konsternacji w szeregach spiskowców.

–Znajdziemy go – obiecywał Zaccaria na zaimprovizowanym spotkaniu z triumwiratem zarządzającym SGC w składzie Rozenkrantz, Bianchi i Carducci. Narada odbywała się późnym popołudniem w “bezpiecznym gabinecie” biurowca. – Tropiony przez władze, podejrzewany o zabójstwo, w dodatku z poważnymi lukami w pamięci Aldo w niczym nie może nam w tej chwili zaszkodzić. Najważniejsze jest dotrzymanie terminów przez Uga. Kiedy zakłady w Kuala Lumpur otrzymają prototyp?

Oczy wszystkich skierowały się na Carducciego.

–Robimy, co możemy, ale pojawiły się drobne trudności... – wymamrotał profesor. Wyglądał źle, miał czerwone z niewyspania oczy i trzęsące się ręce.

–Terminy muszą być dotrzymane, wpakowałem w ten program majątek – w głosie Zaccariego pobrzmiwa groźba.

–Korporacja też jest zadłużona – wtrąciła się Lili Watson.

–Gdybyśmy mogli dorwać się do aktywów Alda – Eusebio przygryza nerwowo cybuch fajki. – Na Kajmanach i w Belize zadekował kupę forsy.

–Złapanie go to kwestia dni – uspokaja prezes Banco Anzelmiano. – Co prawda nie wygadał się przed Linem, ale i tak wiemy, dokąd zmierza. Chce odszukać tego cudotwórcę, który zawrócił mu w głowie i doprowadził do obecnego stanu rzeczy. I bardzo dobrze. Moi chłopcy już deptają mu po piętach. Niech odszuka “proroka”, a wtedy dorwiemy obu. Ja wylatuję do Szwajcarii o świcie. Sytuacja jest pod kontrolą.

–A jak Salvatore zacznie gadać – niepokoi się Bianchi. – Wysłaliśmy go wprawdzie aż do Australii...

–Ach więc jeszcze nie wiecie – szczerzy zęby Eusebio. – Zapomniałem wam, koledzy, powiedzieć. Mam tu email z dzisiejszego “Brisbane Journal”. – Możecie sami przeczytać:

Gwałtowny pożar pustoszy południowy Queensland. Znany włoski menadżer telewizyjny wraz z rodziną ofiarą pożogi...

Twarz Carducciego robi się kredowobiała.

–Zabiliście go? – szepce. – Przecież obiecano mi...

–Zajmuj się swymi sprawami, profesorku. – Rozenkrantz stuka cybuchem o krawędź mosiężnej popielniczki. – W interesach nie ma sentymentów.

–Ależ, na Boga!

–Daj spokój, Ugo, z podobnymi lamentami, jednym z pierwszych eksperymentów, jaki przeprowadzimy za pomocą "Psyche", będzie pozbycie się tego Starszego Pana – śmieje się Bianchi. – Przez parę tysięcy lat biblijne dyrdymały zaśmiewały ludzkie umysły. Nasz program zniszczy go tak jak konkurencję gurbicoli czy SGC Production.

–Najważniejsze, że koordynujemy nasze działania. Błędem było, że za pierwszym razem powierzyliśmy załatwienie Gurbianiego amatorom. Nie wiedziałam, że tak dobrze ułoży się nam współpraca – Lili Watson puszcza oko do Niccolo Zaccariego. – A przy okazji, zostanie pan dziś u nas na noc? Przygotowałam apartament na najwyższym piętrze. Z towarzystwem.

–Jeśli będzie również na najwyższym poziomie – odpowiada mafioso – nie powiem nie.

Kolację spożywa wraz z Bianchim i Rozenkrantzem w towarzystwie pięknych hostess, po czym trzy najpiękniejsze, w szatach zwiewnych, jakby z babiego lata utkanych, odprowadzają go wśród śmiechów i chichotów do pomieszczeń na najwyższym piętrze, zwanym "ogrodem rozkoszy".

Rozstając się, nie mieli pojęcia, jak prędko przyjdzie im spotkać się ponownie. Kwadrans po północy Rozenkrantza, mieszkającego podobnie jak wielu kolegów z zarządu w luksusowych apartamentach na dwudziestym dziewiątym piętrze SGC Center, budzi telefon z wartowni. Czujniki wyższych kondygnacji wskazują dużą zawartość dymu w powietrzu...

–Pożar? Gdzie?

–Podejrzewamy, że w dziale laboratoriów. Piętro dwudzieste pierwsze i dwudzieste drugie. Niestety tamtejsze czujniki i sygnalizacje alarmowe nie działają, natomiast z ulicy widać płomienie.

–Płomienie? To niemożliwe, mamy najlepsze na świecie instalacje przeciwpożarowe.

–Ktoś odłączył instalacje. Nie zadziałał ani monitoring, ani zraszacze. W samym laboratorium nikt nie odpowiada, wszystkie kamery są ślepe.

–Wyślijcie tam ludzi.

Pięć minut później dobiegają doń niezwykle alarmujące wieści.

–Ekipy musiały zawrócić. Od dwudziestego piętra w górę gmach stoi w płomieniach. Ogień wybuchł naraz na całym piętrze laboratoryjnym. Musicie się ewakuować. Szybko.

Eusebio zdenerwowany naciąga szlafrok.

–Możecie mi ustalić, gdzie jest ten skurwysyn Carducci? – krzyczy do intercomu.

–Po wyjściu ostatnich pracowników został sam w laboratorium i już go więcej nie opuścił.

Telefon milknie. Jest coraz więcej dymu. Rozenkrantz wypada na korytarz. W holu kręcą się bezradnie Lili Watson, Leo Bianchi, Letycja Romero i kilku innych prominentnych pracowników Konsorcjum.

–Co z tymi windami? – woła redaktorka “Minettio”.

–Nie działają.

–Musimy uciekać schodami w dół – panikuje Bianchi. Rzucają się ku drzwiom. Nie jest to jednak najlepszy pomysł; wszystkimi klatkami walą kłęby czarnego dymu. Gdzieś na dole musiały puścić drzwi przeciwpożarowe. Albo ktoś je otworzył...

–Na dach! – woła Eusebio. – Mamy przecież helikoptery.

–Ale którądy?

Przez dwa piętra posuwają się z twarzami okręconymi mokrymi ręcznikami. Dalej na szczęście są schody zewnętrzne. Wieje wiatr, nie ma na nich wiele dymu, można wspinać się bez przeszkód. Gdzieś z dołu dobiegają detonacje. Pękają ogromne opalizujące szyby. Szefów Konsorcjum ogarnia panika. Letycja Romero traci równowagę, tratuja ją bez litości...

Hołota – myśli Lili Watson, której udało wysforować się na czoło – jak właściwie zebraliśmy tę bandę? Usiłuje pojąć, co się właściwie stało. Wszystko wskazuje na celowe podpalenie. Przypomina sobie wyraz twarzy Carducciego, kiedy się żegnali. Tak, to była twarz samobójcy. Oczywiście, to Ugo zniszczył pracownie i komputery, zabierając tajemnice “Psyche” do grobu. Tylko właściwie dlaczego to zrobił?

Dach coraz bliżej. Do uszu dziewczyny dociera huk potężnego silnika śmigłowca. To najważniejsze. Z lękiem myśli o liczbie chętnych, którzy z pewnością będą walczyć o

miejsce w helikopterze. Ktoś musi ich uspokoić, wytłumaczyć, przecież do najbliższego lądowiska na dachu hotelu Sheraton jest w obie strony niecałe sześć minut lotu, dwatrzny kursy i ewakuuje się wszystkich...

Pierwsi uciekinierzy wbiegają na taras i zatrzymują się jak osłupiali – helikopter już jest w powietrzu. Wisi nieruchomo trzycztery metry ponad płytą lądowiska. Powiew powietrza z wirujących skrzydeł omal nie zmiata ich z tarasu.

–Kto tam jest? – wyteża wzrok Lili. Oczywiście Niccolo Zaccaria. Niccolo i trzy dupeczki do towarzystwa. Ponad sterami widzi kwadratową twarz Franco Piniego – “Szofera od Mokrej Roboty”.

Poniżej maszyny, nie mogąc jej dosięgnąć, podskakuje Rozenkrantz, macha rękami, coś krzyczy, pokazuje, żeby śmigłowiec zaczekał, ma przecież w swojej kabinie jeszcze mnóstwo wolnych miejsc.

Co za kretyn?! – myśli Watson, podbiega do direttore i wrzeszczy mu prosto w ucho:

–Nie zatrzymuj ich, Franco wysadzi Niccolo i wróci po resztę.

–Wróci? Popatrz lepiej na tego skurwiela Zaccariego i na jego zadowoloną minę... Nie wróci.

Faktycznie. Na twarzy mafiosa widać grymas mściwej satysfakcji. Macha ręką na pożegnanie, a potem jego śmigłowiec wolno okrąża dach.

–Co on robi, co on robi... – biada zasapany Bianchi. – Jesteśmy przecież współnikami.

–Bez Carducciego nie przedstawiamy dla niego żadnej wartości. Jeśli tylko dopadnie Alda, w jego komputerze znajdzie wszystko, co trzeba, by wznowić program. My stanowimy jedynie dodatkowych chętnych do dzielenia się łupem.

Bianchi zdaje się tego nie rozumieć.

–Spokojnie, proszę państwa – woła do tłoczących się pracowników SGC. – Ustawmy się alfabetycznie, mamy czas, Franco zaraz przyleci. Dwa, trzy kursy i zabierze wszystkich.

Ktokolwiek miał złudzenia, traci je, widząc, jak maszyna omija cylindryczną bryłę Sheratona, kierując się w stronę Wzgórz Montanijskich. Teraz można już tylko liczyć na pomoc służb miejskich. Gdzieś z dołu dobiega wycie pierwszego wozu strażackiego. Ale co ze śmigłowcami, czy po ostatnim pożarze lasów wróciły z bazy w Apeninach?

Ogłuszająca detonacja. Masy rozgrzanego powietrza wysadzają świetlik na wielkim patio. Ludzie rozbiegają się po dachu jak kule bilardowe. W powstałym skutkiem eksplozji otworze jest coraz więcej dymu, wkrótce pojawią się płomienie. Lili przypomina sobie obraz piekła z erotycznego horroru Bal u szatana (produkcja SGC – sto dwadzieścia siedem milionów widzów w ciągu roku). Czekają to nas wszystkich – myśli z rozpaczą. – Przy tym tempie rozprzestrzeniania się ognia śmigłowce ratunkowe nie mają prawa zdążyć. Chce płakać, ale w tym momencie odzywa się w niej inna Watson, twarda jak skała. – Myśl logicznie, zastanów się, co możesz zrobić.

Dochodzi do krawędzi dachu, przekracza zabezpieczający płatek. Wychyla się... Od strony północnej, poza piętrami laboratoryjnymi, fasada wygląda na prawie nie tkniętą. Widać światła wozów strażackich i policyjnych. Ale strażacy nie mogą im wiele pomóc, ich drabiny nie sięgają dalej niż do dziesiątego piętra. Na rzęsiście oświetlonym Piazza Garibaldi instalują się ekipy telewizyjne. Transmisja z wielkiego pożaru na żywo, nawet w środku nocy, to gratka, której nie można sobie odmówić. Na pewno są tam nasze ekipy – myśli z goryczą szefowa sekretariatu. Naraz wzrok jej pada na wielkie litery SGC, każda czterometrowej wysokości, o parę kroków od niej. Neon wprawdzie zgasł na początku pożaru, ale wygląda solidnie. Od bryły budynku oddzielają go solidne stalowe, niepalne belki. Gdyby się tam dostać... Parę tygodni temu na kolaudacji widziała program. Trójka linoskoków bez żadnego zabezpieczenia właśnie tu, na neonie dokonywała dziesiątków ewolucji przy dźwiękach Marsza tureckiego Mozarta, kończąc efektownym striptizem wewnątrz litery G.

Czemu mam nie spróbować, jestem młoda, wysportowana. – Lili pozbywa się swych pantofelków od Gucciego, odrzuca wąską spódnicę. Dochodzi do belki, dotyka jej lekko stopami jak skoczek badający miejsce wybicia. Belka jest wąska, ale przynajmniej prosta i szorstka. Jako dziewczynka Lili trenowała na równoważni, poczucie agorafobii jest jej obce. Tymczasem huk postępującego ognia jest coraz głośniejszy. Dalej. Śmiało wchodzi na stelaż. – Myśl o czymś innym – zmusza się. – Jesteś w hali sportowej w Nowym Jorku, dziesięć lat temu, jest mama i Charles. Nie patrz w dół. Wyprostuj się, wciągnij brzuch, uśmiech! Pięć sekund i już trzyma się litery S. Udało się!

Po wąskiej obejmie przechodzi na drugą stronę neonu. Dla potrzeb konserwatorów umieszczono tam niewidoczne z dołu uchwyty dla rąk. Można tam nawet usiąść, czekać. Nie wie, że zbliżenie jej napiętej twarzy za pośrednictwem łącz satelitarnych przekazywane jest na cały świat. Jutro znajdzie się na okładce "Supermediów". Ale na razie trwa przerażające dziś.

–Lili, Lili – z tyłu dobiega ją piskliwy głos Rozenkrantza. – Można tam do ciebie wejść?

Tylko jego tu brakuje. Dziewczyna myśli z niepokojem o dziesiątce innych

uciekinierów podążających śladem direttore. Czy neon utrzyma wszystkich chętnych, czy nie będą spychać się nawzajem. Co może jednak odpowiedzieć. Szczególnie, że wie, iż przy obecnej technice mikrofon kierunkowy może zarejestrować nawet jej oddech.

–Śmiało, Eusebio – odkrzykuje. – To nie jest wcale trudne.

Rozenkrantz umiera ze strachu. Nie próbuje nawet tego ukryć. Połyka tabletkę uspokajającą. Jeśli tej dziwce się udało... Stawia stopę na belce. Potem cofa ją lekliwie. Nie będę zgrywać Tarzana. Siada okrakiem i zaczyna posuwać się do przodu. Kątem oka widzi, że przygląda mu się Bianchi, inni próbują wspiąć się na talerze ogromnych anten. Durnie, jakby nie wiedzieli, że wszystkie się stopią... Powolutku do przodu, powolutku do przodu. Trochę szkoda spodni od Armagniego... Dociera już do litery.

–Jestem uratowany! – szepce.

–Musisz teraz wstać i dać krok – instruuje go nadsekretarka. – Wymacasz uchwyty.

Podnosi się bardzo, bardzo ostrożnie...

Detonacja jest ogłuszająca, ogień, który dotarł na dach, dobrał się właśnie do nieuszczelnego zbiornika z paliwem dla śmigłowców. Strugi płonącej benzyny zalewają przestrzeń dokoła. Fala gorąca dociera do Eusebia. Direttore próbuje złapać równowagę. Końce palców muskają krawędź czerwonego S. Nie łapią. Stopy tracą oparcie na belce. Drobne ciało dyrektora generalnego, wykonując przedziwne ewolucje, leci ku nieuchronnemu spotkaniu z ziemią...

Skamieniała ze zgrozy Lili, wtulona w górny łuk litery "S", obserwuje inferno szalejące na dachu. Sceny przechodzą najśmielsze fantasmagorie Hieronymusa Boscha. (Operatorzy kamery dostaną za te ujęcia nagrodę specjalną na przeglądzie relacji dokumentalnych w Wenecji.) Ludzkie ciała zwijają się w ogniu jak skwarki na patelni. Z nieludzkim wrzaskiem ogarnięty płomieniami Bianchi przesadza barierkę i jak kometa szybuje w dół...

Kiedy kwadrans później ekipa ratunkowa ściągnie ją z neonu, panna Watson będzie kompletnie siwa.

Maszyna Amalfianiego nie zatrzymuje się w Sionie, tylko śmiało bierze kurs w górę doliny Rodanu, aby na wysokości miasteczka Brieg skręcić w stronę najwyższego pasma Alp. Posuwamy się ponad malowniczą doliną Matternal, w dole rozpościerają się alpejskie wioski ze słynnym Zermatt na czele. Wnet otwiera się panorama na majestatyczną bryłę Matterhornu, ten prawdziwy cud skalny, czarny, olbrzymi

obelisk pośród oślepiającej bieli wiecznych śniegów i lodowców, których splekane, zakrzepłe jezory mieniają się bladymi barwami błękitu, zieleni i różu.

W odróżnieniu ode mnie, nie mogącego dojść do siebie po śmierci Priestla, jego morderca jest w znakomitym humorze. Nuci pod nosem stare szlagiery Studia Uno. Chętnie udziela wyjaśnień, zwłaszcza, że ma się czym pochwalić. W trakcie radiowego koncertu szlagierów dowiaduję się o tragicznej śmierci większości zatrudnionych w centrali SGC pracowników Konsorcjum i o spaleniu się gmachu. Nie budzi to we mnie większych uczuć. Zasłużyli na taki koniec. Usiłuję dowiedzieć się coś więcej na temat swego losu.

–Wkrótce zasiądziesz za swoim komputerem i wyciągniesz z niego pliki przekazane ci przez Carducciego.

–Mój notebook przepadł podczas ucieczki, nie wiem nawet, gdzie go szukać.

–Spokojnie, chłopie, Lino już odebrał go od Toto.

Wykorzystując dobry humor Niccolo, pytam go o Banco Anzelmiano. Wydaje mi się dziwne, żeby potomek znanej mieszczańskiej rodziny szefował mafii.

–To wyłączna zasługa mojego tatusia, świeć panie nad jego duszą! Trzydzieści lat temu, gdy Jankesi wydalili go ze Stanów, złożył staremu Vito Zaccariemu, którego firma była wtedy na skraju bankructwa, propozycję nie do odrzucenia: oficjalne adoptowanie mnie. Miałem wtedy osiem lat.

–Czyżby Zaccaria nie miał swojej rodziny?

–Wtedy jeszcze miał, ale cieszył się nią bardzo krótko – chichoce. – A my, biedni Sycylijczycy, weszliśmy w ten sposób do rosettińskiej arystokracji. Proste, prawda.

Czuję mróz w kościach. Pytam jednak dalej.

–Zawsze interesowała mnie historia waszego banku, ci sławni klienci, Kartezjusz, Newton...

–Ach, ta bzdura – mafioso parska jeszcze głośniej. – Przecież był to twój pomysł, Aldo.

–Przypomnij mi!

–Kiedy parę lat temu kupiłeś trzy procent naszych akcji, zaproponowałeś mi pomysł doskonałej akcji promocyjnej. "Galerię wielkich klientów". Oczywiście, większość z nich nie wiedziała nawet o istnieniu Banku, nie odwiedziła nigdy Włoch, ale co to szkodziło. Potem jeszcze namalowałeś ten portret.

–Jaki portret?

–Anzelmo Zaccariego, tego niby założyciela. Za modela służył szef moich kasjerów.

W głowie mi się mąci.

–Jednak Anzelmo wyglądał dokładnie jak on.

–Jaki Anzelmo?

–Założyciel firmy. W 1649 roku...

–Jaki tam założyciel. Bank założono we Florencji po wielkim kryzysie w czternastym wieku przy parafii świętego Anzelma, u nas powstał jako filia, a uniezależnił się gdzieś po wojnie trzydziestoletniej...

Kłamca albo ignorant – pulsuje mi w głowie. – Gdyby mówił prawdę, nie byłoby współczesnego świata, moja spuścizna nie stałaby się podwaliną Oświecenia.

Pod nami ukazuje się rozległe Lago Maggiore przypominające kształtem gigantyczny kawałek kiełbasy. Helikopter zniża lot.

–Lądujemy? – pytam.

–Za kilkanaście minut, w Yarese czeka na nas Lino z twoim komputerem.

Nie mam większych złudzeń na temat swojej przyszłości. Na górze pod nami dostrzegam krzyż. Zaczynam się modlić. Raymond, Raymond, jak przydałaby mi się twoja pomoc.

Nagły wstrząs. Helikopter zaczyna opadać.

–Co się dzieje? Brakuje paliwa? – pyta poirytowany Zaccaria.

–Nie mam pojęcia, wskaźniki pokazują jeszcze pół baku – odpowiada pilot. – Tracimy jednak moc. Chyba powinienem natychmiast lądować.

–Więc ląduj.

–Tylko nie bardzo jest gdzie. Wszędzie skały.

–Byle gdzie. Choćby na tej drodze.

Histeryczne nuty w głosie Zaccariego sprawiają, że zaczynam pracować nad moimi rękami. Mam je skute z tyłu. I dotąd nie próbowałem ich uwolnić, chociaż od początku zauważyłem, że kajdanki są nałożone dość luźno. Nieraz wstydziłem się

mych drobnych, wręcz kobiecych dłoni. Dziś to się może przydać. Staram się maksymalnie złożyć kciuk, ciągnę...

Pilot otwiera drzwi. Na wszelki wypadek. Pod nami widać urwisko i ciemną taflę jeziora. Jednak droga biegnąca skrajem urwiska jest tużtuż. Szczęśliwie pusta. Z silnika unoszą się kłęby dymu.

–Siadaj tam! – wrzeszczy Niccolo.

–Będzie dobrze! – Pilot kieruje się ku drodze, ma ledwie kilka metrów, kiedy zza zakrętu wypada rozpędzona ciężarówka.

–Uważaj!!!

Pragnąc uniknąć zderzenia, pilot wykonuje rozpaczliwy zwrot. Udaje się. Prawie... Małe śmigło trafia na ceramiczny wspornik przewodów wysokiego napięcia. Przerażający zgrzyt. Pobielały kark Zaccariego.

–Jezus, Maria!

Helikopter traci stateczność, zwija się jak ranne zwierzę.

Ochroniarz rzuca się ku drzwiom. Zaccaria rozpaczliwie szarpie się z pasami bezpieczeństwa. A ja mam już wolne ręce. Wśród wirującego światła dostrzegam granat wody. Skaczę... Lecę. Długo. Uderzam nogami, jakbym zarył w beton. Tafla zamyka się ponad mną. Czuję ból w bębenkach. Nic to. Byle nie zemdleć. Otwieram oczy. Ledwie widać światło słoneczne. Do góry, do góry... Wypływam, krztusząc się. Z nosa broczy mi krew. Żyję. Woda jest wściekle zimna, ale nic to. Poniżej drogi, w połowie urwiska widzę gejzer ognia w miejscu, w które wbił się śmigłowiec.

–Adio, don Niccolo! Panu już dziękujemy.

Obok mnie, prychając jak zakatarzony morświn, wynurza się Franco. Toczy wokół krwistym spojrzeniem, rejestruje obraz katastrofy, potem zwraca się w mym kierunku. Ryczy jak bawół i rusza ku mnie, rozgarniając wodę potężnymi uderzeniami umięśnionych łap.

Jestem niezłym pływakiem, mam też pewną przewagę, ale po przepłynięciu ledwie pięćdziesięciu metrów widzę, że mnie dogania. Nie mam szans na dalszą ucieczkę. A na walkę? Na prawym przegubie ciągle czuję kajdanki. Gdy zbrodzień podpływa bliżej, walę go ile sił w czerwony pysk, a następnie chwytam w pasie i pociągam w dół. Mam przewagę zaskoczenia. Przed atakiem nabrałem głęboki oddech, on nie... Chwilę ludzę się nadzieją. Co z tego, Franco z dziecinną łatwością oswobadza się z moich objęć. Wymierza mi cios, po którym robi mi się słabo, i wypływa. Przejmuje inicjatywę. Jego małpie łapska oplatają mnie, przyduszają, tracę oddech. Wiem, że to

koniec.

Naraz ponad nami odzywa się głos metaliczny, zwielokrotniony echem:

–Tu policja! Przestańcie walczyć. Do cholery, przestańcie walczyć!

23. Nieoczekiwana losu odmiana

Wielka była radość na posterunku policji w Ghiffa, gdy okazało się, że jeden z niedoszłych topielców to ścigany listem gończym multimilioner Aldo Gurbiani, a drugi to szofer, prawdopodobny współnik jego zbrodni. Wielka, ale i krótkotrwała. Okazało się, że miejscowi funkcjonariusze, całe życie marzący o sprawie większej niż kradzież kozy z pobudek seksualnych czy nielegalne uprawianie nudyzmu na dzikiej plaży obok cementarza, nawet przesłuchać nas nie mogli. Polecono im niezwłocznie odstawić zatrzymanych do pobliskiej Verbanii, skąd przejąć nas mieli wysłannicy prokuratury z Rosettiny. Zamknięto mnie więc w pojedynczej celi, z szacunkiem należnym komuś takiemu, jak Hannibal Lecter czy przynajmniej Lee Harvey Oswald... A jak ja się czułem? Byłem spokojny i pogodzony z losem. Skończyło się. Przestałem uciekać. Poza tym nareszcie miałem trochę czasu, aby przemyśleć parę spraw, spróbować pozbierać elementy szalonej układanki.

A więc byłem Gurbianim, a przynajmniej stawałem się nim w coraz większym stopniu. Wspomnienia powracały powoli, fragmentami, na podobieństwo archipelagu wysp, których wierzchołki powoli wynurzają się na linii horyzontu przed dziobem okrętu. (Gurbiani – Karaiby 1999, Derossi – Cyklady 1633.) Przewożony policyjną suką brzegiem Lago Maggiore, nagle przypomniałem sobie wycieczkę szkolną w piątej klasie i zbiorową zabawę w przytapienie klasowego garbuska, co ongiś dało mi wiele paskudnej satysfakcji, a teraz wywoływało uczucie wstydu. Jednak wtedy, pastwiąc się nad kaleką, wiedziałem, że garbus jest gorszy ode mnie i że prześladowanie go zwalnia mnie samego od możliwości bycia prześladowanym. Zaiste, wszystko chyba polegało na tym, że Aldo przez większość życia bał się i nie wierzył w siebie, a wszystko, co czynił, zdobywanie pieniędzy, kobiet czy wpływów stanowiło próbę autopotwierdzenia. Tak, zostać Gurbianim, nawet nawróconym, nie było sytuacją komfortową i nie stanowiło wielkiej pociechy, że pozostanę Gurbianim krótko, najwyżej parę miesięcy zgodnie z wyrokiem doktora Rendona.

Na wstępne przesłuchanie musiałem czekać prawie dwa dni. A czekać nie lubiłem. Za ścianą awanturował się Franco, domagając się swoich praw, którejs jednak nocy zniknął i mogłem tylko żywić nadzieję, że nie uciekł. Nie miałem żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym.

W areszcie nie dysponowali telewizją, a funkcjonariusze uprzejmie odmawiali mi gazet, tak jakby obawiali się, że po zabraniu mi sznurowadeł mogę chcieć popełnić samobójstwo poprzez spożycie makulatury.

A potem, cóż za odmiana losu. Wczesnym popołudniem ogolono mnie, wykąpano i zaprowadzono do gabinetu komendanta, gdzie czekała kawa, pierniczki i przystojna policjantka w cywilu.

–Proszę czuć się jak u siebie w domu – powiedziała. – Ma pan gości.

Zaraz, ku mej radości, pojawił się mecenas Prodi, uśmiechnięty i tradycyjnie rozczochrany, wręcz rwący się, aby skraść mi całusa. Wraz z nim do gabinetu wtoczył się nieznany mi brzuchaty łysol, który przedstawił się jako prokurator generalny Republiki – Benvenuto Caldone.

–Najpierw chciałem serdecznie przeprosić za te wszystkie niedogodności, które pana spotkały – powiedział, potrząsając kordialnie moją ręką. – Mam jednak nadzieję, że obchodzono się z panem godziwie.

–Wyjątkowo dobrze – odparłem, zastanawiając się, ku czemu to wszystko zmierza.

–Oczywiście, zabierzemy panu jeszcze trochę czasu na niezbędne w tej sytuacji zeznania, będzie też musiał pojawić się pan kilka razy w sądzie, ale zaręczam nie częściej, niż to będzie konieczne. Aha, od tej chwili proszę uważać się za człowieka wolnego, poza wszelkimi podejrzeniami.

Gdyby teraz wszedł do pokoju biały nosorożec, byłbym zapewne mniej zaskoczony. Dopiero Prodi uświadomił mi, jak się rzeczy mają.

Właściwie wszystko zawdzięczałem Lili. Uratowana z pożogi, bojąc się długich łap Niccolo (nie miała pojęcia, iż w tym czasie stanowił on już wysoko kaloryczną karmę dla węgorki), zdecydowała się sypać. Moja pierwsza sekretarka nie czyniła tego bynajmniej kierowana skrucą czy wyrzutami sumienia, lecz chłodną kalkulacją. Miała nadzieję uzyskać status "świadka koronnego" w tzw. procesie zarządu SGC i mafii amalfiańskiej. (Przy okazji przypominałem sobie wreszcie, skąd się wziął kryptonim "Pan Amalfiani". Niccolo Zaccaria, utrzymując fikcję mitycznego nadszefa, opowiadał o rezydencji na południu, niedaleko Amalfi, do której można było telefonować w sytuacjach szczególnych. W istocie była to zapuszczona buda w Praiano z włączoną na stałe sekretarką automatyczną.) Lili Watson nieco przeliczyła się w swych rachubach. Po śmierci Zaccariego i większości prominentnych udziałowców Konsorcjum pozostała, obok mordercy Franco Piniego, głównym oskarżonym. Jej skrucą i skwapliwe zeznania sprawiły, że otrzymała ledwie dziesięcioletni wyrok. Za to stała się sławna – jej relacje obieży światowe media, były przedmiotem wielu krytycznych analiz, sama w więzieniu napisała książkę Inferno, a prawa do jego sfilmowania nabyła wytwórnia Quentina Tarantino. Ujawniając tak wiele istotnych informacji, nie wspomniała o rzeczach najważniejszych (może zresztą na tym polegał jej układ z prokuraturą), ani razu nie padło w jej zeznaniach słowo "Psyche". Inna sprawa, że Caldone chyba nic o tym programie nie wiedział, bowiem

ten aspekt sprawy nie wypłynął również w trakcie przesłuchania ranie ani podczas rozprawy sądowej, która na ponad dwa miesiące zwróciła oczy całego świata na Rosettinę. Mówiąc uczciwie, ja również nie wrywałem się do udzielania informacji na temat tego programu.

Ustalony przebieg wydarzeń przedstawiał się z grubsza następująco:

Zagrożony niebezpieczną chorobą Aldo Gurbiani pod wpływem nauk brata Raymonda Priestla postanawia zmienić linię repertuarową SGC i jej gremia zarządzające. Zagrożeni członkowie zarządu zawiązują przestępczy spisek celem pozbycia się szefa, a przy okazji skompromitowania rozwijającego się bractwa krzyżobłękitnych. Gurbiani zostaje porwany przez trójkę wynajętych młodzieńców, pozujących na religijnych fundamentalistów, pobity i wrzucony do Studni Potępionych. Cudem przeżywa i przebywając w stanie amnezji, chroni się wśród wielkomiejskich lumpów. Drugi zamach ma miejsce po odnalezieniu go przez policję rzeczną. Aldo trafia do kliniki doktora Randolphiego, w której od dłuższego czasu z inspiracji gangu Zaccariego prowadzone są niedozwolone zabiegi transplantacyjne i handel przeszczepami. (Aresztowana na Sardynii grupa Randolphiego miała być sądzona w odrębnym procesie.) Uratowany przez pielęgniarkę, pannę Monikę Mazur (będzie ona głównym świadkiem w "Sprawie transplantatorów"), Gurbiani wstępuje z nią w związek małżeński, a następnie próbuje wrócić do pełnienia swych obowiązków. Odpowiedzią spiskowców są kolejne zamachy. W jednym zostaje ranna żona Gurbianiego, w innym ginie prywatny detektyw Gabriel Zachs i Luca Torrese. Nawiasem mówiąc, Luca Torrese jako jedyny z kierownictwa SGC pozostał wierny swemu prawowitemu szefowi. Tylko jego czujność oraz nieufność na linii SGC Amalfiani uniemożliwiła szybkie wyeliminowanie z gry prezesa SGC.

W obliczu możliwej utraty kontroli nad sytuacją Zaccaria, Watson i inni wchodzą w przestępczy układ z wiceministrem sprawiedliwości, Sandro Volponim, od dawna stanowiącym wtyczkę mafii amalfiańskiej w kręgach rządowych. W rezultacie wskutek wybuchu samochodu pułapki ginie Luca Torrese, zaś zaszczuty Gurbiani zabija ochroniarza Mateottiego, któremu wcześniej Yblponi odebrał broń. Jest to jednak ostatecznie przestępcze posunięcie wiceministra. Franco Pini na polecenie Zaccariego pozbywa się również Volponiego, strącając go ze schodów. Egzekucja Gurbianiego zostaje odroczone, bowiem don Niccolo pragnie najpierw poznać ewentualnych mocodawców swego przeciwnika. Myśli również o wykorzystaniu go do rozgrywki z kierownictwem SGC. Śledząc Gurbianiego, dociera do szwajcarskiej pustelni Raymonda Priestla i tam w sposób barbarzyński morduje kapłana.

Tak wygląda podstawowa rekonstrukcja zdarzeń. Samobójstwo profesora Carducciego, pożar w biurówcu SGC czy nieudzielenie pomocy odciętym przez ogień pracownikom Konsorcjum przez Niccolo zostaje uznane za element wewnętrznych porachunków wśród zbirów... ltd., itp.

Wstępne zeznania zajęły mi trzy godziny. Na pozostałe umówiliśmy się w Rosettinie. Przed aresztem czekał na mnie mikrobus z asystą służby bezpieczeństwa, a w mikrobusie... Dobry Boże, Monika!

Moja żona, blada i słaba, ale bardzo szczęśliwa, padła mi w objęcia. Na własną odpowiedzialność wypisano ją ze szpitala i pozwolono przyjechać po mnie. Nie macie pojęcia, jak fantastycznie jest mieć przy sobie człowieka, któremu można zaufać.

Zamierzałem już zatrzaskać drzwi mikrobusu, kiedy z cienia wynurzył się jakiś niewysoki policjant z wybrudzoną walizką w ręku.

–To chyba pańskie? – powiedział, podając mi bagaż.

–Mój notebook... – nie mogłem ukryć zdumienia. – Skąd to się u was wzięło?

–Jakiś oberwaniec dostarczył to dziś rano na komisariat, mówił, że bardzo panu na tym zależy. Dziewczyna na wartowni nie zdążyła wziąć od niego personaliów, zapamiętała tylko, że trochę kulał.

Pomyślałem cieplej o Linie Pavonem, zastanawiając się, czy bez poparcia bandy Zaccariego pozostanie nadal guru rosettińskich kloszardów.

Na noc stanęliśmy w domu. To znaczy w domu Aldo Gurbianiego, który do czasu, kiedy nie znajdę nic mniejszego i bardziej przytulnego, miał być naszym domem. Zostałem tam całkowicie wymieniony personel, któremu szefowała Sofia Rinaldi, świadek naszego ślubu, i Christoforo, brat bliźniak Luki Torresego, którego mecenas Prodi ściągnął aż z Turynu, gdzie Chris pracował jako ochroniarz w pałacu biskupim. Czekala na nas również wspinała kolacja. Ale nie mieliśmy na nią ani ochoty, ani czasu. Porwałem moją żonę w ramiona, po przebytych cierpieniach była lekka jak piórko, i zaniósłem wprost do łóżka.

Kochaliśmy się tej nocy długo, choć delikatnie, jednak nie będę o tym pisał, jako że są to sprawy, które winny być najbardziej intymną tajemnicą dwojga bliskich istot, nie do sprzedania za żadne pieniądze.

Nastał jednak moment, o którym muszę opowiedzieć. Kiedy przez uchylone okno wdzierał się wczesny, letni świt, hałasowały ptaki, a Monika usnęła, patrzyłem na jej nagie, smukłe ciało prezentujące najpiękniejszy zestaw łuków i krzywizn, jakie mogą wymyślić geometryści, tak euklidesowi, jak nieeuklidesowi. Nie mogłem spać. Gryzłem się.

Czy nie powinienem jej powiedzieć, że kocha się z człowiekiem skazanym, bez przyszłości. Że już niedługo będzie w tym łóżku sama... Postanowiłem zostawić nam przynajmniej miesiąc szczęścia.

Rozkoszom miodowego miesiąca towarzyszyły kłopoty innej natury. SGC rozpadało się. Wyszły na jaw gigantyczne długi, trzeba było płacić odszkodowania rodzinom ofiar pożaru. Główny udziałowiec Fundacji Banco Anzelmiano zbankrutował, ciągnąc nas za sobą na dno. Dzięki zaprzyjaźnionemu syndykowi masy upadłościowej miałem okazję spenetrować sejfy głównej siedziby przy ulicy Stromej, róg Mauretańskiego Zaułku. Wśród depozytów i pamiętek firmy nie znalazłem żadnych śladów po Alfredo Derossim, żadnych dzieł, manuskryptów czy choćby rejestrów. Nie było też korespondencji z rzekomymi klientami. Z tego, co zdołałem ustalić, żaden z wielkich twórców naszej cywilizacji nie przestąpił progów Banco Anzelmiano.

SGC z dnia na dzień ograniczyło swą działalność. Zwinęliśmy kanały porno, skończyliśmy wydawać "Minettio". Bez pracy, choć zapewne na krótko, pozostało półtora tysiąca pracowników "Klubów Wesołego Prosiaka". Zlikwidowałem agencje towarzyskie, a hotele z pokojami na godziny przekazałem instytucjom charytatywnym. Kasyno w San Stefano znalazło nabywcę w osobie nababa z Las Vegas. Z telewizyjnego imperium zachowałem dawny kanał Salvatore Lippiego, inne rozszarpały między siebie rywalizujące koncerny medialne. Zwolniło nas to z odszkodowań dla reklamodawców – abonentów naszej różowej twórczości. Ale i tak długi przekraczały zyski. Ostatni nasz kanał, bez seksu, morderstw, skandali i reklam, zdawał się jedynie ciężarem przywiązany do nóg skoczek samobójcy. Do decyzji o definitywnej upadłości pozostał nam równo miesiąc. Postanowiłem wykorzystać ten czas. Tydzień po moim powrocie do domu, bez większego szumu, w porze największej oglądalności ruszył serial dokumentalny "Świadectwo". Były to taśmy Mabel Finger wyemitowane bez profesjonalnego montażu, bez sztuczek technicznych i manipulacji – nagrania pokazujące Raymonda Priestla takim, jakim był. Jego nauki i jego cuda zarejestrowane z ukrytej kamery. Uważałem, że jestem do tego zobowiązany i nie liczyłem na cud.

A jednak zdarzył się! Po pierwszym odcinku, który puszczałem z duszą na ramieniu, pewien nieuchronnej porażki, rozdzwoniły się telefony widzów, żądano powtórzenia, po następnym okazało się, że liczba oglądających ten program się potroiła. A po trzecim... Nikt nie potrafił wytłumaczyć fenomenowi nieoczekiwanej popularności. Socjolodzy bredzili o "niszy emocjonalnej". Niczym pędząca po zwycięstwo sztafeta przeskoczyliśmy Discovery i CNN, Romantycę i HBO... Gdy serial się skończył, a ja, Claire i kilkunastu ludzi, którzy znali Raymonda, osobiście przeprowadziliśmy pożegnalną rozmowę, na całym świecie miliony ludzi, zamiast przeskoczyć na inne kanały, po prostu wyłączyło telewizory. Poszło na spacer, zaczęło ze sobą rozmawiać... U wielu wystąpiło poczucie pustki. Co dalej? Czy miało się to tak skończyć?

Nie miało – w ciągu tych paru tygodni na ulicach miast całego świata, w Rosji i w Meksyku, w Zimbabwie i w Japonii nieustannie rosła liczba ludzi młodych i starych, mężczyzn i kobiet nie wstydzących się nosić błękitnych krzyży. Po ostatnim programie wielu stanęło na ulicach wokół zamkniętych kościołów. Agencja Sinhua

mówiła o stu tysiącach neokatechumenów, którzy z całego Pekinu wyszli na plac Tienanmen, a zobaczywszy tam przy sadzawce brodatego mężczyznę w czerni, zażądali, by ich chrzcili.

–Ależ bracia, ja jestem ortodoksyjnym chasydem – bronił się turysta. Ale chrzcili: “W imię Ojca i Matki, i Raymonda Priestla”. A powróciwszy do Tel Awiwu, przyszył sobie błękitny krzyżyk.

W drugą miesięcznicę zamordowania Priestla jego wyznawcy stanęli milczącym tłumem na Polach Elizejskich, na placu świętego Piotra i na Time Square, gdzie właściciele okolicznych knajp, zamiast rozebranych dziwek, wystawili w witrynach kosze białych kwiatów, a trzy broadwayowskie teatry przypomniały nowe, poprawione wersje musicalu Jesus Christ Superstar.

Działy się i inne niezwykle rzeczy, wielu ludzi, którzy choćby przelotnie zetknęli się z Priestlem, zdawało się korzystać z jego mocy. Głośno było o nowych cudach, a nade wszystko o wypadkach szlachetnego poświęcenia, dobroci, miłosierdzia, odwagi... Były i ofiary. Bojówki satanistów napadały na krzyżobłękitnych w Berlinie. W Los Angeles doszło do morderstw. Dwie dziewczyny ofiarowano tam podczas czarnej mszy, natomiast w Polsce, we Włocławku, ukrzyżowano młodego księdza.

Moi reporterzy, gdzie tylko mogli udawali się ze swymi kamerami, rejestrując wydarzenia w sposób godny i odpowiedzialny, tylko za zgodą zainteresowanych, bez nachalnej dydaktyki czy wybijania sensacyjnego aspektu zdarzeń. Uprawiających gangsterkę w stylu paparazzich wywaląłem na pysk.

W tych dniach z ogromną ulgą przyjąłem werdykt Kongregacji do Spraw Doktryny Wiary, uznającej katechezę Priestla za zgodną z nauczaniem Kościoła, a ruch krzyżobłękitnych za nadzieję Trzeciego Tysiąclecia.

Tymczasem liberalne media, traktujące to prawicowe oszołomstwo z nieskrywanym obrzydzeniem, po raz pierwszy odczuły odpływ widzów. Bluźniercza Apokalipsa według Briana, zbojkotowana na wszystkich kontynentach, przyniosła spektakularną plajtę macherom z Hollywoodu. Cykl procesów dowodzących, że polityczna poprawność jest dyskryminacją a rebours, przyniósł sukcesy białym heteroseksualnym mężczyznom przyznającym się do narodowych korzeni. Ale być może wybiegam w mej opowieści za bardzo wprzód.

Pewnego chmurnego dnia, wczesną jesienią odwiedził mnie z własnej inicjatywy doktor Rendon.

–Co się z tobą dzieje? – spytał. – Zmieniłeś lekarza? Dlaczego nie przychodzisz po środki uśmierzające ból, nie zgłosiłeś się na zabiegi.

–Wybacz, nie mam czasu, a przede wszystkim czuję się świetnie. W ogóle

zapomniałem o mojej chorobie.

–Wyglądasz jednak nie najlepiej. Muszę cię przebadać.

–Zatem czyń swoją powinność!

Pojechaliśmy do kliniki, zrobiliśmy tomografię i rezonans mózgu, pół dnia obracano mnie w przeróżnych aparatach, nakłuwano, obmacywano, prześwietlano.

–No i? – zapytałem tonem maksymalnie niefrasobliwym.

Rendon się nie uśmiechał.

–Jeśli liczyłeś na samoczynną reemisję, muszę cię rozczarować, guz tkwi tam nadal. Może tylko rozwija się trochę wolniej.

–To znaczy?

–Prawdopodobnie poprzednim razem zbyt ostrożnie wyliczyłem czas, który nam pozostał. Być może mamy jeszcze rok, może troszkę dłużej. Oczywiście, jeśli stwierdzimy przerzuty, będziemy je operować.

–A więc nie uniewinnienie, tylko odroczenie egzekucji – przyjmuję pogodnie jego słowa. – To więcej niż mogłem oczekiwać. Prawie cud. – Nigdy się nie przyznam, ale w głębi serca żywiłem skrytą nadzieję...

–Jest inny aspekt sprawy, który mnie niepokoi.

–Mianowicie?

–Zauważyłem przemieszczenie. Wkrótce nowotwór może zacząć uciskać ważne regiony mózgu.

–Co to oznacza w praktyce? Mogę przestać chodzić, mówić, nie będę mógł się kochać?

Lekarz waha się z odpowiedzią, szuka odpowiednich słów.

–Możesz mieć pewne kłopoty z własną tożsamością, Aldo...

–Wielka mi nowina. Przecież i teraz nie wiem, kim jestem.

Postanowiłem wreszcie powiedzieć o moim stanie Monice. Przygotowałem się do tego starannie. Zaprosiłem ją do naszej ulubionej restauracyjki opodal Studni

Potępionych i mego pomnika. Obsługująca nas kelnerka z maleńkim błękitnym krzyżykiem we włosach przywitała nas promiennym uśmiechem, jakiego jeszcze pół roku temu próżno mógłby oczekiwać Aldo. Mimo wściekłego ataku prasy bulwarowej i ironicznych szyderstw salonów, większość ludzi uwierzyła w odmianę Gurbianiego, co więcej, dla wielu stanowiła ona dowód, że nie ma takiego rysztołu, z którego nie dałoby się podnieść.

A propos rysztołu. Prawie natychmiast po moim powrocie wynajmowałem detektywów, aby odszukali Toto, Ricco i Lino. Przynajmniej sobie, że wyciągnę do nich rękę. Niestety. Fachowcy cały tydzień penetrowali podziemia i śmietniska Rosettiny. Kłozardzi zniknęli. Może wykorzystując klejnoty, które im powierzyłem, grzeją teraz stare kości na Szeszelach lub w Montego Bay, paląc hawańskie cygara i rozkoszując się likierem curaçao lub pięćdziesięcioletnią whisky. Na zdrowie!

Zamówiliśmy steki po amerykańsku, wypiliśmy po lampce czerwonego wina, oczywiście z winnic Montana Rossa.

– Kochanie – zacząłem wreszcie, czując zarazem, że będzie to trudniejsze, niż myślałem – od pewnego czasu chciałem ci powiedzieć...

– Mogę pierwsza – przerwała – też mam dla ciebie coś bardzo ważnego. – Z rumieńcami na policzkach, w czerwonej prostej sukni, oświetlona migotliwymi płomykami świec wyglądała przepięknie.

– Oczywiście, kochanie, chociaż...

– Nie mówiłam ci dotąd, bo nie ufałam do końca testom. Ale poszłam dziś do lekarza. I nie ma wątpliwości, potwierdził...

– Co potwierdził?

– Jak to co, gapo moja kochana? Wiosną będziemy mieli małego Freddino albo Freddinę.

Zerwałem się, aż wino chlusnęło na stół. Nieważne! Całując Monikę, jej usta i oczy, odczuwałem bezbrzeżną radość. I przypomniały mi się słowa Raymonda o moich dzieciach.

– A ty co chciałeś mi powiedzieć? – spytała, ocierając trunek z mojej kamizelki.

– Ja... ja... – Oczywiście, wycofałem się jak rak. Nie w tej chwili. – Ja... Po prostu zastanawiałem się, czy to nie najwyższy czas, żebyśmy wzięli ślub w kościele.

Krzyknęła z zachwytem.

–Naprawdę urządzimy kościelny ślub i będę miała białą sukienkę z trenem?

Po powrocie do domu, kiedy usnęła, wyszedłem na taras, ukląknęłam i modliłem się długo, dziękując Bogu i Priestłowi. Nie ośmielałem się prosić o nic więcej.

24. Alfredo Derossi

Cichy ślub wzięliśmy w maleńkiej kamiennej kapliczce wysoko ponad jeziorem Tseuzier. Parę dni wcześniej poświęcił ją biskup Lozanny. Byliśmy tylko my dwoje – oraz dwójka miejscowych pastuszków. Udzielający nam sakramentu biskup zwierzył mi się, że za Spiżową Bramą poważnie rozważane jest rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego Raymonda. “Tak prędko, jak będzie to możliwe”.

Chcąc pobyć wreszcie sami z dała od świata, wynajęliśmy pokój na poddaszu wiejskiego domu w maleńkim Ayent, skąd można było ponad winnicami obserwować zamek w Sionie. Postanowiłem pozostać tu cały tydzień. Mogłem sobie na to pozwolić. Likwidacja plugawego imperium posuwała się w szybkim tempie. Mojej resztówce nie groziła upadłość. Dzięki sukcesom naszej nowej działalności, po spłaceniu głównych długów i uzyskaniu płynności finansowej, przed kanałem “Świadectwo”, już jako samodzielną stacją, pojawiły się niezłe szanse rozwoju.

Nastała cudowna jesień. Dni złociste, mgły nostalgiczne, klucze odlatujących ptaków. Przepęłniała nas radość przebywania pod jednym dachem, poranne wyprawy po gazety i bułeczki, wycieczki w góry, wspólnie przyrządzane posiłki, wieczory bez telewizji, kolacje przy świecach i noce...

Kiedy Monika zasypiała, najchętniej kładłem głowę na jej brzuszku i nasłuchiwałem, czy dziecko się do mnie odezwie... Jedyłą kroplą żalu, jaka odzywała się czasem w moim sercu, było pytanie, czy to jesień pierwsza i ostatnia. Ale, precz troski! Czasami rankiem, kiedy moja żona jeszcze spała, siadałem do notebooka (zabrałem go ze sobą z przyzwyczajenia) i pisałem sonet na powitanie dnia, dziwiąc się, że taki drań, cynik i hedonista potrafi wydobyć z siebie coś takiego.

Czasami też zastanawiałem się, jak potoczyłyby się losy wielu ludzi, gdyby Aldo nie został wrzucony do studni? Czy wówczas dusza Derossiego nie musiałaby się wcielić w coś innego, na przykład w psa lub kota. Nadal również miewałem kłopoty z pamięcią. Zresztą wyznam, że o wielu etapach życia Gurbianiego wołałem nie pamiętać. Choć niekiedy, gdy pochylałem się nad notebookiem, przychodziło mi do głowy, że warto byłoby przypomnieć sobie hasło dostępu i poznać odpowiedź na parę istotnych pytań.

Ciekawe, że w Ayent nie miewałem swoich snów. Może dlatego, że Monika i dziecko to były teraz moje sny na jawie. Jednak ostatniej nocy...

–Czytaj – powiedział padre Filippo, spoglądając na mnie surowo spod krzaczastych brwi.

W auditorium zrobiło się cicho. Ująłem w dłonie ciężką, oprawną w cielejącą skórę księgę i przybliżyłem ją do twarzy, przed oczyma zatańczyły rzędy liter oszalałym glistom podobne.

–Czytaj!

–To... to po grecku – wybełkotałem po dłuższej chwili. Żacy huknęli śmiechem. Nawet na wąskich wargach mego “ojca-ojca” pojawił się cień rozbawienia.

–A po jakiemu ma być...? Czytaj wreszcie, Alfredo, bo ja i różgi stracą cierpliwość!

Czytać! W głowie miałem pustkę. Owszem, rozróżniałem poszczególne litery, ale nie potrafiłem złożyć wyrazu. Co to się działo, przecież, u licha, w grece byłem prymusem. Nie wiem czemu, ale upuściłem książkę i rzuciłem się do ucieczki.

Nikt mnie nie gonił, jak strzała wypadłem na krużganek. Dziedziniec collegium był pusty. W środku dnia? Niesłychana sprawa. Na ulicy również powitała mnie pustka. Dalibóg, jakże dziwnie wyglądała dziś ulica. Gołe mury... Bez kramów... Bez przechodniów. I bez kolorów. Co się stało? Coś z moim wzrokiem? Gdzie ja wczoraj bawiłem? Zegar na wieży Castello Nero wskazywał południe, porę, w której uliczki miasta rozbrzmiewały zgiełkiem, a tu cisza taka, że nawet w uszach nie dzwoni. I naraz wszystko napłynęło, dźwięki, barwy, zapachy. Na tle ścian nabierających szybko kolorów pojawiły się ludzkie cienie, wyrosły na starych miejscach stragany, otwały swe podwoje szynki. Od kramów poleciał jazgot przekupek, z warsztatów począł dolatywać stukot młotków szewskich. Gdzieś w głębi ulicy ktoś okładał batem konia, klnąc niemiłosiernie. Koń rżał, a końskie muchy unosiły się wokół, brzęcząc i szukając dla siebie bezpieczniejszego lądowiska. Odetchnąłem z ulgą. Nie zwariowałem. Przeżyłem krótkotrwałe złudzenie, omam jakiś. Chociaż serce w piersi waliło mi jednak jak oszalałe. Język stał kołkiem. Odczuwałem ogromne pragnienie, jak pielgrzym wychodzący ze środka pustyni. Chcąc je czym prędzej ugasić, bez namysłu wbiegłem do wnętrza najbliższego szynku. Nigdy nie bywałem tam dotąd, wierny obietnicom złożonym ciotce Giovanninie, ale dziś nie miałem wyjścia. Pragnienie było silniejsze ode mnie. Przeskoczyłem cztery, może pięć schodków. I znów konsternacja. Szynk nie posiadał żadnego wnętrza. Krom stołu widocznego od ulicy z wiszącymi ponad nim szynkami bolońskimi, nie było tam nic. Ani ścian, ani stropu. Powinienem zawrócić, ale nie mogłem. Z kąta podniosła się tęgawa zjawa senna, jakby z mgły utkana, i nabierając dopiero ciała pod ciężarem mego wzroku, wyskrzeczwała:

–Nie wolno ci iść dalej paniczu, wstrzymaj się.

Skoczyłem do przodu i biegłem nie wiedząc, po co i dokąd... Ale ciągle tylko natrafiałem wokół siebie na nicość. Wreszcie odwróciłem się zdjęty przerażającą myślą, że być może nie zdołam powrócić. Dopiero teraz poczułem strach. Za mną nie było Rosettiny, owszem stały frontowe ściany, przez okna widać było ulicę, ale po mojej stronie... To wyglądało jak dekoracje w teatrum. Po lewej stronie nie było malowideł ni stiuków, ni mebli... Nadal niczego nie mogąc pojąć, biegłem dalej, aż znalazłem się wreszcie na pustej przestrzeni, w miejscu, gdzie powinna stać katedra, a widziałem jeno tył romańskiego portalu. Przystanąłem, dysząc. O, mój Boże! Świat mnie dogonił. Wszędy nicość i bezruch zamieniały się w realny byt. Katedra, jak spóźniony rysunek, powstawała wokół mnie. Z gołej ziemi, na podobieństwo wyrastających w nieprawdopodobnym tempie łodyg, unosiły się kolumny gotyckie, łącząc się żebrowaniami na gwiaździstym sklepieniu. Jeszcze chwila, a wypełniły się ściany między niemi, niczym kobierce spłynęły malowidła barwne, al fresco stworzone, zaś w oknach zamigotały tysiącami szkiełek witraże przepyszne, żywot Maryji Panny wysławiające. Zrazu ledwie słyszalna muzyka, która wypływała z organowych piszczałek, kielkujących na dopiero co wyniesionym chórze, potężniała z każdą chwilą, już po chwili tłukła się mocarnymi akordy o sklepienie świeżo nad moją głową zakrzeple.

A potem wybuchnął śpiew wielogłosowy. Najdziwniejszy chyba śpiew świata, pierwszej bowiem dochodziły mnie pienia, później zasię wylaniały się usta rozwarte, zęby śpiewających wiernych, wibrujące grdyki, nalane podbródki i bogactwo kobiecych czepków, chust, męskich kaftanów i kubraków, z których dopiero co wyrastały dłonie zakwitające modlitewnikami. Lub chustkami, jak kto pragnął twarz z potu obetrzeć. Przed pustym ołtarzem (którego przed chwilą nie było) najpierw pojawił się uniesiony w górę kielich złocisty, później dopiero miękkie, piegami obsypane ręce dzierżące go kapłana.

Na Mękę Pańską, co to wszystko miało znaczyć?

Wybiegłem przed kościół, na schody, ulica wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać ulica w pierwszej połowie XVII wieku. Przy dźwięku tarabanów posuwał się nią ront gwardii. Podbiegłem bliżej i naraz zarejestrowałem okiem przerażającą rzecz: wszyscy żołnierze byli identyczni. Nie podobni do siebie. Jednakowi... Jak cynowi muszkietierowie z jednej formy stworzeni. Jednak gdy postrzegli, iż się w nich wpatruję, na mych oczach poczęli się różnicować. Jakby jakiś pozaziemski malarz tej rzeczywistości połapał się, że spóźnia się ze swym dziełem i pomocników pogoniwszy, na wyścigi wziął się za poprawianie swego dzieła. Oto kapitanowi nos rosnąc zaczął bulwiasty, trunkowy, wokół oczu pojawiły się krwawe obwódki, a na policzku wystąpiła kurzajka szkaradna. U chorążego, któren sztandar niósł, na twarzy tępej i gładkiej jak u lalki nagle blizna nie zgojona się zaczerwieniła, mały dobosz zaśmiał się zajęczą wargą, a trzeciemu z rontu ciemny włos spłóviał i oczy w zez uciekły. Maszerowali wprost na mnie, bezceremonialnie, czemuś wściekli, z tak oczywistym zamiarem stratowania mnie, że w bok odskoczyłem na murek

obramowujący kanał. Z impetu wszakże równowagę straciłem i spadłem na dół wprost w kanał, gdzie młodzi łodzie z ślubu płynęli. Myślałem, że padając, krzywdę im uczynię, ale gdym runął na nich, rozwiali się w dym, zaś gondolier dalej wiosłem ruchał, jakby nic nie obchodziło go zdarzenie, a płacone miał od godziny.

Wyskoczyłem z gondoli na Piazza d'Esmeralda. Gorąc był tu wielki. Pot ciekł ze mnie strugami, lecz zarazem trzęsionka jakowaś mnie złapała. Czy są tu ludzie? Byli. Wszyscy jednak zalegli w cienkim cieniu murów, szkarp i wykuszy, zmęczeni jacyś, bez życia. Można by wytłumaczyć to upałem. Aliści ledwo mnie postrzegli, werwy nabrali niezwykłej, jakby kto im szpilę w sempiternę wraził. Dwaj młodzi kawalerowie porwali za rapiery i stanęli do pojedynku. Elegant w stroju weneckim, wymachując z ożywieniem kapeluszem, zaczął dyskurs z damą wachlującą się chusteczką. Tragarze o ciemnych twarzach przystąpili do załadunku barki. Żongler, lubo nikt prócz mnie go nie obserwował, począł piłeczkami igrać. Natomiast herold wziął się do czytania obwieszczenia, nie wiedzieć czemu od środka.

–Słusznie prawi – komentowały słuchające go jejmościanki.

–Przepraszam, panie, a o czym to dekret? – spytałem jedną z nich, której na mych oczach ogniopiór na gębę wylazł i wąs pod nosem się puścił.

–Słusznie prawi – powtórzyły wszystkie trzy. Zdenerwowany wykrzyknąłem:

–Jesteście głupie jak dupa wołowa!

–Słusznie prawi – powtórzyły z identyczną intonacją.

Sięgnąłem do kosza jednej z nich, wypełnionego jabłuszkami dorodnymi, czerwonymi jak królewska purpura, chwyciłem najsmakowitsze i usiłowałem ugryźć. Rozpłynęło mi się w rękę.

–Do szkoły wracaj, do szkoły – zabrzmiał głos ojca Filippo. Jezuita wyszedł nagle z cienia Porta Salaria, a szli za nim pedle dwaj z różgami.

–Nie pójdę – powiedziałem, chwytając rybacki bosak wsparty o ścianę trattorii.

–Synu, jak możesz – zawołał padre, ale wstrzymał się. Na twarzach obu identycznych woźnych (jednemu dopiero oko bielmem zaczęło zachodzić) pojawiło się zakłopotanie. – Może wrócimy do domu?

–Nigdzie nie pójdę, dopóki nie dowiem się, co jest tu grane?

–Co jest... Nie wiem, co chcesz wyrazić swemi dziwaczными słowy.

–Dlaczego wszystko tutaj wygląda, jakby było na niby?

Zachwiał się, niczym w samo serce ugodzon mój preceptor, a z nim wieże kościołów i bryła zamku zafalowały, jakbym widział je w krzywym lustrze odbite.

–Dopiero teraz to zauważyłeś, Aldo... Znaczy, chciałem powiedzieć: Alfredo.

Rzuciłem się do ucieczki, a za mną spadać jęły blanki z murów i gwiazdy.

Zerwałem się w pościeli. Noc cicha. Grające świerszcze, obok mnie równy, spokojny oddech Moniki.

–Sen mara, Bóg wiara – wspomniałem dawne powiedzonko, odczuwając ogromną ulgę, że był to zły sen tylko. Odwróciłem się na drugi bok, ale spać dalej nie mogłem. Zastanowiło mnie jedno, dotąd miewałem wyłącznie sny o Gurbianim, ten zaś był o Derossim. Czyżby obawy doktora Rendona o możliwej dewastacji świadomości miały znaleźć aż tak szybkie potwierdzenie?

W pograżonym w mroku pokoju połyskujący ekran komputera robił za prawdziwy neon. Dziwne – byłem przekonany, że wyłączyłem go, kładąc się do łóżka. Sam jednak się nie otworzył. Wstałem cicho, aby go wyłączyć raz jeszcze, lecz gdy się zbliżyłem do monitora, ujrzałem, że pulsuje na nim napis przeklęty, z którym tyle próżnych bojów żem stoczył:

WPROWADŹ KOD DOSTĘPU.

Chyba nie do końca rozbudzony, siadłem i położyłem ręce na klawiaturze. A moje palce wystukwały same, tak jak niegdyś robiły to co dnia:

ALFREDO DEROSI.

Ozwała się delikatna muzyczka Marsza tureckiego.

CZEŚĆ, STARY ŁAJDAKU – zapaliło się na powitanie.

A więc mam go. Komputer oddał mi się po haśle, otwierając jak Sezam swe podwoje lub płatna dziewczka nogi. Zaglądam do menu. Czego tu nie ma? Oczywiście jest program "Psyche" w wersji oryginalnej i kompletnej. Łącznie ze schematami procesorów, modulatorami sygnału emisji, dekodarami... Są akta osobowe najważniejszych współpracowników, a nawet wykaz zbrodni Niccolo Zaccariego.

Wśród wielu pozycji, jedna rzuca mi się w oczy – "Pamiętnik". Tysiąc dwieście dwadzieścia dwie strony. Nie ulega wątpliwości, że musiał prowadzić go latami. Cóż za satysfakcja. Nareszcie będę miał okazję poznać bliżej człowieka, którym być muszę. Oczywiście postępuję tak, jak każdy ciekawski osobnik, który dorwał się do cudzych zapisków: wbijam "Ctr" i "End" i od razu ląduję na ostatniej stronie...

...ta parszywa parada. Trzeba jednak zjeść żabę do końca. Jeśli mamy wygrać, nie wolno uprzedzić przeciwnika. Ależ to będzie numer, kiedy za trzy dni przeprowadzę z Carduccim test na zarządzie in corpore. Będzie szampan, koktajle, torty. Nikt niczego się nie domyśli, damy tej zgrai łajdaków pożreć w torcie procesory Ugo, a potem pokażę im parę migawek z Raymondem. Ciekaw jestem efektu. Czy Lili pójdzie do klasztoru? A może Bianchi nałoży włosiennicę? Najbardziej ucieszyłby mnie Eusebio przystępujący do biczowników. Potem nie będę musiał nawet zmieniać zarządu... Pokażę ci, Raymond, jak się robi Nową Ewangelizację. Za rok będziemy mieli ludzkość oddaną dobru i Panu Bogu...

–Niczego nie zrozumiał z nauk Priestla – wzdycham, myśląc o Gurbianim. – Czy ten cymbał nie pojmował, że wykorzystywanie "Psyche" do nawracania ludzkości byłoby taką samą manipulacją, o jakiej marzył don Niccolo. Głupim poprawianiem Stwórcy, który przecież dał nam wolną wolę. Czytam jednak dalej:

Luca radzi, bym nie szedł na paradę. Ech, ten Torrese, wiecznie przewrażliwiony, wszędzie wyczuwa spiski, zdradą... Kazał pić mi wyłącznie napoje z puszek. Szalony. Jak ja bym przeżył dzień bez mojej caffe turco. Póki nie wiedzą, co zamierzam, jestem bezpieczny. Jedna Lili może się czegoś domyślać, ale przecież Lili mnie

kocha. Zawdzięcza mi wszystko. I docenia to. Jak pięknie potrafi mówić: "Gdybyś potrzebował kiedyś nowego serca, oddałabym ci moje". Żeby tak mogła dać mi nową głowę. Właściwie ze starej wszystko co dobre wlałem już do książki. Ech, Lili, żebym pięć lat temu wiedział, co teraz wiem...

Był czas. Powinienem się być z tobą ożenić... Teraz pewnie za późno.

Dobrze, ostatni raz pobawimy się w diabła. Od jutra anioł!

Znów rozbłysk w mózgu. Przypomnienie sytuacji obserwowanej jakby w blasku flesza. Widzę z doskonałą precyzją tamten wieczór, widzę siebie, jak zamykam notebooka, dopijam wystygłą kawę przyniesioną przez Lili, sięgam po wiszącą na wieszaku kostium Lucyfera...

Zaraz, o jakiej on książce pisał? O jakiej książce? Wracam do rzeczywistości, jestem znowu w menu, przerzucam katalog plików, znajduję jeden obszerny zatytułowany "Studnia". Otwieram, czytam...

Jęk dzwonów wibruje, obija się o ściany krętych uliczek, ślizga po miedzianych rzygaczach rynien, płosząc z atyk stada ptactwa, które z furkotem wzbija się w słoneczne niebo, nie wywołując najmniejszego wrażenia na kamiennych maszkarach, przyczajonych wokół wież katedry. Spokój tych monstrów kontrastuje z nastrojem ciżby ludzkiej, spoconej, falującej, wielobarwnej, ciała pradawnego smoka podobnej. I jak on żarłocznej. Gawiedź ile sił napiera na kordony utworzone przez miejskich pacholków i książęcych gwardzistów wokół drogi wiodącej ku Dziedzińcowi Placzu, tak jakby chciała nasycić się cudzym lękiem, bólem, śmiercią...

Na miłość Boską, skąd ja to znam, co ma znaczyć ten tekst? Przelatuję kolejne kartki, rozdziały. Znów jestem w Rosettinie, poznaję miejsca i ludzi – Anzelmo, hrabia Lodovico, Ippołito, Maria...

Boże, przecież to jest jego powieść! Pisana od dziecka. Sekretny azyl jego duszy. Moja powieść!

Spadają ostatnie więzy krępujące dotąd moją pamięć.

Przypomina mi się owa kulminacja parady. Ja, Lucyfer, Pan Ciemności. Stoję obok przebranego za Śmierć Eusebia na wyniosłej trybunie na Via Illuminazione z widłami w ręce. Po lewej ręce mam nagą Lili jako boginię Afrodytę w wieńcu z czarnych róż na głowie, a maszerujący manifestanci pozdrawiają mnie:

–Aue diauolo, aue diavolo!

Czuję, jak dławiała mnie niechęć i odraza do tej roli, lecz koszmar trwa wśród grzmotu fajerwerków i... Co się ze mną dzieje? Nagle oblewają mnie strugi gorąca,

jakby z niewidocznego kotła pochodzące. Kolory ulegają przejasnieniu. Sztywnieje mój mały przyjaciel w przypiływie chuci. Nie kontroluję swych działań.

–Szefie, nie! – woła oddzielony ode mnie kordonem nagich gladiatorów przebranych za druida Luca Torrese. Nie słucham go. Zeskakuję wśród powszechnych wiwatów z trybuny, zanurzam się w wir czarnej rozkoszy i jestem już tylko częścią on ego Lewiatana, wypełniającego swym cielskiem szeroką aleję. Teraz wiem, że to nie ja, to ktoś nafaszerowany narkotykiem, dawny Gurbiani w swej scenie ostatniej. Naraz wpada mi w ręce dziewczynka może trzynastoletnia, różanie niewinna. W muślinie przejrzystym jest piękniejsza niż sama Hebe posługująca na Olimpie. RzUCA mi się na szyję. A ja pocałunkami gniotę jej usta pełne, wilgotne, po dorosłemu sprawne i łapczywie szukam piersi ledwie zakwitających...

–Nie tutaj, w samochodzie... – szepce, dygocąc również, ani chybi z podniecenia. Przechodzimy na parking.

–To wóz tatusia – mówi i pociąga mnie do wnętrza. Tam mrok spada na mnie nagle, coś mi łeb zakrywa, usta zatyka. Nieznajomy głos chrapliwie woła:

–Mamy go!

Oto i wszystko. Wiem, co chciałem wiedzieć. Nigdy nie było Alfredo Derossiego, znaczy był, istniał sobie jakiś nieborak zapomniany przez historię i Boga, wylansowany później przez antyklerykałów na Męczennika Rozumu. Przypadkiem posłyszał o nim kiedyś małeletni Gurbiani, szczenięce opowiadanie o nim spłodził. Potem w powieść przeobraził. Dawał mu to, czego w sobie znaleźć nie potrafił w owym dzieciństwie smutnym, podłym i tchórzliwym: geniusz i odwagę, szlachetność, mądrość. Opisał giganta tworzącego Nową Europę i Świat Dzisiejszy, który choć może nawet chłopcu nie wydawał się najlepszym, to przecież był jedynym możliwym ze światów. Inna sprawa, że go nie lubił, a kiedy dorósł, na wszelkie sposoby pragnął go upokorzyć i uczynić jeszcze plugawszym. Jako dziecko, kiedy tylko mógł, uciekał z rzeczywistości do barokowej Rosettiny, do moestro Markusa i kapitana Massimo, pięknej Beatrice i czarownicy Aurelii. Aby opisywać Rosettinę najlepiej jak umiał, studiował historię, modę, obyczaje, rozczytywał się w Makiawelu i Cellinim, Aretinie i dziesiątkach innych. Sam nieźle malował, więc sporządzał rysunki, które podpisywał jako "Il Cane". Żył życiem Derossiego, przeżywał z nim nieprawdopodobne przygody i pojedynki... Odkrywał nowe lądy i związki chemiczne, myślał nawet, że każe mu odnaleźć w Ziemi Świętej, w Meggido czy w ruinach Petry kamień filozoficzny, aby zapewnić sobie nieśmiertelność. Potem jednak dorósł. Manuskrypty poszły na dno skrzyni, wyrzucone poza margines pamięci i spraw doraźnych. Jak miniona młodość. Pewny był, że na zawsze.

Dopiero choroba i rozpacz wydobyły je z powrotem na światło dnia, niczym niewód rybaka skarb zatopiony. Za pomocą skanera przeniósł książkę do komputera, pragnąc oderwać się od myślenia o nieuchronnym, znów pisał, wyrzucając całe księgi baśniowe i gorączkowo tworząc w miejsce nich nowe. Tyle że miast wesołych przygód geniusza rodzić mu się począł dramat miłości i nienawiści, rozpaczy i śmierci. O przygodach i romansach pisał młody Aldo, o ostatniej, jedynej, tragicznej miłości – Aldo stary, zgorzkniały, świadomy bliskości swego kresu i czekającej go tam nicości.

Szukając rozpaczliwie sensu, rozglądając się za Bogiem, którego odrzucił, nie mógł przewidzieć dwóch rzeczy: spotkania z Raymondem i zamachu nań, a zwłaszcza tego, że podobnie jak jego bohater, Alfredo Derossi "Il Cane", ciśnięty będzie w Studnię Potępionych. A tam ze stresu, rozpaczy, a może i nacisku nowotworu na mózg powstanie tak nieprawdopodobne pomieszanie jaźni, że umrze Aldo i narodzi się Alfredo. A może odwrotnie.

Przedświt. Pora się położyć. W głowie mi się kręci od pisania, od czytania, od myślenia. A jutro trzeba wracać. Do codziennego kieratu. Do Rosettiny. Z Moniką i z naszym nie narodzonym dzieckiem. Boże, jak chciałbym słuchać jego śmiechu trzepocącego się po domu jak wypuszczony z klatki ptak, obserwować jego pierwsze kroki. Opowiadać mu o kapitanie Massimo i stryju Benedetto. Uczyć jeździć na łyżwach i na rowerze, pokazywać litery i czytać wiersze Petrarcki. Wyjawić tajniki brydża i gry w trzy lusterka. Słuchać o jego własnych naiwnych odkryciach, czekać nocą na powrót z pierwszej randki, zobaczyć przez okno, jak pędzi, wymachując indeksem...

Tak wiele, tak mało.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/